1979

Kalendarz Związkowy



Obraz S. Batowskiego przedstawiający śmierć Kazimierza Pułaskiego w bitwie pod Savannah.

P.N.A. Almanac 1979

$5.00

MEMBER FSLIC

FEDERAL HOME LOAN BANK SYSTEM MEMBER

EQUAL HOUSING LENDER



Liberty Savings

MAIN OFFICE: 2392 N. Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60647/384-4000
OTHER OFFICES:
7111 W. Foster, Chicago, Ill. 60656/774-1414
6677 N. Lincoln, Lincolnwood, Ill. 60645/463-1111
6210 N. Milwaukee, Chicago, Ill. 60646/763-4360



419160 III
1979

Kalendarz Związkowy

Na Rok 1979

Biblioteka Jagiellońska
1002130214
LODA-EDWARD ROZANSKI COLLECTION
#55956



Bibl. Jagiell.
1979 CD 1047/4



Papież Jan Paweł II

BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS

419160

III

Bibl. Jagiell.
1979 CD 1047/4

Skorowidz Jana Pawła II

Urodzony 18-go maja, 1920-go roku, w Wadowicach.
1938-1940—student Uniwersytetu Jagiellońskiego
1942—wstępuje do Akademii Teologicznej w Krakowie
1-go listopada, 1946 wyświęcony na kapłana.
1953—wykłada etykę na Uniwersytecie Jagiellońskim
4-go lipca, 1958—mianowany biskupem
28-go września, 1958—wyświęcony na biskupa.
1962-65—udział w Drugim Soborze Watykańskim
13-go stycznia, 1964—mianowany Arcybiskupem Krakowa
26-go czerwca, 1967—mianowany kardynałem przez Pawła VI
1969—odwiedza Amerykę
1976—druga wizyta w Ameryce w związku z Kongresem Eucharystycznym w Filadelfii.
16-go października, 1978—wybrany Papieżem.

Fact Sheet on Pope John Paul II

May 18, 1920—Born in Wadowice, Poland, near Krakow
1938-1940—Attended Jagiellonian University, Krakow
1942—Entered the Seminary of Kraków
November 1, 1946—Ordained a priest
1953—Became a professor of ethics at Jagiellonian University, Krakow
July 4, 1958—Named a Bishop
September 28, 1958—Consecrated a Bishop
1962-1965—Attended all of the Second Vatican Council sessions in Rome
January 18, 1964—Named Archbishop of Krakow
June 26, 1967—Named Cardinal by Pope Paul VI
1969—First visit to Chicago
1972—Published the book "Foundations of Renewal"
August 1976—Toured the United States and attended the Eucharistic Congress in Philadelphia
August 20-22, 1976—Second visit to Chicago
October 16, 1978—Elected Pope John Paul II



JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla ojczyzny ratowania
Wrócił się przez morze,
Marsz, marsz, etc.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz etc.

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza.
Marsz, marsz etc.

Mówi ojciec do swej Basi,
Cały zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz etc.

Na to wszystkich jedne głosy:
Dosyć tej niewoli —
Mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli.

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallantly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does that star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vic'try and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczcie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać.
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszycz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Z N A K I



22 grudnia do 19 stycznia

CAPRICORN — THE GOAT — KOZIOROŻEC ***Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—słońce.***



20 stycznia do 18 lutego

AQUARIUS—THE WATER BEARER—WODNIK ***Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.***



19 lutego do 20 marca

PISCES — THE FISHES — RYBY ***Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.***



21 marca do 20 kwietnia

ARIES — THE RAM — BARAN ***Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.***



21 kwietnia do 21 maja

TAURUS — THE BULL — BYK ***Nazwany tak przez starożytnych ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.***



22 maja do 21 czerwca

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA ***Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.***

ZODIAKU



22 czerwca do 22 lipca

***CANCER — THE CRAB — RAK** Słońce zaczyna swój ruch wsteczny — stąd porównanie i nazwa rak.*



23 lipca do 22 sierpnia

***LEO — THE LION — LEW** Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.*



23 sierpnia do 21 wrzesnia

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar — przez babilończyków.



22 wrzesnia do 22 października

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości — symbolizowane w wadze.



23 października do 21 listopada

SCORPIO—THE SCORPION—SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.



22 listopada do 21 grudnia

SAGITTARAUS—THE CENTAUR—STRZELEC
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.



Styczeń

Makary jasny,
Będzie wrzesień krasny.

Dopiero przy św. Fabianie
Czasem właściwa zima nastanie.

Świętej Agnieszki,
Mróz nie na śmieszki.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
	NOWY ROK 1 Mieczysław	Imienia Jezusa 2 Makary Izydor	3 Daniel Genowefa Danuta	4 Eugeniusz Aniela Tytus	5 Emilian Edward Szymon	TRZECH KROLI 6
7 Łucjan Julian	8 Seweryn Mścisław	9 Julian Bazyli Marcjanna	10 Agaton Wilhelm	11 Feliks Honorata Matylda	12 Ernest Arkadiusz	13 Bogumiła Weronika
14 Hilary Feliks	15 Paweł Marek	16 Marceli Włodzimierz	17 Antoni	18 Piotr Małgorzata Marta	19 Henryk Mariusz	20 Fabian Sebastian
21 Agnieszka Jarosława	22 Wincenty Anastazy	Zaślubiny N.M.P. 23 Rajmund	24 Felicja Rafał	25 Paweł	26 Polikarp Paulina	27 Agnieszka Jan
28 Karol Walery Piotr	29 Franciszek Salezy	30 Martyna Hiacynta Maciej	31 Jan Boska Ludwik Marcelina			

Krokusy





Luty

Gdy luty z ciepłem chodzi
To marzec wychłodzi.

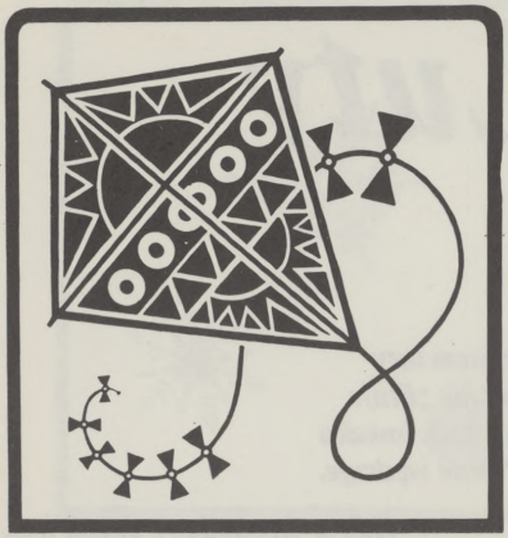
Czasem luty
Tak się zlituje,
Że człek bosaka
W pole wędruje.

Gdy w Gromnice z dachu leci,
W tym roku len się świeci.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
				1 Ignacy Brygida	2 M. B. Gromniczej Mirosław	3 Błażej Wawrzyniec
4 Andrzej Weronika	5 Izydor Albin Agata	6 Bogdan Dorota	7 Romuald Ryszard	8 Jan z Malty Emilia	9 Cyryl Apolonia	10 Jacek Scholastyka
11 Ob. N.M.P. w Lourdes Adolf Lucjusz	12 UR. LINCOLNA I KOŚCIUSZKI Julian Eulalia	13 Grzegorz Katarzyna	14 Walenty Zenon	15 Faustyn Klaudiusz	16 Julianna Danuta	17 Wincenty Sylwia Łukasz
18 Szymeon Konstancja	19 Konrad Manswet	20 Leon Ludomił	21 Elonora Feliks	22 URODZINY WASHINGTONA I PUŁASKIEGO	23 Roman Damien	24 Maciej Bogusz
25 Wiktor Izabela	26 Aleksander Mirosława	27 Gabriel Nestor	28 POPIELEC Teofil Roman			

Fiołki





Marzec

Marzec odmienia wiatry,
Deszcze miesza z pogodą,
Więc nie dziw, jeśli starzy
Czują go swą szkodą.

Marzec marzy,
Jak się zdarzy:
Gdy w marcu grzmi,
W maju śniegiem ćmi.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
				1 Albin, Antonina	2 Helena, Amelia	3 Kunegunda, Teresa
4 URODZINY PUŁASKIEGO, Kazimierz, Łucja	5 Wacław, Adrian	6 Wiktor, Róża	7 Tomasz z Akweny	8 Dzień Kobiet, Wincenty, Emil, Beata	9 Franciszka	10 40 Męczenników, Cyprian
11 Konstantyn, Pelagia	12 Grzegorz	13 Krystyna, Sabina, Bożena	14 Leon, Matylda	15 Klemens, Ludwik	16 Hilary, Izabela	17 Patryk, Zbigniew
18 Cyryl, Edward	19 Józef, Bogdan	20 Aleksander, Anatol	21 Benedykt	22 Katarzyna, Bogusław	23 Pelagia, Feliks	24 Marek, Gabriel
25 ZWIASTÓWANIE N.M.P., Wieńczysław	26 Teodor, Emanuel	27 Ernest, Lidia	28 Sykstus, Aniela	29 Eustazy, Cyryl	30 Amielia	31 Kornelia, Benjamin

Narcyzy





Kwiecień

Gdy w niedzielę
Męki Pańskiej
Słotno jest na świecie,
Wiele żyta roku tego
Gospodarz nie zmiecie

Na św. Franciszka
Trzęsie ogonem pliszka,
A przyleci kosztem tanim,
Bo na skrzydle bocianiem.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
1 PRIMUS PRILLIS Grażyna Przemysław	2 Franciszek Leopold	3 Ryszard Pankracy	4 Izydor Wacław	5 Irena Wincenty	6 Julianna Celestyna	7 Dorat Rufin
8 NIEDZIELA PALMOWA Dionizy	9 Hugon Marii	10 Michał Apolonius	11 Filip Leon	12 WIELKI CZWARTEK Juliusz Zenon	13 WIELKI PIĄTEK Hermenegilda	14 WIELKA SOBOTA Justyn Walerian
15 WIELKANOC Anastazja Bazyli	16 Smingus Dingus Benedykt	17 Innocenty Robert	18 Rudolf Bogusława	19 Adolf Tymon	20 Marian Agnieszka Czesław	21 Anzelm Feliks
22 Leon Łukasz	23 Wojciech Jerzy	24 Fidelis Grzegorz	25 Marek Jarosław	26 Marcela	27 Teofil Zyta	28 Witalis Paweł Witold
29 Piotr Robert Bogusław	30 Marian					

Stokrotki





Maj

Po mokrym maju
Posuchy w czerwcu nastają.

Chłodny maj daje
Siana urodzaje.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
		1 Filip Jakub	2 Atanazy Zygmunt	3 ROCZ. KONST. 3 MAJA Maria Antonina	4 Florian Monika	5 Pius Izydor Irena
6 Jan w Oleju	7 Florian Ludmilla Gizella	8 Stanisław Wiktor	9 Grzegorz	10 Izydor Antoni	11 Mamert Ignacy	12 Pankracy Dominik
13 DZIEŃ MATEK Serwacy Robert	14 Bonifacy	15 Izydor Zofia	16 Bobola Andrzej Jan	17 Paschalis Brunon	18 Feliks Bogdan	19 Piotr Mikołaj Celesty
20 Bernardyn Zuzanna	21 Wiktor Julia	22 Emil Helena	23 Dezydery Iwona	24 WNIEBOWSTĄPIENIE Joanna Estera	25 Grzegorz Urban	26 Filip Augustyn
27 Jan	28 MEMORIAL DAY German	29 Teodozja Magdalena	30 Feliks Ferdynand	31 Aniela Petronela		

Konwalje





Czerwiec

Jeśli czerwiec suchy,
A ciepły deszcze pada,
Urodzaje wina
Dobre zapowiada.

Czerwiec — przerwiec,
bo przetrwa gospodarkę
aż do żniwa

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
					1 Jakub Konrad	2 Erasm Marcelina
3 ZIELONE ŚWIĘTA Klotylda Leszek	4 Franciszek Teodora	5 Św. Trójcy Bonifacy	6 Norbert Łucja	7 Robert Wiesław	8 Medard Malesym	9 Felicjan
10 Bogumił Małgorzata	11 Barnaba Feliks	12 Jan Onufry	13 Antoni z Padwy Łucjan	14 DZIEŃ FLAGI BOŻE CIAŁO Bazyli	15 Wit i Modest Jolanta	16 Benon Justyna Alina
17 DZIEŃ OJCÓW Innocenty Marian	18 Marek Elżbieta	19 Gerwazy Protazy	20 Juliusz Sylweruisz	21 Alozy Bogumiła Alicja	22 Paulin	23 Zenon Wanda
24 Jan Chrzciciel Danuta	25 Wilhelm Łucja	26 Jan Paweł	27 Władysław	28 Ireneusz Leon	29 Piotr i Paweł Ernest	30 Łucyna Emilia

Róża





Lipiec

Jeśli w Nawiedzenie pada,
Cały miesiąc deszcz nielada.

W lipcu gdy słońce dopieka,
Burza niedaleka.

Gdy w kanikułę pogoda panuje,
Pogodną jesień rokuje.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
1 Halina Juliusz	2 Nawiedz. N.M.P. Urban	3 Alfred Jacek	4 DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI Teodor Innocenty	5 Antoni Karolina	6 Dominik Romuald Łucja	7 Cyryl i Metody
8 Prokop Elżbieta	9 Weronika Tomasz Zenon	10 Amelia Filip	11 Pius Olga Pelagia	12 Jan Gwalbert	13 Eugeniusz Małgorzata	14 Bonawentura Marceli
15 Henryk Włodzimierz	16 N.M.P. Szkaplerznej Andrzej	17 Aleksy Bogdan	18 Kamil Szymon	19 Wincenty a Paulo	20 Czesław	21 Wiktor Andrzej Daniel
22 Maria Magdelena	23 Apolinary	24 Kinga Krystyna	25 Jakub Krzysztof	26 Anna Mierosława	27 Natalia Julia	28 Innocenty Wiktor
29 Olaf Marta	30 Abdon Donat Julita	31 Ignacy Loyola Justyn Helena				

Lilja Wodna





Sierpień

W sierpniu mgły na górach,
Mroźne Gody;
Gdy mgły na dolinach,
Dla pogody.

Na Pańskiem Przemienieniu
Sierp na ramieniu.
Gdy sierpień w początku
Z upałem przybywa,
Zima długo biała bywa.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
			1 Piotr w Okowach	2 N.M.P. Anielska Gustaw	3 Lidia Nikodem	4 Dominik
5 N.M.P. Śnieżna Stanisława	6 Przemienienie Pańskie Slawa Jakub	7 Kajetań Dorota	8 Cyriak Emilian	9 Roman Jan	10 Wawrzyniec Bogdan Borys	11 Zusanna
12 Hilary Klara	13 Hipolit Helena Diana	14 Euzebiusz Alfred	15 WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.	16 Joachim Abroży	17 Jacek Paweł Julian	18 Helena Włodzimierz Bronisław
19 Bolesław Ludwik	20 Bernard Samuel	21 Joanna Daniel	22 Tymoteusz Hipolit	23 Filip Apolinary	24 Bartłomiej Jerzy	25 Ludwik Grzegorz
26 N.M.P. JASNOGORNEJ Konstantyn	27 Jozef Kalasanty	28 Augustyn	29 Sabina	30 Feliks Róża z Limy	31 Rajmund Marek Bohdan	

Mak





Wrzesień

Gdy wzros z dołu zakwita,
Znaczy zimy przodek,
Gdy w pośrodku przekwita,
Taki zimy środek;

Koniec zimy powita,
Gdy na wierzchu kwitnie,
Gdy kwitnie razem wszystek,
Będzie zima zbytnie.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
						1 Idzi, Bronisław
2 Stefan	3 Szymon, Zenon, Izabela	4 Rozalia, Julianna	5 ŚWIĘTO PRACY, Wawrzyniec, Justyna	6 Zachariasz, Eugeniusz, Beata	7 Melchior, Regina	8 Narodzienie N.M.P., Radosław
9 Piotr, Sergiusz	10 Mikołaj, Łucja	11 Prot, Jacek	12 Imieniny N.M.P., Gwidon, Klara	13 Filip, Eugenia	14 Kalikst	15 M. B. Bolesnej, Albin, Nikodem
16 Kornel, Ludmiła, Edyta	17 Jacek, Justyn	18 Jozef, Tomasz, Irena	19 January, Gustaw	20 Eustachy, Filipina	21 Mateusz	22 Tomasz, Maurycy
23 Tekla, Boguchwała	24 Gerard	25 Władysław, Ładysław	26 Cyprian, Justyn	27 Kosma, Damien	28 Wacław, Marek	29 Archanioł, Michalina, Michał
30 Hieronim, Zofia						

Wilec Pnący





Październik

Jak w końcu października
Łagodna pogoda,
To lutemu mrozów doda.

Gdy św. Marek
Z mrozem przybywa,
Babie lato
Krótkie bywa.

Koło Urszuli panny
Już częsty
Przymrozek poranny.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
	1 Jan z Dukli Remigiusz	2 Aniołów Stróżów Teofil	3 Teresy od Dzieciątka Jezus	4 Franciszek z Asużu	5 Placyd Apolinary	6 Brunon Artur Emil
7 N.M.P. Różańcowej Marek	8 DZIEŃ KOLUMBA Brygida Pelagia	9 Dionizy Ludwik Bogdan	10 Franciszek Paulina	11 DZIEŃ PUŁASKIEGO Adona	12 Maksymiliana Serafina	13 Matka Boska z Fatima Edward
14 Kalikst Dominik	15 Jadwiga Teresa	16 Leopold Florentyna Ambroy	17 Wiktor Małgorzata Maria	18 Łukasz Ewangelista	19 Piotr Pelagia	20 Jan Kanty Irena
21 Hilarian Urszula	22 Filip Salomea Kordula	23 Seweryn Ignacy Roman	24 Rafał Archanioł	25 Kryspin Bonifacy	26 Ewaryst	27 Sabina
28 Szymon Taduesz	29 Abraham Narcyz Wioletta	30 Alfons Edmund	31 DZIEŃ WIELKOŁAKÓW Antoni Lucylla			

Chaber





Listopad

Gdy grzmi,
A znak jest Strzelcowy,
Dobry urodzaj
Ma być nowy
Po górach, zły po nizinie,
Bo w nich krescencja ginie.

W dzień Zaduszny pogoda,
Będzie na Zmartwychwstanie
Wygoda,
A jak słota,
To posta.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
				1 WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH	2 DZIEŃ ZADUSZNY	3 Hubert Sylwia
4 Karol Boromeusza	5 Zachariasz Elżbieta	6 Leonard Feliks	7 Arnest Antoni Salomea	8 Ida Bogdan Seweryn	9 Teodor Orest	10 Andrzej Lubomir
11 DZIEŃ WETERANÓW	12 Renata Witold	13 Stanisław Kostka	14 Jozafat	15 Wojciech Leopold Gertrude	16 Matka Boska Ostrobramskiej Edmund	17 Grzegorz Salomea
18 Roman	19 Felicijan Elżbieta	20 Feliks Edmund Anatol	21 Janusz Konrad	22 ŚWIĘTO DZIĘKCZYN Marek Cecylia	23 Klemens Felicyta	24 Jan Flora
25 Katarzyna Erazm	26 Konrad Sylwester	27 Walerian	28 Zdzisław Grzegorz	29 Saturnin Błażej	30 Andrzej	

Chryzantema





Grudzień

Grudzień z gruba brukuje
Ostro mroźne drogi,
Wieprze bije, drwa zwozi
Dla zimowej trwogi.

Po suchym grudniu
Sucha wiosna bywa
I pogoda w żniwa.
Kto bez kożucha
Tę zimę przechodzi,
O świętym Janie
Ciepło mu zaszkodzi.

Niedziela	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
						1 Eligiusz, Natalia
2 Hipolit, Paulina, Balbina	3 Franciszek, Ksawery	4 Barbara, Piotr	5 Anastazy, Saba, Krystyna	6 Mikołaj, Emil	7 Ambroży, Marcin	8 NIE POCZ. N.M.P.
9 Piotr, Wiesław, Leokadia	10 Julia	11 Damazy, Sabina	12 Aleksander, Konstanty, Adelajda	13 Władysław, Łucja, Otylia	14 Teodor, Alfred	15 Walerian, Celina
16 Euzebuisz, Adela	17 Łazarz, Florian, Olimpia	18 Gracjan, Bogusław	19 Grzegorz, Urban, Daruisz	20 Juliusz, Bogumiła	21 Tomasz	22 Zenon, Leon
23 Wiktoria, Sławomir	24 WIGILIA, Adam, Ewa	25 BOŻE NARODZENIE	26 Szczepan	27 Jan Ewangelista	28 Młodziankowie, Teofil	29 Tomasz
30 Eugenia, Sabina	31 Sylwester, Melania					

Ostrokrzew





Nowa wspaniała siedziba Związku Narodowego Polskiego
pnr. 6100 N. Cicero Ave., Chicago. 60646

THE LARGEST FRATERNAL SOCIETY OF AMERICANS
OF POLISH DESCENT

INSURING MEN, WOMEN AND CHILDREN

ORGANIZED IN 1880

Maintains Alliance College in Cambridge Springs, Pa.
Aids the Poor and Destitute
Publishes Two Newspapers — Daily and Semi Monthly
Promotes Sport Activities Among Its Members
Educational Activities — Schools, Libraries
The Alliance is a Very Important Factor in
The Cultural Life of Americans of Polish Descent

HOME OFFICE
6100 NORTH CICERO AVENUE, CHICAGO, ILLINOIS 60646

OFFICERS

HILARY S. CZAPLICKI
Censor

LEOPOLD CIASTON
Vice-Censor

ALOYSIUS A. MAZEWSKI
President

HELEN SZYMANOWICZ
Vice-President

JOSEPH H. GAJDA
Vice-President

LOTTIE S. KUBIAK
Secretary

EDWARD J. MOSKAL
Treasurer

BOARD OF DIRECTORS

TADEUSZ RADOSZ

EMIL J. KOLASA

HENRY J. BURKE

JOHN H. RADZYMINSKI

MIECZYSLAW ODROBINA

HELENA ORAWIEC

JEAN A. KOZMOR

FLORENTYNA WIATROWSKI

ADELA A. NAHORMEK

MITCHELL S. JEGLIJEWSKI

Zarząd Związku Narodowego Polskiego

Wybrany Na Sejmie 37-mym Z.N.P. w Milwaukee, Wis.

HILARY S. CZAPLICKI
Cenzor Z.N.P.
9742 Glenhope Rd., Philadelphia, Pa. 19115

LEOPOLD CIASTON
Wicecenzor Z.N.P
27 E. Capitan, Warren, Mich. 48092

ALOJZY A. MAZEWSKI
Prezes Z.N.P.
6100 N. Cicero Ave., Chicago, Ill., 60646

HELENA SZYMANOWICZ
Wiceprezeska Z.N.P.
6100 N. Cicero Ave., Chicago, Ill. 60646

JÓZEF H. GAJDA
Wiceprezes Z.N.P.
6100 N. Cicero Ave., Chicago, Ill. 60646

WŁADYSŁAWA KUBIAK
Sekretarz Z.N.P.
6100 N. Cicero Ave., Chicago, Ill. 60646

EDWARD J. MOSKAL
Skarbnik Z.N.P.
6100 N. Cicero Ave., Chicago, Ill., 60646

DYREKCJA Z.N.P.

TADEUSZ RADOSZ
5709 So. Neenah Ave., Chicago, Ill. 60638

EMIL J. KOLASA
5425 N. Natchez Ave., Chicago, Ill., 60656

HENRYK J. BURKE
802 Main Ave., Schenectady, N.Y. 12303

JAN H. RADZYMINSKI
6 Heights Dr., Pittsburgh, Pa. 15209

MIECZYSŁAW ODROBINA
2700 Florian Ave., Hamtramck, Mich.48212

HELENA ORAWIEC
2409 West 52nd St., Chicago, Ill. 60609

JEAN A. KOZMOR
100 Tonnele Ave., Jersey City, N.J. 07306

FLORENTYNA WIATROWSKA
3916 W. 67th Pl., Chicago, Ill.60629

ADELA M. NAHORMEK
59 Francis St., Chicopee, Mass. — 01013

MITCHELL S. JEGLIJEWSKI
2007 N. Market St., St. Louis, Missouri — 63106

KOMISARZE i KOMISARKI OKRĘGÓW Z.N.P.

Okręg 1—STANISŁAW JENDZEJEC
ADELA NAHORMEK

Okręg 2—JÓZEF ZDUNCZYK
WIKTORI MOCARSKA

Okręg 3—LEOPOLD BABIRECKI
HELENA PIOTROWSKA

Okręg 4—ANTONI AKUS
JOANNA KOWALSKA

Okręg 5—STANISŁAW LEŚNIEWSKI
KLARA PUCHALSKA

Okręg 6—AUGUST GÓRSKI
ANIELA TUROCZY

Okręg 7—TADEUSZ SWIGOŃSKI
ZOFIA WÓJCIK

Okręg 8—WŁADYSŁAW MISZCZAK
WŁADYSŁAWA OPATKIEWICZ

Okręg 9—ALEKSANDER KOPCZYŃSKI
MARIA GRABOWSKA

Okręg 10—JÓZEF KRAWULSKI
STANIWŁAWA LEMANEK

Okręg 11—DR. STANISŁAW SULKOWSKI
PAULINA GÓRSKA

Okręg 12—ROMAN KOLPACKI
GENOWEFA WESOŁOWSKA

Okręg 13—KAZIMIERZ MUSIELAK
WIKTORIA KOLMAN

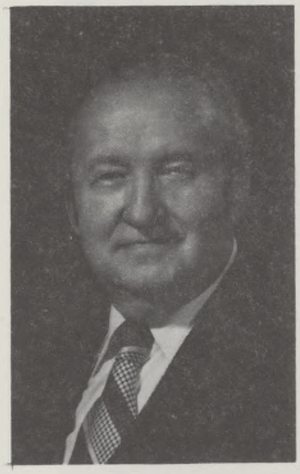
Okręg 14—KAROL MATRAS
WIRGINIA POSAŃSKA

Okręg 15—TADEUSZ WACHEL
PHYLLIS AUSENBAUGH

Okręg 16—JAMES A. HICKER
STEFANIA GAFKOWSKA

DYREKTORZY I DYREKTORKI

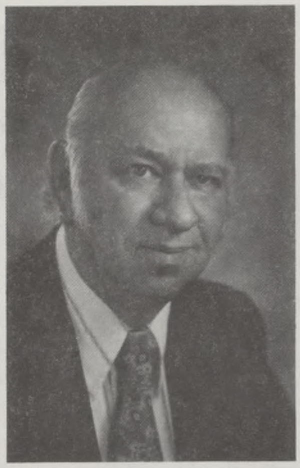
Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego



ŚP. JÓZEF DANCEWICZ
Dyrektor



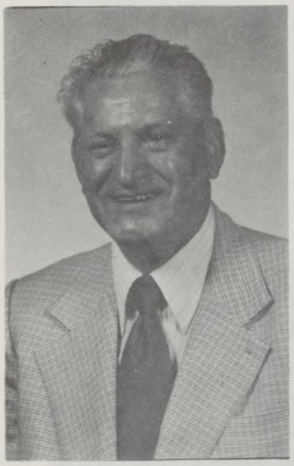
Tadeusz Radosz
Dyrektor



Emil J. Kolasa
Dyrektor



Henryk Burke
Dyrektor



Jan H. Radzyminski
Dyrektor



Mieczysław Odrobina
Dyrektor



ŚP. STANISŁAWA M. NIEDER
Dyrektorka



Helena Orawiec
Dyrektorka



Jean A. Kozmor
Dyrektorka



Florentyna Wiatrowska
Dyrektorka



HILARY S. CZAPLICKI

Cenzor Z.N.P.



LEOPOLD CIASTON

Wicecenzor Z.N.P.



ALOJZY A. MAZEWSKI

Prezes Z.N.P.



HELENA SZYMANOWICZ

Wiceprezeska Z.N.P.



JOZEF H. GAJDA

Wiceprezes Z.N.P.



WŁADYSŁAWA KUBIAK

Sekretarz Z.N.P.



EDWARD J. MOSKAL

Skarbnik Z.N.P.

Daty Sejmów Z.N.P.

Sejm I	w Chicago, Ill., od dnia 15 do 18 września, 1880 r.
Sejm II	w New York, od 21 do 24 września, 1881 r.
Sejm III	w Chicago, Ill. od 21 do 23 września, 1882 r.
Sejm IV	w Milwaukee, Wis. od 21 do 24 września, 1883 r.
Sejm Nadzwyczajny	w Chicago, Ill. od 21 do 23 lutego, 1884 r.
Sejm V	w LaCrosse, Wis. od 14 do 17 lutego, 1885 r.
Sejm VI	w Bay City, Mich. od 5 do 7 lipca, 1886 r.
Sejm VII	w St. Paul, Minn. od 12 do 15 września, 1887 r.
Sejm VIII	w Buffalo, N.Y. od 10 do 15 września, 1889 r.
Sejm IX	w Detroit, Mich. od 21 do 29 września, 1891 r.
Sejm X	w Chicago, Ill. od 4 do 9 września, 1893 r.
Sejm XI	w Cleveland, Ohio, od 9 do 14 września, 1895 r.
Sejm XII	w Philadelphia, Pa. od 6 do 11 września, 1897 r.
Sejm XIII	w Grand Rapids, Mich. od 16 do 21 października, 1899 r.
Sejm Nadzwyczajny	w Chicago, Ill. od 19 do 24 marca, 1900 r.
Sejm XIV	w Toledo, Ohio, od 14 do 20 października, 1901 r.
Sejm XV	w Wilkes Barre, Pa. od 19 do 24 października, 1903 r.
Sejm XVI	w Buffalo, N.Y. od 23 do 28 października, 1905 r.
Sejm XVII	w Baltimore, Md. od 23 do 28 października, 1907 r.
Sejm XVIII	w Milwaukee, Wis. od 11 do 16 października, 1909 r.
Sejm XIX	w St. Louis, Mo. od 9 do 14 października, 1911 r.
Sejm XX	w Detroit, Mich. od 15 do 22 września, 1913 r.
Sejm XXI	w Schenectady, N.Y. od 27 września do 3 października, 1915 r.
Sejm XXII	w Pittsburgh, Pa. od 16 do 21 września, 1918 r.
Sejm XXIII	w Toledo, Ohio, od 26 września do 1 października, 1921 r.
Sejm XXIV	w Philadelphia, Pa. od 25 do 30 sierpnia, 1924 r.
Sejm XXV	w Chicago, Ill. od 19 do 20 września, 1927 i od 27 sierpnia do 1 września, 1928 r.
Sejm XXVI	w Scranton, Pa. od 20 do 26 września, 1931 r.
Sejm XXVII	w Baltimore, Md. od 15 do 21 września, 1935 r.
Sejm XXVIII	w Detroit, Mich. od 10 do 16 września, 1939 r.
Sejm XXIX	w Boston, Mass. od 19 do 25 września, 1943 r.
Sejm XXX	w Cleveland, Ohio od 24 do 30 sierpnia, 1947 r.
Sejm XXXI	w Buffalo, N.Y. od 23 do 29 września, 1951 r.
Sejm XXXII	w Minneapolis, Minn. od 18 do 23 września, 1955 r.
Sejm XXXIII	w Hartford, Conn. od 20 do 25 września, 1959 r.
Sejm XXXIV	w Philadelphia, Pa. od 15 do 20 września, 1963 r.
Sejm XXXV	w Detroit, Mich. od 17 do 22 września, 1967 r.
Sejm XXXVI	w Pittsburgh, Pa. od 19 do 24 września, 1971 r.
Sejm XXXVII	w Milwaukee, Wis. od 21 do 26 września, 1975 r.

ZNACZENIE IMION MĘSKICH I ŻEŃSKICH

ZNACZENIE IMION MĘSKICH

Abner: Ojciec światła
Abraham: Ojciec wielu
Achilles: Sympatyczny
Adam: Człowiek ziemi
Adalbert: zobacz Wojciech
Adolf: Szlachetny bohater
Adrian: Ciemny
Alan: Harmonia
Albert: Cały jasny
Aleksander: Pomagający ludziom
Aleksy: Obrońca
Alfons: Gotowy do walki
Alfred: Dobry doradca
Algernon: Wąsaty
Ambroży: Nieśmiertelny
Amos: Silny
Andrzej: Mężny
Antoni: Zasługujący na pochwałę
Archibald: Bardzo odważny
Arnold: Silny jak orzeł
Aron: Ten który oświeca
Artur: Szlachetny
Augustyn: Wspaniały
Baldwin: Odważny
Bartłomiej: Syn wojny
Bazyli: Królewski
Benedykt: Błogosławiony
Benjamin: Syn prawnej ręki
Bernard: Silny niedźwiedź
Bertram: Roztropny
Borys: Obcy
Cecyl: Niedowidzający
Cyryl: Pański
Cyrus: Jak słońce
Czesław: Żołnierz
Daniel: Boski sędzia
Dawid: Ukochany
Donald: Dumny wódz
Edgar: Chętnie dający
Edmund: Obrońca
Edward: Stróż
Edwin: Uzyskujący szczęście
Elmer: Doskonały
Emanuel: Bóg z nami
Eryk: Dzielny
Ernest: Poważny
Erwin: Jak niedźwiedź
Eugeniusz: Dobrze urodzony
Ewerét: Stały
Franciszek: Wolny
Ferdynand: Gwałtowny
Filip: Miłośnik koni
Fryderyk: Pokojowy władca
Gerald: Silny z włócznią
Gilbert: Słynny
Gordon: Szczodry
Grzegorz: Czujny
Gustaw: Wojownik
Harold: Szampion
Hektor: Obrońca
Henryk: Głowa domu
Herbert: Sława armii
Herman: Wojownik
Hiram: Najszlachetniejszy
Horacy: Dzielny przewódca
Hubert: Roztropny
Hugon: Dobroduszny
Irwin: Wojownik
Iwan: Dar boski
Jakub: Wierny
Jan: Dar boski
Jeremi: Swięte imię
Jerzy: Posiadający ziemię
Jonatan: Dar Jehowy
Julian, Juliusz: O miękkich włosach
Justyn: Sprawiedliwy
Kalwin: Odważny
Karol: Zdolny doradca
Korneliusz: Zaszczytny
Krzysztof: Niosący Zbawiciela
Laurenty: Uwieńczony wawrzynem
Leon: Lew
Leonard: Silny jak lew
Leopold: Odważny dla ludu
Luter: Swietny wojownik
Łukasz: Swiatło
Marek: Młot
Marcin: Wojowniczy
Mateusz: Dar Jehowy
Maurycy: Ciemnej cery
Michał: Jak Bóg
Mikołaj: Zwycięstwo ludu
Milton: Czerwony
Mojżesz: Z wody
Napoleon: Leśny lew
Natan: Podarek
Noe: Wygoda
Norman: Człowiek północy
Oliwer: Zadowolony
Orwil: Spokojny
Oskar: Skaczący wojownik
Oswald: Siła boska
Otton: Olbrzym
Patryciusz: Szlachetny
Paweł: Mały
Piotr: Skała
Ralf: Słynny bohater
Rajmund: Roztropny obrońca
Reginald: Silny król
Robert: Słynny
Ronald: Słynny
Rudolf: Czynny
Rufus: Rydowłosy
Ryszard: Potężny władca
Samson: Wielka uciecha
Saul: Ten o którego proszono
Salomon: Pokojowy
Stanisław: Kamienista łąka
Stefan: Kwiecista korona
Sylwan: Mieszkaniec lasu
Szymon: Chętnie słuchający
Teodor: Dar boski
Tomasz: Bliźniak
Tymoteusz: Bogobojny
Ulekses: Nienawidzący
Walenty: Zdrowy
Walter: Mistrz wody
Wiktor: Zwycięsca
Wincenty: Zwycięski
Wilbur: Dzik
Wojciech: Szlachetny

ZNACZENIE IMION ŻEŃSKICH

Adela, Adelina: Księżniczka
Adrianna: Ciemna
Agata: Dobra
Agnieszka: Czysta
Alicja: Księżniczka
Alda: Bogata
Alma: Dobre serce
Amanda: Godna miłości
Amelia: Ukochana
Angelika: Miła
Anita: Pełna gracji
Anna: Pełna gracji
Antonina: Nieokreślona
Barbara: Dzika
Beatrycja: Szczęśliwa
Berta: Piękna
Brygida: Swietlana
Cecylia: Niedowidzająca
Cyntia: Z góry Cynt
Debora: Pszczoła
Diana: Boska
Dolores: Smutna
Dorota: Dar boski
Edyta: Drogi podarek
Edna: Przyjemność
Eleonora: Swiatło
Elżbieta: Uproszona u Boga
Emilia: Energiczna
Estera: Szczęśliwa
Eunice: Szczęśliwe zwycięstwo
Ewa: Zycie
Ewangelina: Dobra nowina
Felicja: Szczęście
Flora: Kwiaty
Florencja: Kwitnąca
Genowefa: Spokojna
Gertruda: Wierna
Gloria: Sława
Helena: Swiatło
Hilda: Pomagająca
Honorata: Zaszczytna
Hortensja: Lubiąca ogród
Ida: Jak bogini
Irena: Pokój
Irma: Niewinna
Jadwiga: Głowa domu
Janina: Dziecię boskie
Judyta: Chwalona
Julia, Julianna: Z mięk. włosami
Laura: Wawrzyn
Leona: Odważna
Lilian: Lilijka
Loretta: Czysta
Ludwika: Odważna
Łucja: Urodzona przy zachodzie słońca
Magdalena: Wspaniała
Małgorzata: Perła
Maria: Gwiazda morza
Marta: Pani domu
Matylda: Bohaterka
Mildred: Mówiąca łagodnie
Milicent: Słodka śpiewaczka
Miranda: Podziwiana
Natalia: Podarek
Nina: Młoda
Norma: Z północy
Olga: Święta
Patrycja: Szlachetna
Pryscyla: Starodawna
Prudencja: Roztropna
Rachela: Jagnię
Ramona: Zabezpieczona
Rebeka: Czarująca piękność
Sara: Księżniczka
Shirley: Miła
Sybilja: Wróżka
Sylwia: Z lasu
Stella: Gwiazda
Teresa: Niosąca zboże
Weronika: Wierna
Wiktoria: Zwycięstwo
Wiola: Skromna
Wirginia: Czysta
Zofia: Mądrość
Zuzanna: Lilia

Aforyzmy Sławnych Ludzi

"Objawem żywotności polskiej jest wychodźtwo"
Stanisław Szczepanowski.

* * *

"Nic nie spychać nigdy w dół, ale do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie".
Zygmunt Krasiński

* * *

"Najtrudniejszem rzemiosłem — nauczyć się dobrze żyć, w czem się wszystko zamyka".
Mikołaj Rej.

* * *

"Niemasz szczęścia dla człowieka, jeżeli się niem z drugim podzielić nie może".
J. I. Kraszewski

* * *

"Słowność względem siebie i względem drugich jest fundamentem każdego prawego charakteru."
Z. Kaczkowski

* * *

"Acz pożyteczną jest mowa, pohamuj ust swych ochotę, srebrem mogą być słowa, milczenie jest szczero-złote".
L. Siemieński

* * *

"Na dobro składają się cztery pierwiastki: miłość ludzi, miłość prawdy, miłość wolności i miłość harmonji".
Eliza Orzeszkowa

* * *

"Powiedz mi z kim przestajesz, a ja ci powiem, kim jesteś; gdy wiem, czem się zajmujesz, to wiem także, co z ciebie być może".
Goethe.

* * *

"Równi są ludzie tylko w łaźni, wolni w trumnie, a o braterstwie mówi się dlatego, by trudniej było zgadnąć, że to chodzi o ludzi".
Ludwik Marya Staff

"Trzeba chcieć żyć i umieć umrzeć".
Napoleon

* * *

"Nic nie jest bardziej zdrożne i bezbożne, niż sposób, w jaki świątobliwość wyobraża sobie występek".
Ludwik Marya Staff

* * *

"Gdzie złe prawa, a dobrzy urzędnicy, tam można jeszcze jako tako rządzić, ale gdzie źli urzędnicy, tam najlepsze prawa nic nie pomogą".
Bismark

* * *

"Kto pochlebstwem gardzi, i sam nie schlebia, ten tylko ze wspaniałą dumą i z rzeczywistą wielkością będzie mógł odtrącić od siebie tyranję, gwałt i podłość przemocy.
Żeromski.

* * *

"Słowo prawdy pada cicho, leży długo, wschodzi powoli, a owocem jego miłość i zgoda. Słowo fałszu z hukiem wypada jak kula i po sobie ranę lub śmierć zostawia".
Mickiewicz

* * *

"Przyjaźń tego świata podobna jest do jaskółki, która całe lato, gdy ciepło i ładnie, świergoce koło domu, a gdy przyjdą jesienne chłody, wtedy precz odlatuje i zostawia właścicielowi domu tylko zanieczyszczone gniazdo. Tak samo robią fałszywi przyjaciele".
Schopenhauer

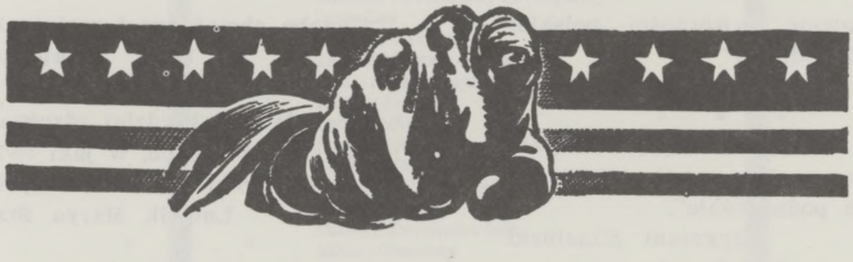
* * *

"Tłumacz dobry — to sumienny informator, to budowniczy, budujący z obcego materjału własne dzieło. Tłumacz zły — to zdrajca, to renegat uwielbiający obcość i dla niej poświęcający własną mowę".
Jan Lemański



Czy Starasz Się o Obywatelstwo?





Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT
A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. ***What is the form of our government?***
Jaką jest forma naszego rządu?
The United States is a republic.
Stany Zjednoczone są republiką.

2. ***What is a republic?***
Co to jest republika?
It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. ***What is the Constitution of the United States?***
Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
The Constitution is the supreme law of the United States.
Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. ***What does the Constitution provide for?***
Co ustanawia Konstytucja?
The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. ***Can the Constitution be changed?***
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. ***How many branches are there in our government?***
Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
There are three branches.
Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. ***What are these three branches?***
Jakie są te trzy gałęzie rządu?
The legislative branch which makes the laws.
The executive branch which carries out the laws.
The judicial branch which enforces the laws.
Gałąź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 ***Who makes the laws of the United States?***
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. ***How many parts has Congress?***
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. ***How many members has the Senate?***
Z ilu członków składa się Senat?
There are 100 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state).
Jest stu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. ***Who presides over the Senate?***
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. ***For what term is a Senator elected?***
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. ***The House of Representatives consists of how many members?***
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 437 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 437 członków.

14. ***How many Representatives are there from each state?***
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. ***For what term is a Representative elected?***
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. ***Who presides over the House of Representatives?***
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. ***How are the laws of the United States made?***
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. ***What is the capitol of the United States?***
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. ***Who is our Chief Executive?***
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President.

Prezydent.

20. ***Who takes office if the President dies?***
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President.

Wice-Prezydent.

21. ***Who elects the President and Vice-President?***
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. ***Do the people vote directly for the President and Vice-President?***
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. ***For what term are the President and Vice-President elected?***
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. ***Is anyone eligible to be the President or Vice-President?***
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. ***What are the President's duties?***
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. ***How does he carry out the laws?***
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. ***What is the Cabinet?***
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. ***What is the highest court in the United States?***
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. ***What is the function of the Courts?***
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. ***Who makes the laws in the 50 states?***
Kto ustanawia prawa w 50 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. ***What does the state legislature consist of?***
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanonowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. ***Who is the chief executive of each state?***
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. ***What is the highest state law?***
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. ***Outside of federal and state, what goverments have we?***
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. ***Who discovered America?***
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. ***Who was George Washington?***
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jako Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. ***What is the Declaration of Independence?***
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. ***When was the Declaration of Independence adopted?***
Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?
The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Independence Day.
Deklaracja Niepodległości została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. ***Who was Abraham Lincoln?***
Kto był Abraham Lincoln?
Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.
Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. ***Who was Woodrow Wilson?***
Kto był Woodrow Wilson?
Woodrow Wilson was President during the World War I.
Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. ***The American flag has how many colors in it?***
Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?
Three: Red, white and blue.
Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. ***How many stars and stripes are there in the American flag?***
Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?
50 stars, one for each of the 50 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.
50 gwiazd, po jednej dla każdego z 50 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. ***What are the names of the 13 original states?***
Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS
C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. ***What is the most important right of a citizen?***
Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?
The right to vote.
Prawo głosowania.

45. ***What does the citizen do by voting?***
Czego dokonuje obywatel, głosując?
He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.
Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. ***Can the Constitution be changed?***
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.
Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. ***What is the Bill of Rights?***
Co to jest Statut Praw?
The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.
Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. ***What rights are guaranteed by the Bill of Rights?***
Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?
Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.
Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. ***What do other amendments to the Constitution provide?***
Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?
There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.
Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. ***What are the duties of citizens?***
Jakie są obowiązki obywateli?
To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.
Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.



Czy Posiadacie Dostateczne Zabezpieczenie Dla Rodziny?



Dostateczne Ubezpieczenie Na Życie Ojców Jest Ich Świętym Obowiązkiem Wobec Rodzin.



Młodzi, samotni mężczyźni i kobiety posiadający ambicję oszczędzania na przyszłość i zapewnienia ubezpieczenia dla rodzin, gdy mężczyna ożeni się, a panna wyjdzie za mąż, mają do wyboru dwa bardzo dobre plany w Związku Narodowym Polskim.

ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI
6100 NORTH CICERO AVENUE
CHICAGO, ILLINOIS 60646

Alojzy A. Mazewski
Prezes Związku Narodowego Polskiego

Rok Kazimierza Pułaskiego: 1979

Rok 1979-ty jest w dziejach Polonii, a w szerszym znaczeniu i w dziejach amerykańskich Rokiem Kazimierza Pułaskiego.

Albowiem 11-go października przypada dwustulecie jego śmierci w Savannah, Georgia, gdzie młodym życiem przypłacił swe bezgraniczne umiłowanie wolności i ideałów obywatelskich, w imię których zerwała się Rewolucja Amerykańska.

Udział Pułaskiego w amerykańskich walkach rewolucyjnych trwał zale-2 lata.

Przybył bowiem do Stanów Zjednoczonych w czerwcu, 1777-go roku, a zmarł z ran otrzymanych podczas oblężenia Savannah w październiku, 1779-go roku.

W tym krótkim wszakże okresie czasu wsławił się jako znakomity strategik, jako początkowo dowódca czterech pułków kawalerii amerykańskiej, a później jako organizator niezawisłego korpusu lekkiej konnicy i piechoty, który przeszedł do dziejów amerykańskich pod nazwą Legionu Pułaskiego.

Jego bystrość umysłu i waleczność okazana pod Brandywine i Germantown, pod Charleston i pod Savannah do dziś zdumiewają historyków.

Ginąc bohaterską śmiercią pod Savannah, stał się wspaniałą legendą "Rycerza Wolności" szczególnie w południowych stanach.

Na wieść o jego śmierci, Generał Washington w rozkazie dziennym zarządził, że we wszystkich posterunkach Armii Kontynentalnej wezwanie i hasło miały być "Pułaski" i "Polska."

Kongres Kontynentalny uchwałą z dnia 29-go listopada, 1779-go roku postanowił, że ma w przyszłej stolicy Stanów Zjednoczonych postawiony być pomnik ku czci Pułaskiego.

Kongres wówczas nie wyznaczył pieniędzy na ten cel, ale wyraźnie zaznaczył, że ma to być pomnik Pułaskiego na koniu.

Ta uchwała Kongresu poszła w pewne zapomnienie w następnych dziesiątkach lat gdy młoda Republika i młody naród stały w obliczu wielu kryzysów i gróźb.

* * *

Historia pomnika Pułaskiego w Washingtonie wznawia się dopiero w lutym, 1903-go roku, kiedy to Izbowy Komitet Biblioteki przedłożył obszerny raport i polecił uchwalenie $50,000 na pomnik Pułaskiego.

Do raportu i polecenia tego nie była droga łatwa, a przebył ją ofiarnie i wśród trudów młody podówczas Związek Narodowy Polski.

Przywódcy związkowi onego czasu już planowani Światowy Kongres Polaków na maj, 1910-go roku, w Washingtonie.

W Chicago, głównie za sprawą i inicjatywą Związku dobiegały prace nad wystawieniem pomnika Tadeusza Kościuszki w Humboldt Parku. Pomnik ten był odsłonięty w roku 1904-tym.

Równocześnie związkowcy podjęli w całym kraju akcję zbiórki na pomnik Kościuszki w Washingtonie i zaapelowali do Kongresu, aby wprowadził w życie ustawę z roku 1779-go, odnoszącą się do pomnika Pułaskiego.

Jedną z głównych petycji w tej sprawie wystosowała Polonia w South Bend, Ind., gdzie akcji przewodziły Grupy Związkowe 83-cia, 177-ma i 93-cia.

Petycję w imieniu stanu Georgia, miasta Savannah i Georgia Historical Society przedłożył Kongresowi pułkownik Józef Smoliński, który był swego czasu jednym z najmłodszych oficerów Armii Kontentalnej z okresu Wojny między Stanami.

Ciekawa to była postać i jeszcze czeka na szczegółowy życiorys.

Z aktów kongresjonalnych wiemy, że pułkownik Smoliński występował przed izbowymi i senackimi komitetami w sprawie pomnika Pułaskiego, jako "przedstawiciel polskich towarzystw w Ameryce." On odnalazł nieznane dotąd listy Pułaskiego do Kontynentalnego Kongresu i w czasie swych prac w Washingtonie napisał bodaj pierwszy życiorys Pułaskiego w języku angielskim. Życiorys ten wywarł na ustawodawcach silne wrażenie.

Nasze rekordy wskazują, że pułkownik Smolinski był członkiem Związku Narodowego Polskiego.

Nie jest moim zamiarem pisanie dziejów pomnika Kazimierza Pułaskiego w Washingtonie, ani wybitnej roli, jaką w tym wielkim przedsięwzięciu odegrali ówcześni światli przywódcy Związku. Jest to bowiem temat na cały tom, który jeszcze oczekuje dziejopisa.

Podkreślić pragnę tylko jedno:

Ówczesna i dzisiejsza Polonia mają bardzo wiele do zawdzięczenia w tej sprawie skromnemu kongresmanowi z South Bend.

Był nim Abraham Lincoln Brick (1860-1908), który zgłosił wniosek o wyznaczenie pieniędzy na pomnik Pułaskiego, ściśle współpracował w przedstawicielami ówczesnej Polonii i energicznie zabiegał w Izbie i Senacie o przeprowadzenie odnośnej uchwały.

I aczkolwiek końcowa ustawa weszła w życie w marcu, 1909-go roku, a kongresman Brick zmarł w kwietniu, 1908-go roku, to główna zasługa w uzyskaniu pieniędzy federalnych na pomnik Pułaskiego jemu się należy.

Wspominam o tych sprawach i osobach pokrótce, aby tylko podkreślić, że jesteśmy W ROKU PUŁASKIEGO.

I Polonia Amerykańska, w której dziejach Pułaski jest wielką i świetlaną postacią winna rok ten upamiętnić szczególnie uroczyście i podniośle we wszystkich ośrodkach gdzie mieszkają dziedzice sławy i wielkości Pułaskiego —Amerykanie polskiego pochodzenia.

AFORYZMY CHIŃSKIE

(Z Aforyzmów Wschodnich)

Szczęście jest jak porcelana
łomkie i nietrwałe,
u biedaka czy u chana
szczęście jest jak porcelana...

Cacko, któreś kupił z rana,
wieczór w kruchach całe—
szczęście jest jak porcelana,
łomkie i nietrwałe,

Bogaty człek a głupi,
jak wieprz w słoninę tyje,
aż mu ktoś skórę złupi,
bo, choć bogaty, a głupi...

Błotem się oskorupi
i już za życia gnije—
bogaty człek, a głupi
jak wieprz w słoninę tyje.

Słowa kobiety — wachlarz dziurawy
(tak stare brzmią przypowieści)—
płyną strumieniem, jak potok lawy,
lecz w gruncie rzeczy — wachlarz dziurawy.

Dużo w nich szumu, zgiełku i wrzawy,
lecz próżno szukałbyś treści,
słowa kobiety — wachlarz dziurawy
(tak stare brzmią przypowieści).

Naukę uprawiać, a nie kochać ludzi,
to zapalać lampę, zamykając oczy,
taki czyn uznania w nikim ci nie wzbudzi,
naukę uprawiać, a nie kochać ludzi...

Zamknięta źrenica daremnie się łudzi
żywym blaskiem światła wśród ciemnych przezroczy-
naukę uprawiać, a nie kochać ludzi,
to zapalać lampę, zamykając oczy...

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI



Edward C. Rózański

Związek Narodowy Polski odegrał przodującą rolę w Czynie Zbrojnym Polonii Amerykańskiej

Do wielkiego dziedzictwa, jakie przynosi chwałę i uzasadnioną dumę wszystkim pokoleniom Amerykanów polskiego pochodzenia, jest "Czyn Zbrojny Wychodztwa Polskiego" z okresu Pierwszej Wojny Swiatowej.

Jest to wyjątkowe i dziejowego znaczenia osiągnięcie, jakim nie może się poszczycić żadna inna grupa etniczna w Stanach Zjednoczonych.

Albowiem nasi dostojni poprzednicy, stanowiący Wychodztwo Polskie w Ameryce, z którego ród swój wywodzi dzisiejsza Polonia, byli jedną grupą imigracyjną w Stanach Zjednoczonych, która zorganizaowała armię do walki o wolność swego kraju macierzystego.

Ten czyn zbrojny jest osiągnięciem, które dotychczas nie doczekało się skoordynowanej pracy doświadczonego dziejopisa.

Wincenty Skarzyński, jeden z oficerów Czynu Zbrojnego, w swej pracy "Armia Polska we Francji w świetle faktów" stwierdza, że ukazało się kilka prac na ten temat wysnuty z owej epoki, ale są one raczej nastawianiem faktów historycznych dla uzasadnienia zapatrywań politycznych autorów.

Biorąc pod uwagę okoliczności wyłonione Pierwszą Wojną Swiatową, stwierdzić dziś można po krótce, że do powstania Czynu Zbrojnego przyczynili się wszyscy Polacy rozsiani po świecie, którzy bez względu na zapatrywania polityczne jeden mieli wspólny cel: — wolność i niepodległość dla ojczyzny.

==

Założony w roku 1880-tym Związek Narodowy Polski za jeden z głównych swych celów uznał dążenie do Polski prawdziwie wolnej i niepodległej.

Albowiem w podstawowej deklaracji celów, czytamy w rodziale 4-tym pierwszej konstytucji związkowej, że — skoro Związek Narodowy Polski powstał z woli ludu polskiego w Ameryce, przeto w jego imieniu, Zarząd Centralny, jako jego prawny przedstawiciel, będzie wspomagał dążenia do Polski



Wymarsz Polonii Chicagoskiej w jej organizacjach i parafiach przy starym gmachu Dziennika Związkowego.

niepodległej wszelkimi prawnymi i pokojowymi krokami. Te zobowiązania Zarządu Centralnego wygasną, gdy Polska odzyska niepodległość.

Przez pierwsze 37 lat swego istnienia, Związek jednoczył i wzmacniał polski element w Ameryce. Za jego pracą, dążeniem i staraniem, wystawiono pomniki Kościuszki w Chicago w roku 1904-tym, oraz Kościuszki i Pułaskiego w Washingtonie w roku 1910-ym dla przypomnienia narodowi amerykańskiemu i światu o wkładzie Polaków do utrwalenia praw człowieka i wolności na ziemi.

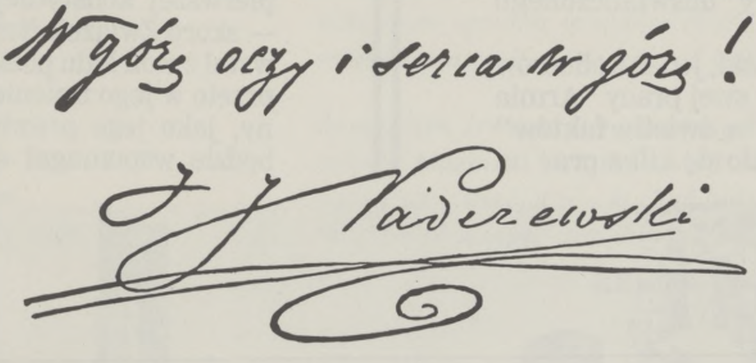
Podczas Pierwszego Kongresu Polskiego w Washingtonie w roku 1910-tym Związek przedłożył rezolucję skierowaną do państw zaborczych, domagającą się odbudowy Polski wolnej i niepodległej . . . dalej Związek przodował w wielu manifestacjach narodowych Wychodztwa Polskiego i zapoczątkował Skarb Narodowy.

ności administracyjnej i organizacyjnej.

Ta uchwała była zalążkiem jedności wychodźczych organizacji, których wspólny wysiłek doprowadził do Czynu Zbrojnego.

Z biegiem czasu powstał Komitet Obrony Narodowej, do którego przyłączyły się wszystkie ówczesne organizacje Wychodźtwa. Zgodziły się one uwzględniać dyrektywy Tymczasowej Komisji Stronnictwa Niepodległościowego w Polsce, składając jednocześnie przysięgę wiernego dążenia do Polski niepodległej.

W kilka miesięcy później Tymczasowy Komitet Obrony Narodowej zebrał się w Domu Związek Polek w Chicago i dnia 6-go lutego, 1913-go roku zorganizował Centralny Komitet Obrony Narodowej. Członkostwo w tym Komitecie ustalno proporcjonalnie do liczby członków danej organizacji, — 19 delegatów ze Związku, 13 ze Zjednoczenia Polskiego Rzymsko Katolickiego, 3 z Sokolstwa, 3 ze Związku Polek po jednym ze Związku Wojsk Polskich i Związku Młodzieży Polskiej.



Przy jego boku powstawały gniazda sokole, które później przekształciły się w Sokolstwo Polskie w Ameryce. Bezmała wszyscy Związkowcy byli również Sokołami.

Kazimierz Zychliński był pierwszym prezesem Sokolstwa i później został prezesem Związku, gdy ówczesny prezes organizacji Marian Stęczynski podjął się administracyjnego zorganizowania Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, Pa.

Wiele Grup Związkowych było jednocześnie Gniazdami sokolimi.

==

Ne Sejmie ZNP dnia 15-go grudnia, 1912-go roku, po wyczerpującej debacie zapadła uchwała na mocy której Sokolstwo łączyło się ideologicznie ze Związkiem, ale nie traciło swej samodziel-

Tak więc powstała bezprzykładna jedność i zgoda wśród ówczesnego Wychodźtwa Polskiego, ale nie na długo.

Albowiem na posiedzeniu Komitetu odbytym 8-go czerwca, 1913-go roku nastąpił rozłam. Katolickie organizacje stworzyły Radę Narodową, świeckie zaś organizacje pozostaly w Komitecie Obrony Narodowej.

==

Zbliżała się dziejowa godzina dla Polski.

Na apel Ignacego Jana Paderewskiego z 22-go września, 1914-go roku Związek wysłał na ręce Paderewskiego i Sienkiewicza pierwsze $15,000 na

wojenną pomoc narodowi polskiemu.

Również w roku 1914-tym, dzięki pomocy finansowej Związku, Sokolstwo mogło przeprowadzić dwumiesięczne przeszkolenie podchodzących w zakładach Kolegium Związkowego.

Ta podchorążówka, przeprowadzona pod kierownictwem i komendą Polaków, byłych oficerów armii austriackiej, dała Sokolstwu znakomitą kadrę przywodców wojskowych.

W roku 1917-tym kurs ten podwyższono do szkoły oficerskiej, która odegrała ważną rolę w tworzeniu Armii Polskiej w Kanadzie.

W pierwszej połowie 1916-go roku, Związek zwiął wydajny udział w zabiegach Centralnego Komitetu Ratunkowego, który w lipcu, 1916-go roku zaapelował do Prezydenta Wilsona o pomoc w dostawie żywności do Polski, gdzie narodowi groziła śmierć głodowa.

Równocześnie Centralny Komitet Ratunkowy postanowił wyłonić z siebie Wydział Narodowy, jako polityczne ramię działania na rzecz wolności i niepodległości Polski.

==

W czasie Pierwszej Wojny Swiatowej, wielu Polaków było internowanych w Kanadzie, ponieważ pochodzili oni z pruskiego lub austriackiego zaboru i uważani byli za Prusaków i Austriaków.

Wydział Narodowy powziął w tej sprawie akcję i wysłał do Kanady młodego adwokata, późniejszego Cenzora ZNP, Franciszka Swietlika dla wyjaśnienia całej sprawy urzędowym czynnikom kanadyjskim.

Dnia 3-go października, 1916, Swietlik złożył Wydziałowi sprawozdanie, że rząd kanadyjski zgodził się zwolnić internowanych tam Polaków "o ile



Po Mszy św. na Trójcowie w Chicago: Paderewski w środku, po prawej Ks. Proboszcz Kazimierz Sztuczko, po lewej żona, Helena Paderewska, po obydwu stronach rząd pierwszy: oficerowie rekrutacyjni, delegacje pań i zarządy organizacyj, dookoła rekruci polscy ze sztandarem narodowym.

pozostaną w Kanadzie na czas wojny i okażą swą lojalność względem Anglii i jej sprzymiezeńców."

==

Dnia 16-go września, 1916-go roku, Wydział Narodowy wydał pierwsze oświadczenie, w którym stwierdził, że —

"jego celem jest poparcie wszystkich wysiłków dla odzyskania niepodległości dla Polski; uświadomienie opinii publicznej, że powrót Polski do niepodległości jest nieodzowny dla sprawiedliwości międzynarodowej; badania i prostowanie wypowiedzi prasowych; zorganizowanie pomocy dla zniszczonych wojną ziem polskich; utrzymanie stałych przedstawicieli wśród urzędowych czynników w Europie i w Washingtonie".

kadrę oficerów rekrutacyjnych.

Związek, przez swój Wydział Pomocy zebrał $175,000.00 z czego $168,000.00 przeznaczył na bezpośrednią ofiarom wojennym w ziemiach polskich.

Związkowczynie przygotowywały bandaże i odzież zimową dla polskich ochotników z Ameryki.

Tak więc powstanie, rozwój i działalność Czynu Zbrojnego są ścisle skojarzone ze Związkiem Narodowym Polskim.

==

Ukorowaniem tych wielkich zabiegów i czynów było powstanie Polskiej Armii, znanej również jako Armia Błękitna, która pod wodzą Gen. Józefa Hallera dała chwalebne świadectwo swej waleczności pod Chateau Tierry,



Szkoła podchorążych w Cambridge Springs, Pa.

Ten manifest podpisany był przez Kazimierza Sypniewskiego, prezesa Wydziału Narodowego i późniejszego cenzora ZNP, oraz przez Jana F. Smulskiego, przewodniczącego komitetu wykonawczego i przez innych urzędników.

==

Gdy na mocy dekretu Sekretarza Dept. Wojny Newtona Baker rozpoczęła się rekrutacja ochotników do Armii Polskiej, Związek niezwłocznie wydał $5,000.00 na początkowe prace rekrutacyjne, a ze swoich szeregów dostarczył

w Szampanii i w Polsce, na Podolu.

Pod zawieszeniu broni, 11-go listopada, 1918-go roku, Armia Hallera stała się punktem zbornym dla jeńców wojennych, Polaków, którzy zmuszeni byli służyć w siłach zbrojnych Niemiec i Austrii.

W Polsce, już w sile czterech dywizji, Armia Hallera odegrała wybitną rolę w zwycięstwie Polaków nad bolszewikami w roku 1920-tym, gdy na froncie południowo podolskim osłaniała prawe skrzydło Wojsk Polskich.

==

Czyn Zbrojny Polonii wielce przyczynił się do odbudowy Polski wolnej i niepodległej. Był to zaiste wielki czyn Polonii, która pod przewodnictwem Ignacego Jana Paderewskiego zjednoczyła swe siły i mogła przemawiać za wolnością i niepodległością Polski urządów Stanów Zjednoczonych i ich zachodnio-europejskich sprzymierzeńców.

Mówiąc o wkładzie Związku Narodowego Polskiego do tego epokowego wysiłku, historyk może twierdzić jego rozmiary i jego wiekową ważność w kartach dziejowych i protokułowych Związku.

Znajdzie tam niezłomną wiarę w żywotność narodu polskiego i jego święte prawa do wolności i niepodległości.

A jest to zadaniem i obowiązkiem historyka, aby te wielkie czasy Czynu Zbrojnego ująć w perspektywie dziejowej jako przykład i naukę dla przyszłych pokoleń — jak ideał wolności należy kochać i jak się dla niego poświęcać.

Dla młodych Amerykanów polskiego pochodzenia i dziedzictwa, Czyn Zbrojny jest niezmiernie ważnym testamentem, albowiem mówi im, że pochodzą z imigrantów, którzy nietylko oddali pełną miarę patriotyzm, bohaterstwa i poświęcenia się Stanom Zjednoczonym, ale wśród największych wysiłków nie zapomnieli o kraju swego pochodzenia i odważnie wołali, że nie może być Praw Człowieka bez Polski prawdziwie wolnej i niepodległej, a swą wiarę w to, że sprawa polski związana jest z zagadnieniami wolności i godności zachodniego świata, poparli Czynem Zbrojnym, który na zawsze pozostanie jako świetlany przykład ofiarnej pracy dla wolności i dla Praw Człowieka, które wypływają z Miłości Bożej.

==

(Dr. Różański jest od roku 1975 Generalnym Zarządcą Wydawnictw Związkowych, oraz piastuje urząd Prezesa Wydziału Kongresu Polonii na Illionis.).



Najdzielniejsi w pracy organizacyjnej wychodźtwa przyjmują odznaczenia od Prezydenta Paderewskiego. Na zdjęciu: Wieloletni prezes ZNP, współzałożyciel Sokolstwa, Kazimierz Żychliński; Skarbnik, Józef Magdziarz; współzałożyciel ZNP, Juliusz Szajnert; Chorąży Chmieliński; Sędzia Grodzki; Cenzor Błeński; Zawiliński.

HUMOR FRANCUSKI

O *MĘŻU*

Dwie panie rozmawiają w kawiarni:

— Mój biedny mąż — opowiada jedna — nie miał przez całe życie szczęścia. Dopiero na końcu...

— Co się stało?

— Przy kopaniu jego grobu natrafiono na źródło nafty.

O *SZCZĘŚCIU*

Na Champs-Elyseés turysta zwraca się do policjanta z prośbą o interwencję, ponieważ skradziono mu wóz.

— Gdzie pan zaparkował auto, pyta stróż porządku?

— Tam, przy tej tablicy.

— O, to pan ma szczęście. Gdyby ten wóz jeszcze tu stał, musiałby pan zapłacić mandat.

O *LEKARZU*

— Lekarz — mówi sąsiad do sąsiada — odwiedza wasz dom bez przerwy. Czy to coś poważnego?

— O tak — odpowiada zapytany — bardzo poważna sprawa, on przychodzi, żeby mu zapłacić należność.

O *MARYNARZACH*

Na plaży bretońskiej plotkują dwie panie: Paryżanka i Bretonka, żona marynarza.

— Czy pani często widzi swego męża — pyta Paryżanka.

— Nie — odpowiada zapytana. — Przez miesiąc w ciągu dwóch lat.

— Mój Boże! Jakżeż pani się nudzi! Jakie to smutne.

— Smutne? — Nie przesadzajmy. Miesiąc przechodzi prędko.

O *NIEWIASTACH*

Zapytano raz mnicha:

— Dlaczego Chrystus, po zmartwychwstaniu ukazał się najpierw kobietom?

— Bo chciał, aby nowina szybko się rozeszła.

O *URODZINACH*

— Kochanie — zwraca się żona do męża — jutro są twoje urodziny. Co sprawiłoby ci największą przyjemność?

— Pięć minut ciszy.

O *WARIATACH*

Dwóch wariatów maszeruje szynami kolejowymi. Po stu metrach jeden zwraca się do drugiego:

— Ja schodzę z tej drabiny, to jest zbyt uciążliwe.

— I do tego — dodaje drugi wariat — jeszcze te poręcze tak idiotycznie nisko umieszczone.

O *WRÓŻCE*

Przyjaciółki zwierzają się sobie po wizycie u wróżki.

— Ona mi powiedziała — mówi jedna — że umrę młodo.

Przyjaciółka odpowiada:

— Przecież to niemożliwe! Widzisz sama, że ona plecie bzdury.

OD WARKI — DO SAVANNAH

Dzieje Życia Kazimierza Pułaskiego

Tam, gdzie urodził się Pułaski

Sześćdziesiąt kilometrów od Warszawy, nad Pilicą leży Warka. Miejscowość ta licząca obecnie niespełna 10 tys. ludności chlubić się może swoją przeszłością. Prawa miejskie otrzymała w 1321 r., a więc w tym samym czasie, co Warszawa, i choć nie urosła do rozmiarów wielkiego miasta — zanotowała w swych kronikach wiele ważnych wydarzeń. Tu na brzegach Pilicy hetman Stefan Czarniecki pokonał w 1656 r. wojska szwedzkie, tu w stanowiących obecnie dzielnicę Warki Winiarach urodził się w 1747 r. Kazimierz Pułaski, a w pół wieku później — Piotr Wysocki, przywódca spisku podchorążych, inicjatorów powstania listopadowego w 1830 r. W latach ostatniej wojny Warka była jednym z ośrodków walk partyzanckich prowadzonych przez polski ruch oporu z hitlerowcami, a w latach 1944—1945 r. toczyły tu zacięte boje wojska polskie i radzieckie łamiąc opór Niemców na linii Wisły. Warka uległa w tym czasie zupełnemu niemal zniszczeniu i w powojennych latach dźwigać się musiała z ruin. Poważnym zniszczeniom uległ też wówczas pałacyk w Winiarach. Po odrestaurowaniu zorganizowano w nim w 1967 r. Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego. Winiary stanowiły w XVIII w. własność Pułaskich, a ojciec Kazimierza — Józef Pułaski — otrzymał nadaną mu przez króla godność starosty wareckiego. Niestety, pałac Pułaskich, w którym przyszedł na świat Kazimierz, nie dochował się do naszych czasów. Budynek obecnego muzeum wzniesiony został dopiero z końcem XVIII w. na miejscu dawnej rezydencji Pułaskich. Otacza go piękny park, którego stare drzewa są jedynymi świadkami dziecięcych lat. które spędził tu Kazimierz

wraz ze swymi braćmi i siostrami. Z pałacu – muzeum, którego okna zwrócone są ku Pilicy – roztacza się widok na jej rozległą dolinę. W pałacowym parku znajduje się kamienny obelisk ku czci Pułaskiego, wzniesiony staraniem społeczeństwa Warki.
Miejsce narodzin polsko-amerykańskiego bohatera jest celem wielu polonijnych wycieczek. Istnieją rozległe plany rozbudowy Winiar i stworzenia tu ośrodka kulturalnego oraz turystycznego służącego zarówno licznym wycieczkom z całego kraju i z zagranicy, jak również mieszkańcom szybko rozbudowującej się Warki. W przeprowadzeniu tych inwestycji deklaruje swój udział Polonia amerykańska.
Tak więc – być może w niedalekiej przyszłości – miejsce urodzenia polsko-amerykańskiego bohatera odgrywać będzie jeszcze ważniejszą rolę w dziedzinie zbliżenia i współpracy pomiędzy Polonią i Krajem.

Dzieciństwo i wczesna młodość

Kazimierz Pułaski urodził się 4 marca 1747 roku jako syn starosty wareckiego Józefa Pułaskiego i podczaszanki łomżyńskiej Marianny z Zielińskich. Był jednym z ich ośmiorga dzieci (pięć córek i trzech synów). Rodzinne tradycje Pułaskich wiążą się z Podlasiem, a ich nazwisko wywodzi się od miejscowości Pułaź w powiecie Wysokie Mazowieckie (stąd Pułascy, a nie Puławscy, choć niekiedy używano i tej drugiej pisowni). Był to ród szlachecki, średniozamożny, legitymujący się jednak rycerskimi zasługami swych przodków, którzy w XVII w. pod wodzą Sobieskiego walczyli z Turkami pod Chocimiem i Wiedniem.
Ojciec Kazimierza był zręcznym adwokatem oraz rozwijał działalność polityczną występując nawet na arenie sejmowej. Potrafił również dbać o pomnażanie swego majątku wykorzystując rozległe znajomości wśród magnatów oraz na dworze króla polskiego Augusta II Sasa, a następnie jego syna Augusta III. Dość powiedzieć, że ze średniozamożnego szlachcica stał się potentatem i niedługo przed przystąpieniem do organizowania spisku w Barze był już posiadaczem 14 miasteczek i 108 wsi w różnych stronach kraju, co wraz z posiadłościami jego żony stanowiło pokaźną fortunę. Jednak nie sprawy majątkowe stanowiły główną troskę Józefa Pułaskiego; ważniejsze dla niego były losy kraju i dla ich poprawy potrafił 64-letni starosta warecki poświęcić cały dorobek swego życia stając na czele konfederacji barskiej. Stało się to, gdy Kazimierz był już 21-letnim młodzieńcem. Zanim jednak mówić będziemy o tych czasach, przyjrzyjmy się dzieciństwu i wczesnej młodości naszego bohatera.
Niewiele dochowało się pewnych wiadomości z najwcześniejszych lat jego życia. Można przypuszczać, że lata dziecięce spędził w Winiarach, że pierwsze nauki pobierał w parafialnej szkółce w Warce. Więcej jednak na pewno czasu spędzał w nadpilickich lasach, nad rzeką i wśród pól niż nad książką. Już jednak jako 13-14-letni chłopiec musi porzucić swobodne wiejskie życie przenosząc się do Warszawy. Ojciec oddaje go do szkoły prowadzonej przez księży teatynów. Edukacja w tej szkole poza ogólną ogładą i poduczeniem się języka francuskiego nie przyniosła mu zapewne większych korzyści. Natomiast pobyt w ówczesnej Warszawie, mieście stołecznym, ruchliwym, przez które przewijały się tysiące ludzi z różnych stron kraju i zagranicy, musiał wywrzeć duży wpływ na poszerzenie horyzontów Kazimierza.
Nowym ważnym etapem w jego życiu było rozpoczęcie służby na dworze królewicza Karola, księcia Kurlandii i Semigalii, który będąc synem ówczesnego króla polskiego Augusta III Sasa władał tak właśnie nazywaną częścią Inflant stanowiącą lenne ziemie polskie. Piętnastoletni Kazimierz został paziem na dworze królewicza Karola. W czasie blisko dwuletniej służby zdobywa pierwsze swoje żołnierskie doświadczenia spędzając pół roku w warunkach wojennych w oblężonej przez wojska rosyjskiej carycy Katarzyny II stolicy księstwa, Mitawie. Nie doszło wprawdzie wówczas do szturmu ani do walk w polu – zetknął się jednak z atmosferą żołnierskiego życia. W przyszłości ten właśnie epizod wspominać będzie Pułaski jako pierwszą swoją wojenną praktykę.
W 1764 roku królem Polski zostaje Stanisław August Poniatowski. Ojciec Kazimierza znajdzie się w opozycji. Wraz ze stronnictwem konserwatywnym przeciwstawiającym się królewskim próbom reform wzmacniających władzę w państwie występuje przeciwko ograniczeniu dawnej szlacheckiej „złotej wolności". Protestuje też przeciwko polityce ugody i zależności od carycy Katarzyny. Nie widząc możliwości prowadzenia skutecznej walki na forum sejmowym – wkracza na drogę walki zbrojnej, stając na czele spisku nazwanego konfederacją barską. Młodzi Pułascy u boku ojca przystępują do walki.

Od Baru do Częstochowy

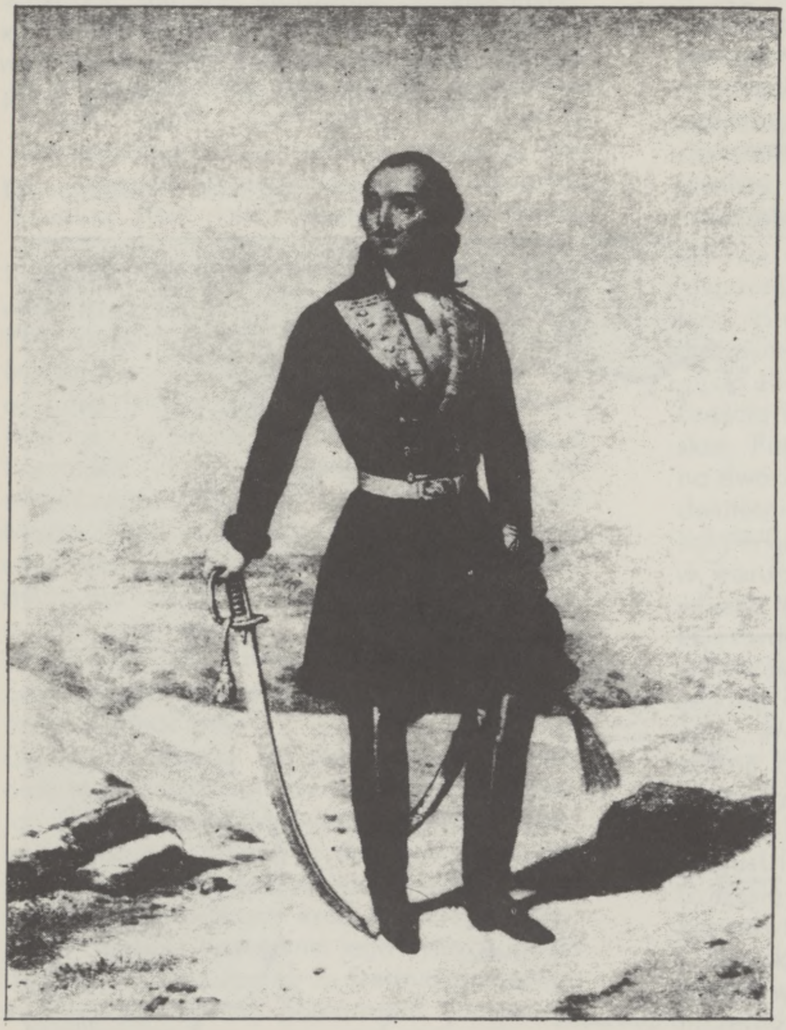
29 lutego 1768 roku w miejscowości Bar na Podolu, w południowo-wschodniej części Polski, skonfederowana, czyli połączona w związek grupa szlachty wypowiedziała posłuszeństwo królowi i wszczęła zbrojne powstanie przeciwko niemu i carycy Katarzyny, która sprzyjała Stanisławowi Augustowi, lecz wprowadziwszy swoje wojska na ziemie polskie coraz bardziej ingerowała w wewnętrzne sprawy kraju.
Bardzo trudno jest odpowiedzieć na pytanie: czy konfederacja barska przyniosła więcej korzyści, czy też więcej strat ówczesnej i przyszłej Polsce? Konfederaci podnieśli oręż pod hasłem „obrony wiary i wolności" Ich głównym wrogiem była Rosja oraz uległe wobec niej stronnictwo królewskie. XVIII-wieczna Polska traciła swą suwerenność na skutek wewnętrznej słabości i coraz bardziej nasilających się wpływów obcych. Król prowadził podwójną grę: deklarował uległość wobec Katarzyny II, wbrew jednak polityce rosyjskiej próbował drogą reform ustrojowych wzmacniać kraj wewnętrznie ograniczając przemożne wpływy magnatów wykorzystujących do swych celów zależne od nich masy szlacheckie. Konfederaci w usiłowaniach króla widzieli zamach na szlacheckie przywileje. Pragnęli więc położyć tamę wszelkim reformatorskim próbom i pod tym względem działalność ich była szkodliwa, przeciwna postępowym prądom oświecenia. Zasługą konfederatów było jednak zamanifestowanie woli walki z obcą przemocą pozbawiającą Polskę jej suwerenności. Konfederacja barska obudziła w zgnuśniałym społeczeństwie ducha patriotyzmu i wiarę we własne siły. Wprawdzie przeszło czteroletnie partyzanckie boje obejmujące kolejno różne regiony kraju pogrążyły Polskę w anarchii wojny domowej, chociaż stały się bezpośrednią przyczyną pierwszego rozbioru ziem polskich dokonanego w 1772 r. przez Rosję, Prusy i Austrię pod pozorem konieczności zaprowadzenia porządku w zanarchizowanej Polsce – to jednak okres konfederackich walk połączył



UDZIAŁ KAZIMIERZA PUŁASKIEGO W KONFEDERACJI BARSKIEJ (1768–1772)

szerokie rzesze Polaków w walce o zagrożony byt państwowy. Późniejsze pokolenia pozbawione niepodległej ojczyzny czerpały natchnienie z owego pierwszego narodowego powstania, w którym obok szlachty znalazły się liczne grupy mieszczan i chłopów.
Józef Pułaski był jednym z głównych organizatorów konfederacji i obwołany został naczelnym wodzem powstańczego wojska. Nie on jednak, lecz jego syn Kazimierz zasłuży na miano najsłynniejszego barskiego dowódcy. Czteroletnia wojna konfederacka miała charakter całkowicie partyzancki. Naczelne dowództwo nie było w stanie kierować walką.

Kazimierz Pułaski w stroju konfederackim wg XIX-wiecznej litografii wykonanej w Paryżu



W różnych stronach kraju tworzyły się drobne oddziały dowodzone przez samodzielnych dowódców. Od ich talentu i cnót żołnierskich zależało, jak długo i z jakim skutkiem będą mogły one stawiać czoła regularnym wojskom carskim skierowanym do Polski w celu uśmierzenia powstania.
Prawdziwy talent dowódcy, odwagę i niczym nie zachwianą wolę walki wykazał Kazimierz Pułaski, który od pierwszych chwil, wraz ze swymi braćmi Franciszkiem i Antonim, towarzyszył ojcu w jego poczynaniach. Rola ojca jako naczelnego wodza i jednego z politycznych kierowników ruchu skończyła się po kilku miesiącach, natomiast sława czynów bojowych Kazimierza rosła z każdym rokiem. Już w pierwszych bojach na Podolu 21-letni Kazimierz dowodząc jednym z oddziałów wykazuje partyzanckie talenty. Wygrywa lub przegrywa bitwy i potyczki, nie pozwala się jednak zaskoczyć i nie dopuszcza do rozbicia swych sił. Jest najbardziej czynny z wszystkich dowódców i śmiały w działaniu. Na przedstawionej obok mapie można odnaleźć miejsca jego bitew w tej pierwszej kampanii: Pohorełe, Stary Konstantynów, Kaczanówka, Chmielnik, Winnica i wreszcie – Berdyczów. Tu z oddziałami liczącymi 1400 ludzi otoczony został przez 5000 Rosjan. Po dwutygodniowym oblężeniu twierdzy, dopiero gdy obrońców trapić zaczął głód i brak wody – następuje kapitulacja (13.VI.1768). Tymczasem i główne siły konfederatów po upadku Baru zmuszone zostały do zaprzestania walki; przekroczywszy Dniestr schroniły się w okolicach Chocimia na terytorium Turcji. Ale nie oznacza to końca walki. Powstanie nie wygasa.

Jesienią 1768 roku Kazimierz Pułaski po wydostaniu się z rosyjskiej niewoli dołącza do wojsk konfederackich, które schroniły się za Dniestr. Nie pozostaje on w bezczynności, lecz rozpoczyna wojnę podjazdową z rosyjskimi oddziałami, operując wzdłuż północnego brzegu Dniestru. Zapędza się aż po Zaleszczyki, Tłuste. Wraz z bratem Franciszkiem (Antoni dostaje się do niewoli) obsadzają nadgraniczne zameczki: Okopy św. Trójcy oraz Żwaniec. W marcu 1769 roku, po bohaterskiej obronie tych bastionów, chronią się znów na terytoria tureckie.
Zarzewie walki, która rozgorzała na południowo-wschodnich krańcach Polski, rozpa-

liło tymczasem nowe ogniska w innych rejonach kraju, głównie w Małopolsce. Tam też, wraz ze swym oddziałem, przedziera się górskimi szlakami Kazimierz Pułaski – spod Chocimia ku Przełęczy Łupkowskiej. Spotkawszy się z bratem Franciszkiem w Samborze, rozpoczynają wspólne działanie od, nieudanej zresztą, próby opanowania Lwowa. Następnie przez Wołyń, Lubelszczyznę, Polesie docierają latem 1769 roku na Litwę, by tu rozpalić nowe ogniska walki. Polityczną stroną przedsięwzięcia kieruje Franciszek – dowództwo wojskowe spoczywa w rękach Kazimierza. Wygrywa on kilka bitew i potyczek z wojskami carskimi: pod Kukiełkami, Słonimiem, Myszą, Mołczadzią. Koncentracja wojsk wroga zmusza jednak Pułaskich do zmiany terenu działania. Wycofują się przez Puszczę Augustowską ku Polesiu. Po drodze w Ostrołęce, na zjeździe konfederującej się miejscowej szlachty Kazimierz Pułaski otrzymuje godność marszałka ziemi łomżyńskiej. Ale oto dobiega kres tej z rozmachem, szczęśliwie przeprowadzonej kampanii. 13 września 1769 roku oddziały Pułaskich otoczone zostały w okolicach Orzechowa nad Bugiem przez cztery kolumny carskich wojsk. Tocząc z nimi całodzienną bitwę wycofują się ku Włodawie. Ale przeprawiwszy się przez Bug i tu natrafiają na wojska rosyjskie. Łamią się szeregi znużonych bojem i marszem konfederatów. Kazimierz Pułaski skupia wokół siebie najmężniejszych i na ulicach Włodawy próbuje powstrzymać wroga. Ginie idący mu z odsieczą Franciszek. Konfederaci ponoszą klęskę. Pozostawiając 500 poległych, a wśród nich najbliższego współtowarzysza – brata, w bezładnej już ucieczce szuka Kazimierz Pułaski ocalenia.

Zaledwie w dziesięć dni po owej klęsce widzimy go już w Zborowie na Słowacji (na ziemiach ówczesnego Cesarstwa Austriackiego, które udzielało azylu konfederatom). Następnie pojawia się w Białej, gdzie właśnie utworzone zostało nowe kierownictwo polityczne konfederacji. Jesień 1769 r. i zimę 1770 r. spędza w Karpatach werbując i ćwicząc nowe oddziały. Tu w styczniu stacza potyczkę pod Grabiem, zostaje ciężko ranny w rękę, ale już w maju, na czele oddziału kawalerii w sile 1200 ludzi stacza, przegraną niestety, bitwę pod Pilznem. Również w bitwie pod Wysową zostaje pokonany i znowu schronić się musi, wraz z wojskiem, na Słowacji.

Jesienią 1770 r. rozpoczyna się najchlubniejszy okres konfederackiej służby Kazimierza Pułaskiego. Po brawurowym nocnym wypadzie do Krakowa (1.IX), skąd wyprowadził biorąc pod swoją komendę oddział królewskiej jazdy, przedostaje się pod Częstochowę, myląc zręcznym manewrem, polujące na niego rosyjskie wojska. Przez zaskoczenie opanowuje bez wystrzału jasnogórską twierdzę strzeżoną przez niechętną konfederatom załogę. Czyni z warownego klasztoru swoją bazę. Władać nią będzie przez 20 miesięcy, aż do końca swych konfederackich bojów.

Obrona Częstochowy

Sławę niezdobytej warowni zyskała Jasna Góra w 1655 r., kiedy to szwedzkie wojska bezskutecznie ją oblegały. Opanowanie słynnego klasztoru przez Pułaskiego miało więc nie tylko strategiczne, lecz również moralne znaczenie. Ten ośrodek kultu religijnego ze słynnym cudownym obrazem szczególnie był bliski konfederatom, którzy Matkę Boską Częstochowską uznali za swą patronkę.

Jesienią 1770 r. Pułaski czyni wypady z Częstochowy w kierunku Żarnowca, Jędrzejowa, nawiązuje kontakt z konfederatami z Poznańskiego i dociera nawet pod sam Poznań ze swymi oddziałami. Rosjanie szykują się tymczasem do zdobycia Częstochowy. W ostatnim dniu tego roku rozpoczynają oblężenie klasztoru przy udziale 3000 wojska, wspomaganego własną oraz pożyczoną od Prusaków artylerią. Siły polskie pod wodzą Pułaskiego liczyły 500 jezdnych i 800 piechoty. Po usypaniu stanowisk ogniowych artyleria rosyjska rozpoczęła bombardowanie 30-kilogramowymi pociskami, ale i one nie wystarczały do rozkruszenia jasnogórskich murów. Pułaski tymczasem organizuje wypady z twierdzy niszcząc nieprzyjacielskie działa i wybijając kanonierów. Po kilku dniach walk Rosjanie pod osłoną nocy przystępują do generalnego szturmu. I tym razem muszą jednak dać za wygraną. Jasnogórska artyleria zadała ciężkie straty atakującym, a ich drabiny do forsowania murów okazały się za krótkie.

Po dwutygodniowych walkach oblężenie zostało zwinięte. Cała Polska święciła triumf. Również Polacy z obozu królewskiego, przeciwnicy konfederatów, nie kryli zadowolenia z powodu upokorzenia carskich wojsk. Odżyły w pamięci chlubne tradycje Częstochowy z lat szwedzkiego najazdu. Pułaski zyskał sobie przydomek „obrońcy Częstochowy". Szeroko rozpisały się o nim francuskie, niemieckie, holenderskie, angielskie gazety. Mówiono o nim na dworze austriackim, szwedzkim i prus-

kim. Doceniło jego sukces kierownictwo konfederacji: 2 lutego 1771 r. Kazimierz Pułaski odznaczony został orderem, na którym wyryto: „Zasłużonemu na Jasnej Górze" (patrz str 24). Aż do końca maja następnego roku Częstochowa będzie punktem wypadowym Pułaskiego do krótkich akcji i większych rajdów. Największy z nich — to próba utworzenia „drugiej Częstochowy" z warownego Zamościa. Rajd ten rozpoczyna Pułaski w maju 1771 r. idąc na Lubelszczyznę od strony Podgórza: przez Tymbark, Limanową, Nowy Sącz, Dębicę ku Zamościowi (potyczki pod Kolbuszową, Dębicą, Mielcem). Zamościa obsadzonego przez królewskie wojska nie udało mu się opanować. Pertraktacje nie dały rezultatu, a Pułaski — wierny zasadzie unikania rozlewu bratniej krwi, by tym skuteczniej walczyć z interwencyjnymi wojskami carskimi — odstąpił od Zamościa bez walki. Cofając się przed postępującymi za nim wojskami rosyjskimi, wraca do Częstochowy w samą porę, by bez walki, swoją tylko obecnością, powstrzymać królewskie wojska, które próbowały korzystając z okazji opanować klasztor.

W październiku 1771 r. Pułaski podejmuje jeszcze jedną daleką wyprawę, a mianowicie w kierunku Warszawy, w związku z projektowanym przez konfederatów uprowadzeniem króla Stanisława Augusta. Oddział Pułaskiego miał przejąć cennego jeńca i odstawić go w bezpieczne miejsce (zapewne do Częstochowy). Cała akcja spaliła na panewce, bo wprawdzie zamachowcom udało się 3 listopada późnym wieczorem porwać króla z karety, którą udawał się na wieczerzę, lecz później w obawie pościgu rozpierzchli się i pogubili tak, że w końcu eskortował króla tylko jeden — tego zaś król zdołał zjednać obietnicą łaski i nagrody. Jeszcze tej samej nocy Stanisław August powrócił na Zamek. Również ta część planu porwania, w której miał odegrać rolę oddział Pułaskiego, nie została wykonana, bowiem idąc ku Warszawie natknął się on pod Skaryszewem koło Radomia na carskie wojska, z którymi wdał się w potyczkę zakończoną rozbiciem jego oddziału. Sam Pułaski, ranny w rękę, uchodzi z pobojowiska na cudzym koniu; wraz z innymi ocalałymi przedziera się ku Częstochowie.

Główną winą za zorganizowanie porwania stronnicy króla obciążyli Pułaskiego. W 1773 r. już po upadku powstania sąd sejmowy uznał „bezecnego Pułaskiego" winnym usiłowania popełnienia zbrodni królobójstwa skazując go zaocznie na karę śmierci. Dopiero w 20 lat później (w 14 lat po śmierci Pułaskiego) wyrok ten uchwałą sejmu został skasowany.

Ostatni okres udziału Pułaskiego w dogasających walkach konfederacji nadal wiąże się z Częstochową. Tu ściągają jeszcze grupy konfederatów z rozpraszających się ostatnich oddziałów. Ostatecznie przypieczętowane zostały losy konfederacji, gdy pomiędzy Rosją i Prusami zawarty został (17 lutego 1772 r.) układ postanawiający rozbiór części ziem polskich, do którego dołączyła się też Austria. Pułaski nie widzi już sensu dalszego stawiania oporu. Liczy się z tym, że Jasna Góra może być lada dzień otoczona, a wówczas pozostawałaby tylko walka do końca, która pomnożyłaby liczbę ofiar, albo też honorowa kapitulacja. Wówczas jednak on sam jako pozostający pod zarzutem „królobójstwa" musiałby stanąć przed sądem. Postanawia więc opuścić kraj. 31 maja 1772 r. w głębokiej tajemnicy wymyka się z Częstochowy, odjeżdżając za pruską granicę i udając się na tułaczkę. Opuszcza rodzinną ziemię, by nigdy już na nią nie powrócić.

Żołnierz-tułacz — dowódcą amerykańskiej kawalerii

Dopiero w pięć lat po opuszczeniu Polski Kazimierz Pułaski znajdzie się na ziemi amerykańskiej. Jakie były jego losy w tym czasie? Początkowo przebywa w Dreźnie, później na pruskim Śląsku. Ale sławnemu konfederatowi, zamieszanemu do tego w zamach na króla, państwa utrzymujące życzliwe stosunki z Rosją nie chcą udzielić schronienia. Musi więc występować pod przybranymi nazwiskami: Rudziński, Korwin, Remer.

We Francji, gdzie udaje się następnie, też nie bez trudu uzyskuje azyl. Pułaski spodziewa się, że będzie mógł wrócić do kraju. Liczy jeszcze na to, że sąd sejmowy, który miał się zebrać latem 1773 roku, a więc w rok po wyjeździe Pułaskiego z Polski, oddali od niego zarzut usiłowania królobójstwa. Nadzieje te okazały się płonne. Zapadł wyrok, który zamykał drogę powrotu. To przesądziło o dalszych losach Pułaskiego, który postanawia na nowo podjąć walkę.

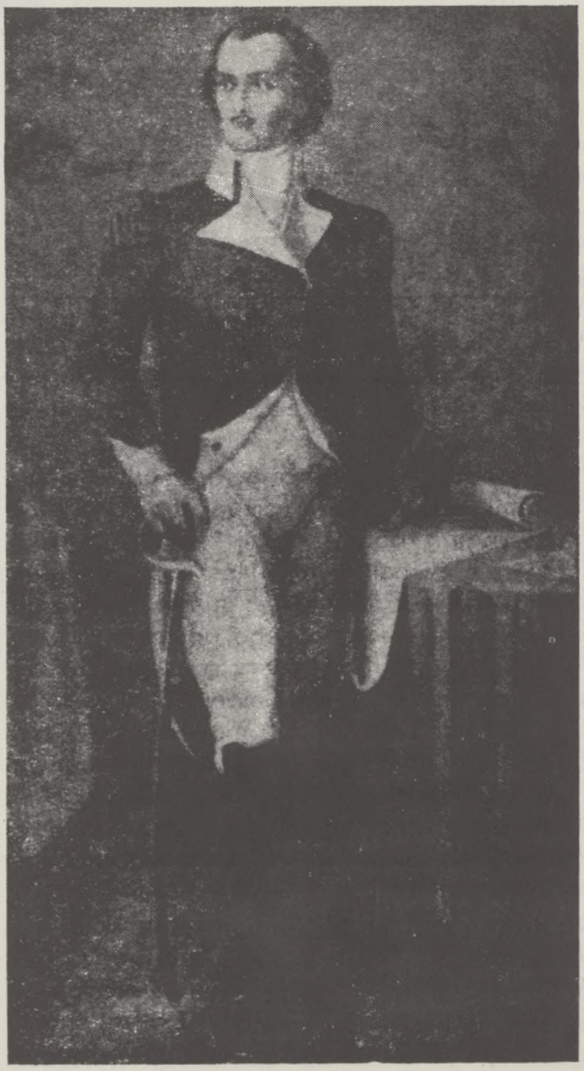
Z wielkim nakładem energii organizuje grupę ochotników, z którymi przez Francję, Włochy, przepłynąwszy Adriatyk, udaje się na Bałkany, by wziąć udział w toczącej się tam wojnie turecko-rosyjskiej. Nie mogąc na własnej ziemi walczyć z zaborcą — pragnie wspomóc Turków w wojnie ze wspólnym wrogiem. Wiosną 1774 r. z Raguzy (obecnie w Ju-

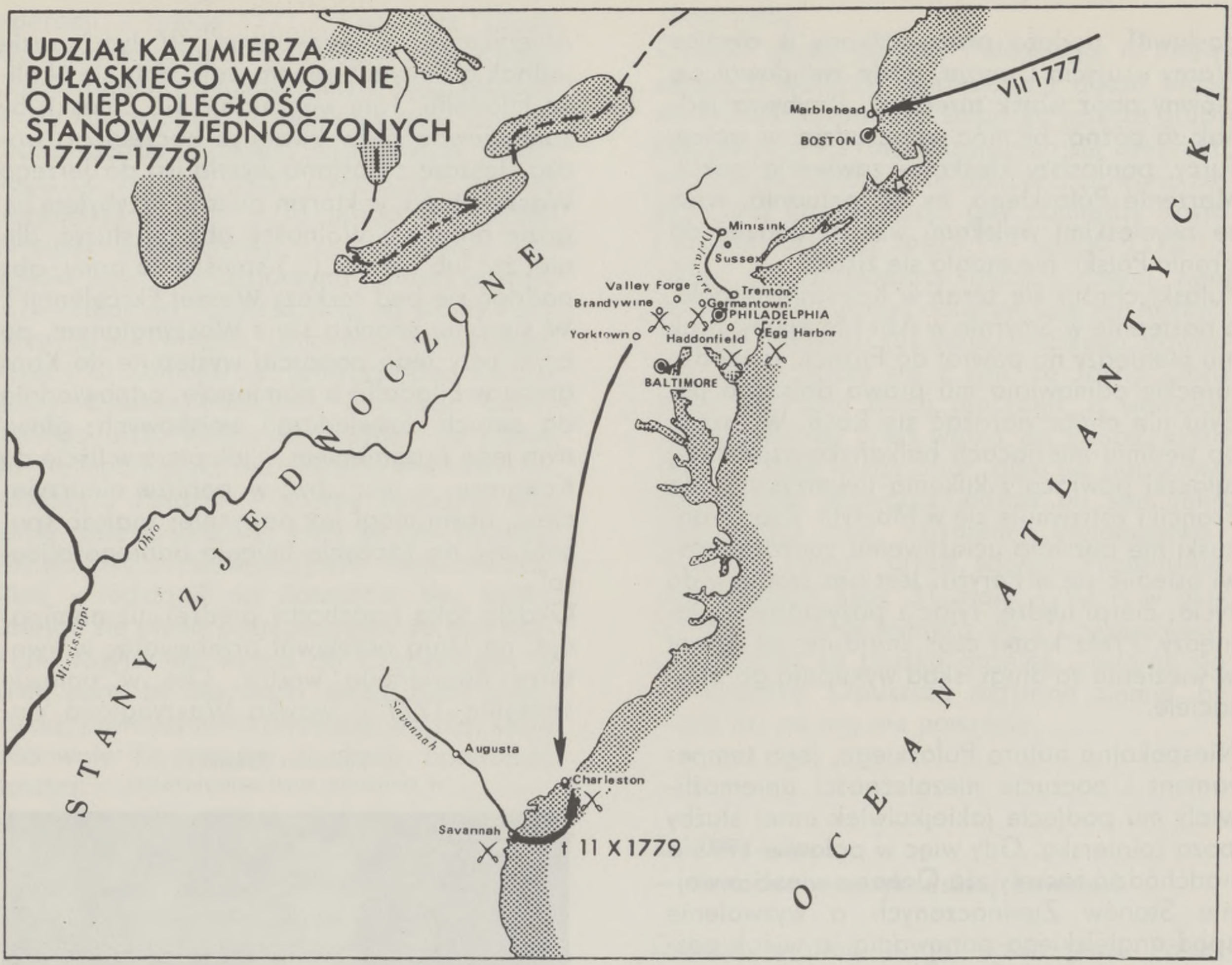
gosławii), podąża przez Bałkany w okolice Warny u ujścia Dunaju, gdzie znajdował się główny obóz wojsk tureckich. Przybywa jednak za późno, by móc wziąć udział w walce. Turcy, poniósłszy klęskę — zawierają pokój. Marzenie Pułaskiego, by od południa, wraz ze zwycięskimi wojskami wezyra dotrzeć do granic Polski, nie mogło się ziścić.
Pułaski chroni się teraz w Konstantynopolu, a następnie w Smyrnie w Azji Mniejszej. Brak mu pieniędzy na powrót do Francji, a władze tureckie odmawiają mu prawa dalszego pobytu nie chcąc narażać się Rosji. Wreszcie, po siedmiu miesiącach bałkańsko-azjatyckiej tułaczki powraca z kilkoma towarzyszami do Francji i zatrzymuje się w Marsylii. Rząd francuski nie pozwala uciążliwemu cudzoziemcowi osiedlić się w Paryżu. Jest bez środków do życia; cierpi nędzę, żyjąc z pożyczanych pieniędzy. Przez krótki czas znajduje się nawet w więzieniu za długi, skąd wykupują go przyjaciele.

Niespokojna natura Pułaskiego, jego temperament i poczucie niezależności uniemożliwiały mu podjęcie jakiejkolwiek innej służby poza żołnierską. Gdy więc w połowie 1775 r. nadchodzić zaczęły zza Oceanu wieści o wojnie Stanów Zjednoczonych o wyzwolenie spod angielskiego panowania, a w rok później zaczął działać w Paryżu specjalny wysłannik Amerykanów, przez którego można było ubiegać się o przyjęcie do rewolucyjnej armii — Pułaski rozpoczął starania w tym kierunku. Dobiegające zza Oceanu hasła walki o wyzwolenie Stanów przypomniały mu konfederackie boje o wolność ojczyzny. Walce o niepodległość innego kraju gotów był poświęcić swoje siły.

Starania o wyjazd trwały jednak długo. Bogata przeszłość Pułaskiego mogła niepokoić rozważnych dyplomatów, którzy nie chcieli się wiązać z człowiekiem, o którym niezbyt życzliwie mówiono na europejskich dworach. Ostatecznie pomaga Pułaskiemu w jego staraniach Beniamin Franklin, będący wówczas nieoficjalnym ambasadorem Stanów Zjednoczonych we Francji. On zaopatruje Pułaskiego w list polecający do naczelnego wodza rewolucyjnej armii — Jerzego Waszyngtona — i umożliwia na początku czerwca 1777 roku odpłynięcie do Ameryki na pokładzie żaglowca „Massachusetts". Statek ten nosił nazwę stanu, w którym Pułaski rozpoczynać miał swą amerykańską epopeję.
23 lipca 1777 roku przybija do brzegu Ameryki lądując w porcie Marblehead koło Bostonu, miasta które było kolebką walki Amerykanów o wyzwolenie. W tym czasie jednak głównym terenem walk stały się okolice Filadelfii. Tam więc udaje się Pułaski, by zameldować się w kwaterze naczelnego wodza. Jeszcze z Bostonu wysyła list do Jerzego Waszyngtona, w którym pisze: „przybyłem tu, gdzie broni się Wolności, aby jej służyć, dla niej żyć lub umrzeć (...) spieszę do armii, aby poddać się pod rozkazy Waszej Ekscelencji". W sierpniu spotyka się z Waszyngtonem, po czym przy jego poparciu występuje do Kongresu w Filadelfii o nominację, odpowiednią do swoich doświadczeń wojskowych; głównym jego pragnieniem — jak pisze w liście do Kongresu — jest „być w pobliżu nieprzyjaciela, abym mógł jak najrychlej znaleźć sposobność do zdobycia imienia dobrego oficera".
Okazja taka nadchodzi prędzej niż nominacja, na którą oczekiwał przebywając w kwaterze naczelnego wodza. Oto w połowie września 1777 r. wojska Waszyngtona sta-

Kazimierz Pułaski
w mundurze armii amerykańskiej





czają nad rzeczką Brandywine bitwę z Anglikami, aby ochronić przed nimi Filadelfię. Waszyngton poniósł w tej bitwie porażkę, która nie obróciła się w klęskę dzięki Pułaskiemu. Prowadzone przez niego przeciwnatarcie, na czele zebranego pośpiesznie konnego oddziału, powstrzymało napór nieprzyjaciela, umożliwiając Amerykanom wycofanie się z pola bitwy. Być może wieści o tych zasługach Pułaskiego przyśpieszyły uchwalenie przez Kongres nominacji dla niego na generała kawalerii 15.IX.1777 r. Było to równoznaczne z objęciem dowództwa nad całą konnicą w armii Waszyngtona.

W parę tygodni później walczy u boku naczelnego wodza pod Germantown. Rola Pułaskiego w tej bitwie, również niepomyślnej dla Amerykanów – nie jest bliżej znana. Podobno i tym razem osłaniał z powodzeniem odwrót armii. Główną przyczyną niepowodzenia miała być mgła, która zdezorganizowała amerykański plan rozegrania bitwy.

Jesienne boje wojsk Waszyngtona nie ocaliły Filadelfii. Brak powodzenia na tym terenie działań wojennych wynagrodził sukces odniesiony przez armię północną, walczącą nad rzeką Hudson, gdzie w październiku 1777 r. w bitwie pod Saratogą wojska gen. H. Gatesa pokonały jedną z armii angielskich. Współtwórcą tego zwycięstwa został pułkownik-inżynier Tadeusz Kościuszko, którego zasługą było ufortyfikowanie pozycji amerykańskich.

Nad Delaware nadchodzi surowa zima. Koniec roku 1777 spędza Pułaski na służbie patrolowej staczając drobne potyczki w okolicach Valley Forge, gdzie wojska Waszyngtona rozlokowały się na zimowe leże. Od stycznia 1778 roku Pułaski wraz ze swoją kawalerią stacjonuje w Trenton, wytrwale pracując nad tym, by przemienić źle wyszkolonych dragonów w zręcznych, szybkich ułanów. Wprowadza nową, opartą na polskich wzorach musztrę. Uczy stosowania w szarżach nie znanej Amerykanom lancy. Sam będąc niedościgłym mistrzem we władaniu białą bronią oraz w jeździe konnej – stara się te umiejętności przekazać swym żołnierzom.

W armii Waszyngtona niewielkie oddziały konne używane były głównie do akcji wywiadowczej. Pułaski skupia je w jedną silną formację pragnąc uczynić z niej możliwie

samodzielną siłę. Niebawem ma pod swoją komendą cztery pułki lekkich dragonów (ok. 700 ludzi). Wiosną jego kawalerzyści w zwycięskich potyczkach pod Haddonfield wykażą swoje wysokie umiejętności.

Ale starania Pułaskiego, by jego oddziały mogły prowadzić bardziej samodzielne akcje, nie znajdują uznania. W związku z tym składa on rezygnację z dowództwa kawalerią przedstawiając propozycję sformowania specjalnej jednostki złożonej z konnicy oraz piechoty, która mogłaby prowadzić działania niezależne od głównej armii. Prosi o powierzenie mu dowództwa nad takim właśnie, jakby partyzanckim oddziałem.

Całą swoją energię włożył w nowe, bliskie jego sercu przedsięwzięcie. Pięć miesięcy trwało formowanie Legionu. W maju odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru Legionu, a w sierpniu Pułaski melduje o gotowości bojowej nowo powstałej formacji i domaga się skierowania oddziału do walki. Ani Waszyngton, ani Kongres, nie mieli jednak jasnej koncepcji użycia tej nowej formacji i dopiero po wielu naleganiach Pułaskiego otrzymał on rozkaz udania się do stanu New Jersey w okolice Egg Harbor, aby strzec wybrzeża przed spodziewanym atakiem Anglików od strony morza. Niestety na skutek zdrady kilku żołnierzy, którzy przeszli na stronę nieprzyjaciela, Anglicy zorganizowali nocny napad, którym zaskoczyli żołnierzy Legionu. W walce zginęło 30 legionistów. Ten incydent zahamował na jakiś czas dalszą bojową działalność oddziału. Zamiast do walki z Anglikami skierowano Legion na północne, rzadko zaludnione tereny graniczące z terytoriami zamieszkałymi przez Indian, przeciwko którym szykowano karną ekspedycję. Tego rodzaju służba nie odpowiada Pułaskiemu. Grozi więc dymisją, a równocześnie czyni zabiegi w Filadelfii o przeniesienie Legionu na inny teren walk.

2 lutego 1779 roku zapada decyzja, że Legion Pułaskiego ma się udać do Południowej Karoliny, gdzie walczyć będzie w szeregach południowej armii amerykańskiej. Pułaski ściąga swe oddziały do Yorktown, by wyruszyć stąd do Charlestonu. Legion liczy już wówczas 600 ludzi.

W Charlestonie rozpoczyna się ostatni, najbardziej czynny okres amerykańskiej służby Pułaskiego. Wreszcie wraz ze swym Legionem znalazł się w pierwszej linii walk. Chroni to miasto przed wojskami angielskimi, które po opanowaniu stanu Georgia i zajęciu Savannah wkroczyły do Południowej Karoliny z zamiarem zajęcia Charlestonu. Uprzedza Anglików Pułaski, nie godzi się na kapitulację i organizuje wypady na nieprzyjaciela z okrążonego miasta. Legion ponosi w tych walkach poważne straty, lecz Anglicy odstępują od Charlestonu. Na przełomie maja i czerwca Pułaski śledzi ruchy angielskiego korpusu, rozwijając ożywioną działalność podjazdową i wywiadowczą. Jest w swoim partyzanckim żywiole. Wraz jednak z upalną porą roku zamierają wszelkie działania.

Nadchodzi trzecia jesień amerykańskiej służby Pułaskiego i jej ostatni bohaterski akt — bitwa pod Savannah. Plan zdobycia tego miasta przewidywał wspólną akcję Amerykanów i wojsk francuskich, które pod dowództwem admirała Henri d'Estaing przybiły do wybrzeża Stanów niedaleko Savannah. Jednym z pierwszych, którzy powitali francuskiego sprzymierzeńca, był Pułaski znajdujący się tu od połowy września.

Zajęte przez Anglików Savannah otoczone było od wschodu, południa i zachodu łańcuchem 13 fortów. Od północy miasto przylegało do rzeki. Przedpole miasta od strony zachodniej stanowiły bagna. Główny szturm przypuścić miały oddziały francuskie, atakując jedną z redut. Zadaniem Legionu Pułaskiego było po przełamaniu w tym miejscu przez francuską piechotę linii obrony wedrzeć się pomiędzy reduty i zająć ich obrońcom tyły. Wtedy właśnie szarża kawalerii skierowana w wyłom uczyniony w łańcuchu fortów mogła zadecydować o błyskawicznym sukcesie.

O świcie 9 października 1779 r. francuska piechota, prowadzona przez admirała d'Estaing, ruszyła do ataku. Padł na nią krzyżowy ogień z dział i muszkietów. Mimo to zdawało się, że przez wąskie przejście wśród bagien przedrą się zaprawieni w bojach francuscy piechurzy, wspomagani przez amerykańską piechotę. Już na nieprzyjacielskich szańcach widać było pierwsze szeregi atakujących. Spada jednak na nich uderzenie wyborowej szkockiej piechoty, której powierzono obronę najbardziej zagrożonych redut. D'Estaing ponawia szturm. W końcu sam pada ranny. Pułaski ze swoim Legionem czeka na chwilę, kiedy do walki powinna wejść kawaleria, ale chwila ta już nie nadejdzie. Nie było szarży Legionu pod Savannah, choć tak nieraz pisze się w literackich opowieściach. W rzeczywistości sam tylko Pułaski, ze swym adiutantem, znalazł się w pierwszej linii walki. Widząc z daleka, jak łamią się szeregi piechoty, i wiedząc, że od jej sukcesu zależą dalsze losy bitwy, pragnie własnym przykładem porwać do walki cofających się wśród krwawych strat piechurów. Zostawia Legion

za osłoną wzgórza, a sam rzuca się w środek bitwy. W chwilę później pada, śmiertelnie raniony kartaczową kulą.
Wyniesiono go z pola walki, które pustoszało po nieudanym ataku na reduty. Stan rannego był ciężki: nieprzytomnego przeniesiono na pokład brygu, by drogą morską przewieźć do Charlestonu. 11 października, gdy statek był już z dala od brzegu, Pułaski umiera nie odzyskawszy przytomności. Zwłoki bohatera pochowano w morzu w pobliżu ujścia rzeki Savannah.
W pół wieku później zbudowany tam nadbrzeżny fort nazwano jego imieniem. Dziś stanowi on pomnik pamięci narodowej (National Monument) przypominając o bohaterskim Polaku, który w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych oddał swe życie.

Jan St. Kopczewski



Pomnik Kościuszki na nowym miejscu w Chicago

Odsłonięty w Parku Humboldta we wrześniu, 1904-go roku, pomnik Tadeusza Kościuszki został przeniesiony nad jezioro graniczące z chicagoskim śródmieściem. Odsłonięto go 22-go października br., u wjazdu do Planetarium Adlera i w pobliżu pomnika Mikołaja Kopernika.

Pomnik Kościuszki był przez 74 lata punktem zbiorowym Polonii na dorocznych manifestacjach ku upamiętnieniu Konstytucji 3-go Maja. Pomnik jest nade wszystko rezultatem wielkiej ofiarności naszej społeczności związkowej, która nie szczędziła datków na ten cel.

G. B. SHAW O...

... MĄDROŚCI

Na pewnym przyjęciu sąsiadka znakomitego pisarza dosłownie zasypywała go pytaniami. W końcu zagadnęła, dlaczego wszyscy uważają go za tak mądrego? Shaw ożywił się nagle i szepnął jej na ucho:

— Mogę pani udzielić rady, jak to osiągnąć. Trzeba tylko skrzętnie ukrywać swoje głupie myśli...

... DOWCIPIE

Sąsiad przy stole na bankiecie zwraca się do pisarza:

— Ciekawym, skąd pan — tak, na zawołanie — bierze te mądre i cięte powiedzonka?

— To bardzo proste! — odpowiada Shaw. — Myślę o czymś niezmiernie głupim i mówię coś wręcz przeciwnego...

... PRZYMIARKACH

Krawiec, który ubierał wielkiego komediopisarza, pokazuje po dziś dzień z dumą fotografię swego wielkiego klienta z następującą dedykacją: „Ze wszystkich moich znajomych najinteligentniejszy jest mój krawiec: za każdym razem, gdy przychodzę zamówić ubranie, na nowo bierze mi miarę. Inni wzięli ją raz na zawsze i wyobrażają sobie, że ich oceny są wciąż aktualne..."

... PODATKACH

Shaw, wypełniając zawsze bardzo skrupulatnie ankietę do podatku dochodowego, w rubryce: „Kto oprócz podatnika bierze udział w zyskach przedsiębiorstwa?" nieodmiennie pisał: „Urząd Skarbowy Jego Królewskiej Mości".

... MUZYCE

Pewnego razu Shaw jadł w restauracji — jak zwykle — obiad wegetariański. Orkiestra zaczęła w tym czasie grać coś niezmiernie hałaśliwego. Pisarz wzywa więc kierownika lokalu i pyta:

— Czy wasza orkiestra grywa na zamówienie gości?

— Oczywiście, sir!

— Doskonale! Niech pan ją poprosi, aby zagrała w domino...

... MUZYKU

Kiedy Shaw był krytykiem muzycznym, został pewnego razu zaproszony przez damę, w której domu popisywał się młody skrzypek. Koncertowi przysłuchiwało się tym razem około stu zaproszonych gości ze środowiska arystokratycznego. Po skończonym programie dama zapytała Shawa, co myśli o jej protegowanym. Pisarz odpowiedział, że przypomina mu Paderewskiego.

— Ależ — rzekła dama — Paderewski nie jest skrzypkiem!

— Właśnie dlatego... — wyjaśnił Shaw.

... MEDYCYNIE

Bernard Shaw pisze w swoich wspomnieniach z dzieciństwa:

— Pewnego dnia — miałem wtedy 12 lat — zachorowałem. Rodzice żywo dyskutowali przed nadejściem lekarza. Ojciec sądził, że to odra, matka zaś, — że szkarlatyna. W rzeczywistości było to... wypracowanie z geografii..."

Niemiecka propaganda i jej zwalczanie w oficerskim obozie jenieckim w Murnau

Józef Waisbach

Trzeba przyznać, że niemieckie radio ("szczekaczka") obsługiwało obóz jeniecki bardzo gorliwie, zalewając go komunikatami wojennymi i wiadomościami politycznymi. O sukcesach Niemców i tylko o sukcesach płynęło przez wiele lat wojny z niemieckich megafonów, pozakładanych w obozie, wsączając w jenieckie dusze zwątpienie, rozpacz, niewiarę. Później, w miarę błyskawicznych sukcesów Trzeciej Rzeszy, wiadomości o tym wtłaczały się w jenieckie uszy z hukiem grzmiących przez megafony triumfalnych fanfar, poprzedzających tak dobrze znaną nam zapowiedź: "Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt"...

Radio było jednym ze źródeł — i to bardzo silnym — wrogiej propogandy. Innym była codzienna prasa niemiecka, którą niemal w dowolnej ilości, zwłaszcza w początkowym okresie niewoli, można było prenumerować. Jeńcy w obozie w Murnau czytali głównie trzy gazety: organ Gebelsa "Voelkischer Beobachter", redagowaną bodaj na najwyższym poziomie z dostarczanych nam gazet "Frankfuhrter Zeitung" i "Muenchener Nachrichten". Ta ostania dawała dużo materiału dla wyciągania wniosków przez komentujących prasę codzienną, często odmiennych od tych, jakie wyciągano na podstawie podawanych z tupetem wiadomości w "VB". Na codzienną prasę niemiecką wyczekiwano z napięciem i niepokojem, ale i z nadzieją.

Dopuszczano do obozu i niemieckie gazety z okupowanych terenów polskich, jak "Thorner Freiheit" z Torunia, "Ostdeutscher Beobachter" z Poznania, jak też szczecińską "Pommersche Zeitung". Lokalne wiadomości w niemieckiej prasie pozwalały orientować się np. w szczegółach strat po bombardowaniach, przemilczanych zazwyczaj w działach wiadomości ogólnoniemieckich.

Ciekawe spostrzeżenia na temat niemieckiej prasy z okresu wojennego znajdujemy w książce Jędrzeja Giertycha. Dotyczą one zwłaszcza pierwszych miesięcy wojny, gdy w Murnau, w którym Giertych (podporucznik Marynarki)odsiadywał karę za próbę ucieczki, wprost szalały "joby" — fantastyczne wiadomości — na temat działań wojennych na Zachodzie, a o których Giertych dowiadywał się od oficerów obozu w czasie obowiązkowych spacerów. Ta "agencja wiadomościowa" nazywała się różnie w różnych obozach. W Murnau mówiliśmy "joby", wiem też, że w innych obozach, jak i w czasie okupacji w Polsce, określano ją trzema literami: JPP — jedna pani powiedziała...

"Oczywiście wiedziałem dobrze — pisze Giertych — że to wszystko nieprawda. Dostatecznie długo słuchałem radia londyńskiego i porównywałem treść jego komunikatów z komunikatami niemieckimi, by zdać sobie sprawę, że te ostatnie naogół mówią prawdę. Propaganda prasy hitlerowskiej była perfidna, ale zarazem była zręczna. Nie ukrywała ona prawdy — nie było właściwie niczego, czego nie można byłoby w prasie niemieckiej odnaleźć — ale umiejętnie komentowała tę prawdę,

---

Ogłaszane tu dwa fragmenty pochodzą z okazałego, bo mającego blisko 400 stron maszynopisu, opracowania nie żyjącego już Autora pt. "Z życia Oflagu VII A, Murnau, Bawaria i innych oficerskich obozów jenieckich w Niemczech w latach 1939-1945". Opracowanie to jest jedną z prac, przeważnie nie mających ostatecznego kształtu edytorskiego, jakie pozostawił w maszynopisach śp. ppułk Józef Waisbach. Zmarł on 26 kwietnia 1971 r. w Chicago.

Ogłaszane obecnie fragmenty, niestety nie są podbudowane — jak zresztą i całe opracowanie — aparaturą naukową. Przygotował je do druku długoletni przyjaciel Zmarłego, Józef F. Białasiewicz.

Nota o śp. ppułk Józefie Waisbachu zamyka ogłaszane tu fragmenty jego opracowania.

bagatelizowała ją, czy też wyolbrzymiała wielkimi tytułami, przy równoległym podawaniu wiadomości, które ją stawiały w innym świetle. Czytając codziennie "Voelkischer Beobachter" nie mogłem wierzyć plotkom o Francuzach pod Kolonią".

Słuszność tej tezy potwierdziła w pełni rzeczywistość obozu Murnau, gdyż równiez i tu zespoły, zainteresowane niemiecką prasą dla celów informacyjnych, stwierdziły fakt, że niemieckie komunikaty o sytuacjach na frontach były podawane w prasie — ku nie małemu zdumieniu jeńców, mających informacje z tajnego, obozowego nasłuchu — bez zniekształcania prawdy. Niemcy podawali czasem wiadomości wojenne wcześniej aniżeli radio londyńskie. Natomiast wiadomości o wydarzeniach politycznych były mocno zniekształcane lub podawane niekompletnie.

Wydawanej w Berlinie "gadzinówki" — "Gazeta Ilustrowana" — jaką Niemcy dostarczali obficie, zwłaszcza w początach niewoli, w językach polskim i angielskim, nie można było brać poważnie pod względem oddziaływania. Chyba na szeregowych. Choć uprawiana w niej silna i zjadliwa krytyka Polski przedwrześniowej niestety stanowiła materiał dla obozowych krytyków tego okresu, przyjmujących bezkrytycznie ataki oraz dających posłuch wrogiej nam propagandzie.

"Gadzinówkę" tę wykończyli na terenie obozu sami jeńcy. Niemcy wycofali ją w 1941 r. z propagandowego obiegu. Posłużyły do jej wykończenia błędy, wykryte przez jeńców w tej gazecie. Tak więc na publicznym miejscu zostały wywieszone fotografie z "gadzinówki" tej samej baterii dział. Tekst pod jednym zdjęciem głosił, że nawet tak potężne działa nie zdołają obronić Leningradu przed zajęciem miasta przez Niemców. Pod drugim, takim samym zdjęciem, tekst głosił, że takie właśnie niemieckie działa są gwarancją, że Niemcy opanują Leningrad".

Podobny błąd "gadzinówka" popełniła z fotografiami z bombardowań. Fotografia zbombardowanego domu w Berlinie miała być dowodem angielskiego barbarzyństwa. Po pewnym czasie taka sama fotografia miała tekst, głoszący o dzielności i bohaterstwie niemieckich lotników, walczących nad Londynem. Błędy te ośmieszyły pismo i wycofano je z obozu.

Była wreszcie szeptana propaganda, wychodząca z niemieckiej komendy obozu, rozpowszechniana przez żołnierzy z obsługi tej komendy oraz przez Volksdeutschów, którzy w niemieckich sukcesach chcieli znaleźć potwierdzenie słuszności wybranej przez nich drogi oraz metodę w walce z własnym sumieniem.

Niemiecka propaganda, mimo wszelkie próby przeciwdziałania jej, podejmowane z polskiej strony, żłobiła poważne rysy w systemie myślenia i odczuwania jeńców-oficerów. Mimo nie zatracenia krytycyzmu w ocenie rozgrywających się wypadków oraz logicznego wyciągania końcowych wniosków, na olbrzymią większość oficerów oddziaływanie niemieckiej propagandy było silne. Tym silniej zaznaczało się ono im bardziej przedłużał się czas niewoli, a razem z tym słabła siła odporu, fizyczna i duchowa.

Z "Dziennika Ankarskiego": "Źle wiadomości są jak trucizna. W jednej dawce, natychmiastowej, mogą zabić. Dawkowane codziennie sączą się w krew i w myśl pomału. Ich działanie nie jest przecież mniej niebezpieczne. I tylko organizm się stopniowo przyzwyczaja, tkanki rujnuje się zwolna i człowiek już po kilku próbach przestaje czuć, gubi świadomość, że stacza się w przepaść".

Dwa okresy wojny okazały się szczególnie ciężkie i przytłaczające wymową wydarzeń, w których to okresach działanie niemieckiej propagandy było szczególnie zabójcze. Najpierw błyskawiczny, jak na jenieckie rachuby, karmione mityczną siłą wojenną Francji, jej upadek. Był on wstrząsem ciosem zadanym w samo serce jenieckich nadziei. Uczucie rozpaczy ogarnęło ogół, nastąpiły apatia i zwątpienie z racji przewidywanego, już bliskiego zwycięstwa Niemiec.

Drugim okresem była wojna niemiecko-sowiecka, która wskutek fantastycznego powodzenia niemieckiej ofensywy szybko — z panującej radości i nadziei z racji jej wybuchu — wpędziła ogół w jeszcze większe niż po klesce Francji zwątpienie. Nikt i nic nie po-

trafi oprzeć się Niemcom — oto wniosek, jaki wyciągaliśmy w nastroju załamania. Dopiero odwrócenie się niemieckiego szczęścia pod Stalingradem oraz klęski państw "osi" w Afryce, zwiastujące nowy, tym razem szczęśliwszy okres, zmieniły bieg naszych czarnych myśli. Choć, jak to miało okazać się wkrótce, ten okres również nie ziścił naszych nadziei. Jeszcze na krótko zagrały złowrogo w naszych uszach fanfary zwycięstw w czasie niemieckiej ofensywy zimowej w 1944 r. w Ardenach, ale były one ostatnie.

O chorobie drutów czytamy w książce "Jeniecka Melpomena":

"Ulegaliśmy jej w większym lub mniejszym stopniu wszyscy. Występowała pod różną postacią, przyjmowała zmienne formy, atakowała z wielu stron. Czyniła z nas dziwaków, maniaków, obdarzała kompleksami, prowadziła do wynaturzeń i zboczeń. Na szczęście objawy te nie osiągnęły na ogół niebezpiecznego stopnia nasilenia i przechodziły w niegrózne stany chroniczne".

Nie można było pozostawić jeńców na "łasce" niemieckiej propagandy. Odpowiednia przeciwpropaganda stała się koniecznością. Wysunięto przeto zasadę, jak wiemy z poprzednich wywodów niezupełnie prawdziwą, że niemiecka propaganda kłamie. Czyniono to nawet wtedy, gdy Niemcy stali u szczytu swoich wojennych sukcesów. Powstaje też w obozie duży zastęp komentatorów wojennych komunikatów i prasy, przez własną interpretację wydarzeń osłabiających siłę i wymowę niemieckich twierdzeń.

Wielce pochlebną opinię o tej kategorii naszych towarzyszy niewoli, nazwałbym ich pracownikami społeczno-prasowymi, wydał autor "Odrutowanego miasteczka":

"W Murnau rzetelnie pracowali sprawozdawcy prasowi. Byli chętnie słuchani, bo umieli wynajdywać przegapione przez cenzurę ciekawostki. Świetnie komentowali. W szumnych, zwycięskich komunikatach szukali dziur i wypełniali je własnymi, logicznymi wnioskami, wyprowadzanymi nawet z ogłoszeń i nekrologów, dobrze informujących aż do końca wojny".

Niestrudzenie działają też w obozie już przeszkolone zastępy obozowych "nostradamusów" wpływających na słabnące jednostki domorosłą interpretacją przepowiedni.

Dla podtrzymania nastrojów jeńców służyła również powstała w obozie "agencja pocieszenia". Agencje takie miały chyba wszystkie obozy jenieckie, miał ją i obóz Murnau. "Joby" szałały w obozach przez cały czas trwania niewoli. Słowo "jop" — "jeden oficer powiedział" — w potocznym używaniu wymawiano "job" i stąd to określenie "joby", oznaczające swego rodzaju propagandę dla pokrzepienia serc, stosowaną w obozach jenieckich. Marian Brandys w książce "Wyprawa do Oflagu" tak określił znaczenie i działanie tej propagandy:

"Fabrykowano nieraz naiwne kłamstwa, które miały krzepić załamujących się, miały być odtrutką na miażdżącą prawdę komunikatów niemieckiego dowództwa".

Na marginesie wspomnę, że na tle tego rodzaju przeciwpropagandy można sobie wyobrazić jakiemu zniekształceniu ulegały wiadomości, zanim obeszły obóz. "Joby" miały prawo obywatelstwa do końca istnienia obozu i nie wyparły ich z tej pozycji nawet późniejsze prawdziwe wiadomości, pochodzące z tajnego odbioru radiowego.

Jak szybko rozchodziły się "joby" świadczy eksperyment, przeprowadzony przez grupę oficerów: ustalili oni, że puszczony "job" obiegł cały obóz w 27 minut.

Doskonale, zgodnie z rzeczywistością obozową, a w sposób humorystyczny przykład rozchodzenia się "jobów" opisał Wiesław Pisarczyk. Maleńka akcja Francuzów, podjęta w lokalnej skali, urosła do rozmiarów francuskiej ofensywy. Wspomina o tym i Giertych, który w tym czasie siedział w areszcie obozu Murnau i tę wiadomość otrzymał od jeńców. Przytoczymy ten przykład, tak charakterystyczny dla stosunków obozowych:

"Wystarczyło podejść do skupionej postaci i zagadnąć: "Przepraszam, panie poruczniku". . . Pst . . . Cicho — szepnął. "Co się stało?" Nie słyszy pan? Nie. . . Armaty grają na linii Zygfryda. Ofensywa. Francuzi idą naprzód. Za tydzień będą. . .

Z taką wiadomością nie będziesz przecież czekał. Nie będziesz pytał o

szczegóły, o źródła. Jak szalony biegniesz pomiędzy rozgadane grupki na placu apelowym i szepczesz w uszy nastawione jak czułki radiowe. A szept twój rośnie jak w głośnikach. Potężnieje, nabiera siły i przekonania:

—Panowie, dziś o północy Francuzi przełamali linię Zygfryda na dwustukilometrowym froncie".

I długo w noc trwały komentarze o rzekomej francuskiej ofensywie, obliczenia i rachuby, wynikające z nadziei i obaw. Tak to powstawały, rosły i rozprzestrzeniały się "joby" w jenieckim obozie. Puszczane w obieg przez "agencje wiadomościowe" były naciągnięte lub zgoła zmyślone, a przecież znajdowały posłuch, gdyż brzmiały prawdopodobnie. Niech świadczy o tym przykład rzekomej, odpartej inwazji Niemców na Anglię.

Dziwne, że w różnych artykułach i publikacjach o Murnau autorzy pomijają milczeniem to niezwykle charakterystyczne dla obozu wydarzenie, tę chyba największą blagę i kłamstwo propagandowe, jakie przeżył obóz. Dopiero autor "Za drutami Murnau" w całej pełni potwierdza moje uwagi na ten temat, przypisując tę akcję — zdaje się słusznie — kapitanowi Osuchowskiemu, kierownikowi szeptanej propagandy, podając zapomniane już przeze mnie szczegóły, jak posługiwanie się mapami z wrysowanymi sytuacjami z każdego dnia rzekomej inwacji, podanie nazwisk dowódców i numerów jednostek, porty wyruszenia inwazji, podanie nazwisk dowódców i Niemców i informacje o stoczonych walkach, ba — nawet omówienia głębokich zagonów niemieckich wewnątrz Anglii.

"Joby" głosiły, że Anglicy wyleli na morze naftę, a podpalając ją zniszczyli niemieckie okręty, skutecznie zwalczali Niemców metodą tworzenia kotłów i niszczenia zamkniętych w nich sił niemieckich. Naturalnie w odparciu niemieckiego desantu wyróżniły się polskie oddziały... Była to chyba największa w życiu jenieckich obozów mistyfikacja, zaczerpnięta z bujnej wyobraźni, a zaplanowana w celu pocieszenia nadwątlonych serc.

W tę mistyfikację większość mieszkańców obozu absolutnie uwierzyła. Sprawa nabrała takich rozmiarów, że okazali się potrzebni specjalni "wykładowcy" dla omawiania tej operacji, którzy zostali przeszkoleni przez "agencję" i po salach w budynkach mieszkalnych zdawali szczegółowe sprawozdania o przebiegu operacji. Sam dałem się nabrać takiemu sprawozdawcy, ale pocieszam się, że byli wśród nich bardzo poważni, dyplomowani pułkownicy. Ale w wyniku tej akcji pocieszenia umysły jeńców przez pewien czas zajęte były nieudaną niemiecką inwazją.

Choć Niemcy może śmiali się z tej naszej zabawy w inwazję, to jednak widząc skutki tej akcji w nastrojach obozowych, zaniepokojeni optymizmem jeńców wywieźli kierownika akcji pocieszenia, kapitana Mieczysława Osuchowskiego, do karnego obozu. Był on niestrudzony w wygłaszaniu po salach różnych wykładów i pogadanek. Poza tym znany był w obozie z innej jeszcze historyjki, która wprowadzała Niemców we wściekłość. Mianowicie na wysyłanych listach przy adresie nadawczym: Oflag VII A. Murnau — dodawał: "Koenigreich Bavaria".

Kpt. Osuchowski musiał być uważany przez Niemców za bardzo groźnego, skoro trzymali go w areszcie prewencyjnym od 22 maja do 10 lipca 1941 r., a następnie 11 sierpnia wywieźli go do obozu karnego, razem z grupą innych "niebezpiecznych" dla III Rzeszy polskich oficerów, jak płk Czuruk, płk Kwiatek, płk Geisler, ppułk, Zych, rtm Sołtysik, kpt Wierzbowski i kpt Hauptmann.

Odnotuję jeszcze jeden wypadek "obrazy narodu niemieckiego" przez por. Wadyńskiego, któremu karami obostrzonego aresztu (o wodzie i chlebie) Niemcy musieli wybijać z głowy jego uprzedzenie do języka niemieckiego, gdyż w liście do rodziny napisał: "Nie pisać martwym językiem niemieckim, tylko po polsku, bo ten język będzie językiem światowym".

Trudno mi, po tylu latach, powiedzieć, czy ta inwazyjna mistyfikacja, jaka owładnęła tysiącami oficerów, była akcją nakazaną przez polskie dowództwo obozu, czy też była samorodnym działaniem. I trudno ustalić jakie były źródła jej powstania. Zdaje się, że zrodziła się ona w wyniku

angielskich ćwiczeń obrony wybrzeży przed planowaną przez Hitlera inwazją, a wiadomości o tych ćwiczeniach w angielskiej prasie mogły dotrzeć do obozu. A może była to istotnie celowa przeciwpropaganda na rozbrzmiewające z niemieckich głośników: "Denn wir fahren gegen England". Działo się to bowiem w czasie, gdy zaczęła się lotnicza Bitwa o Anglię. Wspomina o tym Giertych:

"Co dzień niemieckie biuletyny przynosiły triumfalne wieści o nalotach niemieckich na Wielką Brytanie, o stopniowym niszczeniu systemu angielskich lotnisk i rozkruszeniu całego aparatu angielskiej obrony, o bombardowaniach Londynu i masowej ucieczce ludności angielskiej z stolicy.

Żołnierze niemieccy opowiadali nam z triumfem plotki o tym, jak to wielka armia niemiecka szykuje się do desantu i czeka tylko na utorowanie drogi przez niemieckie lotnictwo. Informacje o datach największego przypływu morza u brzegów angielskich, o przemianie księżyca, o konfiguracji angielskich wybrzeży stały się jednym z głównych przedmiotów zainteresowania niemieckiej prasy".

Dziś wiemy, że Hitler, po zajęciu Francji, zamierzał uderzyć Anglię. Wiemy też z ogłoszonej dokumentacji, że do tego uderzenia (nadano mu kryptonim "Lew morski") Niemcy przygotowywały się skrupulatnie, że przygotowania były daleko posunięte w chwili, gdy Hitler odwołał je głównie z braku niemieckiej przewagi w powietrzu. Wiadomo też, choćby z relacji zastępcy szefa Gestapo, Schellenberga, że przygotowano nie tylko strategiczne plany operacji, ale też założenia przyszłej okupacji Anglii, z takimi szczegółami włącznie, jak obozy koncentracyjne i wyniszczanie niepożądanych elementów.

Może więc jakieś ułamkowe wiadomości o tych przygotowaniach inwazyjnych mają związek z omówioną obozową mistyfikacją. W każdym razie był to krytyczny okres w toczącej się wojnie, gdy obawy o los Anglii, ostatniego nie pobitego dotąd państwa Zachodu, spędzały sen z oczu nie tylko polskich jeńców w Oflagach.

Były też w obozie Murnau, podobnie jak i w innych obozach jenieckich, co wiemy z ogłoszonych różnych relacji, grupy ludzi, którzy uprawiali innego rodzaju, nieco makabryczny "sport pocieszenia". Mianowicie wielką poczytnością cieszyły się zamieszczane w niemieckiej prasie . . . nekrologi. Były one przedmiotem uważnych studiów wielu jeńców. Robiono statystyki poległych oficerów z podziałem na stopnie, osobno dla Wehrmachtu i dla SS. Te ostatnie napełniały nas szczególną radością, zwłaszcza gdy nekrologi dotyczyły "Ritterkreutztraegerów", co zdarzało się raczej często. Makabryczna to była ewidencja i makabryczne zajęcie jenieckie, ale i w naszych sercach nie było dla Niemców litości.

W tego rodzaju akcji nie byliśmy w Murnau odosobnieni. W Oflagu Woldenberg, jak podaje autor książki "Wrzesień-Oflag-Wyzwolenie", wówczas podporucznik, a dzis generał Wiktor Zieminski, wiadomość o śmierci "na polu chwały" oficera odznaczonego krzyżem z brylantami "brzmiała piękniej niż najcudowniejsza symfonia i była niejako zwiastunem jeszcze jednego uszczerbku, jeszcze jednej klęski reżymu hitlerowskiego".

O zbieraniu nekrologów o śmierci "bohaterów", jako o sporcie bardzo niebezpiecznym w wypadkach rewizji w jenieckich kwarterach, pisze Wiesław Pisarczyk:

"Sport ten polegał na gromadzeniu nekrologów wojennych ze wszystkich dostępnych w obozie gazet niemieckich. Ułożone systemem katologowym, według stopni, wieku, rodzaju broni, daty i miejsca śmierci na polu chwały zbiory te przedstawiały niekłamany obraz postępu oraz klęsk oręża niemieckiego, będąc zarazem najbardziej osobliwym wkładem do dziejów nowoczesnej wojskowości".

Podobne studium nekrologów pod nazwą "Wesoły kącik" prowadzono w innych obozach. Józef Sonecki w swoich wspomnieniach tak opisuje oddziaływanie tego skadinąd makabrycznego zagadnienia na psychikę jeniecką:

"Najpierw patrzyłem na ostatnie strony gazet, gdzie czerniały klepsydry zabitnych przez naloty i poległych na froncie. W obozie nazywaliśmy tę część gazety "Wesoły kącik". Na podstawie tego orientowaliśmy się, kiedy

i gdzie były naloty. Nekrologi każda gazeta podawała w liczbie z góry wyznaczonej przez czynniki miarodajne celem zatuszowania przed społeczeństwem wielkości strat. My jednak, czytając "Wesoły kącik", odpowiednio je pomnażaliśmy. Klepsydra marynarza na przykład świadczyła o zatonięciu łodzi podwodnej albo okrętu, o czym darmo szukałoby się wzmianki w oficjalnym biuletynie".

Jak duża by była ta przesada, jednak dodatnio działała na nastroje jenieckie. W obozie tym utarło się powiedzenie, że "nic tak nie ożywia gazety jak . . . nekrologi".

Studiowanie nekrologów miało jeszcze jedną dodatnią stronę. Podawane w nich szczegóły, zwłaszcza dnie i miejscowości poległych, pozwalały konfrontować dane dotyczące postępu ofensywy Sprzymierzonych z komunikatami niemieckimi. Źródłem wiadomości dla wszelkiej tego rodzaju akcji, poza wyżej podanymi przykładami, były również listy z Kraju i zagranicy oraz przemycane w paczkach "grypsy". Listy te spełniały poważną rolę w przeciwdziałaniu niemieckiej propagandzie i podnoszeniu jeńców na duchu, mimo zawartych w listach raczej pobożnych życzeń niż prawdy. Z listów wyczytywaliśmy niestworzone rzeczy, komentując zawarte w nich niedomówienia.

Wspomniany już autor Mirecki pisze o tej stronie jenieckiej korespondencji: "Właśnie dlatego, że szmuglowano często treść przy pomocy naiwnych kryptonimów, przejrzystych aluzji, że wymagały domyślania się, czytania między wierszami, że uprawniały do puszczania wodzy fantazji, tak znakomicie spełniały rolę potężnych zastrzyków wiary i optymizmu. Inna rzecz, że folgowano nieraz fantazji nie licho".

A niemieckim cenzorom dawało to pole do drwin. Autor przytacza przykład, gdy do listu o pięknej pogodzie i wysoko już latających sikorkach, które wkrótce przylecą, cenzor dopisał: "Uważajcie, zeby się na was nie zes. . . ły".

Do najbardziej znanych i naiwnych szyfrów należało oznaczanie Anglii jako "cioci Ani", a Francji jako "cioci Frani". Tego typu szyfrowanie, zwłaszcza w pierwszym okresie niewoli, było przedmiotem uciechy niemieckich cenzorów, którzy nie szczędzili głupawych uwag i złośliwych dopisków na cenzurowanych listach.

Owe szyfry stawały się nie rzadko powodem poważnych przykrości, gdy niemiecka cenzura zwróciła uwagę na szyfry i chciała je rozszyfrować u nadawców listów, czym już zajmowało się Gestapo. Z drugiej strony szyfry były powodem najzabawniejszych nieporozumień. Jedno z takich nieporozumień, jako typowe i charaketerystyczne dla tych zjawisk życia jenieckiego, choć nie dotyczy obozu Murnau, pozwolę sobie przytoczyć z książki Wiktora Ziemińskiego.

Oto jeden z farmaceutów obozu Woldenberg, aby skuteczniej walczyć z pluskwami, zaszyfrował do żony, aby przysłała mu środek na pluskwy. Obawiając się, że cenzura nie przepuści takiej prośby, bo jakże to — w Niemczech miały być pluskwy?, jak też pamiętając, że w Łomży, skąd farmaceuta pochodził, te dokuczliwe pasożyty nazywano "murzynkami", napisał dosłownie:

"Opiekunowie nasi sprowadzili tutaj murzynki, żeby nam się nie nudziło. Dzikie to i gryzie, ale cóż robić, proszę przyślij mi jakie środki zapobiegawcze".

Wielce zdziwione mimy musieli mieć Niemcy pracujący na poczcie, gdy w nadesłanej dla farmaceuty paczce znaleźli. . . prezerwatywy.

Innym źródłem, z którego obóz czerpał wiadomości, byli szeregowi, wracający z miasta z prac, a już giełdą wiadomości był szpital. Wracający ze szpitala czy z wyjazdów jeńcy byli szczególnie nagabywani przez kolegów o nowości.

Wiedzieliśmy poza tym, że do obozu przychodziły instrukcje i prasa wraz z pieniędzmi z Londynu i z Kraju. Lecz drogi tych przesyłek nie zostały — i słusznie — nigdy ujawnione nam, zwykłym śmiertelnikom. Jedno jest uderzające, to fakt zwolnienia przez Amerykanów tuż po zakończeniu wojny niektórych ludzi z niemieckiej obsady obozu, co mogłoby świadczyć, że oni pomagali w przenikaniu do obozu zakazanych wiadomości czy rzeczy. Po prostu nasuwa się uwaga, że współpracowali z alianckim wywiadem.

Ale najważniejszym źródłem dla

walki z niemiecką propagandą były zainstalowane w obozie, w okresie już późniejszym, tajne aparaty radiowe. Na podstawie informacji z Zachodu redagowano w obozie komunikaty.

Jakby nie było, należy dodatnio ocenić działalność tych wszystkich agencji, zwalczających niemiecką propagandę oraz pracę licznych komentatorów niemieckiej prasy, czytających między wierszami nawet wtedy, gdy rzeczywistość wojenna wyglądała w zasadzie inaczej.

Autor "Byłem jeńcem Wehrmachtu" pisze o ustosunkowaniu się jeńców do niemieckiej prasy jako źródła informacji:

"Łaknęliśmy prawdy i mierziła nas propaganda hitlerowska, ale był to jedyny sposób dowiedzenia się czegoś. Nauczyliśmy się czytać między wierszami, wyławiać najniklejsze cząsteczki prawdy, tonące w morzu kłamstwa, domyślaliśmy się niejednego, fantazją i życzeniami wybiegaliśmy daleko poza oficjalny tekst".

A oto opis techniki odczytywania gazet, jaką stosował ten autor wspomnień:

"Po nekrologach zabierałem się do komunikatu Głównej Kwatery. Odczytywałem go kilkakrotnie, chcąc wydobyć wszystkie przez zręczną redakcję zawoalowane fakty. Po przełknięciu tych "delikatesów" porównywałem komunikaty frontowe z mapkami, ukazującymi się od czasu do czasu w gazecie. Wreszcie przychodziła kolej na beznamiętne czytanie dziennika od tytułu do ostatniej linijki, nawet czasem anonsów, reklam i td. Niczego nie pomijałem, byle zabić czas, tego mojego wroga nr. 1."

W pewnym okresie zaczęła się w obozie Murnau innego rodzaju propaganda, oddziaływująca już na dwie strony: polską, która właściwie propagandy tej w większości swej już wtedy nie potrzebowała oraz niemiecką, która z ciekawości jej ulegała.

Za zgodą Niemców sporządzono w Bloku C. wielkich rozmiarów mapę ścienną z charakterystycznym napisem: "Lage genau nach dem O.K. Bericht". Oficerowie sztabowi obsługujący mapę codziennie ustalali sytuację na frontach, oznaczając ją chorągiewkami i nitką. Mapa ta ściągała w ciągu dnia setki ciekawych. Przed nią toczyły się ożywione dyskusje. Była ona przedmiotem szczególnej radości, gdy nitki obu odległych niegdyś frontów zaczęły się wreszcie, i to w błyskawicznym tempie, do siebie zbliżać, zwiastując koniec III Rzeszy, zaś dla jeńców rychle wyzwolenie. W ciągu nocy mapa ta była przedmiotem studiów niemieckich patroli, które w swej kontroli zahaczały o Blok C. i świecąc latarkami śledziły, tylko z innym niż my uczuciem, zaciskający się pierścien wokół ich kraju. Podobna mapa z frontami prowadzona była w Bloku B.

Jeśli już mowa o propagandzie, wspomnieć również należy o próbach innego rodzaju propagandy, zastosowanej w obozie przez Niemców,zresztą bez rezultatów. Była to sprawa Katynia.

Zaraz po wykryciu grobów w Katyniu Niemcy rozwinęli szczególną propagandę, mającą na celu w pewnym stopniu osłabianie nienawiści Polaków do nich, jak też mając nadzieję na wygranie zmienionych nastrojów na swoją korzyść. Sprawa ta wywołała w obozie duże poruszenie. Prasa niemiecka informowała szczegółowo o odkryciu grobów, powołując się na protokoły przeprowadzonych na miejscu dochodzeń przez wysłane do Katynia komisje, wśród których nie brakło komisji złożonej z Polaków z Generalnej Gubernii oraz specjalnego zespołu oficerów, wysłanych z obozów jenieckich.

W dniu 14 kwietnia 1943 r. Niemcy nakleili na ścianach niemieckiej komendy obozu olbrzymie plakaty z fotografiami masowych grobów katyńskich. Pamiętam, że dostarczono nam spisy nazwisk zamordowanych w Katyniu, z wyliczeniem przedmiotów i dowodów, jakie znaleziono przy ekshumowanych zwłokach. Wśród zamordowanych niestety nie brakło moich bardzo bliskich przyjaciół. Był między nimi lubiany i ceniony przeze mnie mój dowódca, gen. Mieczysław Smorawiński, byli moi przyjaciele-mjr Stanisław Jędruch, ppułk, dypl. Józef Słowiński, a przede wszystkim mjr Stanisław Wójcik.

Wysłanych przez Niemców do Katynia polskich oficerów-według książki "Europa w niewoli" — Niemcy podobno

nie pytali się o zgodę, po prostu wywołali na apelu i powieźli do Katynia. Autor książki pisze:

"Jeden z tych oficerów złożył po powrocie raport na piśmie o tym co widział, do polskiego najstarszego oficera w swoim obozie. Odpisy tego raportu Niemcy rozesłali do wszystkich obozów".

O ile mnie pamięć nie myli, chodziły słuchy, że jednym z oficerów wysłanych do Katynia był dobry mój znajomy z czasów, gdy pełnił funkcje zastępcy dowódcy 10 p.s.k. w Łańcucie, płk dypl. Stefan Mossor.

Były podobno jeszcze inne próby niemieckiej propagandy. W okresie zimy 1944-45, gdy sytuacja na frontach była już dla Niemców beznadziejna, miał zjawić się w obozie przedstawiciel Brygady Świętokrzyskiej, któremu Niemcy zezwolili swobodnie poruszać się po obozie. Miał on mieć powierzone zadanie werbowania oficerów do polskich oddziałów, jakie Niemcy chętnie widzieliby wystawione przeciwko Rosji. Wysłannik ten był przez Niemców zmuszony groźbami do tej akcji, której wynik, rzecz prosta, był najzupełniej negatywny.

Potwierdzenie tej wiadomości znajduje się w "Zeszytach do historii Narodowych Sił Zbrojnych (zeszyt III z 1964 r.) w artykule ppłk. Tadeusza Boguszewskiego pt. "Wykonanie planu "Z". Jako ciekawostkę dotyczącą obozu Murnau przytaczam następujący fragment:

"W kwietniu 1945 roku mjr Kozłowski (Alexander) został dostarczony do Oflagu w Murnau z poleceniem "werbowania" oficerów do akcji przeciwsowieckiej.

Sytuacja mjr. Alexandra była trudna. Jedyną alternatywą nieprzyjęcia misji była "ewakuacja" wraz z innymi więźniami obozu koncentracyjnego. Jaki cel miała ta "ewakuacja" — łatwo było przewidzieć. Plany likwidacji obozów koncentracyjnych były przecież powszechnie znane. W danym wypadku plany zostały przeprowadzone i w rezultacie kilkanaście tysięcy więźniów z obozu Neuengamme utonęło w morzu wraz z zatopionymi okrętami pod Trawenmuende.

W Murnau mjr. Kozłowski (Alexander) po oficjalnym zameldowaniu się u polskiego generała, starszego obozu zetknął się z mjr. Kozłowskim (Mikołajem), dowódcą okręgu NSZ Warszawa-Miasto, który wziąwszy udział w Powstaniu Warszawskim znalazł się tu wraz z większą grupą z swoich oficerów.

Rozmowy z tą grupą przyczyniły się do ustalenia wspólnego stanowiska wobec propozycji niemieckich i wyraziły się w stanowczej odmowie wzięcia jakiegokolwiek udziału w akcji przeciwko Rosji po stronie niemieckiej. Stanowisko to było zgodne ze stanowiskiem naszego kierownictwa politycznego i NSZ wraz z Brygadą Świętokrzyską.

Wynik "misji" mjr. Alexandra przypieczętował los Brygady. Niemcy postanowili ją rozbroić i zlikwidować. Tylko szybka akcja przeprowadzona przez Dowództwo Brygady, przebicia się przez linie frontu i połączenia się z armią amerykańską, uchroniła Brygadę od zniszczenia.

Po wojnie ktoś rozpowszechniał wiadomość, że oficerem, który w kwietniu 1945 werbował oficerów do walki z Rosjanami był mjr Ząb (Zub-Zdanowicz), szef sztaby Brygady Świętokrzyskiej. Mjr Ząb nie opuszczał Brygady, a werbującym był więzień KZ. mjr Kozłowski(Alexander).

O innej próbie zjednania sobie w tym celu oficerów Murnau i o rozmowie gen. Rómmla z niemieckim komendantem obozu pisałem już na innym miejscu.

WYDAWNICTWA OBOZOWE-DROGI ŹRÓDEŁ INFORMACYJNYCH

Czytając "Oflag" Marka Sadzewicza zdumienie ogarnia, ile to przeróżnych, legalnych i nielegalnych, wydawnictw posiadał Oflag w Gross-Born. A ileż wydawnictw posiadał obóz Arnsheim?

Niestety, o wydawnictwach obozu Murnau nie potrafię powiedzieć prawie nic, bo z żadnym tego rodzaju przejawem działalności, poza biuletynami informacyjnymi, po prostu nie stykałem się. Nie znaczy to, że żadnych nie było, ale musiały one być bardzo ubogie skoro nie zwróciły uwagi.

Pewnie, że z Murnau cenzura nie była — jak w obozie opisywanym przez Sadzewicza — ani "mało spostrzegawcza, ani nieinteligentna". Miała bowiem wyszkolonych,przedwojennych szpiegów w Polsce, jak bracia Freisin-

gerowie, no a przede wszystkim Diemertów. Sądzę też, że brakło w obozie zainteresowania dla tych form życia jenieckiego, bo przecież dziennikarzy z prawdziwego zdarzenia nie brakło wśród z górą pięciu tysięcy oficerów.

Najważniejszym, jeśli już nie jedynym wydawnictwem w Murnau były komunikaty informacyjne, możliwe do wydawania, gdy tajne aparaty radiowe, zainstalowane w obozie, zaczęły swoje nasłuchy. Skąpe wiadomości o pracy nad biuletynami wyglądają następująco:

Istniał specjalny, zaprzysiężony zespół ludzi przygotowujący biuletyn, a do tego zespołu nalezeli m.in.: por. Stanisław Biskupski, por. Bruno Flieger, por, Chrzanowski i ppor. Józef Bąk. Kierownikiem tej akcji był podpułkownik dyplomowany, którego nazwiska nie ustaliłem. Po zredagowaniu tektsu biuletynu przez podpułkownika, któremu był przekazywany cały, zebrany przez nasłuch radiowy materiał, wspomniana ekipa przepisywała biuletyn. Wydawany był w 25 egzemplarzach. Poza obóz biuletyn wynosił jak i przynosił lokalne wiadomości z poza obozu, bardzo oddany sprawie strzelec, znany niestety tylko jako "Władzio".

Komórka prasowo-informacyjna w obozie, której kierownikiem był prof. Henryk Paszkiewicz, miała za zadanie redagowanie ręcznie pisanych komunikatów, też zwanych biuletynami informacyjnymi. Komórka ta miała do dyspozycji kilkanaście gazet niemieckich, stosunkowo dużą ilość prasy Armii Krajowej, jak "Biuletyn Informacyjny", "Rzeczpospolita", "Wiadomości Polskie" i inne pisma krajowe, jakie przenikały do obozu drogą konspiracyjną. Kursowały też w obozie wydawnictwa książkowe, jak "Kamienie na szaniec" i "Polska karząca." Ponadto drogą konspiracyjną dochodziła prasa szwajcarska, która w początkowym okresie była podstawowym źródłem informacji dla biuletynów obozowych. W późniejszym okresie komórka ta miała już do dyspozycji wiadomości z tajnych nasłuchów radiowych.

Od czasu otrzymywania wiadomości z odbioru radiowego komórka redakcyjna musiała stosować zdwojoną ostrożność w redagowaniu biuletynów do kolportażu, choćby dlatego, że przedłużający się okres niewoli wyostrzył stan psychiczny żądnych nowin jeńców oraz chęć dalszego ich kolportowania w najróżnorodniejszych wersjach.

Dostarczaniem pism z Kraju zajmowała się specjalna komórka tajnej organizacji, sekcja kontaktów zewnętrznych z krajową organizacją walczącego Podziemia. Prasa ta, po wykorzystaniu przez komórkę informacyjną obozu, była zwracana do oficera kolportera i przez niego palona.

Biuletyny były rozdzielane dowódcom kompanii i czytane przez nich po salach, a więc na użytek zbiorowy, a po wykorzystaniu zwracane celem spalenia.

Niezależnie od wydawanych tajnych biuletynów informacyjnych organizowane były w większych skupiskach, jak kompanie czy plutony, zwłaszcza w blokach garażowych, t.zw. dzienniki wieczorne, w których — obok komentowania niemieckiej prasy — podawane były wiadomości uzyskane z nasłuchu radiowego, jak też już zawarte w biuletynach.

To byłoby wszystko, co w drodze żmudnych poszukiwań w tej materii zdołałem uzyskać w odniesieniu do obozu w Murnau. Może, jak wspomniałem, było tych wydawnictw więcej, ale brak danych nie pozwala na szersze omówienie zagadnienia. Nie mając więc ścislejszych danych, jak też sądząc, że ten odcinek obozowego życia był u nas reprezentowany bardzo ubogo, dla zatarcia mogącego powstać wrażenia, że tak skąpo było i w innych obozach jenieckich, przytoczę trochę informacji o prasie obozu Oflag II w Arnswalde.

O wydawnictwach tego obozu napisał artykuł pt."Karabin i pióro" Józef Iżycki (WTK nr. 10/1959), opierając się o dokumentację z odkopanych w Szczecinie papierów komend obozowych różnych oflagów i stalagów, jakie znajdowały się w dawnej prowincji szczecińskiej. Oto co pisze ten autor o tym odcinku życia swego obozu:

"Po przejściowym okresie wydawnictw cenzurowanych, wskrótce zakiełkowały pierwsze korzenie prasy tajnej, konspiracyjnej, która z czasem rozrosła się w całą sieć doskonale zor-

ganizowanych ośrodków informacyjnych i publicystycznych. Zaczeło się to od skromnej gazetki, odbijanej na szapirografie.

Później przez blisko dwa lata wychodził dwutygodnik "Za drutami". Pismo starannie drukowane na powielaczu, w bogatej szacie graficznej, ozdobione artystycznymi winietami, rysunkami i karykaturami.

Z czasem, na skutek coraz większych represji cenzuralnych, rozwinęły się pisma podziemne. Były to gazetki reprezentujące szeroki wachlarz orientacji politycznych. W obozie, w którym znajdowało się wiele tysięcy inteligencji, oficerów rezerwy, nie trudno było stworzyć wielką publicystykę. Pisma wyrastały i znikały, jak grzyby, po deszczu.

Najdłużej istniejącym i najbardziej popularnym był tygodnik lewicowo-demokratyczny "Zadrucie". Wokół tego tygodnika zgrupowani byli dziennikarze, działacze polityczni, publicyści z prawdziwego zdarzenia. Tygodnik odczytywany był przez odpowiedni zespół spikerów, rekrutujący się z aktorów i następnie kolportowany przez delegatów blokowych do poszczególnych baraków.

Oprócz "Zadrucia" istniały "Codzienny biuletyn informacyjny" i "Żywe słowo." Poza tym roiło się w obozie od tajnych periodyków, przepisywanych ręcznie w kilku egzemplarzach i puszczanych w obieg po salach. Do tych drugich należały: lewicowe "Żarna" prawicowe "Słowo" i "Naród w walce", katolickie "Bursztyny" i bezpartyjny "Przegląd wojskowo-polityczny". Wyrazem współpracy międzypartyjnej były "Znaki", wydawane w ostatnich latach niewoli w ograniczonej ilości egzemplarzy, odbijane na maszynie, o bardzo bogatej szacie graficznej. Były też pisma literackie, teatralne, sportowe, rozrywkowe i inne".

Autor cytowanego tu artykułu pisze też o drogach, jakimi wiadomości przenikały od obozu:

"Były one różne w różnych okresach niewoli. W każdym okresie jednak ten całkowicie izolowany od świata, odrutowany obóz jeniecki był doskonale informowany o wszystkim, co się dzieje po za drutami. Regularnie przychodziła do obozu różnymi drogami prasa podziemna z Kraju. Obóz posiadał szyfrową łączność listową z zagranicą, łączność z innym obozami-wreszcie bogatą literaturę społeczną, gromadzoną latami w szafach bibliotecznych. Radio przynosiło codzienny serwis depeszowy, w paczkach żywnościowych przesyłana była bibuła konspiracyjna, a nawet zdjęcia fotograficzne z Kraju i zagranicy.

Jednym ze sposobów dostarczania do obozu prasy podziemnej z Polski było wysyłanie jej w postaci małych klisz fotograficznych w opakowaniu kostek "Maggi" w paczkach żywnościowych. Klisze odczytywano przez lupę, przepisywano na maszynie i rozpowszechniano.

Do końca obozu pracowały redakcje pism konspiracyjnych. Dzień i noc odbywał się nasłuch, a redakcje pracowały w coraz innych salach, ubezpieczonych czujkami. Spikerzy ogłaszali komunikaty wobec tysięcy słuchaczy. Całość roboty prasowej była tak zorganizowana, że poszczególne grupy nie znały się i były powiązane ze sobą przy pomocy zakonspirowanych łączników.

Konspiracja była taka, że do dziś dnia wielu jeńców nie wiedziało w jaki sposób przychodziły do nich codzienne wiadomości z Kraju i że świata, ani też nie znało ludzi, którzy je przynosili. Robili to dziennikarze, którzy obowiązek swój wypełnili wiernie, bez reszty i do końca."

Nota o Autorze

Sp. ppulk. Józef Waisbach, zawodowy oficer Wojska Polskiego, odznaczony za Kampanię Wrześniową 1939 r. Krzyżem Virtuti Military i Krzyżem Walecznych, a za pracę społeczno-narodową na terenie amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech po wojnie Złotym Krzyżem Zasługi, urodził się 8 października 1899 r. r Nisku. Po skończeniu gimnazjum w Dębicy zamierzał, studiować na wydziale leśno-rolnym Politechniki Lwowskiej, ale bieg wydarzeń polityczno-wojennych w okresie I Wojny Światowej, gdy nadchodziła tak upragniona przez naród Niepodległość, przekreślił te plany.

W listopadzie 1918 r. młody maturzysta należy do POW i uczestniczy w rozbrajaniu Austriaków. Później bierze udział w walkach pod Przemyślem (Grupa mjr. Karasiewicz-Tokarzewskiego) oraz w akcji na rzecz uwolnienia Lwowa od wojsk ukraińskich. W 1920 r. dowodzi kompanią 4 pułku piechoty Legionów w wojnie z bolszewikami.

Po tej wojnie Waisbach zdecydował poświęcić się karierze zawodowego wojskowego. Pełni więc m.in. służbę w sztabie 2 Dywizji Piechoty Legionów w Kielcach, a następnie w Korpusie Ochrony Pogranicza na Wołyniu (1925-30).

Gdy tworzone były Legie Akademickie, mjr Waisbach został mianowany szefem wyszkolenia Naczelnej Komendy Legii Akademickich w Warszawie pod dowództwem pułk. dypl. Tadeusza Tomaszewskiego.

Gdy Niemcy dokonały najazdu zbrojnego na Polskę w 1939 r. mjr Waisbach jest dowódcą 1 Batalionu 17 pułku piechoty, zapisując piękną kartę bojową tej jednostki. W bitwie pod Rzesną Polską zostaje ranny, a po Kampanii przebywa w niemieckiej niewoli w Murnau (do kwietnia 1945).

Po odzyskaniu wolności, gdy w czerwcu 1945 r. powstał Polski Ośrodek Wojskowy w Langwasser koło Norymbergi pod komendą pułk. Tomaszewskiego, Major został przez niego powołany na stanowisko Kierownika Referatu Kulturalno-Oświatowego tego niezwykle żywotnego Ośrodka. W jednym ze swoich opracowań opisał życie środowiska ponad 5,000 mieszkańców tego Ośrodka.

Wcielony we wrześniu 1946 r. do 2 Korpusu we Włoszech, mjr Waisbach pozostaje jednak na terenie Niemiec, gdzie obejmuje, po ppor. Bolesławie Świderskim, oficerze 2 Korpusu, kierownictwo Delegatury Oddziału Społecznego, sprawującej opiekę na setkami tysięcy Polaków w obozach wojskowych i cywilnych. Ten okres swojej pracy również opisał w podstawowym dla tej sprawy opracowaniu.

Jako uchodźca polityczny przybył do Chicago w 1949 r., gdzie poza pracą zarobkową (w chłodniach mięsa) poświęcił się z pasją ofiarnego społecznika różnym zbiorowym sprawom nowej emigracji, rozwijając jednocześnie szeroką akcję publicystyczną w zagadnieniach, jakie leżały Mu na sercu. Jest to wyjątkowo bogaty rozdział życia tego gorącego patrioty polskiego, niezwykle ofiarnego społecznika, wiernego do końca ideałom i umiłowaniom, jakim służył całe życie. (jb)

MARJA CZESKA

DONNA LIZA

NOWELA

OSTATNI dzień karnawału!

Barwny tłum masek przebiega ulicami Pizy, padają kwiaty, śmiech dźwięczy, płomienne krzyżują się spojrzenia.

Życie wre, szumi, niewstrzymaną, wzburzoną falę... Zdaje się, że na chwilę radość z istnienia zerwała tamy codziennych trosk, kłopotów, konwenansów i zamieniła ludzi w grono dzieci wesołych, rozbawionych, żyjących chwilą.

Jak roje barwnych motyli, przelatują w powietrzu kwiatów wiązanki. Mienią się barwami tęczy stroje dziwaczne, maski komiczne lub piękne.

W oknie sypialnej komnaty Liza Corti na ramieniu starca doktora sparta, patrzy na barwny, szalejący, rozśmiany tłum... tam w dole. I jej twarz pokrywa maska, nie włożył jej jednak na dziewczęcą twarzyczkę żart karnawałowy. Trąd zamienił prześliczną niegdyś jedynaczkę Pietra Corti w najnieszczęśliwsze ziemi stworzenie...

Nawet stary lekarz, opatrujący ją od lat, wzdrygał się mimowiednie, gdy jej maskę zdejmował i litość go zawsze ogarniała bezmierna nad zrozpaczonym ojcem i tem dzieckiem biednem, któremu nadziei wyzdrowienie dać nie mógł.

Czarne oczy o złotych błyskach spoglądają w zadumaną twarz doktora przez łzy:

— Ta ulica dzisiaj... tem dla mnie, czem dla umierającego z głodu widok zastawionego do uczty stołu, przy którym mu zasiąść nie wolno!

Osunęła się na kanapę, kryjąc twarz w jedwabiu poduszek.

Pochylił się ku niej, kładąc swoją drżącą, wychudłą rękę na złotej fali jej włosów:

— Spokoju, dziecię.

Podniosła głowę.

— Ja wiem... nie w twojej mocy leży przywrócenie mi piękności, zdrowia, praw do szczęścia, do życia, ale mógłbyś dla mnie uczynić tak wiele... gdybyś chciał tylko...

— Ja? dla ciebie, Lizo?...

— Tak... ty, dla mnie... Przecież i tobie żal nieraz biednej Lizy! Powiedz sam, co ja mam z życia? wydziedziczonam z wszystkich jego darów... O tam, słyszysz? Ludzie się śmieją, cieszą, kochają, a ja? ja, patrzę z daleka, usiłuję twarz ukryć w fałdach firanek, by mój widok nie wpadł dysonansem w ten przepotężny akord radości. I tak zawsze! zawsze! Tysiące kwiatów rzuca sobie tłum rozśmiany, w okna sąsiednich pałaców grad róż leci... ale ani jedna z tych róż purpurowych nie zabłądzi w okno Lizy Corti... nie dla niej dobra życia... nie dla niej jego rozkosze, nie dla niej kwiaty... O, skróć mi te męki!

Bolesne łkanie wstrząsnęło wysmukłą postacią, drobne, rozpalone palce pochwyciły dłonie doktora.

— Śmierci! ciszy! zapomnienia! to jedyne, jedyne dobro, do którego mam prawo zarówno z innemi... och, gdybyś chciał, doktorze — rozdzierająco smutne spojrzenie wznosi się ku niemu błagalnie — ty... mógłbyś mi ją dać!

Przez krótką chwilę poważna twarz doktora posępnieje. Przez mgnienie przelatuje myśl... daj jej tę ciszę, ten spokój... możesz, parę kropel roślinnej trucizny...

— Nie wolno — szepce w duszy głos inny — nie wolno. Chociażbyś wiedział, że to młode życie jedną męką będzie, jednem powolnem konaniem, to i tak nie wolno ci go skrócić ani o minutę. Boskie i ludzkie prawa zabraniają tego... każdy swój kielich goryczy wysączyć musi aż do dna.

Wolno zwierzę chore zabić, by nie cierpiało... dlaczego tego samego aktu łaski odmówiono człowiekowi?

Litość bezmierna przejmuje duszę doktora, oczy jego mimowoli niemal niemal obejmują spojrzeniem smukłą, posągowo piękną postać dziewczyny... Jak długo jeszcze?... jak długo?

Kwiaty więdnące się ścina. Szczęśliwe kwiaty!...

— Dziecię biedne... nie wolno mi, są rzeczy, których zabraniają prawa, litość nosi wtedy miano zbrodni.

— Okrutne! fałszywe prawa! — Wolno na wojnie zdrowym ludziom w pełni sił, w pełni rozwoju wydzierać życie... i nazywa się to bohaterstwem, a bezdziejnie choremu męki powolnego konania skrócić nie wolno, bo byłoby to występkiem! Okrutne te ludzkie prawa, doktorze... O gdybyś wiedział, jaką męką jest dla mnie życie!

— Dziecię moje... w każdej ludzkiej duszy są krwawe rany i nie ma człowieka, któryby chociaż raz w życiu śmierci nie wołał jako jedynego zbawienia... a przecież...

— A przecież?

— Żyją dalej... aż do kresu, który Bóg wyznaczył, bo tak trzeba... — bezmiernie łagodnie głos straca powtarza. — Tak trzeba, Lizo...

Przez ciężkie fałdy firanek doleciał wesoły brzęk dzwonków srebrnych, radosne okrzyki tłumu.

Donna Liza wróciła do okna.

Hej! jak tam życie kipi, przewala się, wre!

Drżące dłonie mną kurczowo fałdy firanek...

Ot tam... arlekin szepce coś rozśmianej hiszpance, jego ramię opasało jej kibić... W ruchu, z jakim kobieta przez chwilę do jego piersi przylgnęła, leży świat poddania, miłości...

Zaczarowany, niedostępny świat... w misterja jego nigdy nie zajrzy donna Liza.

Raz jeden skąpać się w tym śmiechu! Raz jeden żyć jak inni... zapomnieć piętna niedoli... raz tylko...

Usłyszeć szept namiętny kochania. Na piersi począć... Na jego piersi...

Donna Liza widzi w marzeniu postać artysty cudzoziemca, który od tygodnia maluje już pod jej oknem, widzi oczy błękitne, przejrzyste jak niebo, młodą, zuchwałą twarz.

Zaczarowany, niedostępny świat!

W bezsilnej rozpaczy zaciskają się białe dłonie, a dusza łka.

— Gdyby raz jeden... jedyny!

W pamięci donny Lizy przeszłość wstaje, słoneczne dnie dzieciństwa, a potem... Pamięta jakgdyby to dziś było: słoneczne, cudne popołudnie, oszałamiające wonią róż rozwitych...

...Stary mur w powoje spowity a po za nim, zamaskowaną postać i świat bólu, wyglądający z łzawych, rozpaczą błędnych oczu. Serce małej Lizy zabiło współczuciem, przechyliła się przez mur, w wyciągniętą dłoń nieszczęśliwej rzucając jałmużnę. Na drobnej dłoni dziecięcia zapłonęły rozpalone usta chorej na trąd kobiety i zaczęła się Lizy golgota i trwa już lata... Minęły czasy, gdy kosztowne zabawki, miłość ojcowska, do minimalnych rozmiarów zmniejszały poczucie nieszczęścia. Liza rozwinęła się duchowo i fizycznie i zrozumiała cały ogrom swojej niedoli. Dziwnym kaprysem losu choroba nieuszkodzonemi pozostawiła dotąd jej posągowe kształty... tylko twarz... Boże! ona sama patrząc w zwierciadło na tę twarz z resztkami nosa, na pozbawione warg usta, drżała wstrętem.

Hej! jak to życie wre! Pójść, wmieszać się w ten tłum! Raz jeden żyć jak inni... dziś maska wszystkie twarze kryje...

I nieszczęście własne innym nieść... nie... o nie!

Więc pozostać?... w swojej nędzy, z wieczną, szaloną niezaspokojoną tęsknotą w duszy?

Wysmukła postać norwegskiego rybaka wysuwa się z tłumu. Donna Liza widzi młodą, zuchwałą twarz, błękitne, znane oczy młodzieńca artysty. Rozgląda się po rozśmianych maskach, w ręku róż purpurowych wiązankę niesie, oto teraz zręczna Sycylianka zaczepia go, do Lizy dobiegają słowa:

— Daj mi te kwiaty, rybaku.

— Wybacz, ale te kwiaty dla najpiękniejszej.

— Nie znalazłeś jej dotąd?

— Nie.

— A jeżeli znajdziesz?

— Z kwiatami serce jej oddam... Ale cudna być musi jak Wenus z Milo.

— Wenus z Milo, z marmuru wykuta, zimna... Krew twoja nie zapłonie przy niej, cudzoziemcze, patrz, patrz, dokoła ciebie tyle pięknych, żywych ciał... nie trać czasu, baw się razem z nami.

— Zostaw mnie... ty zabawy szukasz... ja piękna.

Donna Liza drżące dłonie do szalejącego serca tuli.

Raz jeden... jedyny!...

* * *

W pałacu cisza... śpią wszyscy.

W komnacie Donny Lizy płonie słabo oliwna lampka. W białej, powiewnej szacie, przed zwierciadłem stoi wysmukła postać... zwoje szat uwydatniają młodego ciała kształty cudne... — Dwie alabastrowe kruże, piersi dwie pod przejrzystą tkaniną drżą... złote włosy spinają pereł sznury.

Ostatnie wahanie...

Po strasznej, zniszczonej twarzy Donny Lizy łzy płyną... białe paluszki maskę z czarnego aksamitu cisną nerwowo.

Tak pragnie pójść, raz w życiu szczęście nocy karnawałowej pić... i taki lęk ma w duszy, że innym chorobbę swoją zanieść może.

Ach... co tam!

Czarna maska pokryła zniszczoną twarz i tylko oczy spoglądają przez otwory maski, przecudne, złotawo-czarne, płomienne i tylko kształty wabią.

— Z kwiatami serce jej oddam...—Powtarza głos artysty w duszy Lizy.

Cicho, z zapartym oddechem przesuwa się Donna Liza przez sale uśpionego pałacu, jak duch po ciemnych miga korytarzach. Jeszcze tylko schodów parę... jeszcze tylko...

— Wróć się — coś w duszy szepce ostrzegawczo — wróć!

Drobną dłonią puka do izdebki portyera.

— Wypuść mnie, Antonio.

Chwila ciszy, błysk oliwnej lampki... przez rozwarte drzwi wychyla się siwa głowa, a za nią cały mały, skurczony korpus Antonia... Przy bladym blasku lampy dojrzał postać zamaskowaną, dyskretny uśmiech przebiega twarz wygoloną.

— Któraż to z was tak dzisiaj po pańsku wy-

gląda? Per Dio, mała, nie jeden prawdziwy signore straci dziś głowę dla ciebie.

Ze ściśniętego lękiem gardła Lizy śmiech się rwie.

— Dobra maska... kiedy widując mnie co dnia, nie poznajesz, padrone.

Antonio spogląda na nią badawczo... i Donna Liza czuje, że jeżeli... wypuścić jej nie zechce, to bez wahania swemi białemi dłońmi tę wątłą szyję obejmie, odrzuci precz przeszkodę do wolności. Jak tygrysica kupi się do skoku... żółtawy błysk drga w jej źrenicach.

Brzękają klucze. Antonio zamku szuka — ach, jak to długo trwa, Lizie się zdaje, że wieki całe, a on szepce:

— Żebyś się nie śmiała jak człowiek, myślałbym, że to Giustyna Corti zeszła ze swego portretu w galerji... by raz jeszcze użyć karnawału i umrzeć raz jeszcze.

— Umrzeć?!

— Nie znasz podania? Giustina Corti, małżonka pradziada naszego pana, umarła w ostatni dzień karnawału... serce jej pękło. Mówią, że jej duch zjawia się czasem w noc karnawałową.

Nareszcie zgrzytnęły zawiasy... rozwarła się brama.

— Wróć się... wróć się... czas jeszcze! — krzyczy coś w duszy Lizy... a serce drży tęsknotą i trwogą i szczęściem prawie.

* * *

Wśród tłumów przepełniających sale ratusza, wyróżnia się postać złotowłosej Greczynki. Idą za nią oczy mężczyzn, podziwu, pożądania pełne, gonią ją kobiet zawistne spojrzenia.

A ona idzie, jak we śnie. Muzyka gra... śmiech dźwięczy, nie jedna kwiatów wiązanka padła już do jej stóp, nie jeden szept do tańca prosił.

Serce donny Lizy bije szalonem, nierównem tętnem, bo oto swego norwegskiego spostrzegła rybaka. Więc idzie ku niemu trwożna, ze śmiercią w duszy, z utęsknieniem bezmiernem i lękiem jeszcze większym.

Chwila, zdumione ogarnia ją spojrzenie, wysmukła postać w dworskim się chyli ukłonie, róż jej purpurowych podając wiązankę.

— Najpiękniejszej.

Z otworów maski, para złotawo-czarnych oczu spogląda w źrenice rybaka i drobna dłoń po kwiaty sięga spokojnym gestem władczyni a serce drży...

— Rozdałeś róż więcej zapewne?

— Pierwsze i ostatnie kwiaty hołdu mego, o pani, nie otrzymał ich nikt przed tobą i nikt po tobie.

Silna miękka dłoń, drżące jej paluszki w uścisk zagarnęła gorący.

— Spójrz, dookoła pary się snują szczęśliwe, pójdź i ty ze mną. Stworzymy kontrast, ty dziecię słonecznej Grecji i ja, syn dalekiej, zimnej północy, na jedną noc karnawałową złączeni na włoskiej ziemi. Światło i cień... życie się zeń składa i sztuka. Pójdź ze mną... poza salą palmowy gaj stworzono, pójdziemy tam?

Jego źrenice rozpromienione ogarniają cudną postać towarzyszki.

— To dziwne... od tylu miesicy jestem w Pizie i nigdzie nie spotkałem cię dotąd.

— Nie dostrzegłeś zapewne.

— Kształtów twoich?! Wybacz, artystą jestem, a ty arcydziełem Bożej ręki, dziewczyno. Gdybym mógł kształty twoje utrwalić przyszłym wiekom w marmurze, byłabyś jak Wenus milońska, niedoścignionym kobiecego wdzięku obrazem.

Spojrzenie donny Lizy w zwierciadło pada i widzi postać przepiękną, własną postać i rozkochane źrenice artysty i głos słyszy do szeptu zniżony, namiętny:

— Jak piękną być musisz bez maski!

Liza pochyla głowę... Dotąd sen czarowny śniła, teraz ból do rzeczywistości ją zbudził.

— Piękną! — głos jej drży, łamie się bólem, gdy dorzuca ledwo dosłyszalnym szeptem. — Znasz... Lizę Corti?... może moja twarz ją przypomina...

— Okrutny żart... są rzeczy, z których żartować się nie godzi, nieszczęścia, których wspomnienie nawet w karnawałowej nocy wir padają cieniem.

Z piersi Lizy szept się rwie stłumiony.

— Widziałeś ja kiedy?

— Ja?... och, nie... nie miałbym odwagi, aby spojrzeć w twarz ludzką tak zeszpeconą... Widzisz, artystą jestem, dusza moja z podwójną siłą odczuwa piękno ludzkiego ciała: brzydota ból mi niemal fizyczny sprawia, nienawidzę wszelkich wybryków natury, linij krzywych, twarzy zeszpeconych...

Liza odczuwa dreszcz wstrętu, wstrząsający ciałem mężczyzny i dusza jej zamiera w bólu... Och! gdybyż jej, jak Giustinie Corti, serce pękło...

— Nie masz pojęcia, jaką rozkoszą dla mnie była chwila spotkania ciebie. Każda linia twojego ciała, to poemat... i gdybyś zdjęła maskę...

— Tajemniczość ma swój urok, signore... nie dzisiaj... — lewa ręka Lizy podnosi się jak ku obronie.

— Ale jutro... prawda? Wszak przyjaźń nasza przetrwa i do jutra także... — nieprawdaż?...

— Jutro? tak, jutro także...

— Carissima mia! — ramię mężczyzny otacza kibić towarzyszki. Serce Donny Lizy bije nierównem, szalonem tętnem, jakiś słodki żar rozpala krew... mgła wzrok zasłania... Ciemnobłękitnych oczu para z taką miłością, pożądaniem zatapia się w jej źrenice. Misterja ludzkiego serca... zaczarowany, bajeczny świat.

— Jutro! ach jutro, nie myśleć o niem dzisiaj!

Ramiona jej nagle otoczyły szyję mężczyzny, przywarła cała do jego piersi, złote jej włosy jego usta całują gorące.

— Jakaś ty cudna, dziewczyno... Jak ja cię kocham i pragnę.

Usta jego tysiącem pocałunków ślizgają się po jej obnażonych ramionach... do szyi smukłej lgną, namiętny głos błaga:

— Precz z maską, kochanie! Usta mi twoje daj... usta twoje.

Szybkim jak myśl ruchem Donna Liza uwalnia się z jego ramion, w ciszy palmowego gaju... nienaturalny śmiech dźwięczy.

— Jutro... jedyny!

— Raz jeden pozwól mi w twarz twoją spoj rzeć śnie czarowny.

— Wyobraź sobie, że jestem posągiem bez głowy... Nie... nie... — tuli się znów do niego cała, widząc rozbłysłe gniewem oczy błękitne... — Jutro... jutro zobaczysz mnie całą... a teraz chodź... wracajmy do ludzi. Chodź... tańczmy, skąpmy się w śmiechu, jak w ożywczem źródle... chodź. Trzecia już bije, niedługo powrócić muszę do domu... Ach, tak szybko uciekają godziny, każde dziś, nim go wykorzystać zdołamy, jutrem się staje.

Wmieszali się w tłum tańczący... ramię jego otacza ją, unosi w szalonym tańca wirze, serce upaja rozkosz nieznana.

Czwarta bije... Donna Liza towarzysza swego w cień cyprysowej prowadzi alei.

— Odchodzę.

— Carissima... pozwól mi kształty twoje uwiecznić w marmurze... Pani moja, bóstwo... kochanie!

— Zgoda.

— Gdzie się zobaczymy?

— Czekaj mnie dzisiaj, w katedrze, wieczorem o szóstej... Poznasz mnie?

— Twoich kształtów królewskich miałbym zapomnieć, nie poznać? nigdy!

Na krótką chwilę ramiona jej otaczają jego szyję... Zdawało mu się... czy naprawdę krótkie, głębokie łkanie wysmukłą wstrząsnęło postacią. Chciał pytać, ale szybko odwróciła się i zanim pójść zdążył za nią, jak cień zniknęła w mroku.

* * *

Przed wielkim ołtarzem światła płoną... wtulona w kąt najciemniejszy kobieca postać stoi, drżące dłonie do szalejącego serca tuli. Czarny płaszcz z kapturem wysmukłą postać okrywa, noszą go wszystkie ofiary trądu, z otworów kaptura patrzą oczy złotawo-czarne, bolesne.

Donna Liza czeka... pragnie zobaczyć raz jeszcze tę młodzieńczą postać, tych oczu ciemnobłękitnych głębię.

— Czy przyjdzie?

— A jeśli przyjdzie?

Kroki... Wysoka, smukła postać mężczyzny stoi w progu, ciemny strój uwydatnia kształtną postać, na białą kresę opadają loki złociste, śmieją się oczy, usta... Uważnem, badawczem spojrzeniem oczy jego przebiegają ciemnawą nawę kościoła, przez chwilę zatrzymują się na ciemnej postaci Donny Lizy i ona widzi ten sam mimowolny odruch wstrętu, który odczuła wczoraj. Młody artysta szybko odwraca spojrzenie, niecierpliwie bawi się róż purpurowych wiązanką.

W sercu Donny Lizy ostatni, szalonej nadziei błysk gaśnie... nie uwieczni jej kształtów jego dłuto w marmurze, wstręt, który czułby patrząc na jej twarz maską pokrytą, nie dozwoliłby mu odczuć piękna jej kształtów.

A ona... ona miała nadzieję przed chwilą jeszcze.

Szalona! szalona...

Szalony ból szarpie jej sercem, teraz dopiero pojęła całą nędzę swego istnienia, całą niedolę swoją.

Zdaje jej się, że głos namiętny słyszy:

— Boskie kształty twoje poznam wszędzie...

A oto stoją tak blisko siebie... Minuta mija za minutą, z nerwowym niepokojem młodzieniec w bramę katedry patrzy i w miarę jak czas uchodzi, wyraz oczekiwania znika z jego rysów, ustępując miejsca podrażnionej miłości własnej... Zadrwiono sobie z niego!

Błękitne oczy straciły łagodny, rozkochany wyraz, stalowe błyski gniewu migocą w nich. Donna Liza na kolana się osunęła, jej szeroko rozwarte źrenice w twarz ukochaną patrzą, pragną każdy rys tej męskiej głowy zachować w pamięci, swój szczęścia sen, krótki, jedyny...

Siódma bije wolno... uroczyście.

Purpurowych róż wiązanka upadła na marmur posadzki, w bezsilnej wściekłości noga mężczyzny zdeptała kwiaty rozwite, dar swej miłości. Jeszcze jedno spojrzenie rozdrażnionego lwa i odchodzi...

I nigdy... już nigdy...

Donna Liza do porzuconych przywlokła się kwiatów, usta jej do zmiażdżonych przywarły kielichów... jakaś mgła nieprzenikniona zasnuła wzrok, spazm serce schwycił...

Białe palce wpiły się w marmur posadzki i... stężały.

* * *

Drugiego dnia w tej samej katedrze spoczywało w trumnie jedyne dziecię Pietra Corti, maska twarz kryła, grecka szata miękkiemi zwojami otaczała kształty cudne, w złocistych włosach pereł się wiły sznury, na sercu, jak krwawa plama, zdeptanych róż widniała wiązanka.

— Wyszła w ostatnią noc karnawałową, by chociaż raz życia użyć, signore i serce jej pękło... jak Giustynie Corti — objaśniał szeptem stary klucznik cudzoziemca-artystę u zwłok Donny Lizy.

AFORYZMY

"Każdy kto rolę uprawia, ma prawo jeść chleb ze swej roli".

Henryk Sienkiewicz

* * *

"Polityka wydaje mi się wielkim kołowrotem, do którego wprzężono setki ludzi, a wszystko to ma na celu podnieść muchę".

Clemenceau

* * *

"Gdy w życiu mądra spotka cię przestroga: głową muru nie przebijesz — nie wierz jej".

J. Piłsudski

* * *

"Gdy się czasem Polka Panu Bogu uda, to już mówiąc poprostu, klękajcie narody". H. Sienkiewicz

* * *

"Nie spierajcie się z cudzoziemcami rozumowaniem i gadaniem, bo wiecie, iż gadatliwi i krzykliwi są, jako chłopięta w szkole, a najmędrszy nauczyciel nie przegada jednego zuchwałego i języczliwego chłopięcia". A. Mickiewicz

* * *

"Naszą społeczność odbudują przyszłe pokolenia — nie brzuchate, nie dobroduszne, nie gadatliwe, nie łase na rozkosze zmysłów i na przyjemności życia, nie niby do wszystkiego dobre, a do niczego nie zdolne — tylko twarde, uporne, milczące, fachowe".

H. Sienkiewicz

* * *

"Wirtuoz ma się lepiej niż kompozytor; nabywca wynalazku — lepiej niż wynalazca; księgarz — lepiej niż piszący książki; fabrykant lepiej niż robotnik; wydawca tłumaczeń lepiej niż tłumacz i niż autor; człowiek ma się lepiej niż Bóg". Jan Lemański

"Czucie łączności z rodakami, żyjącymi wśród obcych, jest nakazem i serca i rozumu".

Kazimierz Bartel

* * *

"Z zamierzeń, jakie na polu łączności z emigracją corychlej wykonać należy, uważamy za najważniejsze: pchnięcie na właściwe tory kwestji szkolnictwa na wychodźtwie i wprowadzenie do szkół w Polsce nauki o Polakach na obczyźnie. Stanisław Gąsiorowski

* * *

"Istnienie emigracji oznacza głęboki przewrót w pojęciach ludowych, wskazuje bowiem, że ten lud, który z fatalizmem indyjskiego buddysty poddał się losowi, który ginął i marł na miejscu, skoro nie miał środków istnienia — zerwał się z całą świadomcścią do walki z życiem i jego trudnościami".

Stanisław Szczepanowski

* * *

"Politycy przedstawiają nam swe rozległe czyny, jako ziszczenie wielkich przeznaczeń i dążenie do ideału, gdy tymczasem motywem ich bywa częstokroć ambicja, czy namiętność osobista.

La Rochefoucauld

* * *

"Są słowa, które przeszywają serce, lecz bez których serce byłoby pustynią nienawiedzaną nawet przez boleść; jedno z nich: Ojczyzna".

"Jakkolwiek srogą i niesprawiedliwą byłaby dla nas Ojczyzna, nie przestaje być matką, na którą gniewać się i której usług odmawiać nie wolno". Eliza Orzeszkowa

Janina Kras

Józef Dietl

Józef Dietl urodził się 24 stycznia 1804 r. w Podburżu (w samborskim). Pochodził z rodziny niemieckiej. Jego dziadek Jan Jerzy był oficerem austriackim. Do Galicji przybył z Węgier po I Rozbiorze Polski (po 1872), babka — Niemka, z domu Retschratner. Ojciec Dietla Franciszek, urzędnik galicyjski, ożeniony był z ubogą szlachcianką Anną z Kulczyckich. Rodzice Józefa Dietla, choć ubodzy, obarczeni licznym potomstwem (9 dzieci; 7 synów i 2 córki) byli na wskroś przesiąknięci duchem religijnym i patriotycznym; tegoż ducha usiłowali przelać na swoje dzieci.

Józef Dietl szedł poprzez życie o własnych siłach. Bowiem w wieku zaledwie 4.5 lat utracił ojca. Szkołę początkową (elementarną) rozpoczął w Samborze, kontynuował ją w Tarnowie i w Nowym Sączu, gdzie z wynikiem celującym ukończył gimnazjum.

W roku 1821 rozpoczął studia na Uniwersytecie Lwowskim. Z wynikiem celującym ukończył trzech letni kurs filozoficzny. Swymi zdolnościami zwrócił na siebie uwagę prof. matematyki Franciszka Kodescha. Tenże polecił mu udzielanie lekcji z matematyki w jednej z sal uniwersyteckich. Z miejsca młodziutki Dietl znalazł wielu uczniów. Lekcje jego cieszyły się tak dużym powodzeniem, że szybko zdobył odpowiednią sumę pieniędzy, która ułatwiła mu rozpoczęcie, w roku 1823, studiów w Uniwersytecie Wiedeńskim na Wydziale Lekarskim; tego wydziału nie posiadał Uniwersytet Lwowski. Podczas studiów dorabiał sobie jako prywatny nauczyciel, udzielając korepetycji. W rok później (1824) otrzymał stypendium od Stanów galicyjskich (400 złr.). Dzięki temu mógł więcej czasu poświęcić umiłowanym przez siebie studiom medycznym i nauce języka francuskiego.

Uniwersytet Wiedeński był wówczas jednym z najbardziej modnych uniwersytetów europejskich. Słynął z wysokiego poziomu nauk lekarskich i przyrodniczych. W nim zdobywały wiedzę najwybitniejsze gwiazdy świata naukowego. Nic dziwnego, że Józef Dietl był zachwycony poziomem i atmosferą tegoż uniwersytetu. W 1829 roku, po 5 latach studiów, zdał świetnie końcowe egzaminy. Jako lekarz zaczął praktykować jeszcze przed uzyskaniem doktoratu. Z miejsca zyskał sobie zaufanie pacjentów.



Józef Dietl jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Powołano go na lekarza domowego ówczesnego prymasa Polski arcybpa Jana Pawła Woronicza, który w tym czasie przybył do Wiednia na dłuższe leczenie, oraz na asystenta przy katedrze historii naturalnej szczegółowej (dziś mineralogii i zoologii).

W roku 1829 otrzymał dyplom doktora medycyny na podstawie rozprawy w języku niemieckim, z łacińskim tytułem na okładce: "Discertatio inaugguralis medico sistens quaedam circa Medicinae securitatem (Vindobonae 1829).

Sława naukowa Dietla

W 1833 roku, po niepowodzeniach w związku z ubieganiem się o katedrę zoologii i meneralogii w Uniwersytecie Padewskim zrezygnował z asystentury i objął posadę lekarza policyjnego na przedmieściu Wiednia zwanym Wieden. Tu szybko zasłynał jako utalentowany lekarz. Wkrótce został prymariuszem (1841 r.) nowo-

powstałego szpitala na tymże przedmieściu, a w 1848 roku jego dyrektorem.

Bibl. Jag. Rozgłos i sławę przyniosła mu wydana w 1843 roku w jednym z czasopism wiedeńskich, rozprawa "Beobachtungen ueber den Typhus nach den Ergebnissen der vorjuehrigen Epidemie im Wiener Politzeibezirke Wieden. Jeszcze większą popularność dała mu praca pt. "Praktische Wahrnehmungen nach den Ergebnissen im Wiedner Bezirkskrankhause (1845), w której wystąpił jako herold nowej szkoły lekarskiej wiedeńskiej, na czele której stali dwaj wielcy uczeni: anatompatolog K. Rokitansky i klinicysta J. Skoda. Oni to wraz z Dietlem byli duszą i filarami tejże szkoły.

Dietl zamanifestował w niej nowy kierunek reformy medycyny polegający na wprowadzeniu do niej nauk przyrodniczych. "Reforma w medycynie jest nieunikniona — pisał. Tylko to co jest na podstawie nauk przyrodniczych ugruntowane i z nich da się sprawdzić, może znaleźć w medycynie zastosowanie. . . Lekarza oceniać należy według jego wiedzy, a nie według skutku jaki osiąga w leczeniu. W lekarzu cenić należy badacza przyrody, a nie jednostkę oddaną sztuce leczenia. . . Dopóki medycyna będzie pozostawała sztuką, dopóty nie stanie się nauką. . . W wiedzy, a nie w działaniu leży nasza siła." Głównym celem medycyny, według niego, powinna być racjonalna terapia.

Podobne stanowisko zajął w rozprawie "Anatomische Klinik der Gerinkrankheiten (Wien 1846), w której zawarł własne uwagi nad chorobami mózgu w oparciu o doświadczenia, zestawiając je z pojęciami o nich ze stanowiska anatomiczno-patologicznego. Szczyt naukowej sławy osiągnął w roku 1849 wydaniem klasycznego dzieła "Der Aderlass in den Lungenentzundungen klinisch und physiologisch erortert (O upuście krwi przy zapaleniu płuc ze stanowiska kliniczno-fizjologicznego w oparciu o ponad tysięczne własne spostrzeżenia.). W rozprawie tej w sposób przekonywujący nie tylko wykazał szkodliwość upustów krwi stosowanych przy zapaleniu płuc od niepamiętnych czasów, ale wyjaśnił, dlaczego lekarze fałszywie oceniali skuteczność puszczania krwi w czasie tej choroby. Było to klasyczne dzieło w historii medycyny, którym Dietl utorował sobie drogę do katedry uniwersyteckiej.

W roku 1850 rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Józef Majer w związku z zawakowaniem katedry patologii i terapii, wskutek odejścia w stan emerytalny Józefa Brodowicza, zabiega o pozyskanie dla Uniwersytetu Józefa Dietla, który posiadał już wówczas tak wielką sławę naukową jakiej nie osiągnął przed nim, ani po nim żaden z lekarzy polskich XIX wieku (A. Wrzosek, Listy B. Langenbecka i J. Henlego do Józefa Dietla. Arch. Hist. i Fil. Medycyny 19, 1927 t. VI, s. 80; Kronika Uniw. Jag. od roku 1864 do roku 1887. Kraków 1887, s. 13). Rząd austriacki mniemając, że kandydat jest Niemcem i przyczyni się do zgermanizowania uczelni, zatwierdził go już dnia 26 marca 1851 roku. Nie zapominajmy, że lata 50-te XIX wieku, w dziejach Galicji, to lata straszliwej germanizacji, walki z językiem polskim, kulturą i wszelkim przejawem ducha narodowego polskiego. Nominacje na profesorów uzależniano nie od kwalifikacji i dorobku naukowego, lecz od zaangażowania politycznego. Kandydat musiał być politycznie pewny, oddany Austrii, a jego udział w jakiejkolwiek akcji o charakterze narodowym, przekreślał wszelkie szanse na przyszłość (S. Estreicher, Znaczenie Krakowa dla życia narodowego polskiego w ciągu XIX wieku. W: Kraków w XIX w. t. I, Bibl. Krak. nr 72, Kraków 1931, s. 33).

Dietl katedrę medycyny wewnętrznej wraz z kliniką lekarską i z obowiązkiem nauczania anatomii patologicznej, objął dnia 12 maja 1851 roku; (anatomii patologicznej miał nauczać tak długo, dopóki katedra tego przedmiotu nie zostanie obsadzona). Rok ten stanowi przełom tak w życiu osobistym Dietla jak i w dziejach samego Uniwersytetu Jagiellońskiego (Bibl. PAN Kr, rkps 3172. Varia z papierów E. Munnicha). Kierował on katedrą w okresie największego nasilenia germanizacji, usuwania z katedr profesorów Polaków, a obsadzania ich przez Niemców, zawieszenia samorządu Uniwersytetu, wreszcie wprowadzenia, w roku 1854, języka niemieckiego jako wykładowego. Dietl nawet wówczas, gdy z konieczności musiał prowadzić wykłady w języku niemieckim, z chorymi rozmawiał po polsku, co miało doniosłe znaczenie dla studentów i dla zachowania tradycji narodowych.

Obdarzony niepospolitym talentem pedagogicznym, wielką inteligencją i dużym zasobem wiedzy, przedsiębiorczością i odwagą, stał się najwybitniejszym profesorem nie tylko Wydziału Lekarskiego, ale całego Uniwersytetu Jagiellońskiego, kładąc ogromne zasługi jako obrońca i szermierz języka polskiego. W latach 1856-1860 był dziekanem Wydziału Lekarskiego, z nominacji rządu austriackiego. Godność tę umiał należycie wykorzystać dla dobra Uniwersytetu, walcząc z katedry uniwersyteckiej i trybuny sejmowej, słowem i piórem o przywrócenie uczelni pełnych praw narodowych i naukowych. We wspomnieniach Jana Gawlika, jego ucznia, czytamy: "Dr Józef Dietl najsłynniejszy w Wiedniu lekarz-klinicysta, przysłany stamtąd, przez rząd austriacki do Krakowa dla stanowczego zniemczenia Uniwersytetu Jagiellońskiego, stał się dziwnym

narzędziem losu tak dla Uniwersytetu jak i w ogóle dla Krakowa, prawdziwie opatrznościowym mężem-patriotą. Jemu to zawdzięczamy przede wszystkim przywrócenie nam języka polskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim" (J. Gawlik, Nieco pobieżnych wspomnień uniwersyteckich o moich profesorach: Józefie Dietlu i Antonim Bryku. W: Arch. Hist. i Fil. Medycyny 1929 t. IX, s. 221).

Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Dietl nawet tak dalece pozyskał sobie zaufanie grona profesorskiego i Senatu Akademickiego, że w roku 1860, z chwilą przywrócenia Uniwersytetowi samorządu, został pierwszym, z wyborów, dziekanem Wydziału Lekarskiego, a w roku 1861 rektorem tegoż Uniwersytetu. On to właśnie był duszą komisji powołanej w listopadzie 1860 roku przez ministra A. Głuchowskiego, złożonej z rektora i czterech profesorów uniwersyteckich, mającej na celu przeprowadzenie opinii o konieczności wprowadzenia języka polskiego jako wykładowego.

Rektorstwo Dietla przypadło na chwile przełomowe w dziejach Uniwersytetu Jagiellońskiego, na okres jego organizacji i ustalania autonomii. Dzięki takiej osobistości, jaką był Dietl, Uniwersytet mógł wystąpić i rzeczywiście wystąpił z projektami gruntownych reform (Czas 1861 nr 234; A. Chmiel, Dietl jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. W: Józef Dietl pierwszy prezydent m. Krakowa znakomity lekarz profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego patriota Polski. Kraków 1928, s. 111, 113). Jego szeroki program rozwoju uczelni szedł w kierunku stworzenia z niej ośrodka naukowego i ogólnopolskiego ogniska oświaty i wiedzy dla wszystkich ziem polskich. W tym celu dążył on do przywrócenia dawnej jej świetności, powierzenia katedr najwybitniejszym znakomitościom naukowym (Antoni Zygmunt Helcel, Karol Gilewski, Julian Dunajewski, Fran. Karliński, Ludwik Teichmann itp.) "Rok 1854 pozbawił nas niemal wszystkich swobód, wydalił 4 profesorów znakomitych i wielce ulubionych rodaków (A. Z. Helcel, A. Małecki, W. Pol, J. Zielonacki) i poddał pod kuratorstwo. Rok 1854 ostatni zadał cios — mówił — bo wywłaszczył z języka narodowego. Uniwersytet nasz przestał być ogniskiem spokojnie i zgodnie do jednego celu dążących sił naukowych, lecz stał się opłakanym pobojowiskiem burzliwego szermierstwa tych obcych i zapamiętałych przybyszów, którym nic o podźwignięcie oświaty krajowej, ale o zgwałcenie naszej narodowości chodziło. Nie jest on wysoką szkołą tylko dla Krakowa i dla Galicji. Jest on raczej ogniskiem oświaty dla wszystkich ziem polskich od Wisły aż ponad brzegi Niemna i Dunaju. Niech nasz Uniwersytet będzie jedną pochodnią dla wszystkich ziomków wyższego oświecenia pragnących, niech będzie wielkim sztandarem, pod którym wszyscy zwolennicy nauki ze wszystkich ziem polskich snadnie gromadzić się mogą. Bo czyż podobna — mówił dalej — ażeby teraz, gdy Uniwersytet Krakowski stał się uniwersytetem polskim, młodzież usuwała się od tego ogniska oświaty narodowej, od tej szkoły, która niegdyś w całej Europie jaśniała, która ojców naszych przez wieki wychowywała, ojców uczonych, mężów stanu, wysokich dostojników, arcypasterzów i bohaterów, co byli chlubą i dumą narodu. Czy Francja, Belgia i inne kraje jeszcze nadal mają być kolebką nauki dla naszych dzieci? Czy teraz gdy Uniwersytet Krakowski wszelkich dokłada usiłowań, by dawną swoją sławę odzyskał i odpowiedział wszelkim wymogom nauki, Polacy obcych jeszcze szukać będą uniwersytetów"? (Mowa Inauguracyjna Dietla z 1861 r. Zob. Czas z dnia 31. X. 1861 r, nr 251).



Pomnik Józefa Dietla na Placu Wiosny Ludów w Krakowie

Obrońca praw języka polskiego

Dietl był gorącym obrońcą praw języka polskiego, unarodowienia Uniwersytetu oraz całego szkolnictwa galicyjskiego. Wyrazem tego są liczne jego artykuły na łamach Czasu zamieszczane w latach 1862-1864. Jest jednym z członków, jak już wspomniano, komisji uniwersyteckiej do Wiednia żądającej przywrócenia praw językowi polskiemu.On to w 1861 roku jako poseł przeprowadził w sejmie konkluzję o częściowym wprowadzeniu języka polskiego jako wykładowego do studiów uniwersyteckich i usunięcia tych wykładowców, którzy nie znali języka polskiego. Żądał zwiększenia szkół ludowych i realnych, zreformowania lub usunięcia egzaminów dojrzałości, założenia akademii technicznej w Krakowie i we Lwowie z utworzeniem przy nich wydziału rolnicznego i leśnego, żądał również polepszenia bytu materialnego nauczycieli. W roku 1863 wysunął śmiałe postulaty uzdrowienia anormalnego stanu szkolnictwa galicyjskiego i uniezależnienia go od wpływów biurokracji przez powołanie do życia Komisji Edukacji Krajowej, w skład której mieli wchodzić reprezentanci władz centralnych i autonomicznych oraz przedstawiciele nauczycielstwa wszystkich szczebli szkół. Owocem tych zabiegów było powołanie do życia, w roku 1868, Rady Szkolnej Krajowej z siedzibą we Lwowie.

Instytucja docentów

Dietl jako rektor wprowadził po raz pierwszy w dziejach Uniwersytetu, instytucję docentów prywatnych, czyli bezpłatnych nauczycieli uniwersyteckich, kandydatów na przyszłych profesorów. Dotąd tytuł i funkcje docentów prywatnych były nieznane. W razie potrzeby mianowano odpowiednie siły naukowe w charakterze zastępców (suplentów), którzy z chwilą obsadzenia katedry, zwykle powracali do swych poprzednich zajęć. Pierwszymi nowohabilitowanymi docentami byli: Jan Kowalczyk (mechanika analityczna), Aleksander Kryda (chemia patologiczna i sądowa), Maurycy Madurowicz (choroby kobiece), Antoni Rosner (choroby skórne i weneryczne), Feliks Szlachtowski (postępowanie cywilne sądowe), Władysław Zajączkowski (wyższa matematyka), Fryderyk Zoll senior (prawo rzymskie).

Instytucja docentów stanowiła novum w dziejach Uniwersytetu. Zapewniała stały napływ nowego narybku naukowego na katedry. Miała doniosłe znaczenie nie tylko dla samego Uniwersytetu, ale w ogóle dla późniejszego szkolnictwa wyższego. Dzięki tej instytucji Uniwersytet Krakowski, po klęsce zaborców i odzyskaniu niepodległości (po 1918 roku) stał się jedynym rozsadnikiem młodych sił naukowych, którzy objęli katedry w nowopowstałych uniwersytetach polskich.

"Z prawdziwą przyjemnością przystępuję do skreślenia faktu, który historia naszej Wszechnicy nie bez poczucia dumy w księgach swoich zapisze—pisał sam Dietl. Mam tu na myśli instytucję docentów, która się w tym roku (1861/62) tak dalece rozwinęła iż najpiękniejszą wróży nam przyszłość. Dosyć było odezwać się do uczonych naszych rodaków i przedstawić im niezbędną potrzebę tej instytucji, ażeby ją w życie wprowadzić. W tydzień po ogłoszeniu rektor odebrał od 24 krajowych uczeńców oświadczenie, iż zamierzają sposobić się na docentów różnych umiejętności uniwersyteckich. Z tych 24 ochotników naukowych przedłożyło 12 przepisane rozprawy a z nich 9 odbyło już akt habilitacyjny" (A. Chmiel. Dietl jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, op. cit. s. 117-118). Siedmiu z tej grupy zatwierdziło Ministerstwo Wyznań i Oświaty w Wiedniu.

Zasługą Dietla jest utworzenie seminariów: historycznego i filozoficznego, organizacji studenckich o charakterze samopomocowym i filantropijnym jak: Czytelni Akademickiej i Bratniej Pomocy Studentów, oraz uzyskanie od rządu wiedeńskiego odpowiednich funduszów na dokończenie przebudowy i odnowienia Biblioteki Jagiellońskiej, reorganizacja Statutu Drukarni Uniwersyteckiej i przystosowanie jej do ówczesnych wymogów. Podniósł on splendor uroczystości inauguracyjnych przez ponowne wprowadzenie bereł i łańcuchów jako oznak władzy i godności akademickich. Przyczynił się także do wzrostu zasobów bibliotecznych, archiwalnych i muzealnych Uniwersytetu. Bowiem na jego wezwanie popłynęły nowe dary w książkach, rycinach, mapach, modelach itp. Dążył do stworzenia jak najlepszych warunków materialnych dla studiującej młodzieży.

Reorganizacja i rozwój kliniki chorób wenętrznych

Dietl położył wielkie zasługi dla podniesienia i zreoganizowania kliniki chorób wewnętrznych tzw. lekarskiej. Wprowadził szereg zmian nie tylko od strony organizacyjnej, ale i naukowej. Zaopatrzył ją w bibliotekę, powiększył Muzeum preparatów i modeli anatomicznych z 144 do 422. Czynności kliniki zawęził wyłącznie do chorób wewnętrznych i w myśl zasad szkoły wiedeńskiej stworzonej przez wspomnianego Karola Raki-

tanskiego i Józefa Skodę tzw. diagnostyki fizykalnej, oparł ją na anatomii patologicznej. Jako nowoczesny klinicysta pierwszy wprowadził fizyczny sposób badania chorych za pomocą auskultacji i perkusji tj. osłuchiwania i opukiwania przy pomocy słuchawki i pukadła, oraz sprawdzanie wagi chorych, mierzenie ciepłoty ciała, oględziny pośmiertne i leczenie chorób zapalnych bez upustu krwi, co stanowiło novum na ziemiach polskich, podczas gdy na Zachodzie metoda ta osiągnęła już pełny swój rozwój (Pamiętnik Jubileuszowy wydany na cześć Prof. E. Korczyńskiego. Kraków 1900, s. 151).

Powierzoną sobie klinikę podniósł do poziomu klinik europejskich, stwarzając z niej wzorową szkołę praktyczną dla kształcących się młodych lekarzy, zwalczającą pewne przesądy i zabobony jak np. o kołtunie, istniejącym w nauce polskiej od stu lat jako swoistej chorobie zakaźnej, któremu Dietl pierwszy wydał walkę i zwyciężył (J. Dietl, O kołtunie. Kraków 1857). Szkoła Dietla śmiało występowała przeciwko nieracjonalnym upustom krwi przy zapaleniu płuc. Wyjaśniała istotę malarii, wskazywał na zapobiegawcze przeciwko niej środki i w ogóle torowała drogę racjonalnej terapii w chorobach wewnętrznych. Dietl pierwszy zapoczątkował również badania kliniczne i wykłady z anatomii patologicznej w oparciu o najbardziej nowoczesne metody Zachodu. Podniósł do pierwszorzędnej rangi zarówo anatomię jak i chemię lekarską.

Usunięcie Dietla z katedry uniwersyteckiej

Dietl cieszył się wielkim uznaniem zarówno ze strony Uniwersytetu jak i społeczeństwa. "A takim dzielnym okazał się zwierzchnikiem Uniwersytetu, takim gorącym orędownikiem języka polskiego w Uniwersytecie i w całym szkolnictwie galicyjskim, że wysunął się na pierwsze miejsce w Uniwersytecie, usuwając nawet niejako w cień najpopularniejszego dotychczas wśród profesorów Majera, wielce dla Wszechnicy zasłużonego zwłaszcza w czasie trzechletniego urzędowania jako rektor" — pisał A. Wrzosek.

Ponownie wybrany przez Senat Akademicki (po raz trzeci) w roku 1865 nie został zatwierdzony przez rząd austriacki. Walka jaką prowadził z niemczyzną, stała się powodem jego niespodziewanego usunięcia w sierpniu tegoż z katedry uniwersyteckiej, bez podania jakichkolwiek przyczyn. Silne i stanowcze jego przemowy tak w sejmie lwowskim jak też w Radzie Państwa w Wiedniu w obronie autonomii galicyjskiej i praw języka polskiego były przyczyną tej niespodziewanej dymisji. "W ogóle w Wiedniu zawiedziono się podobno na Dietlu, gdy wysyłano go do Krakawa dla objęcia katedry profesorskiej — pisał Wrzosek. Sądząc po brzmieniu nazwiska i po długoletnim pobycie w stolicy Austrii, uważano go za Niemca, później dopiero z niemałym zdziwieniem przekonano się, że on nade wszystko miłował kraj, w którym się urodził i że nie tylko gotów był dla niego pracować, ale nawet w razie potrzeby śmiałym i wymownym słowem stawać w jego obronie". Fakt usunięcia go z katedry w 1865 roku był wielkim ciosem zarówno dla samego Dietla jak i dla Uniwersytetu Krakowskiego. Po dymisji oddawał się głównie sprawom społecznym i balneologii, nadal gorąco walcząc o prawa języka polskiego.

Późniejsze osiągnięcia naukowe i dydaktyczne Dietla

Dietl jest autorem szeregu prac naukowych, które swą tematyką sięgają jeszcze okresu wiedeńskiego m.in., "Kritische Darstellung europaischer Kranken haeuser (1853). Jest to owoc odbytej przez niego w 1846 roku podróży naukowej po Europie. Napisał też szereg aforyzmów klinicznych na ścisłych badaniach asnutych, w których zawarł w formie popularnej swe wieloletnie doświadczenie lekarskie. W 1855 roku wydał oryginalne dzieło "Antomia patologiczna", którą z radością powitał ówczesny świat nauki. Fryderyk Skobel pisał o nim: "... chcąc ziomków obeznać z nauką dotąd piórem polskim nietkniętą, osobliwie ze względu na wyrazownictwo, pierwsze jak mówię, łamać musiał lody... poczytuję sobie za nader miły obowiązek powinszować Mu tego tak porządnego ukończenie dzieła u nas zapewne na długo jedynego" (List Fr. Skobla z dnia 12. I. 1855 r. W: Bibl. PAN Kr rkps 6931. Fragment papierów N. Bątkowskiego). Z innych jego prac na uwagę zasługują rozprawy: O durzycy. Kliniczny wykład (1866), O cholerze. Kliniczny wykład (1865), O leczeniu gośćca stawowego (1863), Spostrzeżenia nad kołtunem (1862) itp.

Dietlowi nie obce były zagadnienia polityki i szkolnictwa. Nie kto inny, ale właśnie on był głównym szermierzem walki o słuszne prawa dla języka polskiego. Z jego rozpraw politycznych na uwagę zasługują m.in. broszura "Nie bójmy się włościan! (1861) oraz "Kogo mamy wybierać do sejmu?" (1867). Sympatyzował w nich z ludem wiejskim; pouczał, wskazywał właściwe drogi postępowania.

W latach 1865-1866 ukazuje się rewelacyjne jego dzieło "O reformie szkół krajowych," którego część I pt. "O szkole w ogóle jej zarządzie i języku nauczania", ukazała się w roku 1865, a w

rok później część II "O szkołach ludowych czyli początkowych," zaś dwie pozostałe części traktujące o szkołach średnich i akademickich nie doczekały się opracowania. Jest to wybitne dzieło w literaturze pedagogicznej szkolnictwa polskiego ogólnokrajowego. Cechuje je gruntowna znajomość zagadnień pedagogicznych i dydaktycznych, szeroka skala porównawcza tradycji pedagogicznych z epoki Komisji Edukacji Narodowej, głęboki humanizm i liberalizm. Na tym dziele kończy się kariera naukowa Dietla. Odtąd oddaje się wyłącznie pracy społecznej.

Doceniając wielkie i wzniosłe zadanie kobiety w życiu rodzinnym i społecznym, był gorącym szermierzem starannego i gruntownego wykształcenia dziewcząt. Dał temu wyraz w wspomnianej rozprawie "O reformie szkół". Wystąpił też z wnioskiem założenia w Krakowie żeńskiej szkoły średniej. Jego idea wkrótce zrealizowała się. Doskonale przygotowany grunt umiał wykorzystać Adrian Baraniecki, który w roku 1868 założył w Krakowie Muzeum Przemysłowe, a przy nim Kursy wyższe dla kobiet, stanowiące rodzaj żeńskiego uniwersytetu w "miniaturze", rodzaj akademii dla dziewcząt o charakterze półuniwersyteckim. Kursy składały się z Wydziału Literackiego, Nauk Przyrodniczych i Wydziału Artystycznego. Dawały kobietom wykształcenie ogólne i artystyczne. Były to jedyne kursy w Europie, podobne posiadał tylko Londyn. Powstały w okresie walki kobiet o emancypację, walki o dopuszczenie ich do studiów uniwersyteckich i stanowiły niezmiernie ważny krok w realizacji idei dopuszczenia kobiet do studiów wyższych. Wydały szereg wybitnych działaczek społecznych, uczonych i artystek.

Warto wspomnieć, że w latach 1862-1867 Dietl był jednym z inicjatorów, organizatorów i współredaktorów Przeglądu Polskiego, wychodzącego w Krakowie od kwietnia 1862 roku. Był to pierwszy fachowy tygodnik medyczny większej miary, dający przegląd osiągnięć lekarskich ogólno-polskich a nawet zagranicznych. Jego zadaniem było ożywienie życia naukowego medycznego w Polsce, czuwanie nad czystością języka i słownictwa lekarskiego.



Sukiennice po przebudowie oraz T. Pryliński ich budowniczy.

"Ojciec balneologii polskiej"

W roku 1815 powstało w Krakowie Towarzystwo Naukowe Krakowskie (nazwa od miejsca powstania), którego celem był rozwój nauki i oświaty. Z tego Towarzystwa powstała w 1873 roku dzisiejsza Polska Akademia Nauk. Wspomniane Towarzystwo Naukowe składało się z Wydziału Akademickiego i z Wydziału Rozszerzania Oświaty. Wydział Akademicki z kolei dzielił się na trzy oddziały: Oddział Nauk Moralnych, Nauk Przyrodniczych i Lekarskich oraz Sztuk Pięknych tzw. Komitet, który w 1850 roku przekształcił się w Oddział Archeologii i Sztuk Pięknych. W łonie każdego oddziału istniało szereg komisji specjalistycznych.

Towarzystwo Naukowe Krakowskie było pierwszą instytucją na ziemiach polskich, które w sposób zorganizowany zainicjowało działalność badawczo-naukową, konserwatorsko-archeologiczną i balneologiczną.

Dnia 11 stycznia 1858 roku Oddział Nauk Przyrodniczych i Lekarskich powołał do życia, na wniosek lekarza Fr. Skobla, Komisję Balneologiczną, komisję ogromnie zasłużoną w dziejach lecznictwa polskiego. Jej celem było nie tylko badanie, opisywanie właściwości wód mineralnych krajowych, opieka nad zdrojowiskami, służenie fachową radą, ale troska o podniesienie polskich uzdrowisk do rangi zdrojowisk zagranicznych, bliższe zainteresowanie nimi społeczeństwa i ich wykorzystywanie, w miejsce masowych dotąd wyjazdów kuracyjnych za granicę.

Niezmiernie ważną rolę w Komisji Balneologicznej odgrywał Józef Dietl. Po zwiedzeniu w latach 1854-1856 najważniejszych zdrojowisk krajowych i zagranicznych, doszedł do wniosku, że polskie wody w niczym nie ustępują zagranicznym. Odtąd stał się gorącym propagatorem ich rozwoju i udoskonalenia. Wydał szereg prac specjalistycznych z tej dziedziny jak "Uwagi nad zdrojowiskami krajowymi ze względu na ich skuteczność, zastosowanie i urządzenie" (1858), stanowiące cenny dorobek piśmiennictwa balneologicznego polskiego. Opisał i ogłosił drukiem szereg źródeł leczniczych w Szczawnicy, Iwoniczu, Krzeszowicach, Swoszowicach, Solcu, Krynicy, Żegiestowie, opisał zakład hydropatyczny w Ojcowie, wydał obszerną monografię Krynicy. Pierwszy z polskich balneologów

dokonał klasyfikacji wód leczniczych krajowych dzieląc je na siedem grup: szczawy alkaliczne i alkaliczno słone (Szczawnica, Krościenko), wody żelaziste (Krynica, Słotwina, Tylicz, Żegiestów i Koszów), wody gorzkie, zawierające siarczan sodowy i siarczan magnezowy (Truskawiec), jodowe (Iwonicz), słone (Bochnia, Wieliczka, Truskawiec, Drohobyczyn), siarczane (Swoszowice, Szkło, Krzeszowice, Dubień), pitne (Iwonicz, Truskawiec). W oparciu o dokonaną klasyfikację dał szczegółowe wskazówki odnośnie ich stosowania. Do lecznictwa wodnego, obok istniejących naturalnych kąpieli parowych (CO_2) wprowadził, na wzór zagranicy, kąpiele błotne, smołowe, z ługów, z wyciągów i igliwia oraz natryski. Przywiązywał wielką wagę do urządzeń technicznych i sanitarnych jako nieodłącznych środków racjonalnego przeprowadzania zabiegów balneoterapeutycznych. Był zwolennikiem inhalatoriów, zwłaszcza w Szczawnicy i w Iwoniczu. Doceniał również rolę i stanowisko lekarzy zdrojowych, którzy powinni nie tylko czuwać nad chorymi, ale być odpowiedzialnymi za całe uzdrowisko. Położył duże zasługi dla rozwoju Iwonicza, Rabki, Żegiestowa. Specjalną troską otaczał Krynicę i Szczawnicę, w których nie bez powodu, wdzięczne społeczeństwo, w centrach swych miast, wystawiło mu pomniki.

W roku 1859 był inicjatorem Spółki Zdrojowisk Krajowych (na wzór dzisiejszych związków zawodowych), której działalność przedstawił i spopularyzował w broszurze "O znaczeniu i przeznaczeniu Spółki Zdrojowisk Krajowych (1860). Słusznie też w historii medycyny polskiej Dietl, za ogromne zasługi wokół rozwoju, udoskonalenia, spopularyzowania polskich uzdrowisk, dotąd dziedziny tak zaniedbanej, zyskał zaszczytne miano "ojca balneologii polskiej". "Dr Dietl zanim nawet został burmistrzem miasta Krakowa, używał w Krakowie ogromnego miru — pisał K. Chłędowski — głównie zaś do tego przyczyniła się jego akcja, aby podnieść zdrojowiska krajowe, odciągnąć polską publiczność od wyjazdów do zagranicznych kąpieli i w ten sposób także ekonomicznie pomagać krajowi". (K. Chłędowski, Pamiętniki (wydał A. Knot). Kraków 1957, t.I,s. 175).

Prezydent miasta Krakowa

Z chwilą odzyskania przez Galicję autonomii, w 1866 roku na mocy uchwalonego przez sejm galicyjski statutu gminnego, rządy w Krakowie objęła autonomiczna rada miejska wybierana przez miejscową ludność. Rada miejska dokonywała elekcji prezydenta i wiceprezydentów, a na ich wniosek mianowała urzędników miejskich. Pierwszym autonomicznym prezydentem został wybrany właśnie Józef Dietl. Na tym odcinku położył wielkie zasługi. Zdziałał wiele. Za jego prezydentury nastąpił rozwój życia politycznego, intelektualnego i gospodarczego Krakowa. Zreorganizował on władze miejskie, zainicjował generalne uporządkowanie miasta, jego placów, ulic, dróg, budowę kanalizacji i wodociągów, podniósł podupadłe rękodzielnictwo, przystąpił do budowy nowych szkół, zakładu dla nieuleczalnie chorych, restauracji zabytków kultury narodowej m.in. Sukiennic, których odnowa trwała od 1868 aż do 1879. Uroczyste otwarcie odbudowanych Sukiennic na Rynku Krakowskim miało miejsce dnia 3.X. 1879 roku, w dniu Jubileuszu pracy naukowej wielkiego powieściopisarza Józefa Ignacego Kraszewskiego. Ponadto Dietl założył Muzeum Narodowe, dziś tak ważną placówkę naukową.

W okresie kilkudziesięciu lat swych rządów nie był on w stanie uskutecznić szeroko zakrojonego przez siebie planu przebudowy i rozbudowy Krakowa. Kontynuatorami tego planu byli jego następcy. Dietl zmarł 18 stycznia 1878 roku.

Społeczeństwo krakowskie, zwłaszcza świat nauki, uczciło zasługi naukowe i społeczne tego Wielkiego Człowieka w 1929 roku, tj. w 50-tą rocznicę śmierci, wydaniem znakomitej Księgi Pamiątkowej pt. "Józef Dietl pierwszy prezydent miasta Krakowa znakomity lekarz profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego patriota Polski". Kraków 1928, oraz Tablicą Pamiątkową zdobiącą salę wykładową kliniki wewnętrznej Akademii Medycznej w Krakowie. W dziesięć lat później (1928) wdzięczne miasto wystawiło Dietlowi okazały pomnik dłuta Ksawerego Dunikowskiego, zdobiący po dziś Plac Wiosny Ludów.

Janina Kras

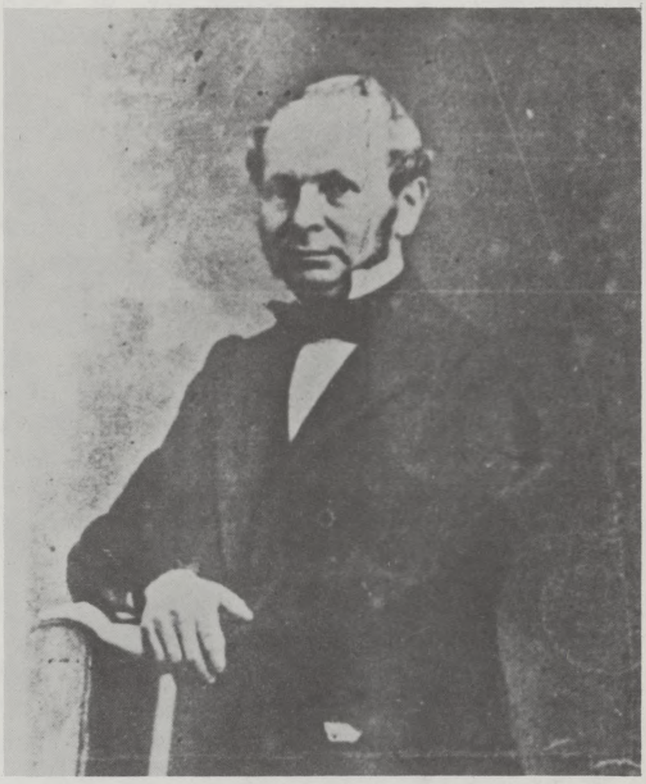
Józef Majer

LODA-EDWARD ROZANSKI COLLECTION
#55956

Józef Majer urodził się dnia 12 marca 1808 roku w Krakowie. Pochodził z drobnomieszczańskiej rodziny rzemieślniczej. Jego rodzice Jan i Marianna byli właścicielami zadłużonej kamienicy.

Pierwsze nauki pobierał prywatnie, zaś gimnazjum Św. Anny, najlepsze wówczas gimnazjum w Krakowie, ukończył maturą w roku 1824. W ciągu najbliższego roku zdołał ukończyć 2-letni kurs filozoficzny fizyki, matematyki i historii powszechnej na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i już w 1825 roku zapisał się na Wydział Lekarski. Tu zaprzyjaźnił się z Fryderykiem Skoblem. Przyjaźń ta przetrwała aż do końca ich życia. Wraz z swym przyjacielem Skoblem wyjechał do Warszawy w celu złożenia w Uniwersytecie Warszawskim końcowych egzaminów w nadziei znalezienia w Królestwie Polskim korzystnych warunków. W realizacji tych planów przeszkodził im wybuch powstania listopadowego. Niestety, musieli powrócić do Krakowa, gdzie z końcem grudnia 1830 roku złożyli na Uniwersytecie Jagiellońskim egzaminy ścisłe na stopień doktora. Po odbytej promocji dnia 12 stycznia 1831 roku, już 20 stycznia tegoż roku ponownie wyjechali do Warszawy, aby wziąść czynny udział w powstaniu. Zostali mianowani lekarzami batalionowymi. Majer służył jako lekarz sztabowy w 5-ej baterii lekkiej artylerii pieszej, a od 14 listopada 1831 roku jako lekarz sztabowy. Po klęsce powstania listopadowego, po przekroczeniu granicy pruskiej wraz z wojskiem, był internowany w Elblągu. Po zwolnieniu, dn. 18 grudnia tego roku, powrócił do Krakowa, gdzie osiadł na stałe, oddając się pracy naukowej i dydaktycznej.

W 1833 roku został zastępcą profesora farmakodynamiki przy katedrze Instytucji Lekarskich, obejmującej przedmioty przeznaczone dla lekarzy różnego stopnia, w 1835 roku profesorem nadzwyczajnym, wreszcie w 1848 roku zwyczajnym nowoutworzonej katedry fizjologii, na której z przerwą w latach 1854-1860, został jej pozbawiony wskutek germanizacji, pracował do roku 1877. Była to trzecia katedra na ziemiach polskich. Wcześniej taka katedra powstała we Lwowie (1784), następna w Wilnie (1804). Warto



Józef Majer

podkreślić, że Kraków wyprzedził pod tym względem o dziesięć lat Uniwersytet Berliński, wówczas jeden z najbardziej postępowych.

Już w latach 1838-1845 dał się poznać jako dobrze zapowiadający się uczony. W tym czasie ogłosił szereg rozpraw z historii medycyny, słownictwa lekarskiego i fizjologii. Niemal każda dziedzina życia społecznego nosiła na sobie znamię działalności Majera. W latach 1833-1845 był założycielem wraz z swym przyjacielem Fr. Skoblem "Rocznika Lekarskiego (ukazało się drukiem 7 tomów). W tym czasie sprawował nadzór nad szkołami początkowymi w Krakowie, w latach 1843-1845 pełnił funkcję sekretarza Wydziału Lekarskiego, później do roku 1848 dziekana tegoż wydziału, ponownie w roku 1863/64. W okresie najbardziej trudnym, w okresie germanizacji (lata 1848/49-1850/51 i w 1865) był rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w latach 1851/52-1852/53 prorektorem. W roku 1865 jako rektor Uniwersytetu był posłem na sejm

galicyjski lwowski. Od tej chwili przez 12 lat zasiadał w tymże sejmie w charakterze przewodniczącego Komisji Edukacyjnej. Następnie był wiceprezesem Rady Szkolnej m. Krakowa, od roku 1866 członkiem Rady Miejskiej. W roku 1869 w Krakowie, w 1875 we Lwowie i w 1884 roku w Poznaniu przewodniczył Zjazdom Lekarzy i Przyrodników.

W latach 1856-1860 był pierwszym w ogóle na ziemiach polskich wykładowcą antropologii (Bibl. PAN w Kr. rkps 2290 t. 1 k. 30. Pismo rektora P. Bartynowskiego z dn. 13.06 1856 r.) Dyscyplinę tę jako przedmiot uboczny a dla studentów nadobowiązkowy wykładał w języku polskim nawet w okresie największego nasilenia germanizacji. Były to jedyne wówczas na Uniwersytecie Krakowskim wykłady, obok wykładów Antoniego Kozubowskiego z anatomii porównawczej, w języku ojczystym. Cieszyły się one wielkim powodzeniem i frekwencją słuchaczy. "Majer mały człowieczek o niestosunkowo dużej głowie i cienkim głosie, drugi Thiers co do postawy, mówił bardzo pięknie, nadzwyczaj jasno — pisze K. Chłędowski — w najtrudniejszych nawet przedmiotach, a wykłady jego bywały zawsze wypadkiem dnia, bo rozprawiano o nich nawet w kobiecych towarzystwach" (K. Chłędowski, Pamiętniki, t. 1. wydał S. Kot., Kraków 1957, s. 134).

Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Odprężenie polityczne 1848 roku (Wiosna Ludów) poważnie wpłynęło na ożywienie życia



Collegium Novum U.J.

uniwersyteckiego zarówno pod względem organizacyjnym, naukowym jak i dydaktycznym. Już rok szkolny 1849/50 przyniósł dwukrotny wzrost studiującej młodzieży, z której szeregów w przyszłości wyłoni się wielu wybitnych uczonych.

W latach 1848-1852, wykorzystując sprzyjającą koniunkturę polityczną Uniwersytet Jagielloński pod kierunkiem wielkiego i wybitnego rektora Józefa Majera dąży do odnowy i rozbudowy swej uczelni. Nowoobrany rektor już w styczniu 1849 roku zabiega o pozyskanie przebywającego na emigracji wybitnego polskiego orientalisty Ignacego Pietraszewskiego, znanego w świecie naukowym z rozpoczętego przekładu dzieł historyków tureckich, właściciela kolekcji monet mameluckich i zbioru numizmatów arabskich. W latach 1848-1852 prowadzi starania o pozyskanie Adama Mickiewicza na katedrę literatury powszechnej i polskiej, opróżnioną w 1848 roku na skutek wyjazdu za granicę Michała Wiszniewskiego. Pertraktacje były daleko posunięte, lecz nie uzyskano zgody rządu austriackiego. Wśród kandydatów na tę katedrę znaleźli się: Bronisław Trentowski, lansowany przez młodzież w 1848 roku, Franciszek Wężyk, Wincenty Pol, Serweryn Goszczyński oraz Józef Ignacy Kraszewski, popierany przez ówczesnego dziekana Wydziału Filozoficznego Józefa Kremera. "Uniwersytet Jagielloński bardzo wysoko cenił katedrę polskiej literatury, uważał ją rzeczywiście za arkę przymierza między dawnymi a młodszymi laty i starał się ją oddać pisarzom, którzy w mniejszej czy większej mierze dawali rękojmię, że dorosną do swej niezwykłej roli". (K. Lewicki, Katedra Literatury Polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1803-1848. W: Dzieje Katedry Historii Literatury Polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, Kraków 1966, s.92). Kraszewski, ostatni kandydat z tej serii, zaproszenie na katedrę przyjął z wielką gotowością, podobnie jak wcześniej Mickiewicz. Uzyskał nawet zgodę rządu austriackiego. Niestety władze rosyjskie postawiły weto i odmówiły mu paszportu, jako byłemu spiskowcowi. Jego kandydatura została wznowiona w 1862 roku, lecz bez skutku. Katedrę objął ostatecznie nauczyciel gimnazjalny Karol Mecherzyński.

Wydział Lekarski również zabiegał o obsadę katedr przez wybitnych naukowców Polaków. W 1849 roku podjęto starania o powołanie z Berlina na katedrę anatomii patologicznej sławnego Roberta Remaka, a w 1851 roku — o powierzenie nowo utworzonej katedry okulistyki najwybitniejszemu uczonemu w tym zakresie, przebywającemu na emigracji, Wiktorowi Szokalskiemu (otrzymał ją Antoni Sławikowski). Na katedrę chorób wewnętrznych usiłowano pozyskać Adama

Raciborskiego, bawiącego wówczas w Paryżu, doświadczonego klinicystę i doskonałego organizatora. Rząd austriacki oddał ją Józefowi Dietlowi. Na katedrę historii medycyny Józef Majer starał się powołać Ludwika Gąsiorowskiego z Poznania, ale i tym razem władze austriackie nie wyraziły zgody, gdyż Gąsiorowski jako student brał udział w powstaniu listopadowym.

Nie zapominajmy, że był to okres straszliwej, najcięższej w Galicji germanizacji. Na szczęście krótko trwającej, w przeciwieństwie do innych pozostałych zaborów: pruskiego i rosyjskiego. Bowiem rok 1861 przynosi Galicji upragnioną autonomię.

W tym najcięższym dla języka i kultury narodowej okresie, nominację na profesorów uzależniano nie od kwalifikacji czy dorobku naukowego, lecz od zaangażowania politycznego. Kandydat musiał być pewny, oddany Austrii. Jego udział w jakiejkolwiek akcji o charakterze narodowym przekreślał wszelkie szanse uzyskania katedry uniwersyteckiej.

Wielkim osiągnięciem rektorstwa Majera było powołanie do życia w 1848 r. katedry geografii i powierzenie jej Wincentemu Polowi, znanemu powszechnie ze swoich poezji poecie, oraz katedry historii prawa polskiego z Antonim Zygmuntem Helclem. W 1850 roku pozyskał dla Uniwersytetu Antoniego Małeckiego znawcę filologii polskiej i jej historyka, oraz Józefata Zielonackiego prawnika, a w 1851 roku wspomnianego Józefa Dietla na katedrę chorób wewnętrznych. Były to gwiazdy świata naukowego polskiego, których usunięcie z Uniwersytetu przez rząd austriacki w 1853 roku przyniosło nauce niepowetowane szkody.

Majer doskonały organizator, pełen inicjatywy, umiał wykorzystać sprzyjającą koniunkturę polityczną dla rozbudowy i przywrócenia Uniwersytetowi dawnej świetności. On to zabiegał dla uczelni o odzyskanie zrabowanego przez zaborcę majątku, wzbogacił ją o nowe zbiory muzealne, a przede wszystkim przyczynił się do jej polonizacji. Był, obok Dietla, Kozubowskiego Skobla i innych, jednym z najbardziej zasłużonych obrońców praw języka polskiego.

W 1850 roku, po pożarze Krakowa, jako rektor położył duże zasługi w odbudowie miasta, zniszczonych zakładów naukowych. W 1853/54 z chwilą rozpętania straszliwej germanizacji, walki z tym wszystkim co polskie, pozbawienie Uniwersytetu języka polskiego jako wykładowego, Józef Majer z Antonim Kozubowskim (prof. Wydziału Lekarskiego) stanął ostro i zdecydowanie w obronie języka narodowego. Obydwaj zostali pozbawieni katedr. Dopiero w 1856 roku Majerowi pozwolono odbywać wykłady po polsku, ale nieobowiązkowe, z zakresu fizjologii i antropologii. Z chwilą odzyskania autonomii w 1861 roku powrócił na katedrę fizjologii.

Majer poza obowiązkami rektora i profesora działał na wielu innych odcinkach. Od 1860 roku był radcą miejskim m. Krakowa, w latach 1866-67 posłem na Sejm Krajowy początkowo jako rektor, a później jako poseł Sanoka i Krakowa. Na terenie sejmu galicyjskiego był bardzo czynny głównie w Komisji Szkolnej.

Prezes Towarzystwa Naukowego Krakowskiego

Majer nieocenione zasługi położył na polu Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, którego członkiem był od roku 1835. W latach 1848-1856 i 1860-1873 był jego prezesem. Była to wówczas jedyna i największa instytucja polska naukowa o



Gmach PAN przy ul. Sławskowskiej 17 w Krakowie

charakterze ogólnokrajowym, która w okresie zaborów odegrała niezmiernie ważną rolę narodową i badawczo-naukową. Towarzystwo Naukowe dzieliło się na Wydział Akademicki a ten z kolei na trzy oddziały: Oddział Nauk Moralnych, Nauk Przyrodniczych i Lekarskich, (tego właśnie oddziału Majer był przewodniczącym w latach 1856-1859), z Oddziału Archeologii i Sztuk Pięknych oraz z Wydziału Rozszerzania Oświaty, istniejącego zaledwie do roku 1852. Już w okresie pierwszej prezesury dokonał reorganizacji To-

warzystwa Naukowego, opracował nowy Statut przystosowując go do ówczesnych wymogów, pchnął Towarzystwo na nowe tory i przyczynił się znakomicie do jego rozwoju. Doprowadził do ukończenia jego gmachu w Krakowie (dziś ul. Sławkowska 17).

Dzięki Majerowi Towarzystwo Naukowe Krakowskie wkrótce stało się tak potężną instytucją naukową nie tylko o zasięgu krajowym, ale i zagranicznym (miało silne i żywe powiązania z różnymi towarzystwami naukowymi zagranicznymi), że w 1873 roku zostało przekształcone w Akademię Umiejętności, a w 1952 roku w obecną Polską Akademię Nauk, której kolebką był właśnie Kraków.

Po przekształceniu Towarzystwa Naukowego Krakowskiego w Akademię Umiejętności w 1873 roku, Majer był jej pierwszym i długoletnim prezesem (do 1890 roku). Jego prezesura w Akademii Umiejętności przypadła na najtrudniejszy okres ustalania podstaw organizacyjnych i materialnych tej nowej placówki naukowej. W krótkim czasie potrafił jej nadać wspaniały start organizacyjny i naukowy. Działał niemal w każdej komisji. Niezależnie od obowiązków prezesa osobiście kierował Komisją Językową i Antropologiczną. Wielką troską otaczał również Komisję Fizjograficzną, której był inicjatorem jeszcze na gruncie Towarzystwa Naukowego.

Osiągnięcia naukowe

Dorobek naukowy Majera był różnorodny. Zapoczątkowała go rozprawa doktorska wydana drukiem w 1833 roku "Commentatio medico practica exhibens synopsim methodorum tractandae syphilitio ope hydrargyri" (O leczeniu kiły rtęcią).

W pierwszym okresie jego działalności przeważały prace z dziedziny polskiego mianowictwa lekarskiego. Jak już wspomniano w latach 1838-1845 wspólnie z swym przyjacielem Fr. Skoblem wydawał Rocznik Wydziału Lekarskiego. Wspólnie opracowali polską terminologię lekarską, co było nie tylko zjawiskiem nowym, ale wprost pionierskim w całym tego słowa znaczeniu.



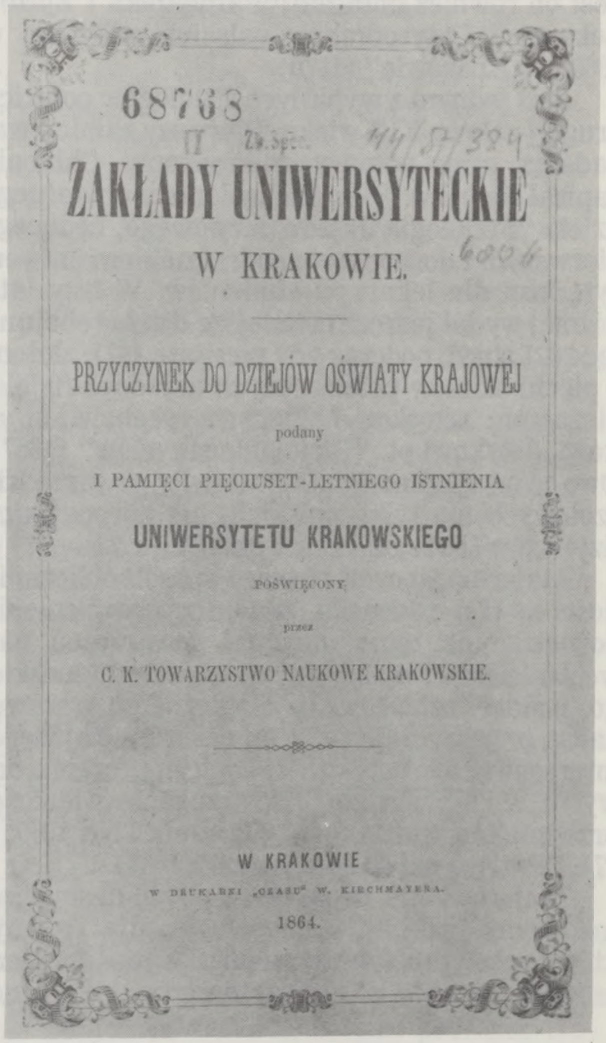
Sukiennice na Rynku Krakowskim widok ogólny

"Uwagi nad niektórymi wyrazami lekarskimi (1835) zapoczątkowały następne doniosłe prace m.in. "Słownik anatomiczno-fizjologiczny" (1838) ułożony alfabetycznie wg. nazw łacińskich z podaniem obok nazw polskich, stanowiący najcenniejszą pracę z tej dziedziny. W 1842 roku wydał "Niemiecko-polski słownik wyrazów lekarskich". Był współautorem "Słownika terminologii lekarskiej" (1881).

Drugą dziedziną zainteresowań Majera była historia medycyny, której był jednym z wybitnych reprezentantów. Pierwszy w oparciu o bazę źródłową dokonał krótkiej syntezy dziejów krakowskiego Wydziału Lekarskiego. Najcenniejszą jego pracą są: "Wiadomości o życiu profesorów Wydziału Lekarskiego w Uniwersytecie Jagillońskim" (1862). Zawarł w niej i zestawił chronologicznie urywkowe dotąd wiadomości biograficzne o profesorach krakowskich w oparciu o nieznany dotąd materiał rękopiśmienny. Pierwszy wskrzesił pamięć o Janie Innocentym Petrycym w rozprawie "Wiadomość o życiu i pracach naukowych Jana Innocentego Petrycego" (1841). Na tej właśnie pracy opierali się późniejsi biografowie Petrycego. Wydał również "Ustawy Wydziału Lekarskiego z 1432 roku," oraz z lat 1525, 1536, 1724, "Uchwały względem lekarzy za granicą pobierających nauki i za powrotem trudniących się leczeniem z r. 1511", "Wykaz doktorów i profesorów medycyny w Uniwersytecie Krakowskim od czasów najdawniejszych aż do reformy Kołłątaja", "Kilka szczegółów przy ubieganiu się o miejsca w Wydziale z XVI i XVII stulecia". Ciekawy obraz zwyczajów uniwersyteckich w XVII wieku daje jego pióra "Pamiątka z egzaminów i obrządków przy udzielaniu stopni naukowych w medycynie z początkiem XVII stulecia". Podobny charakter posiada praca "Gorliwość dra Jana Zajączkowskiego w utrzymaniu praw, godności i należytej działalności Wydziału Lekarskiego".

Na uwagę zasługują również prace biograficzne Majera poświęcone wybitnym lekarzom polskim, głównie profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego, oparte na dogłębnej analizie źródłowej. Stanowiło to novum w nauce polskiej. Najcenniejsze, z nich jego pióra, są życiorysy jak: "Zawód lekarski Jana Broscjusza" (1842), "Wspomnienia o życiu i zasługach nauczycielskich Wojciecha Jerzego Boduszyńskiego" (1843), "Wspomnienie o życiu Krzysztofa Najmanowicza" (1844), "Kilka wiadomości o Walentym z Lublina i Walentym Fontanie" (1845). Krytycznie ujęte życiorysy lekarzy polskich, stanowią trwały wkład do dziejów medycyny w Polsce.

W 1850 roku ukazała się syntetyczna rozprawa źródłowa "Stan Wydziału Lekarskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim od początku tegoż do roku 1847" (1849). Omówił w niej historyczne dzieje Wydziału od jego początków aż do przyłączenia Rzeczypospolitej Krakowskiej do Austrii. Monografiami: "Obraz postępu nauki lekarskiej o ile nań wpłynęły pisma polskie lub przez Polaków w trzech ostatnich latach wydane (tj. w latach 1838-1840), oraz w latach 1841-1843 (1840, 1843), w których dokonał podsumowania i oceny dorobku naukowego polskich lekarzy z okresu sześciu lat, zainicjował polską bibliografię lekarską.


68763

ZAKŁADY UNIWERSYTECKIE

W KRAKOWIE.

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW OŚWIATY KRAJOWEJ

podany

I PAMIĘCI PIĘCIUSET-LETNIEGO ISTNIENIA

UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

POŚWIĘCONY

przez

C. K. TOWARZYSTWO NAUKOWE KRAKOWSKIE.

W KRAKOWIE

W DRUKARNI „CZASU" W. KIRCHMAYERA.

1864.

Karta tytułowa monografii, "Zakłady uniwersyteckie w Krakowie."

W 1864 roku pod redakcję Majera ukazała się cenna monografia "Zakłady uniwersyteckie w Krakowie" (1864), poświęcona dziejom naukowym Uniwersytetu. Ponadto ogłosił szereg rozpraw odnośnie Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, późniejszej A. U. Spośród nich na uwagę zasługuje "Pogląd historyczny na Towarzystwo Naukowe Krakowskie z czasu jego związku z Uniwersytetem Jagiellońskim" (1858), obejmujący dzieje Towarzystwa Naukowego od chwili jego oddzielenia się od Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1856

roku, aż do momentu przekształcenia go w 1873 roku w Akademię Umiejętności. Jej uzupełnienie stanowi rozprawa "Stanowisko c.k. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego wobec nauki i kraju" (1868).

Majer interesował się również weterynarią, czemu dał wyraz w rozprawie "Projekt urządzenia służby weterynarskiej w kraju Wolnego Miasta Krakowa podany i poprzedzony historyczną wiadomością o urządzeniach służby weterynarskiej w kraju naszym dotyczących" (1842). Jest on również autorem "Pamiętnika I Zjazdu Lekarzy i Przyrodników polskich odbytego w 1869 r. w Krakowie" (1870).

Jest jednym z wybitnych fizjologów polskich drugiej połowy XIX wieku. Pierwszy zainicjował badania przy pomocy mikroskopu. Chlubnie zapisał się już w 1854 roku wydaniem obszernego dzieła "Fizjologia układu nerwowego, będącego pierwszym i doskonałym podręcznikiem uniwersyteckim dla lekarzy i studentów. W trzy lata później wydał jeszcze cenniejsze dzieło (obejmujące 621 stron, podczas gdy pierwsze 487), złożone z pięciu działów poświęconych układowi fizjologicznemu: wzrokowi, słuchowi, węchowi, smakowi, dotykowi pt. "Fizjologia zmysłów" (1857). Dwa te oryginalne dzieła postawiły go w rzędzie czołowych nie tylko polskich, ale europejskich fizjologów (Przegląd Lekarski 1899 nr 28).

Majer opracował również sposób obliczania ilości krwi u człowieka, zbadał wpływ ciśnienia powietrza na tętno, dokonał spostrzeżeń nad wchłanianiem i wydzielaniem organizmu ludzkiego, poddał rozbiorowi fizjologicznemu wprawę, nałóg, przyzwyczajenie. Z tej dziedziny najwięcej interesował się optyką fizjologiczną, czemu dał wyraz w rozprawach: "Dostrzeganie wielkości przedmiotów widzianych" (Rocznik TNK 1860. t. 27), "Przyczynki do optometrii" (1863).

Majerowi nie obcą była, nowa dyscyplina medycyny polskiej, antropologia, dla rozwoju której położył znakomite zasługi. Wydał drukiem szereg rozpraw o charakterze statystyczno-antropologicznym. Zainicjowała je wydana w 1838 roku praca "O różnicy osobniczej jako przyczynek do nauki o temperamentach i konstytucjach" oraz obszerna rozprawa z 1845 roku "Wpływ stanu meteorologicznego na śmiertelność oceniony według dziesięcioletnich spostrzeżeń w Krakowie" (1845). Stanowiły one zapowiedź późniejszych jego prac o tematyce już ściśle antropologicznej, z których na uwagę zasługuje szczególnie rozprawa "O temperamentach" (1838, 1867), "Postać Kazimierza Wielkiego według pomiarów dokonanych przy przekładaniu szczątków jego w dniu 7 lipca 1869 roku oznaczona" (1870). W roku 1877 wydał wspólnie z Izydorem Kopernickiem najobszerniejszą i najcenniejszą pracę antropologiczną pt. "Charakterystyka fizyczna ludności galicyjskiej na podstawie spostrzeżeń dokonanych za staraniem Komisji Antropologicznej".

Wśród różnorodnych zainteresowań Majera znalazła się i muzyka. W życiu prywatnym był pianistą i kompozytorem-amatorem. Wraz z swym bratem Wojciechem organizował w swoim domu tzw. "czwartkowe wieczorki" muzykalne o charakterze naukowym i towarzyskim. Nieodłączną w tym towarzyszką była jego żona Karolina z Friedleinów, córka znanego kupca krakowskiego, i zasłużonego wydawcy książek. Był bezdzietny. Jedyna jego córka, zmarła w 1839 roku w wieku zaledwie 9 miesięcy.

Majerowie to ogólnie ceniona i zasłużona dla nauki i kultury polskiej rodzina krakowska. Wspomniany brat Wojciech (starszy od Józefa) z wykształcenia prawnik, poświęcił się karierze prawniczej i sądowej. W latach 1838-1839 był prokuratorem, a od 1842 roku prezesem Trybunału Pierwszej Instancji, od 1855 roku radcą Sądu Wyższego, oddawał się też pracy naukowej. Ożeniony był z siostrą Karoliny z Emilią z Friedleinów. Po śmierci swej żony w 1842 roku, mieszkał wspólnie z bratem Józefem.

Józef Majer zmarł 3 lipca 1899 roku w Krakowie. W tym roku (1979) obchodzimy 80-tą rocznicę jego śmierci.

HUMOR

BIEDNA HELCIA.

Sześcioletnia Maniusia wchodzi do pokoju właśnie w tej chwili, kiedy jej starsza siostra Hela ściska i całuje się ze swym narzeczonym, panem Ludwikiem.

— A pfe, panie Ludwiku — woła oburzona Maniusia. — Cóż to pan znowu z moją siostrzyczką wyrabiałeś?

— Nic, nic! uspokaja Maniusię pan Ludwik. — Uważasz, Helcia dostała mdłości i musiałem ją podtrzymać, żeby nie upadła na ziemię!

Na drugi dzień pan Ludwik spotyka Maniusię na ulicy i wita ją z uśmiechem:

— Jak się ma mała pani Ciekawska? I cóż tam słychać u was w domu?

— Ach, źle, bardzo źle! — odpowiedziała z powagą Maniusia. — Nie ma pan pojęcia, jaka ta Helcia jest nieszczęśliwa! Wczoraj, jak pan poszedł, to jeszcze aż dwa razy dostała tych mdłości i raz ją musiał podtrzymywać jakiś porucznik od huzarów, a drugi raz ten medyk z naprzeciwka.

GRZECZNY

Podczas próby gieneralnej jeden z aktorów nazwał koleżankę swoją "małpą". Pozwany przez nią do sądu, skazany został na dziesięć dolarów grzywny.

Po ogłoszeniu wyroku zapytuje sędziego:

— Panie sędzio, nie mam prawa nazwać kobiety "małpą"?

— Nie proszę pana.

— A czy mam prawo nazwać małpę "panią"?

— Tak panie.

Wtedy aktor, zwracając się w stronę powódki i kłaniając się jej z szykiem, rzekł:

— Do widzenia pani.

WSZYSCY UCZCIWI

Pewien książę zwiedzał więzienie. Z kolei pytał każdego z więźniów, zebranych na wspólnej sali, za co karę odsiadywał i każdy naturalnie zaręczał, że jest niewinny i że niesprawiedliwie karę odsiaduje. Ostatniego pyta książę:

— Tyś także niewinny, prawda?

— Nie — zawołał więzień — cierpię sprawiedliwie, bo dopuściłem się złodziejstwa.

— Tak? — zawołał książę. — I cóż ty złodzieju tu robisz pomiędzy samymi uczciwymi ludźmi? Natychmiast mi się wynoś!

To rzekłszy, schwycił szczęśliwego biedaka za kołnierz i wyrzucił go z więzienia.

UŁATWIENIE.

— Mój panie, zapłać że pan nakoniec ten głupi rachunek, przecież codziennie nie mogę tu przychodzić. . .

— Hm . . . a który dzień dla pana najwygodniejszy?

— Sobota.

— No, to pan w soboty przychodź i kwita.

CIĘŻKA CHOROBA
(Wyjątek z listu)

"Co do mego męża, to jest on ciągle ciężko chory. Lekarze zalecają mu dużo ruchu, ażeby mógł dobrze trawić, potem każą mu obficie jeść, aby mógł pić, dużo pić, aby mógł spać i nabrać sił do ruchu — i tak wciąż jedno i to samo. Słowem źle, i nie wiem, kiedy to się skończy . . .

PRZY ASENTERUNKU

Lekarz do rekruta: — Jakie choroby przebyliście?

Rekrut (chcący się wykręcić): — Zapalenie płuc, mózgu, ślepej kiszki, tyfus brzuszny, plamisty, głodowy, czerwonkę, cholerę, dżumę, czarną ospę, dyfterię, bicie serca . . .

Lekarz: — Dosyć! dosyć! Kto przebył tyle chorób ma silny organizm. "Zdatny" do służby polowej z bronią!

W SZKOLE

— Co to jest cud?

— Nie wiem, proszę pana profesora.

—Gdyby naprzykład, kiedy słońce świeciło w nocy cobyś powiedział? że to jest . . .

— Księżyc.

— Lecz gdyby ci powiedziano, że to jest słońce, jakbyś to nazwał?

— Kłamstwem.

— Ale gdybym ja, co nigdy nie kłamię, zapewnił cię, że to jest słońce.

— Tobym powiedział, że pan profesor trochę sobie podchmielił.

LICYTACJA

Nietylko rodzeństwo starsze ma z młodszym kłopoty. Oto np. panna Lili, najstarsza córka domu, zmniejsza sobie wciąż liczbę lat co do istotnej rozpaczy doprowadza siostrę młodszą, pannę Ninę. Bój się Boga, Lili — woła kiedyś zniecierpliwiona dziewczyna — dajże pokój tej licytacii na zniżkę, bo, jeżeli tak dalej pójdzie, za lat parę z siostry młodszej stanę się starszą!"

ZOFJA STAROWIEJSKA-MORSTINOWA

MARTA

NOWELA

Była u mnie od roku. Nazywała się Marta. Marta Kobaś. Była moją prawą ręką. Zajmowała się domem i gospodarstwem. Prędko zdobyła moją sympatję i zaufanie przez wyjątkową inteligencję, z jaką spełniała swoje obowiązki i przez nieposzlakowaną uczciwość. Zajmowałam się nią specjalnie, bo od początku mnie zainteresowała, a z czasem nawet zaczęła mnie intrygować.

Była całkiem inna od gospodyń, które przedtem miewałam. Jej sposób zachowania się i wysławiania zdradzał pewne wykształcenie i dobre wychowanie. Wszystkie wolne chwile spędzała na czytaniu. Nie miała żadnych fochów ani pretensyj. Nie wstydziła żadnej roboty, do wszystkiego przykładała rękę. Wogóle była niezwykle pracowita. Ale choć pracowała za dwie, choć każdemu pomogła i każdego wyręczyła, nie była w domu lubiana. Służba o niej mówiła, że jest "hunorna". Rzeczywiście zauważyłam, że nietylko nie zaprzyjaźniła się, ale nawet właściwie nie zaznajomiła z nikim z domowników. Nie należała do żadnej z koterji służby, ani oficjalistów, nie mieszała się w żadne plotki, nigdy o nikim, ani przeciw nikomu nie mówiła. Wśród licznego domu była jakby zupełnie obca. Zdawało się, że jej poza jej służbą nic i nikt nie obchodzi.

Była jeszcze młoda i niebrzydka. Największą jej ozdobą były nieprawdopodobnie duże, zielone oczy, głęboko osadzone, oprawione w ciemne brwi. Patrzyła niemi zawsze prosto w twarz, przenikliwie i uparcie. Cerę miała matową, na niej odcinały się purpurowe usta o grubych, naprzód wysuniętych wargach, co nadawało jej zawsze wyraz nadąsania. Z gładko zaczesanych, rudawych włosów wymykały się koło czoła i skroni kręcone kosmyki, które niecierpliwym ruchem zakładała za uszy. W całym wyrazie twarzy miała coś posępnego, co stanowiło dziwny kontrast z ogromną zwinnością i gwałtownością jej ruchów.

Nie śmiała się nigdy. Mówiła rzadko i mało. Pracowała zawsze w milczeniu, z jakiemś dziwnem zapamiętaniem i jakby zawziętością.

Wiedziałam o niej tylko to, co mi powiedziała przy zgodzie, a mianowicie, że jest wdową, że pochodzi z wschodniej Małopolski, z pod Radomyśla i że nie ma żadnej rodziny. Starałam się czegoś więcej o niej dowiedzieć, ale na wszystkie pytania odpowiadała niechętnie i zawsze jakiemś aforyzmami ogólnemi, z których przebijała tępa, nieustępliwa i pesymistyczna filozofja życiowa.

Chciałam ją trochę oswoić, okazując jej troskliwość i życzliwość:

— Moja Marto, czy nie jesteś zmęczona?

— Jak się pracuje, to się trzeba męczyć.

— Czy masz wszystko, czego ci potrzeba?

— Nigdy się niema w życiu wszystkiego.

— Czy jesteś zadowoloną ze swego miejsca, czy ci dobrze?

— Jak w życiu bywa: raz człowiekowi lepiej, raz gorzej.

Mimo tej szorstkości czułam, że Marta przywiązała się do mnie prawdziwie. Okazywała mi po swojemu wdzięczność za opiekę i życzliwość, widziałam, że dba o swoje miejsce. Widocznie w jej pojęciu była to właśnie ta chwila, w której "w życiu bywa lepiej".

Zauważyłam też, że jest bardzo pobożna. Klęczała zawsze przez całe nabożeństwo i modliła się z jakimś niepojętym żarem. Ręce zaplecione, twarz nieruchoma, oczy wlepione w ołtarz, ale widać było, że cała jej postać aż gnie się od jakiejś namiętnej, wstrząsającej modlitwy.

Choć twierdziła, że nie ma nikogo na świecie, dostawała dość często listy.

Gdy oddawałam jej, zawsze tą samą ręką adresowaną kopertę, odbierała ją z widocznem drżeniem, i uciekała do swojej izdebki.

Któregoś dnia weszłam wieczorem niespodziewanie do jej pokoju, aby wydać jakąś zapomnianą dyspozycję. Siedziała przy stole, zapatrzona w fotografję. Zdawało mi się, że jest to fotografja młodego wojskowego. Tak była zatopiona w swojej kontemplacji, że nawet nie usłyszała otwarcia drzwi.

Spostrzegłszy mnie, zerwała się, rzuciła jakiś papier na fotografję, obróciła się tyłem do stołu, jakby chcąc bronić do niego przystępu. Była czerwona, zmieszana, patrzyła jeszcze posępniej niż zwykle.

— Co pani rozkaże?

Ten epizod utwierdził mnie w przypuszczeniu, że w życiu Marty kryje się jakaś bolesna tajemnica. Stanowczo nie wyglądała na osobę złamaną nieszczęściami minionemi, zlikwidowanemi. Wyglądała, jak ktoś, co się pasuje, łamie z nierozwiązanym jeszcze dramatem.

Z biegiem czasu moje przypuszczenia zamieniły się w pewność. Marta z ponurej i milczącej stała się poprostu tragiczna. Zaczęła zapadać na zdrowiu. Coraz częściej odbierała listy. Po każdym takim liście miała czerwone oczy, ręce jej drżały była jakby nieprzytomna. Trzeba było parę razy ją wołać, zanim usłyszała. Nawet zaniedbywała się w swoich obowiązkach, co chwilę o czemś zapominała, wydane sobie polecenia plątała i bałamuciła. Chodziła jak błędna.

Rozumiałam, że taki stan rzeczy trwać nie może. Przytem prawdziwie mi było żal biednej kobiety, która widocznie wiła się w męce. Postanowiłam rzecz wyjaśnić.

Któregoś więc dnia zdecydowana na zasadniczą rozmowę, weszłam do jej pokoju Siedziała przy stole i cerowała bieliznę. Szybko wzięłam drugie krzesło, siadłam przy niej i położyłam jej dłoń na ramieniu. Chciałam jej przeszkodzić wstać i odjąć naszej rozmowie ton oficjalny, służbowy.

— Słuchaj moje dziecko, muszę z tobą poważnie pomówić.

Nie odpowiedziała nic.

— Widzę, że ci coś jest, widzę, że płaczesz, że się dręczysz, że...

— Każdy się czemś dręczy. Każdy musi mieć swoje zmartwienie.

— Pewnie, ale są zmartwienia, które można usunąć.

— Ale jak się coś raz stało, to się nie odstanie.

— Rzecz się nie odstanie, ale można jej skutkom zapobiec.

Milczenie. Rozmowa z Martą była rzeczą trudną, ale postanowiłam złamać jej opór łagodnością. Uzbroiłam się w cierpliwość.

— Moje dziecko, nie chcesz mi odpowiadać. To źle. Nawet jeśli ci nie pomogę, jakbym rada, to zawsze lepiej się z kimś swemi zmartwieniami podzielić. Mówisz, że nie masz nikogo na świecie. Nie masz się przed kim użalić, wypłakać. Nie masz się kogo poradzić. Ja ci się nie pytam przez ciekawość, tylko z prawdziwej dla ciebie życzliwości.

Widziałam, że moja przemowa wywiera porządany skutek. Oczy Marty napełniły się łzami. Słuchała uważnie i z widocznem wzruszeniem. Mówiłam dalej.

— Powiedz mi wszystko, jak matce.

I nagle z intuicją, jaką się czasem w takich chwilach miewa dodałam:

— Jesteś jeszcze młoda. Pewnie na dnie twoich zmartwień leży jakaś miłość. Możeś zbłądziła, może teraz żałujesz i nie wiesz co robić, może...

— Skąd pani wie, skąd pani wie...

Mara klęczała przedemną. Ukryła twarz na moich kolanach i szlachała tak, że tchu złapać nie mogła.

Przeraziłam się tym nagłym wybuchem, ale czułam że lody przełamane.

Marta wród łkań mówiła przerywanym głosem:

— A teraz on się dowie, on wrócił... on mnie zabije...

— Kto on? Kto wrócił?

— Władek wrócił, wrócił żeby się zemścić. Wrócił... a ja nie mogę do niego lecieć... tyle lat... tyle lat bez niego... I już zawsze bez niego, żeby choć raz, go zobaczyć...

— Marto uspokój się. Kto jest Władek.

— To mój mąż.

— To twój mąż żyje?

— Żyje, żyje. Pan Bóg go zachował, ale nie dla mnie już, nie...

Z trudem udało mi się Martę trochę uspokoić. Wkońcu jednak przestała szlochać, usiadła z powrotem na krześle i powoli z jej zagmatwanego i rwącego się opowiadania dowiedziałam się całej jej historji, prostej, bolesnej, banalnej historji uwiedzionej kobiety.

Jej mąż był buchalterem w banku w małem miasteczku, ona urzędniczką na poczcie. Podczas wojny, gdy jej mąż był na froncie, a potem w niewoli rosyjskiej, uwiódł ją przyjaciel męża. Nie bardzo wiedziała, jak się to stało. Nie kochała go nigdy. Opiekował się nią, pomagał jej, aż kiedyś, po jakiejś kolacji, na którą ją zaprosił, doszło do tego. Potem stosunek ich trwał dość długo, bo kochanek szantażował ją, że jak go opuści, doniesie o wszystkiem mężowi. Tego bała się nadewszystko. Więc ulegała mu. Dopiero jak zaszła w ciążę, kochanek ją opuścił, a ona pojechała do swoich rodziców. Tam jest jej dziecko, dwuletnia córeczka. Ona uciekła z domu, bo nie mogła znieść swego wstydu, a przedewszystkiem nie chciała się spotkać z mężem. Bała się go. Rodzice nie wiedzą, gdzie jest. Zostawiła swój adres tylko swojej najlepszej przyjaciółce, która jej przysięgła, że go nikomu nie zdradzi. Ona jej donosi, jak się miewa dziecko i rodzice. A teraz pisze jej, że Władek wraca w tych dniach, że już pisał z drogi.

— Niema już dla mnie życia ani ratunku. Już wolę umrzeć z tęsknoty, niż mu się pokazać. Niech mnie pani nie wyda, bo musiałabym znowu uciekać, znowu iść na tułaczkę.

— Moje dziecko, ja cię nie wydam. Ale cóż to za życie dla ciebie? Trzebaby, żebyś do męża wróciła...

— Wrócić do niego! Nigdy, nigdy... O! pani nie wie! — zawołała z nowym wybuchem. — Myśmy się tak kochali, tak kochali! — Jabym mu się na oczy nie śmiała pokazać. Żebym ja, jego żona, jego Marta, go zdradziła, jak jaka ulicznica. On mnie tak szanował, tak kochał. O Boże! Boże! O, żeby nie to, jabym na piechotę do niego leciała, na kolanach bym szła, o głodzie i chłodzie do mojego najmilszego! Co mi świat bez niego, bez jego miłości. A tak mi powie: cóż mi po tobie, jakeś mnie zdra-

dziła. Cóż mi po tobie, jak mnie nie kochasz? A ja co mu powiem? Ciebie kochałam, a z innym dziecko miałam... Za tobą oczy wypłakiwałam a z innym do łóżka szłam... To on mi w oczy taką miłością plunie.

Marta w uniesieniu traciła miarę w doborze słów. Zdawało się, że pękła jakaś tama, i że z nieprzepartą siłą płynie z jej duszy cały potok wynurzeń, że nie może już powstrzymać długo dławionych słów. Ani śladu nie było zwykłej, ponurej i nachmurzonej Marty. Oczy jej pałały, twarz płonęła rumieńcami. Zdawała się być uosobieniem namiętności i rozpaczy.

— Moja Marto, przecież ci mąż może przebaczyć. Trzeba spróbować, a nie tak łamać życie sobie a pewnie i jemu.

— On przebaczyć! Pani go nie zna. On mi nie dał na nikogo popatrzeć. Mnie tam w głowie nie było na nikogo patrzeć, jak on był. Ale jemu się zawsze zdawało. Moja jesteś — moja i niczyja — powiada. A jak kobieta na innych patrzy, to już skończone z jej miłością. Jak kobieta kocha, to tylko jeden dla niej istnieje. A jak szedł na wojnę to mi mówił: pamiętaj, żebym wróciwszy, zastał nie tylko ciebie, ale i twoją miłość. Jak mię zdradzisz — co mówię jak zdradzisz — jak na kogo innego popatrzysz, to cię zabiję — rozumiesz: jak psa zabiję. Zabiję, bo cię kocham i chcę cię mieć dla siebie. A on, jak powie to dotrzyma. Pani mówi o przebaczeniu! Jego przebaczenie to kula w łeb...

— Ale Marto! To się tak mówi. Nie zabija się tak ludzi. Zwłaszcza tych, których się kocha. Nawet mu do głowy nie przyjdzie cię zabijać. Przebaczy ci i będzie cię kochał po dawnemu.

— Jakżeż ma mnie kochać, kiedy go zdradziłam?

— Aleś go nie przestała kochać. Byłaś słaba, upadłaś, zgrzeszyłaś; musisz teraz zdwojoną miłością winę wynagrodzić, wyjednać przebaczenie.

— Zdrady nie można przebaczyć — powtarzała z tępym uporem.

— Pan Bóg nam grzechy odpuszcza, a człowiek nie miałby darować?

— Pan Bóg może darować, ale człowiek niemoże. Nie może, jak kocha, bo nie daruje póki nie zapomni, a póki kocha, nie może zapomnieć.

— No, powiedz Marto, a tybyś nie przebaczyła, tybyś nie odpuściła?

— Ja?

Zamyśliła się głęboko i odpowiedziała prawie szeptem, patrząc ponuro w ziemię:

— Jabym go nie opuściła, alebym nie przebaczyła...

Widziałam, że niema co dyskutować dalej, że nie przerobię ustalonych poglądów Marty na miłość i przebaczenie.

Dość mnie to jej usposobienie zafrasowało, ale sądziłam, że gdyby uzyskała rzeczywiście to przebaczenie nad wszystko kochanego człowieka, zapomni o wszystkich teorjach. Nie wiedziałam tylko, czy ten mąż będzie rzeczywiście tak skłonny do przebaczenia, jak jej starałam się wytłómaczyć.

Postanowiłam jednak działać.

Wpadłam na szczęśliwą myśl napisania do do proboszcza z miasteczka, gdzie mieszkali rodzice Marty. Przedstawiłam mu cały stan rzeczy, i prosiłam, żeby się widział z mężem Marty, żeby z nim pomówił i, powoli, łagodnie, skłonił go do przebaczenia.

Po dwóch tygodniach dostałam odpowiedź. Ksiądz pisał co następuje:

"Szanowna pani!

Pan Władysław Kobaś wrócił przed paroma dniami z bolszewickiej niewoli. Według pani życzenia widziałem się z nim i starałem się ostrożnie i delikatnie uwiadomić go o wszystkiem, wybadać jego uczucia względem żony i nakłonić go do przebaczenia. Ostrożności jednak, które starałem się zachować, okazały się zbyteczne. Pan Kobaś był już o wszystkiem powiadomiony i, ku memu zdumieniu, bardzo się na całą tę sprawę filozoficznie zapatrywał. Przytaczam pani moją z nim rozmowę, która najlepiej panią o jego usposobieniu pouczy:

— Mój księże — powiedział mi — trudno. Kobieta młoda, sama, tyle lat, musiało się tak skończyć. Nie bardzo przyjemne, no ale cóż robić. Nie mam dwudziestu lat. Rozumiem życie.

Gdy zacząłem mówić o przebaczeniu, o jej obawach i żalu, nakłaniać do wspólnego życia, do niezrywania mimo zdrady świętych węzłów małżeńskich, zniecierpliwił się.

— Kto mówi o zrywaniu? Co to za historje? Nie będą się bawił w żadne romanse. Ja jestem człowiek zmęczony. Ksiądz wie, co to cztery lata niewoli, tam, w tem piekle? Można o wszystkich sentymentach zapomnieć. To dobre, czy chcę, żeby do mnie wróciła! Pewnie, że chcę. Nie chcę dalej tułać się po świecie, sam jak pies. Wróciłem do kraju, do życia. Chcę mieć jak wszyscy ludzie dom, rodzinę, dobre imię u ludzi. Chcę mieć przedewszystkiem spokój. Nie chcę żadnych awantur, żadnych melodramatów. Chcę mieć spokój.

— A cóż będzie z dzieckiem? Trudno go tak zostawić.

— No, cóż z dzieckiem. Trudno, muszę go przyjąć. Inaczej będą ludzie palcem wytykać. A tak, gdzieś w dalszej stronie, nie potrzebuje nikt wiedzieć co tam było. Zresztą inaczej będą fochy, płacze, desperacje. A ja chcę spokoju. Ja człowiek zmęczony. Marta dobra kobieta. Niech wraca i koniec. Głupstwo z temi strachami, z tą całą ucieczką. Ot, ważniejsze posadę dostać. Lepiejby była pomyślała, żeby mi zajęcie znaleść, dom przygotować, niż desperować nad tem, co się nie odstanie.

Widzi więc szanowna pani, że ze strony pana Kobasia nie będzie żadnych trudności. A jeśli, jak widzę, pani tak szczerze zajęła się losem pani Marty, to najważniejszą rzeczą, byłoby znaleść mężowi posadę, bo tu daremnie się o nią stara, a myślę, że gdyby znalazł pracę i miał zapewniony byt, to byłaby dla obojga najlepsza przysługa, bo mogliby zaraz rozpocząć normalne życie i z pomocą Bożą wyrównałyby się najprędzej dawne nieporozumienia."

Jakoś niesporo mi było pokazywać ten list Marcie.

Marta żyła w stanie niepojętego podniecenia. Pozbyła się względem mnie dawnej nieufności i nieraz ze mną rozmawiała. Rozmowy były mało urozmaicone. Na każdą wzmiankę o powrocie męża powtarzała z uporem:

— Zabije mnie, zabije.

To znowu ogarniała ją od trwogi mocniejsza tęsknota; wtedy płakała i desperowała.

— Niech mnie skatuje, niech zabije, niech sponiewiera, bylem go jeszcze zobaczyła. On tam biedaczek musi być chory, zmizerowany, wymęczony...

Miała i chwile ufności:

— Tak go będę kochać, tak błagać, tak przepraszać, że musi przebaczyć. Człowiekiem by nie był, jeśliby nie zrozumiał i nie zlitował się. Wszystkiego się wyrzeknę, dziecka się wyrzeknę, a za nim pójdę.

Gdy powiedziałam Marcie, że jej mąż już wrócił, zaczęła drżeć, jak osika i powtarzać wieczne swoje:

— Zabije mnie, zabije.

Jakaś prawie zwierzęca trwoga malowała się w jej oczach. Chwyciła mnie za rękę.

— Niech mnie pani obroni, niech pani ratuje.

Tłomaczyłam jej, że wiem na pewno, że mąż jej przebaczył, że chce, żeby do niego wróciła, ale nie przekonywało ją nic.

— To pani się zdaje, bo pani dobra. Pani się zdaje, że można przebaczyć. Jemu się też może zdawać. Ale jak mnie zobaczy, to i nie przebaczy tylko zabije. Musi zabić!

I nagle z ponurym błyskiem oczu dodała:

— Powinien zabić...

Widziałam, że na darmo skłaniać ją do powrotu. Przyszedł mi inny pomysł.

— Wiesz co Marto, twój mąż był buchalterem. Napiszę do niego, żeby tu przyjechał. Tu, w obcej stronie, nikt was nie zna. I z dzieckiem będzie łatwiej i wszystko się ułoży.

Marta zaczęła mi gwałtownie całować ręce.

— Jaka pani dobra! To będzie lepiej. Pani mnie obroni. Pani mu wytłomaczy.

Ale znów się zaniepokoiła.

— Czy będzie chciał przyjechać?

— Piszą mi właśnie, że szuka posady, że się trapi, że niema zajęcia.

— On szuka posady! Jemu szukają. On tam rzeczywiście może myśleć o posadzie! Pewnie, że się trapi, ale nie posadą. O Boże, Boże!

Przyznam się, że widząc usposobienie Marty, z pewną obawą pisałam list ofiarowujący posadę buchaltera panu Władysławowi Kobasiowi. Ale jednak liczyłam, że sprawy się ułożą.

W parę dni po wysłaniu listu zameldował mi służący pana Kobasia. Zdziwiłam się tym pośpiechem. Marty nie było. Posłałam ją po zakupy do pobliskiego miasteczka. Miała wrócić dopiero wieczorem.

W kancelarji czekał na mnie pan Władysław Kobaś. Spodziewałam się zastać jakieś widmo wynędzniałe, obdarte — tymczasem stał przedemną człowiek w średnim wieku, porządnie ubrany, raczej zbyt otyły, starannie ogolony. Przywitał się zemną, jak człowiek dobrze wychowany i obyty.

Dziękował mi za opiekę, jaką udzieliłam Marcie. Dziękował bez przesady, jak człowiek, który wyraża wdzięczność za drobną przysługę wyświadczoną jego żonie.

Mówił powoli, jakby z pewnym wysiłkiem, głosem monotonnym i znudzonym. Mówiąc, patrzał w jakiś nieokreślony punkt przed siebie, wzrokiem obojętnym i dalekim.

Kontrast jego apatji i spokoju ze zdenerwowaniem Marty był tak wielki, że w pierwszej chwili nie mogłam się połapać.

Zaraz po tej, jakby ceremonjalnej, uprzejmej przemowie, przeszedł do interesu.

Dopytywał się dokładnie o warunki posady i obowiązki. Mówił, jak człowiek znający się na rzeczy, praktycznie i rozumnie.

— Buchalter będzie lepszy niż przypuszczałam — przeszło mi przez głowę. — Ale jak pójdzie z Martą?

Prędko doszliśmy do porozumienia.

— Kiedy mogę objąć posadę?

— Posada jest wolna i można ją objąć każdej chwili. Ale nie ma gwałtu, niech pan wypocznie.

— Dla mnie najlepszy wypoczynek zacząć jaknajprędzej normalne życie. Mogę objąć moje obowiązki choćby jutro.

— Ale z żoną się pan jeszcze nie widział. Marta wraca wieczorem. Niech pan zostawi sobie parę dni dla niej.

Chciałam pomówić o Marcie. Zwracałam ku niej rozmowę.

— Zbyt pani dobra. Ale zajęcia zostawią mi dość czasu i dla żony. Zresztą Marta musi pojechać do domu po rzeczy i... — zawahał się nieznacznie — i po dziecko. Mamy małą córeczkę. Musi ją przywieźć.

Osłupiałam na taki obrót rozmowy.

— Pani nie ma pojęcia — mówił trochę prędzej, jakby nie chcąc mnie dopuścić do słowa — jak się jest zmęczonym po tylu latach tułaczki. Jak człowiek stęskniony do tego, by pracować normalnie, by mieć swój dom, swój kąt, swoją

rodzinę. Żeby spać w łóżku, żeby jeść obiad o swojej porze, żeby go nikt o nic nie pytał, nie indagował. Żeby mieć wkońcu to wszystko, czego się było tak długo pozbawionym: dach, chleb, rodzinę, ludzki szacunek. Żeby nie być tym, którego ścigają i palcem wytykają. Żeby mieć spokój — ach spokój! — dodał prawie jakimś namiętnym głosem.

— I prawdziwie pani wdzięczny jestem — ciągnął dalej — że pani dając mi możność pracy i stanowisko, w tych dalekich stronach, umożliwia mi odbudowanie mego życia, życia w uczciwości, rodzinie i spokoju.

Intencja tego przemówienia była dość jasna. Nie było nic do odpowiedzenia.

Z obawą czekałam na powrót Marty.

Kazałam, żeby ją zaraz do mnie przysłano.

— Marto, twój mąż przyjechał.

Zbladła jak papier i patrzyła na mnie szeroko rozwartemi, nieprzytomnemi oczyma.

— Przyjechał. Czeka na ciebie. Mówiłam z nim. Wszystko ci przebaczył. Dziecko przyjmie. Tylko moja Marto, bądź spokojna i rozsądna. On — człowiek zmęczony. Potrzebuje spokoju. Musisz być dla niego bardzo dobra, bardzo łagodna. Musisz mu stworzyć dom miły, cichy, życie przyjemne. Najlepiej nie mów z nim o niczem. Nic nie wspominaj, jakby nic nie zaszło. On na pewno nie będzie ci robił wyrzutów. Nie będzie wcale z tobą o tem mówił. Tak najlepiej. Może kiedyś później.

Ale wszystkie moje rozsądne nauki szły na marne. Marta zdawała się wcale nie słyszeć, że do niej mówię.

— Jest, jest, wrócił! przebaczył! A niechby i nie przebaczy, niechby zabił, wszystko mi jedno, ale jest... jest...

I jak szalona wybiegła z pokoju.

Przez dwa dni jej nie widziałam.

Myślałam, że już lepiej się w tę całą sprawę nie mięszać, że przy jej miłości i przy jego dobrej woli wszystko się jakoś samo ułoży.

Na trzeci dzień rano przyszła do mnie Marta. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak ponuro i chmurno. Była bardzo blada, tylko oczy połyskiwały jej jakimś niezwykłym blaskiem. Patrzyła z podełba. Usta miała zacięte. Była ubrana jak do drogi.

— Przyszłam panią prosić o pensję, bo muszę jechać — powiedziała swoim dawnym matowym głosem.

— Po dziecko jedziesz?

Milczała chwilę.

— Tak, po dziecko.

— Jak ty dziwnie wyglądasz? Co ci jest?

Nie odpowiedziała nic.

— Widzisz. Rozumiem, że możesz przechodzić ciężkie chwile. Ale to minie.

— Wszystko mija na świecie.

— Widzę, że ci ciężko. Ale pomyśl, tyle żon straciło mężów na zawsze, straciło tych, których najbardziej kochało.

— Czasem śmierć lepsza niż życie.

— Nie mów tak, Marto. Nie wolno tak mówić — zniecierpliwiłam się. Czego ty chcesz jeszcze? Wrócił ci Pan Bóg męża, którego kochasz. Mąż ci przebaczy. Czego ty chcesz-

— Ja nie potrzebowałam jego przebaczenia, tylko miłości.

— Głupia jesteś. Żeby cię nie kochał, toby ci nie przebaczył. Przebaczył ci, bo cię kocha, bo chce żyć z tobą. Czy ty myślisz, że miłość polega na zazdrości?

— Ale bez zazdrości nie ma miłości. Żeby o mnie dbał, toby był zazdrosny.

— Marto, Marto nie kuś Pana Boga. Jedź po dziecko i wracaj co prędzej. Twój mąż potrzebuje żony, potrzebuje domu, potrzebuje spokoju.

— Będzie miał ten swój spokój. Ja mu go nie zamącę. Czy mogę dostać pensję, bo czas na kolej?

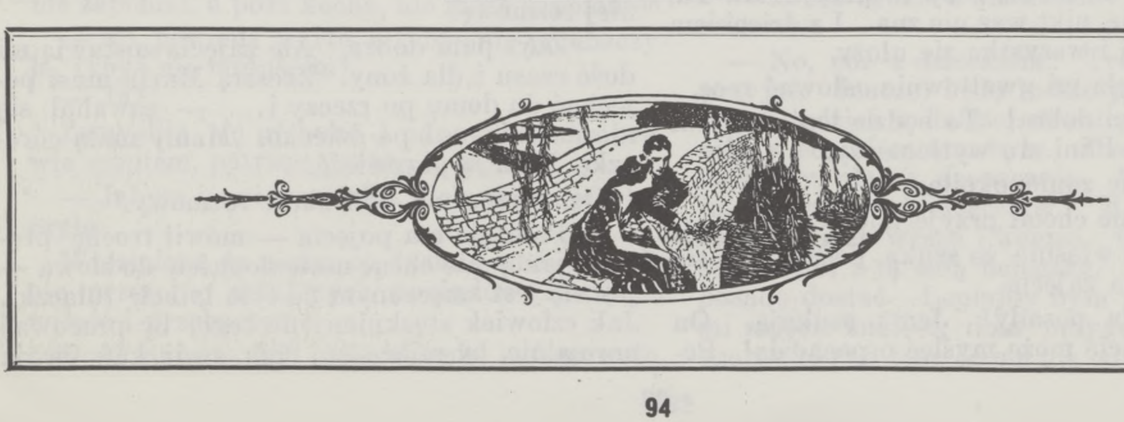
* * *

Marta pojechała i nie wróciła więcej. Nie dowiedziałam się nigdy, co się z nią stało.

Władysław Kobaś jest dotąd u mnie.

Na każde wspomnienie o żonie kręci głową i powtarza swoim powolnym, znudzonym głosem:

— Mogła mieć dom, rodzinę, spokój, a wolała iść na tułaczkę... Mówiła, że ja jej nie kocham, a ja przecież chciałem z nią żyć, a ona mnie kocha i uciekła... No, no... Tego ja nie zrozumiem nigdy...



Col. Anthony K. Podbielski

KULCZYCKI I KAWA



Dziękuję za kawę!

Często powtarzamy to zdanie: w zimowych miesiącach, podczas niekończących się śnieżyć i zawieruch, podczas ciągłego usuwania śniegu, lub popychania samochodów z zasypanych śniegiem ulicach.

Ale kto z nas wie, że to właśnie Polak rozpowszechnił użycie tego napoju w Europie — no, i chyba w Ameryce?

Ponad trzydzieści lat temu, w artykule drukowanym w Nowym Swiecie, (12go Sierpnia 1947 r.), Henryk Archacki, znany autor, artysta i badacz historyczny, doskonale, historię kawy, opisał w języku angielskim.

Oto tłumaczenie tej historii.

"To nie upał, raczej wilgoć," powiedział kiedyś jakiś dowcipniś. Nie to jest ważne co osłabia twoją energię w upalny, letni dzień, ale ważna jest świadomość czym możesz zaspokoić swe pragnienie.

Przez wieki, gorąca albo zimna kawa była ulubionym środkiem orzeźwiającym. W obecnych czasach większość osób pije kawę "galonami", bez zastanowienia się, "jak i skąd ten orzeźwiający nektar pochodzi."

Według różnych legend i opowiadań, kawa była "odkryta" dawno, dawno temu w Persji. Pewien wódz Arabski zachorował podczas podróży w tym kraju a jeden stary "mędrzec" wyleczył go gorącym płynem którego nawarzył z ziarnek kawowych dziko rosnących w polu.

Wódz Arabski zabrał ze sobą garstkę tych ziarnek do domu i zasiał na swym polu. Więc według tej wersji, kawa jako przyjemny napój otrzymała swój początek na środkowym wschodzie. Inna wersja łączy odkrycie kawy przez trzodę owiec w Abisynii. Podobno owce po najedzeniu się tych ziarnek spędziły bardzo niespokojną noc. Pasterze zauważyli ten nerwowy nastrój wśród swojej trzody. Badając powody, sami skosztowali te ziarnka, i oni też, po pewnym czasie mieli bezsenne i niespokojne noce.

Jedno jest pewne, że Arabia i Abisynia były krajami produkującymi kawę, i ten zwyczaj picia tego przyjemnego napoju poprostu przenosił się powoli z kraju do kraju. Gdyby jednak nie było oblężenia Wiednia przez Turków, którego odsieczą kierował Król Jan III Sobieski, w roku 1683, debiut kawy w Europie, byłyby chyba opóźniony przez dalsze kilkaset lat.

Wszystko to zawdzięczamy lingwistycznym talentom pewnego Jerzego Franciszka Kulczyckiego, który biegle władał językiem tureckim. Dzięki tej znajomości, Kulczycki ze swoim służącym Mihałowiczem, zdołał przedrzeć się przez pierścień wojsk tureckich oblegających Wiedeń. Przebrani w stroje tureckie zmylili czujność wroga, i dostali się do miasta. Tam poinformowali władze i mieszkańców że pomoc jest już tuż!

Wrócili oni szczęśliwie przynosząc Królowi Janowi informacje o stanie fizycznym i duchowym oblężonej stolicy.

Bitwa pod Wiedniem, wspaniałe zwycięstwo stosunkowo małej armii sprzymierzonych pod dowództwem Króla Jana nad przewyższającymi siłami tureckimi, uznana jest dzisiaj w historii świata jako jedna z najbardziej rozstrzygających bitew w świecie.

Kulczyckiemu to zwycięstwo przyniosło dobrą fortunę. Wdzięczna ludność wiedeńska ofiarowała mu dom na Leopoldstrasse. W tym miejscu przedsiębiorczy Kulczycki założył pierwszą kawiarnię w Wiedniu, używając zagrabione zapasy tureckiej kawy, jako początek swego nowego interesu.

Kulczyckiemu powodziło się dobrze. Wiedeńczycy nawykli do tego wspaniałego napoju. Jemu też zawdzięcza się użycie mleka w kawie.

Do tego czasu, wszyscy pili czarną kawę. Pewnego dnia, zupełnie przypadkowo, Kulczycki nalał łyżeczkę mleka do kawy. Rezultat tej mikstury był tak przyjemny dla podniebienia, że mleko zostało przyjęte jako nieodłączna część naszego nawyku, picia kawy. A czarna kawa została natomiast, coś co się pije "na ból głowy" po libacjach poprzedniej nocy, albo jak "demitasse" po wspaniałym obiedzie.

Kulczyckiemu zawdzięczamy i nasze rogalki w formie tureckiego symbolu, pół księżyca, dla upamiętnienia wspaniałego zwycięstwa Polskiego oręża nad tym symbolem tureckiej wszechmocy.



Po tylu latach, pamięć Kulczyckiego utrwaliła się w Wiedniu. Na pedymencie pierwszego piętra narożnego budynku, przy Faworiten Strasse i Kolschitzky Gasse, w czwartym dystrykcie Wiednia, stoi normalnej wielkości posąg Kulczyckiego. Ubrany jest on w strój turecki i trzyma w prawej ręce dzbanek z kawą, napełniając kubek na tacy którą trzyma w lewej ręce.

U stóp jego są tureckie zdobycze wojenne, jak halabardy, piki, szable, tarcze i chorągwie. Jakoś podczas okupracji niemieckiej w drugiej wojnie światowej, władze okupacyjne przeoczyły ten pomnik polskiej chwały. Rok rocznie, w rocznicę zwycięskiej odsieczy wiedeńskiej, 12-go września, Polonia Wiedeńska, dekoruje ten pedyment polskimi barwami narodowymi.

Podczas mego pobytu służbowego w Wiedniu, w latach 1945 - 1948, amerykańskie wojskowe kuchnie miały nakaz nie wyrzucania odpadków kawy, tak zwanych "fusów." Odstawiało się te "resztki" kawy do szpitali austriackich, gdzie była ona przegotowana nieraz jako zdrowotny napój dla "sercowych" pacjentów. Z tej kawy korzystały też przytułki dla starców dokarmianych z przydziałów żywnościowych Caritasu, Ewangelische Hilfswerke i Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Był wielki brak żywności w Wiedniu w latach 1945-6-7ym. Cierpiała ludność miejscowa, ale bardziej jeszcze cierpieli uchodźcy, tak zwani "D.P.—displaced persons."

O zdobyciu prawdziwej kawy nie było mowy, chyba, że udało się komuś kupić "bokiem" na czarnym rynku.

Wspomnienia Wiedeńskie

Powrót Do Wiednia

Długo odkładaną wizytę do Wiednia udało się mi zrealizować w roku 1977ym. Pamiętając artykuł pana Archackiego szukałem śladów Kulczyckiego i Poloniki w Wiedniu. Była to nostalgiczna wizyta bo tam spędziłem szereg lat po wojnie.

Służąc w Armii Amerykańskiej we Włoszech byłem ranny podczas natarcia przeciw Niemcom w linii "Gotów," w północnych Alpeninach.

Po zakończonych działaniach wojennych w maju 1945 r., byłem odkomenderowany na "okupację Austrii." Do służby okupacyjnej w Austrii byłem przerzucony ze względu na znajomości językowe i doświadczenia podczas poprzedniej podróży do Europy. Te poprzednie doświadczenia turystyczne jak znajomość języków obcych i terenu, stanowiły poważny atut w wyborze osób na odpowiedzialnych stanowiska. W Wiedniu służyłem jako Koordynator Amerykańskich i Europejskich (Katolickich, Protestanckich i Żydowskich) Agencji pomocniczych, tak dla ludności miejscowej jak i uchodźców wojennych. Te trzy lata które spędziłem w Austrii, głównie w Wiedniu, uważam za bardzo ważne w moim życiu. Wiedeń to multietniczna metropolis, tak bardzo związana z Polską.

Ślub z moją towarzyszką życia (która była

więźniem politycznym w niemieckim obozie koncentracyjnym, Raevensbruck) brałem w Salzburgu, w festywalowym mieście muzyki; nasz syn Tadeusz urodził się w Wiedniu.

Jak wiadomo stolica Austrii, Wiedeń, jest miastem pięknym, tętniącym wysoką kulturą.

Wiedeń to miasto muzyki gdzie "nieśmiertelni" Bach, Brahms, Beethoven, Chopin, Schuman, Schubert, Strauss i inni, są częścią codziennego życia. Wśród muzycznych kompozycji naszych czasów, które po raz pierwszy słyszałem w Wiedniu, jest pewna, wesoła operetka austriacka, p.t. "Polenbrut—Polska Krew," libretto Leo Stein'a, z muzyką Oskara Nedbal'a. Jedna z najbardziej w niej wzruszających melodii, śpiewana podczas dożynków, jest "Polen ist noch nich verloren — Jeszcze Polska Nie Zginęła," Wiedeńska wersja Polskiego hymnu narodowego, choć różniąca się w melodii od kompozycji Wybickiego, jednak wzruszająca w słowach i muzyce.

Prawda Historyczna

Jest jeden niezaprzeczalny fakt w Historii Europejskiej, że był to Polski Król, Jan III Sobieski, który ocalił Chrześcijaństwo i zachodnią cywilizację, od zagłady tureckiej w roku 1683-im.

Dzisiaj jednak żaden Wiedeński przewodnik turystyczny nie wspomina ani słówkiem o tym ważnym historycznym wydarzeniu. Chytrzy na twardą walutę zagraniczną, a zwłaszcza na amerykańskie dolary, przewodnicy podkreślają wiedeńską kulturę muzyczną, wspaniałe muzea; wesołe i erotyczne nocne lokale i kluby; kuchnię Wiedeńską, no i oczywiście wizytę do Sacher'a na słynny tort wiedeński i kawę.

Tylko gdy ciekawy i uparty turysta, stara się coś więcej dowiedzieć o odsieczy Wiedeńskiej, przewodnik wskaże palcem na północny zachód, w stronę słynnych lasów wiedeńskich okrążających miasto.

Tam, na zachód, w jasny dzień można zobaczyć z tarasu hotelowego w starym mieście, dwa szczyty wzgórz Alpejskich nachylonych w stronę modrego Dunaju; Kahlenberg i Leopoldsberg.

Na wzgórzu Kahlenberg znajdziemy dowody i prawdę o historii polskiej w Austrii. Na tym wzgórzu, po jednej stronie obrośniętego drzewami placyku, prostopadło do niskiego, długiego kasyna, znajduje się skromny, ale piękny polski kościołek, pod wezwaniem św. Józefa. Kościół ten jest w prostym romańskim stylu, i stoi na ruinach fundamentów oryginalnej świątyni sięgającej wstecz do siedemnastego wieku.

Naprzeciw kościółka na nowoczesnym tarasie turyści zajadający posiłki lub popijający wiedeńską "mokka" i wchłaniając z tej góry śliczną perspektywę romantycznego Wiednia, zwykle nie są świadomi tej dramatycznej historii w pobliżu.



Wien, Hohenstrausse, Kahlenberg

Od roku 1906-go kościółek św. Józefa na Kahlenbergu jak i Polski Kościół w trzecim dystrykcie miasta Wiednia, na ulicy Rennweg 5a, są pod opieką Ojców Zmartychwstańców. Obecnym proboszczem jest oddany kapłan, Rektor Piotr Kaglik.

W 1683 roku, 12-go września, o godzinie 4-ej rano, w bocznej kaplicy pod wezwaniem Anioła Stróża, w oryginalnej świątyni, Król Jan III Sobieski służył do Mszy Świętej. Kopia cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej wisiała nad ołtarzem. Działo się to przed ostateczną i decydującą bitwą z Turkami. Dziś, w przebudowanej i zrekonstruowanej zakrystii tejże kaplicy, możemy widzieć kilka cennych pamiątek zwycięstwa Króla Jana, między nimi szablę którą Król Polski wojował z Turkami.

W jednej z jasnych jadalni w Kasynie obok kościoła, wśród licznych wiedeńskich dekoracji, znajdują się oryginalnej wielkości portrety różnych bojowników w tym pamiętnym konflikcie, a między nimi i nasz Król Sobieski. Jednak szkoda że nie ma tam ani jednej wzmianki na pamiątkowych tabliczkach o jego wspaniałym zwycięstwie w uratowaniu Wiednia w roku 1683.

Stojąc na parapecie Kahlenbergu i patrząc na panoramę miasta zdawało mi się, że dochodziły do mnie z dalekiego Prateru, na drugim krańcu Wiednia, dźwięki hitlerowskich wojskowych melodii. Muzyka zdawała się akcentować ciężkie uderzenie bębna w trakcie marszu. Niedawne neo-nazistowskie odrodzenie legend Hitlerowskich w Niemczech (gdzie spędziliśmy kilkanaście dni w przejeździe do Wiednia i Polski), zdawały się mieć swą sympatyczną reakcję i w Austrii.

Następny wieczór poprzedzony powolnym romantycznym przejazdem na słynnym Wiedeńskim "Riesenrad" (koło diabelskie z wózkami), podkreślił moje przypuszczenie. Duch poprzednich glorii, gdy Austria była częścią Hitlerowskiej Grosse Deutschland od roku 1938, zdawało się mi że nadal istnieje w tych wojskowych marszach, melodie które płynęły z różnych "bier und wein" ogrodów wiedeńskich.

Była oczywiście i inna wiedeńska muzyka, dźwięki której dopływały do naszego ośrodka.

Muzyka i śpiew są międzynarodowe, lubować się można w tych słynnych, nostalgicznych i tradycyjnych straussowskich walcach, wiedeńskich folk lieder, granych na starych, tradycyjnych zytrach, śpiewających skrzypcach i urzekających akordeonach.

Przy pokolacyjnej kawie z nieodłącznym "apfel strudel," nasza grupa rodzinna dyskutowała przeszłą historię drugiej wojny światowej i jej zapomniane lekcje. Dlaczego, pytałem się, każde polskie pokolenie musi być skazane na ciągłą naukę historyczną i to w tak bardzo trudnych i krwawych warunkach?

Rola Polski w jednej z najbardziej decydujących bitew na tej kuli ziemskiej, była zawsze tendencyjnie ignorowana, lub pomniejszana w przeszłości przez Austrię, a tymbardziej przez historyków niemieckich. Prawda że jest w Wiedniu Sobieskistrasse, jak i Sobieskigasse; ta statuetka konna z Sobieskim na starym mieście usunięta zresztą dla remontu, jak i stara pamiątkowa tablica w katedrze Świętego Stefana (Stefansdom), i której jeszcze nie przywrócono. Żaden wspaniały posąg naszego Polskiego Króla nie przypomina Wiedeńczykom tego zwycięscy który uratował ich miasto i chrześcijaństwo od zagłady. Nie ma żadnego historycznego przypomnienia, że dzwony w wieży Stefansdom były odlane ze zdobytych armat tureckich które Sobieski ofiarował Wiedniowi. Na nasze szczęście pozostała statua Kulczyckiego i . . . kawa!

HISTORYCY . . .

"W sensie wszyscy jesteśmy historykami," pisał szkocki mędrzec, Tomasz Carlyle, przeszło sto lat temu.

Kluczowy frazes jest, "w sensie," bo słowo "historyk," jest przedmiotem do wielu interpretacji, na przykład: student historii; osoba sekretarz który opisuje protokół z zebrania; pisarz, kronikarz historyczny, jak na przykład słynne pamiętniki Paska, wymieniając tylko trzy. Ja dodałbym i czwartą definicję, mianowicie: ciekawy, albo wścibski turysta który wracając do domowych pieleszy z zagranicy, uważa siebie (i słusznie), za autorytet o miejscach które zwiedził, opowiada i opisuje o wrażeniach odniesionych, o znajomościach zawartych, itd.

Gdy podczas lata (w 1977 roku), po powrocie do Wiednia, po tak długiej nieobecności, nie znaleźliśmy śladu po naszych polskich i wiedeńskich przyjaciółach i znajomych, poczuliśmy się samotni, mimo to bardzo związani z Wiedniem.

Za dużo tu było przeżyć i emocji w poprzednich latach. Fizyczna i historyczna polskość w Wiedniu pozostała, i powiedziałbym że w lepszej kondycji, niż gdyśmy ostatni raz żegnali to miasto wiele lat temu.

Polski kościółek i muzeum na wysokościach Kahlengergu jest w wspaniałym stanie. Niedawny remont zapewnia im "dobry stan zdrowia" na jakieś trzydzieści lat. Polscy artyści, Tadeusz Stanaszek, malarz i Bogusław Langman, rzeźbiarz, dokonali delikatnej renowacji i odświe-

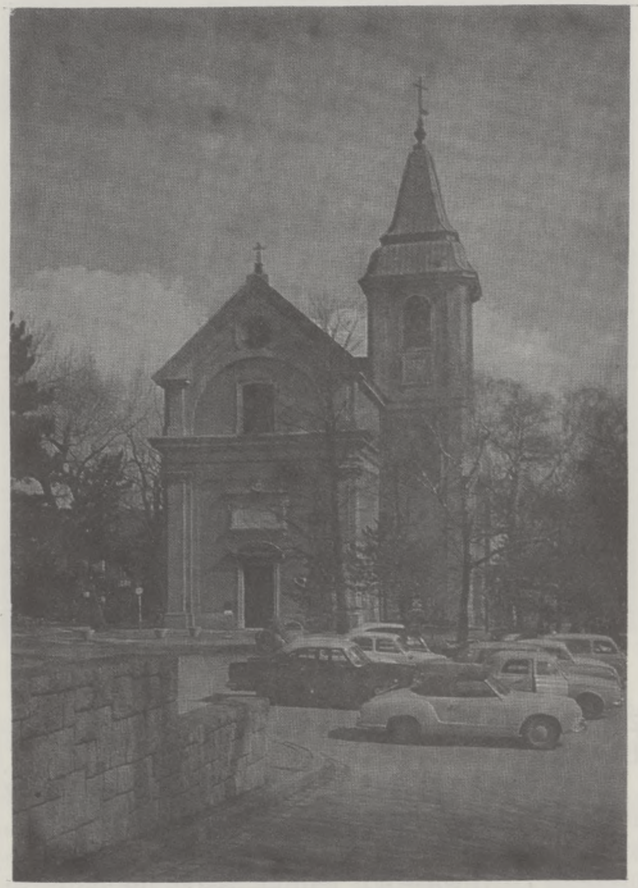
żenia obrazów profesora Jana Henryka Rozena jaki i herbów polskich rycerzy. Obrazy przedstawiają wypadki tego pamiętnego poranka 12-go września 1683 roku.

Rzeźby i inne prace artystyczne w kaplicy Sobieskiego jak i w głównym kościele również zostały "odmłodzone."

Rocznice mają swoją okrutną metodę, niespostrzeżenie i nagle pojawiają się u jednostek, w rodzinach jak i u narodów. W prywatnym życiu zawsze można szybko naprawić przeoczone lub zapomniane daty ważnych wydarzeń.

W narodowych, kulturalnych sprawach, tak jak w nadchodzącej 300 setnej rocznicy odsieczy Wiedeńskiej — zwycięstwa Sobieskiego nad Turkami w roku 1683 im — byłoby wielkim błędem, gdybyśmy zignorowali tę historyczną datę.

Polonia na całym świecie, powinna już planować — daleko przed czasem, jak uczcić tę rocznicę z godnością i honorem. Artykuł ten, aczkolwiek jest osobistym wspomnieniem rodzinnym, jest także przypomnieniem czytelnikowi o ważnej dacie historycznej.



Wzgórze Kahlenbergu, wznoszące się 483 metry nad poziom morza, jest jednym z wiedeńskich naturalnych objektów obronnych. Jego historyczna ważność sięga wstecz do około roku 1101.

Kamień węgielny pod świątynię był poświęcony 10-go sierpnia 1629 roku. Budowa oryginalnej świątyni była zaczęta w 1636 roku i ledwie skończona w 1683 roku, kiedy hordy tureckie pojawiły się na przedmieściach Wiednia.

Rok rocznie, 12-go września, odprawione jest uroczyste nabożeństwo w Kościele Świętego Józefa na Kahlenbergu, upamiętniające zwycięstwo Sobieskiego. Nie można przeoczyć religijnych aspektów tych uroczystości. Oficjalnie, Austriacy posiadają krótką pamięć jeżeli idzie o upamiętnienie tego historycznego momentu.

Pomimo podstępnej i zdradliwej Teutońskiej propagandy, Polska prawda historyczna, jak i te kilka cennych pamiątek i relikwii zachowały się i dominują przez ostatnie trzy wieki. Austriacy chcieliby zapomnieć ten historyczny przykład ich nieudolności i błagania pomocy polskiej, podobnie jak chcieliby usunąć z myśli i narodową tragedię Anschlussu, kiedy to w marcu 1938 roku, uroczyście i radośnie witali Hitlera, rodowitego Austriaka, w stolicy Austrii.

Mimo wszystko, istnieją silne i niezaprzeczalne dowody wspólnych kontaktów i współpracy pomiędzy Polską i Austrią. Po rozbiorach Polski, początkując około 1793 roku, Wiedeń był, po Paryżu, ośrodkiem polskiej kultury. Miało to miasto, nawet, faktycznie mówiąc, większe znaczenie niż Paryż. Przed 1914 rokiem, Parlament Austriacki, był jedynym Forum dla polskości, przedstawiając do opinii światowej współczesne polskie życie polityczne. Dr. Ludwik Ćwikliński był Ministrem Religii i Kultury; Hrabiowie Agenor Gołuchowski, ojciec i syn, byli premierem i ministrem Spraw Zagranicznych. mam pretensji pokrewieństwa z tym panem, ale strów Edukacji (wśród nich Podbielski). Ja nie mam pretensji pokrewieństwa z tym Panem, ale dobrze wiedzieć że był on postępowym pedagogiem.

Zakrystia w kaplicy Sobieskiego jest małym Polskim Museum. Można tam usłyszeć krótką rzeczową i historycznie akuratną narację nagraną na taśmie o Polskiej obronie Wiednia, po angielsku, polsku, rosyjsku i niemiecku, kosztem jednego szylinga — około siedem centów. Broszurki, przeźrocza i ilustrowane pocztówki są też do nabycia.

Mała kapliczka Anioła Stróża, obecnie kapliczka Sobieskiego była zrekonstruowana w latach 1850ych, w miejsce dawnej drewnianej świątyni. W roku 1893, Radca Cesarski, Pius Twardowski wraz z grupą zdrowo myślących polskich patriotów, rezydujących w Wiedniu, zorganizował doroczne religijne obchody w Kościele Św. Józefa na Kahlenbergu, w celu upamiętnienia Zwycięstwa Sobieskiego. Ksiądz Rektor Jakub Kuklinski, C.R. był pierwszym proboszczem w roku 1906.

Dziś Kaplica Sobieskiego jest obiektem pielgrzymek dla turystów. Nie trudno jest poznać wśród nich Polaków, którzy często ze wzruszeniem klękają w głębokiej zadumie na schodku ołtarza. Patrzą na nich z góry wspaniałe obrazy Jana Henryka Rozena, upamiętniające poranek 12-go września 1683 roku.

Sto dwa herby rycerstwa polskiego, głównie tych dowodzących husarią (rycerze na koniach, przybrani w zbroje ze skrzydłami), którzy brali udział w odsieczy, pokrywają boczne ściany kaplicy.

Małe oszklone szafy wzdłuż jednej ściany zawierają wiele artefaktów z roku 1683-go; Polskie, austriackie i tureckie monety; historyczne książki po łacinie, polsku i niemiecku traktujące o wydarzeniach z tej epoki. Można też zobaczyć pełną zbroję Husara z Hełmem. Dwa różańce tureckie; sandał i piuszka (zuchetta) Papieża Leona XIII-go, są również na wystawie.

Przygotowania Do Odsieczy

Rozważmy kilka faktów tyczących stosunków polsko-austriackich przed odsieczą Wiedeńską. Polsko-Austriacki związek obronny był omówiony i znaczony inicjałami we wrześniu 1682 roku. Umowa polityczna pomiędzy obu krajami była podpisana 31-go marca 1683 roku, służąc celom wspólnej obrony. Bardzo ważny jest jeden z paragrafów, który podkreśla, "że główna komenda będzie objęta przez tego Monarchę który osobiście będzie obecny na polu walki."

Oddziały pod komendą Hieronima Lubomirskiego, już w końcu czerwca brały udział w działaniach w okolicy Wiednia.

Podobne porozumienia były podpisane przez Austrię z Książętami niemieckimi. Duchem Chrześcijańskiej Anty-Tureckiej Ligi był Papież Innocenty XI, on to wspomagał w obronie Wiednia przez finansową pomoc Królowi Leopoldowi i jego sprzymierzeńcom.

7-go lipa 1683: Król Leopold Austrii, "zdjęty strachem," wraz ze swą świtą królewską, opuścił oblężony Wiedeń, w zupełnym popłochu, pod eskortą zaledwie 20-tu halabardników, ochrony osobistej, uciekał przez Linz aż do Passau, gdzie przybył 17-go lipca.

14-go lipca 1683 r.: Kara Mustafa okrążył Wiedeń z przeszło 200,000 wojsk tureckich, łącznie z Jańczarami (*), oraz pomocniczymi zasiłkami Tatarów i Węgrów.

(*) Instytucje jańczarów stworzyli Turcy w czasie swych wypraw przeciwko Europie. Oszczędzając samych siebie, tworzyli oni oddziały wojskowe ze specjalnie szkolonych jeńców. Brane w jasyr dzieci chrześcijańskie latami całymi zaprawiano do walki z "niewiernymi" i chowano w nienawiści do Europy. Jańczarowie pochodzenia polskiego, ukraińskiego, greckiego, serbskiego, bułgarskiego i włoskiego stanowili najwybitniejsze oddziały tureckie.

16-go lipca 1683 r.: w Wilanowie, nadzwyczajny poseł austriacki, hr. Waldstein miał się rzucić przed królem polskim na kolana, zaklinając go o pomoc jak najpośpieszniejszą dla ginącego cesarstwa. Obok niego zwracał się z błaganiami do Sobieskiego nuncjusz papieski Pallavicini, żebrząc by ratował dopóki czas Wiedeń, Austrię i całe chrześcijaństwo.

10-go sierpnia 1683 r.: Król Jan III Sobieski opuścił Kraków z 40,000 wojska, większość źle uzbrojona i wyposażona. Zbrojne zasiłki litewskie były opóźnione. Legenda twierdzi że w przeprawie przez góry Karpaty, Król miał się spotkać z Janosikiem, legendarnym zbójnikiem polskim.



29-go sierpnia 1683 r., wjechał Król Jan do Brunn.

30-go sierpnia 1683 r., Sobieski zetknął się z Porucznikiem Generałem Karolem z Lotaryngii, swym byłym wojskowym i politycznym przeciwnikiem. Obydwaj byli jednak wspólnie zadowoleni ze swego spotkania.

5-go września 1683 roku w Tulln nad rzeką Dunaj, 36 kilometrów od Wiednia, sprzymierzone wojska spotkały się w celu zaplanowania strategii wojennej. Radzie wojennej przewodniczył Król Sobieski, który objął najwyższą władzę.

Legat papieski, Kapucyn Marco d'Aviano, grał wybitną rolę w tych trudnych obradach. Starał się usuwać nieporozumienia i niezgody, drobne zazdrości i uspakajał wygórowane ambicje poszczególnych jednostek i dowódców wojskowych, zachęcając wszystkich do jedności i harmonii.

Sobieski wraz z Karolem z Lotaryngii zapoczątkował pierwszy strategiczny podstawowy koncept — marsz przez góry i wzdłuż rzeki Dunaj. Strategiczna rzeka broniła wojsko jak również miała być broniona.

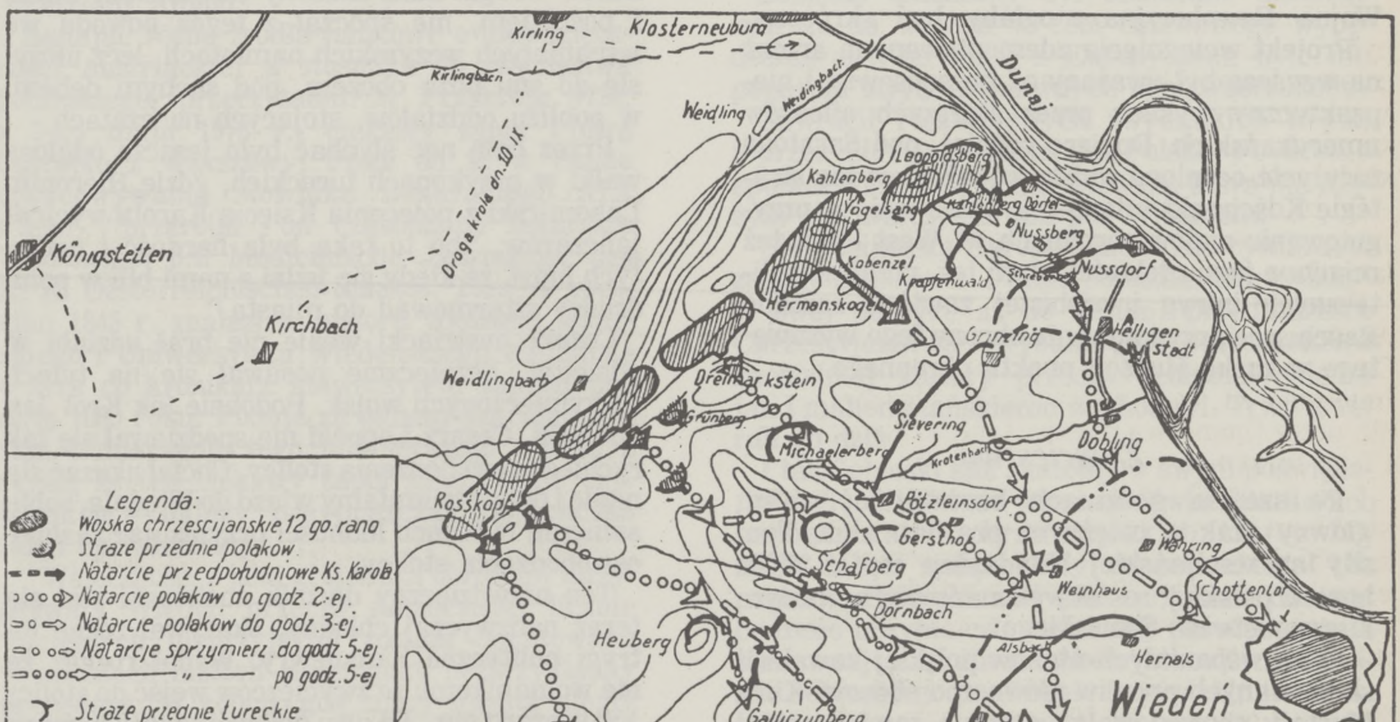
Armia Chrześcijańska, zgromadzona ostatecznie w dniu 8-go września na prawym-wschodnim brzegu Dunaju, liczyła około 75,000 ludzi i 170 dział. W tym około 24,000 Polaków (14,000 kawalerii polskiej, 10,000 piechoty i 28 polskich dział); 28,000 Cesarskich wojsk — 23,000 Imperialistycznych z których 3,200 było polskim wojskiem posiłkowym, pod dowództwem Hieronima Lubomirskiego.

Odległość od oblężonego Wiednia wynosiła w linii powietrznej, zaledwie około 20 kilometrów. Tegoż samego dnia 8-go września dokonał Król ostatecznej organizacji armii chrześcijańskiej.

11-go września 1683 r. pomocnicze siły wojskowe już znajdowały się na wzgórzach Lasów Wiedeńskich okrążających miasto. Przyłapanego szpiega w obozie polskim przyprowadzono do Królewskiego namiotu, gdzie był najpierw nakarmiony, następnie indagowany. Kazano mu wrócić do swego tureckiego pana z tymi słowami: "Wróć do Mustafy i powiedź mu że widziałeś i rozmawiałeś z Królem Polskim, Janem III-im Sobieskim. Powiedz mu ode mnie, że on może spodziewać się spożywać śniadanie z nim w niedzielę."

Reszta należy do historii. Mało jest podkreślany fakt, że polskie armaty pod dowództwem artylerzysty, Generała Marcina Kątskiego z wielkim wysiłkiem i trudem były wciągnięte na wzgórza Lasów Wiedeńskich do wysokości Kahlenbergu. Sobieski był już uważany w roku 1660 w walkach z Tatarami, za doskonałego artylerzystę. Austriacy natomiast, zniechęceni trudnościami terenowymi, zdecydowali zostawić swe armaty na odwrotnej stronie Kahlenbergu. Jak widzimy, doświadczenie, taktyka i przezorność Króla Polskiego skróciły ten konflikt. Bitwa 12-go września 1683 r. jest rzadkim przykładem zwycięstwa wojsk koalicyjnych.

Lekcja Historii



Dziewięćdziesiąt cztery lata później, podczas północnej kampanii na wiosnę 1777 roku, Tadeusz Kościuszko otrzymał rozkaz ocenić potencjał obronny Amerykańskiego Fortu Ticonderoga, nad jeziorem Champlain. Fort ten, wówczas stanowił granicę między Stanami Zjednoczonymi i Kanadą. Przypuszczano że stąd mogą zaatakować Anglicy.

Kościuszko miał zamiar ulokować baterię armat do obrony Fortu Ticonderoga na szczycie Mount Defiance, znaną również jako Sugar Loaf Hill. Jego koncept jednak nie był wprowadzony w życie i jako rezultat Fort Ticonderoga był zajęty przez Anglików. Natomiast, Anglicy wykorzystali teren i wciągnęli swoją zdemontowaną artylerie na wzgórze Sugar Loaf Hill. Tam mieli wspaniałą obserwację i kontrolę pozycji Amerykańskich. Północna armia amerykańska w której Kościuszko służył jako naczelny inżynier-saper, była zmuszona cofać się z ogromnymi stratami materialnymi i w ludziach, a co gorsza z upokorzeniem.

Gdyby koncept wojskowy Tadeusza Kościuszki byłby otrzymał należyte neutralne uznanie przez krótko wzrocznych i zazdrosnych amerykańskich dowodców w Ticonderoga, Amerykańska Wojna Rewolucyjna mogłaby być skrócona.

Projekt wciągnięcia zdemontowanych armat na wzgórza był uważany za bezsensowny i niepraktyczny wysiłek przez starszych oficerów amerykańskich. Dopiero później, pod Saratogą należycie oceniono wojskowo-inżynieryjną strategię Kościuszki i dano mu wolną rękę w przygotowaniu wałów obronnych. W West Point też oceniono jego zdolności i tam też, pomimo politycznych intryg i osobistej zawiści, zaufano Kościuszce przygotowanie obrony tego wysuniętego w rzekę Hudson punktu obronnego.

Zwycięstwo

Po sześciu godzinach bezustannej walki, główny atak z potężnym prawym skrzydłem siły chrześcijańskiej składający się z 20,000 husarii polskiej, został wykonany pod osobistym kierownictwem Sobieskiego.

Kilka wspaniałych ataków polskiej kawalerii skierowanych przeciw głównemu obozowi Kara Mustafy spowodowały ogromne zamieszanie i paniczną ucieczkę wśród Turków. Przed zachodem słońca Sobieski już był w namiocie Wielkiego Wezyra.

Tylko jedna opinia egzystuje o zachowaniu się Polaków podczas bitwy z Turkami; według Hrabiego Edwarda Taaffe (dyplomata austriacki, 1833-1895): "Polacy wstrzymali wstrząs gwałtownego uderzenia tureckiego z wybitną bohaterskością." Że Sobieski posiadał główną komendę nie tylko nominalnie, ale aktualnie jest potwierdzone przez generała Brandenburskiego, Księcia Anhalta jak i przez osobistą opinię najgroźniejszego rywala wojskowego, ale i najbardziej kompetentnego sędziego, Karola z Lotaryngii.

Łup Wojenny

Następnego dnia zielony sztandar Mahometa, zdobyty przez Polaków był posłany przez Sobieskiego do Papieża Innocentego XI, z listem zaczynającym się słowami: "Veni, vidi, Deus vicit." Jest to aluzja do przechwałki Cezara, gdy po rozgromieniu Króla Pharnacesa w pierwszym ataku w walce Zela, w roku 47 przed Chrystusem, pisał do swych przyjaciół, "przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem."

Po rozsypce i bezwładnym odwrocie tureckim, Sobieski kierował się ostrożnością. Łatwo było przypuszczać że, ochłonąwszy z pogromu, Wezyr uporządkowuje swe wojska i spróbuje uderzyć na upojoną zwycięstwem i rozproszoną w labiryncie obozu tureckiego, armię chrześcijańską. Części oddziałów przez całą noc stały w pogotowiu do odparcia prawdopodobnych zakusów wroga. Sam znużony całodzienną walką i pościgiem, nie spoczął z tegoż powodu we wspaniałych wezyrskich namiotach, lecz ułożył się do snu poza obozem, pod suchym dębem, w pobliżu oddziałów, stojących na czatach.

Przez całą noc słychać było jeszcze odgłosy walki w przykopach tureckich, gdzie Hieronim Lubomirski z polecenia Księcia Karola wycinał janczarów, "bo to taka była hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta."

Cesarz austriacki wcale nie brał udziału w odsieczy, bezpiecznie posuwał się na tyłach sprzymierzonych wojsk. Podobnie jak Król Jan Sobieski, Cesarz Leopold nie spodziewał się tak rychłego oswobodzenia stolicy. Chciał ukazać się nagle i odbyć triumfalny wjazd do Wiednia, sobie samemu w oczach ludności przypisując zasługę oswobodzenia stolicy.

Ten niewdzięczny dłużnik austriacki stał się teraz nadzwyczaj chłodny, okazywał różne intrygi polityczne i manewry. Wydał rozkaz że nie wolno nikomu ze zwycięzców wejść do stolicy kraju przed nim. Po dwu dniowej zwłoce pomimo zakazów Leopolda, Król Jan III Sobieski, jako główno dowodzący sprzymierzonych chrześcijańskich sił zbrojnych, wjechał triumfalnie do Wiednia drogą Schottentor, witany entuzjastycznie przez ludność cywilną. Władze austriackie otrzymały zbyt późno rozkaz cesarza, by uniemożliwić Królowi Polskiemu, jego krótki pobyt w oswobodzonym przez niego Wiedniu.

Cesarz Leopold gorzko przeżywał główną rolę

Sobieskiego w uwolnieniu jego stolicy. Pragnął jak najprędzej zapomnieć o danym mu ratunku i wymazać z pamięci powszechnej pomoc i zasługi Polaków.

Historia Powtarza Się...

Historia powtarza się, tymbardziej jeżeli idzie o danie uznania zwycięskim polskim siłom zbrojnym.

W maju 1944 roku, polski II Korpus pod dowództwem Generała Władysława Andersa, po bohaterskim zwycięstwie nad Niemcami pod Monte Cassino, otworzył drogę do Rzymu. Niestety, nie otrzymał on pełnego uznania. Normalnie przyjazny i przychylny Polakom General Mark W. Clark, zakazał wszystkim obcym jednostkom wojskowym pozostającym pod jego komendą wkroczenia do Rzymu.

Clark chciał sam wziąźć uznanie za oswobodzenie Rzymu i złożyć wizytę Papieżowi Piusowi XII, jako oswobodziciel wiecznego miasta.

Później, w roku 1945, podczas parady zwycięstwa w Londynie, nieobecność Polaków rzucała się w oczy.

Perfidny Albion!

Badając różne źródła naukowe o niewdzięczności Austriackiej w stosunku do zwycięstwa Sobieskiego, przeczytałem w Przekroju #721, z 1-go maja 1978 r., ciekawy zapis Piotra Szarejko z Warszawy. Pisze on że w czasie opracowywania Słownika Lekarskiego XIX wieku, "przerobił" on czasopismo lekarskie wiedeńskie, p.t. Medicinische Jahrbucher des K. K. Oesterreichischen Staates. Tam, w roczniku 1845 r. znalazł w historii wydziału lekarskiego i Uniwersytetu Wiedeńskiego wzmiankę o tym co kronikarz uniwersytetu zapisał pod datą 1683 roku. Podaje za panem Szarejko polskie tłumaczenie tego niemieckiego tekstu, z myślą że ten ciekawy zapis zainteresuje czytelników — należy przypuszczać dotychczas mógł być nieznany.

"Waleczność, z jaką gromadka obrońców utrzymywała Wiedeń przeciw niezliczonej liczbie wściekłych nieprzyjaciół została odnotowana w annałach historii wojen jako bezprzykładny precedens. W końcu, gdy mury miasta uległy strasznemu zniszczeniu liczba obrońców w zastraszający sposób z dnia na dzień topniała — bądź z powodu ognia nieprzyjacielskiego, bądź z powodu też na skutek panoszącej się epidemii czerwonki — i wydawało się już, że nadchodzi bliska zagłada, wielka radość ogarnęła Wiedeńczyków 12 września, gdy na wzgórzu Kahlenberga spostrzegli zatknięty przez bohaterskiego króla Jana Sobieskiego zwycięski sztandar; król Sobieski pozostanie na wieki we wdzięcznej pamięci wiedeńczyków. Po połączeniu się wojsk polskich i bawarskich oddziałów posiłkowych z resztkami cesarskiej armii Sobieski otoczył nieprzyjaciół i uderzył z taką gwałtownością i z tak niesłychaną walecznością, że potężne wojsko tureckie rozproszyło się na wszystkie strony, ponosząc olbrzymie straty i znalazło jedyny ratunek w dzikiej ucieczce w kierunku Węgier."

Kahlenberg, Wieczna Polska Pamiątka W Wiedniu

Po sześciodniowym odpoczynku, zwycięskie polskie wojska pod dowództwem Jana III-go (bez pomocy niemieckich i austriackich sił zbrojnych), ruszyły za uciekającymi Turkami. Po większych trudach i niedociągnięciach, jak i niespodziankach niż pod Wiedniem, zdobyli jeszcze jedne zwycięstwo pod Parkanami, na Węgrzech, pomiędzy 7 i 9 październikiem 1683 r.

Tym razem i Polacy ponieśli dalsze straty personelu wojskowego, aczkolwiek 35,000 Turków zginęło i Polacy zdobyli fortecę Otrzyskom.

Sobieski zmuszony był zaniechać dalszego marszu na wschód w celu całkowitego wypędzenia siły tureckiej z Europy.Brak było mu poparcia swych niedawnych sprzymierzeńców.

Zawrócił resztki swych zwycięskich wojsk, i przez Słowację dotarł do Polski. Po drodze spotkał opóźnioną armię litewską która nie zdążyła aby walczyć z nim pod Wiedniem.

Chrześcijańska Europa i zachodnia cywilizacja zostały uratowane. Polska pozostała "zachodnią" w swej polityce aż do szpiku; przedmurzem Chrześcijaństwa; wysuniętym posterunkiem zachodniej kultury przeciw schizmatyckiemu jak i mahometańskiemu wschodowi. Trwa w tej roli do dziś.

I tak Sobieski stoi samotny w swym poświęceniu i glorii. Stoi on jako wymówka dla swoich współobywateli chrześcijańskich którzy tak mało dali z siebie kiedy on potrzebował ich pomocy. Sobieski stoi jako przykład dla nas co może uczynić człowiek kiedy poświęca wszystkie swoje siły dla szlachetnych celów. Nazwisko Sobieskiego przetrwało trzy wieki, przetrwa i dalej.

Kahlenberg, Wzgórze Modlitwy I Pamiątek

Po wielu dalszych profanacjach i zmiennych kolejach losu, kościół na Kahlenbergu był przywrócony do swych oryginalnych użytków kościelnych dopiero w roku 1849. 4-go kwietnia 1906 roku, kościół był przejęty przez zakon Ojców Zmartwychwstańców. W 1914 roku szczere wy-

siłki długich lat, o mały włos nie zdołały aby odrestaurować kaplicę Sobieskiego według planów krakowskiego profesora Józefa Meyhoffer'a.



Obraz professora Rozena przedstawiając Krola Sobieskiego i legata papieskiego, Marco d'Avioni, przed bitwą.

Wybuch pierwszej wojny światowej wstrzymał realizację tych planów. Dwa z trzech dzwonów kościelnych i większość ołowiu na dachu kościelnym były skonfiskowane przez Austriaków na potrzeby wojenne. Dopiero w roku 1930-ym, Rektor Wojciech Niemir zdołał przeprowadzić program planów renowacji, rekonstrukcji i dekoracji polskich zabytków kościelnych na Kahlenbergu. Miałem zaszczyt żyć w przyjaźni z Księdzem Niemirą w latach 1945-1948.

Profesor Jan Henry Rozen ze Lwowa przyozdobił trzy ściany obrazami przedstawiającymi główną rolę Sobieskiego w odsieczy Wiednia.

Na czwartej ścianie i suficie widnieją herby rycerstwa polskiego, przeważnie wyższych oficerów Polskiej Husarii. Są też herby Króla Jana III, Karola Lotarynskiego i innych zagranicznych wodzów, oprócz Cesarza Leopolda. W trudnej pracy nad sprawdzaniem autentyczności herbów polskich w XVII wieku, brali udział Książe Zdzisław Lubomirski; Hrabia Ludgard Grocholski, Prezes i sekretarz Kolegium Herbowego, oraz Baron Adam Gubrynowicz. Pracę zaczęto w lecie 1930 roku i skończono podczas jesieni tegoż roku.

W roku 1933, na 250-tą rocznicę obrony stolicy Austrii, Papież Pius XI, w liście do austriackiego episkopatu, podkreślił historyczną rolę Sobieskiego w uratowaniu miasta i całego zachodniego Chrześcijaństwa od niebezpieczeństwa tureckiego.

W zakrystii wisi kopia obrazu Jana Matejki, "Sobieski pod Wiedniem." Oryginał jest w zbiorach watykańskich.

Po lewej stronie ołtarza w kaplicy Sobieskiego, jeden z obrazów Rozena przedstawia legata papieskiego przy ołtarzu odprawiającego Mszę Świętą do której służy Król Sobieski. Pomiędzy klęczącym Królem i legatem papieskim Kapucynem Marco d'Aviano, widnieją słowa, "Joannes Vinces" (Janie zwyciężysz), jakie przez pomyłkę miał wypowiedzieć legat przy końcu Mszy Świętej, zamiast: "Ite, Missa est" (Idźcie, ofiara spełniona).

Za Sobieskim są przedstawieni inni uczestnicy tej Mszy Świętej, a więc Karol Lotaryński (w niebieskim płaszczu), Maksymilian Emanuel z Bawarii, oraz Jakub Sobieski.

Na tej samej ścianie, u góry, jakby w przedłużeniu poprzedniego obrazu, przedstawiony jest król francuski, Ludwik IX, członek wyprawy krzyżowej przeciw Turkom w wieku trzynastym.



Obraz papieza Inocenty XI podczas modlity w Kaplicę Sobieskiego.

Na głównej ścianie, naprzeciw wejścia jest obraz klęczącego Papieża Innocentego XI, modlącego się do Boga o pomoc dla oblężonego Chrześcijaństwa.

Na górnej ścianie powyżej wejścia do kapliczki przedstawiony jest rycerz polski, składający zdobyty sztandar turecki u nóg św. Józefa, patrona kościoła na Kahlenbergu. Obok niego są święci Leonard i Jan Capistrano.

Refleksje Końcowe

Antonina Kizińska Gainer w swej broszurce o Kahlenbergu, słusznie zwraca uwagę że piękność kapliczki Sobieskiego jest niezrównana.

Godność, dostojność i przepych; kolor i wspaniałości przeszłości zlewają się harmonijnie z duchową prostotą i pokorą. Jej bezcenna artystyczna wartość uczyniła z kaplicy Sobieskiego perłą Kahlenbergu, ornamentem Wiednia i dumy narodu polskiego. Historyczny dokument został odtworzony; chwalebny pomnik bohaterskiego króla i jego polskich rycerzy; cenna pamiątka dla ich potomstwa i całego Narodu Polskiego.

Bibliografia: Osobiste notatki autora z Wiednia, od 1945 przez 1948 i w 1977 roku.

Archiwa p. Henryka Archackiego, Nowy York.

"Wiedeń" Jan Dobraczyński, 1978 r.

"Jan Sobieski," Artur Śliwiński, wydawnictwo Arcta, Warszawa, 1924 r.

Cambridge History of Poland, 1950.

"Jan Sobieski, King Crusader," Dr. Wm. J. Rose, POLAND magazine, June 1929.

"Jan III Sobieski," Otton Laskowski, nakładem Macierzy Polskiej, Lwów, 1933.

"Notatki Adama Polanowskiego," dworzanina Króla JMci Jana IIIgo, przez J. I. Kraszewskiego, Tom I, Warszawa, M. Arct, 1913.

"Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska w opracowaniu Jana Czubek," wydanie IIgo Polskiego Korpusu, Jerozolima, 1944.

"Memoirs of Jan Chryzostom z Gosławic Pasek," angielskie tłumaczenie Marii A. J. Święcickiej, wydanie Fundacji Kościuszkowskiej, 1978 r.

CZTERY TWARZE — JEDEN POLICZEK...

Pisze Henryk Archacki



ZABRAŁO TRZY PARY wołów by wyciągnąć z błotnistego dna rzeki Zbrucz jakiegoś potwora kamiennego. Susza która trwała aż do sierpnia roku 1848, obniżyła poziom rzeki gdy się okazał grzbiet czworokątnego kamienia, rzucając się w oczy bo wyglądało to, że ma głowę — nie jedną lecz kilka! Włościanie gdy zobadzyli cztery twarze z otwartymi oczyma przeżegnali się kilkakrotnie i szybko zameldowali do władzy wsi, że coś niezwykłego leży w rzece.

TYSIĄC LAT minęło od czasu gdy inni Polacy, zwani poganami, niechętnie zaczęli spełniać rozkaz by zniszczyć wszystkie symbole kultu wytworzone z ziemi i duszy pra-starych plemion, którzy kiedyś byli zwani Polanie, Pomorzanie, Kujawianie, Slezanie, Wiślanie, Mazowszanie i innych nazw.

HRABIA KONSTANTY ZABOROWSKI przyszedł obejrzyć tego potwora kamiennego i coś go tchnęł by to zachować i przywieść do dworu w bliskim Liczkowce... Później w rozmowie z sąsiadamy wspomniał o swym wydobyciu posągu martwym a jednak żywym!

KSIĄŻE MIECZYSŁAW POTOCKI usłyszał o tem i przyjechał zobaczyć wydobytą ciekawość i poznał, że to prymitywna rzeźba wielkiego boga słowiańskiego SWIATOWITA który był dawno ubóstwanym na wyspie Rugi nad Bałtykiem. Potocki, człowiek bardzo świadomy na owe czasy, rozpoczął badania symbolów wyrytych na czterych stronach kamiennego posągu, który stał przeszło osiem stóp wysoki. Swe naoczne badania Potocki wysłał do Krakowskiej Akademji Umiejętności, określając przekonanie, że rzeźba ta nie tylko jest stara ale potwierdza świadomość o rozwiniętej kulturze pra-słowiańskiej, która sięgała od Bałtyku, na południe przez dolinę rzeki Wiślanej i na wschód do doliny rzeki Dniepru gdzie żyli także Polanie.

BYLI CI SAMI Polanie których Święci Cyryl i Methody nawrócili do chrześcijaństwa w roku 863, czyli sto lat przed nakłonem Mieszka I, który zgodził się, pod wpływem narzeczonej czeskiej Dąbrówki, wraz z narodem. Dąbrówki zapał był szczery — dążyła do połączenia Czeską posiadłość z Piastowską ziemią. Było to dobrowolne nawrócenie, lepsze niż od brutalnego nawrócenia przez Niemców.

W ROKU 1848 Polska istniała pod ciężką ręką Prus, Rosji i Austrji. Władza austryjacka pozwala na swobodę i odkrycie kamiennego Swiatowida wzbudziła zaciekawienie w statożytności pogańskich.

HRABIA POTOCKI sam nadał nazwę "ŚWIATOWID" tej skromnej postaci aby odróżnić od wielkiego boga Światowita lub Śwentowita, który panował na wyspie Rugenskiej... Potocki także

odwiózł swego Światowida do Krakowa i tam znalazł dla niego przytułek i opiekę w starym grodzie Krakusa.

WYRZEŹBIONE SYMBOLE Światowida stały się przedmiotem obszernej dyskusji. W drugim rzędzie — figury stojące trzymają się rękoma — wywnioskowano, że stoją dwie męskie postacie i dwie żeńskie... Był to niezwykły dowód męskich-żeńskich równouprawnienia tysiąc lat przed naszym stuleciem.



POSĄG ŚWIATOWIDA ZNAJDUJĄCY w KRAKÓWIE

NAJNOWSZE BADANIA wywnioskują według sensacyjnej rewelacji Dr. Wandy Drabik, asystentki Dyrektora Muzeum Archeologicznego w Krakowie, że dwie głowy Swiatowida także są żeńskie i dwie męskie. Takie określenie dałoby nam niezwykłe wyobrażenie, że nasz skromny kamienny Swiatowid jest unikatem, iż niewiasty pogańskie sięgały bogiń równolegle z bogami męskimi!... **Byłby to policzek nierozwiniętych poglądów o kulturze pagańskiej!**

DOLNE FIGURY klęczące podtrzymując sufit kamienny, wyobraża 'piekło' gdzie grzeszne dusze pokutują. Ta interpretacja zaniepokoiła ludność.
Przecież poganie nie byli zdolni odróżnić 'nieba' i 'piekła' — a jednak rozróżnić potrafili... w rzeczywistości poganie pra-polscy wierzyli nietylko w nieśmiertelność duszy lecz również w wynagrodzenie i pokutę.

DALSZE WIDOCZNE SYMBOLE jak róg, koń i szabla, miejscowy rzeźbiarz starał się naśladować co było widoczne na wielkim drewnianym posągu Swiatowita na wyspie Rugi. Symbole te były detalicznie określone jeszcze w roku 1189 przez kronikarzy Saxo Grammaticus i Helgofa, którzy byli na wyspie Rugi przed najazdem Waldermara, który podbił twierdzę Arkony i zniszczył świątynię Swiatowita wywożąc zgromadzone bogactwa i ofiary.

ZA NASZYCH CZASÓW naziści także chciele zniszczyć Swiatowida gdy objęli Kraków. Jednak kustosz muzeum przekonał komisarza J. Nowotnego, że Swiatowid był symbolem Wikingów — i dzięki temu ocalał.

GDY FLORIANA RACHELSKIEGO SWIATOWID był odsłonięty 27 marca 1977 w Swiątyni Króla Ducha w Hackensack, N.J., nieznany był fakt, że Hrabia Zaborowski był pierwszym opiekunem wydobytego Swiatowida z rzeki Zbrucz. Ta wiadomość teraz nam daje podwójną świadomość gdyż Swiątynia Króla Ducha, wprawdzie stary unitarjański kościół, również stoi na ziemi, która kiedyś nalezało do Olbrachta Zaborowskiego. Był on ojcem najstarszej rodziny Polsko-amerykańskiej. W roku 1654 zakupił obszerną posiadłość w okolicy obecnego Hackensack. Dziś rodzina Zabriskich liczy 24 pokoleń a George Olin Zabriskie jest honorowym prezesem Muzeum Polskiej Kultury mieszczącej się w kościele i dawniejszej plebanji.

MUZEUM POLSKIEJ KULTURY z okazji dziesięciolecia i pierwszej rocznicy wprowadzenia własnego ŚWIATOWIDA, ogłasza nowo wydany druk pod tutyłem 'Saga Światodida' który dalej określa pra-polskię posąge na ziemiach Amerykańskich. Założyciel muzeum, Ks. Tomasz Kołakowski, podaje że pierwszy kwartalnik także jest gotowy.

Druki są do nabycia bezpłatnie, — tylko trzeba listownie zgłosić się do : Museum of Polish Culture, 252 Park St., Hackensack, N.J. 07601.

Notatka Autorska: NIECH NAM WOLNO tu nadmienić, że nasze najnowsze określenie Swiatowida nie mogłoby być uzupełnione bez podstawowych materiałów nadesłane przy pomocy artystki Wandy Marzec, 3 Elmwood Park, N.J., która się zwróciła do Dra. Wandy Drabik w Krakowskim Muzeum Archeologicznym. Kontakt ten był osobiście uzupełniony przez Pułk. Antoniego Podbielskiego z Bayonne, N.J., podczas jego pobytu w Polsce w 1977 r. Jednocześnie pierwsze polonijne wzmianki o Swiatowidzie były nadesłane nam przez Dra Edwarda C. Różańskiego z Chicago...H.A.

A. Lach Szymański

Redaktor „Przeglądu Księgarskiego".

KSIĄŻKA POLSKA

Do pojęcia Ojczyzny należy książka. Jest ona nie tylko dziełem jednostki, z gruntu ojczystego wyrosłej, wyrazicielką ukochań, tęsknot, przemyślań i dorobku narodowego, lecz również twórcą narodu. Kto obcuje z wielkimi pisarzami, poetami, myślicielami, uczonymi, jednoczy się z tym, co w narodzie jest najpotężniejsze i najbardziej twórcze.

H. Radlińska.

Nie chodzi o to, aby przeczytać wiele, ale o to, aby umieć wybierać, aby poznać dobrze te dzieła, w których indywidualność duchowa narodu wypowiedziała się i swoją wiarę w życie zatwierdziła.

Artur Górski.

Książka, to najwalniejsza krzewicielka oświaty, to najdoskonalszy wytwór kultury narodowej, to cenna cząstka kultury ogólnoludzkiej.

Książka, to niezawodzący przyjaciel człowieka, to pocieszyciel i nauczyciel, to przewodnik i doradca, to sternik i drogowskaz.

Człowiek, nie doceniający książek, to kaleka, — to osobnik sam siebie skazujący na upośledzenie w wielkim wyścigu pracy i wiedzy, jakim jest życie współczesne.

A dla tych, którym życie tak się ułożyło, iż poza krajem ojczystym trwać muszą, książka staje się nadto żywym łącznikiem z Ojczyzną, z jej życiem i tradycją, z jej przeszłością i teraźniejszością. Z książek czerpiemy wiedzę o czasach dawno minionych i w książkach przekazujemy naszą współczesność pokoleniom, które po nas przyjdą.

Od kolebki do grobu, we wszystkich okolicznościach życia książka oddaje nam liczne i nieocenione usługi.

To niezwykłe znaczenie książki dla człowieka uznawane było od bardzo dawnych czasów, nawet już wtedy, gdy nie znano jeszcze papieru i tłoczni drukarskiej, gdy nie znany był pergamin ani papirus, gdy utrwalano fakty i wydarzenia dla przekazania ich potomnym na cegiełkach glinianych, które następnie wypalano dla nadania im trwałości.

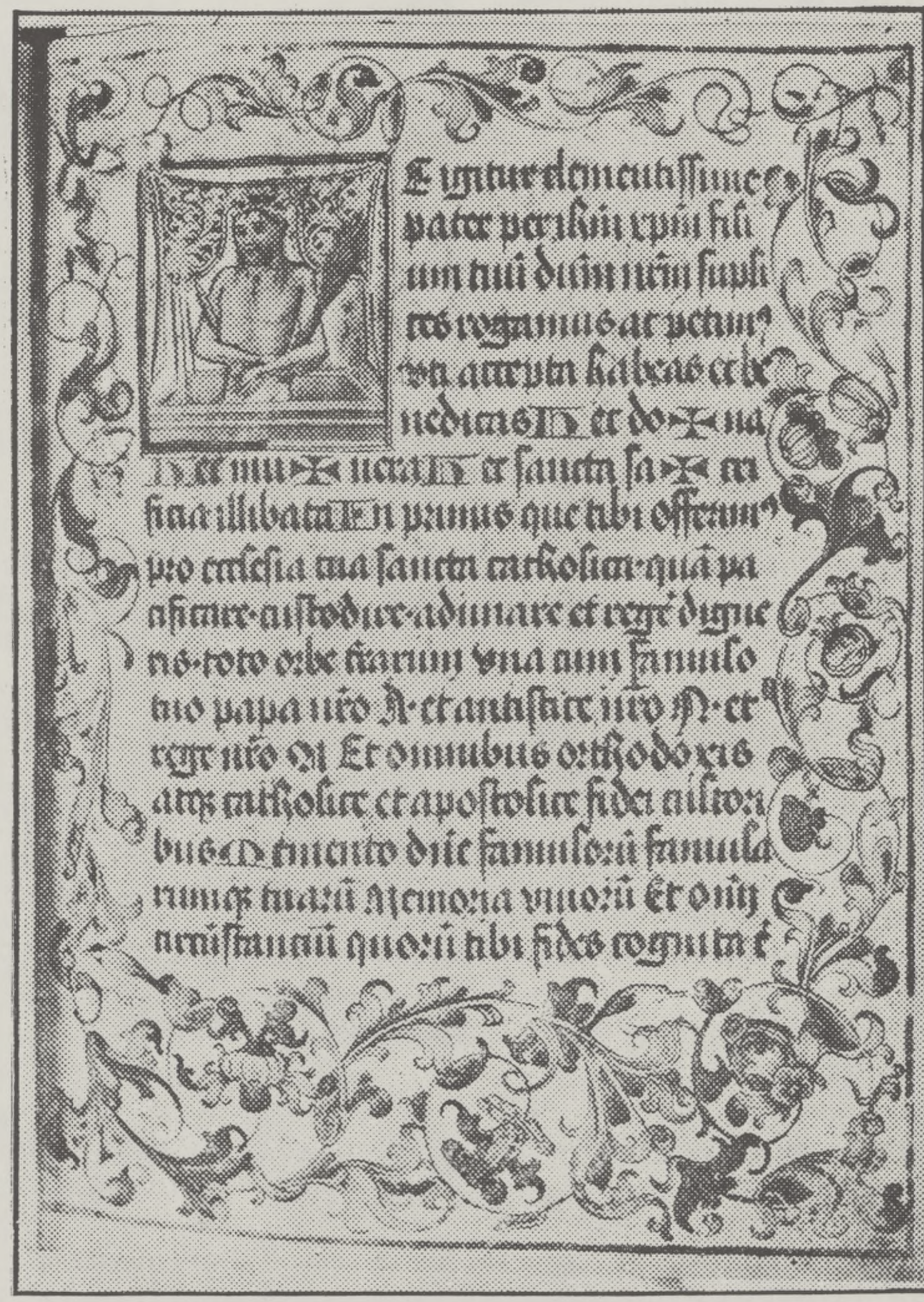
Dzięki tym pierwszym „książkom" mamy dokładne wiadomości o życiu ludów i osób, które — na parę tysięcy lat przed Narodzeniem Chrystusa — żyły i działały.

* * *

Nie jest naszym zamiarem dawanie opisu z dziejów kultury ogólnoludzkiej i szczegółowego opowiadania, jak z biegiem wieków kształtował się rozwój sztuki utrwalania słowa i myśli ludzkiej w celu przekazywania zarówno współczesnym, jak i potomnym. Dziś chodzi nam jedynie o przedstawienie w krótkości, jak to sprawa książki kształtowała się na ziemiach polskich.

Nie będziemy sięgali do czasów przedhistorycznych, bo o nich brak ścisłych wiadomości, wystarczy przypomnieć sobie, jak to było w pierwszych wiekach po przyjęciu chrześcijaństwa.

Wiemy dobrze, iż drukarstwo w obecnym tego słowa znaczeniu dopiero od wynalazku Gutenberga (około roku 1440), polegającego na tłoczeniu książek zapomocą czcionek ruchomych, datuje swój rozwój. W poprzedzających ten wynalazek czasach istniały jedynie książki ręcznie pisane i ręcznie przepisywane.



Pięknie ozdobiony polski rękopis na pergaminie, pochodzący z XV w., a znajdujący się w bibliotece „Ossolineum" we Lwowie.

Oczywiście na posiadanie takich książek nie każdy mógł sobie pozwolić, tak były one kosztowne, to też w one czasy spotykamy książki tylko na dworach królewskich i bardzo zamożnych osób, które było stać na utrzymywanie własnych pisarzy lub na kupowanie drogich dzieł rękopiśmiennych.

Przepisywaniem ksiąg liturgicznych i dzieł religijnych zajmowały się też klasztory, a zakonnicy, traktując swą pracę jako służbę Bożą, ze szczególniejszą starannością oddawali się pisaniu ksiąg, stwarzając nieraz prawdziwe arcydzieła w tym zakresie, po dziś dzień budzące zachwyt i uznanie. Obok Pisma św. i żywotów świętych, przepisywali oni też dzieła literackie i kroniki historyczne, dzięki czemu przy klasztorach powstawały pierwsze biblioteki, gromadzące na swych półkach wszystkie najcenniejsze twory ducha ludzkiego.

W miarę rozrostu nauk i powstawania wyższych uczelni, zaczęto przy nich dla potrzeb uczących się i nauczających, tworzyć poważne księgozbiory ze wszystkich dziedzin wiedzy.

Tak samo działo się w Polsce, gdzie jedna z najwspanialszych bibliotek powstała w Krakowie przy Wszechnicy Jagiellońskiej, sięgającej swymi początkami czasów Kazimierza Wielkiego (rok założenia 1364), a odnowionej i rozszerzonej za czasów króla Władysława Jagiełły, dzięki hojnemu zapisowi królowej Jadwigi. W całej pełni jednak wiedza w księgach zawarta zaczęła promieniować na kraj cały z chwilą wynalezienia druku. Doniosły ten w dziejach ludzkości wynalazek, w Polsce bardzo rychło znalazł zrozumienie, bo już w r. 1476, to jest mniej więcej w ćwierć wieku po pierwszych drukach moguncich, zjawiają się pierwsze książki tłoczone w Polsce.

Początkowo są to przeważnie dzieła treści religijnej, a następnie ze wszystkich innych dziedzin i nie tylko na potrzeby samych Polaków, gdyż z pod pras drukarń krakowskich wychodziły pierwsze w Słowiańszczyźnie książki ruskie i słowiańskie, a następnie obok łacińskich, greckie, hebrajskie i węgierskie. Drukarstwo w Polsce przyjęło się szeroko: pięćset prawie drukarń w stu przeszło miastach i miejscowościach istniało w jej granicach, na przestrzeni czasu od połowy wieku XV do czasu rozbiorów, to jest do końca wieku XVIII.

Sztuka drukarska znalazła w Polsce tak pojętnych i zamiłowanych adeptów, że mistrze polscy, wydoskonaleni w tej umiejętności, szczepią ją z powodzeniem w innych krajach Europy. Oto dzieje zachowały nam imiona niektórych z tych mistrzów: tak więc Jan Adam z Polski drukował książki w roku 1478 w Neapolu, Stanisław z Polski (Stanislaus de Polonia) w latach 1492 do 1495 tłoczył księgi w dalekiej Sewilli, tamże w roku 1495 rozwijał działalność Stefan Polak. Było ich niewątpliwie znacznie więcej — ale wiele ksiąg z tamtych wieków nie dochowało się do naszych czasów i nie wszyscy ich twórcy zaznaczali swą narodowość.

Jeśli chodzi o drukarzy, w Polsce działalność rozwijających, to słuszną chwałą zasługi, na polu wydawania i tłoczenia ksiąg, otoczone są przede wszystkim takie nazwiska drukarzy krakowskich, jak: Świętopełk Fiolą, Jan Haller, Florian Ungler, Szarffenbergowie, Siebeneycherowie, Matys Wierzbięta, Łazarz Andrysowicz i wielu, wielu innych. Wymieniliśmy tylko tych mistrzów najwcześniejszych, boć przecie w samym tylko Krakowie na przestrzeni okresu trzech wieków od XVI do XVIII działało około 100 drukarzy i podawanie nazwisk wszystkich ich zbyt wiele miejsca by zajęło.

Rozwojowi sztuki tłoczenia ksiąg w Polsce sprzyjała wielce zupełna wolność druku. Na założenie drukarni nie potrzeba było wcale uzyskiwać pozwolenia; wyjednywano tylko

przywileje królewskie na książki, aby zabezpieczyć się od przedruku. Jedynie dzieła religijne podlegały cenzurze biskupiej, a obowiązek zapobiegania szerzeniu drukiem zgorszenia leżał we władzy magistratów.

Pomimo tego, że od pierwszych lat wynalezienia sztuki drukarskiej tak się w Polsce drukarstwo swobodnie rozrosło i bujnie rozpleniło, niewiele ksiąg z tych czasów się dochowało. Przeważna część literatury polskiej



Ewangeliarz z XI w. z wizerunkiem św. Jana.
Jest to jeden z najstarszych polskich zabytków rękopiśmienniczych w Polsce i znajduje się w bibliotece katedralnej w Gnieźnie.

od r. 1475 do połowy wieku XVI zaginęła. Jako dowód niech posłuży fakt, że na 40 dzieł polskich, wymienionych w testamencie wdowy po drukarzu Unglerze, spisanym w roku 1551, zaledwie kilka doszło do naszych czasów. Bez względu jednak na to, że tak znaczna część ksiąg, tłoczonych w Polsce, poszła w niepamięć, to jednak cyfra wykonanych u nas w wieku XVI, o których wiadomości się przechowały dochodzi do 10.000 tytułów. Liczba imponująca, jak na owe odległe czasy i najlepiej świadcząca o tym wielkim ruchu umysłowym, jaki dzięki sztuce drukarskiej zakwitnął w Polsce za czasów Zygmunta I.

* * *

Od najwcześniejszego zarania dziejów naszych znajdujemy dowody, że w Polsce zawsze rozumiano znaczenie i pożytek ksiąg, że doceniano ich wartość dla oświaty w kraju i nie żałowano pieniędzy na ich gromadzenie, na tworzenie bibliotek.

Ze wzmianek starodawnych kronikarzy i dziejopisów wiemy, że już około roku 1024 Marcin, biskup płocki, darował swoją bibliotekę kościołowi w Płocku, a św. Stanisław, biskup krakowski, około roku 1050 przywiózł z Paryża do Krakowa znaczny zbiór książek, zaś św. Salomea, córka Leszka Białego, w roku 1268 zapisała książki swoje klasztorowi.

Wiemy też, że przy katedrze poznańskiej istniała pokaźna biblioteka już w wieku jedenastym, a Kraków w wieku XIII ile miał kościołów i klasztorów, tyle miał i bibliotek. Istniało nawet przysłowie: „Klasztor bez ksiąg — twierdza bez wojska".

Niewiele ksiąg z tych odległych czasów dochowało się do naszych czasów, nie ze względu na materiał z którego były robione, bo pergamin skutecznie opiera się wielowiekowym nawet działaniom czasu, lecz z tego powodu, że przed XIV wiekiem miasta i klasztory były przeważnie budowane z drzewa i często padały ofiarą pożarów, a z nimi i całe bogate nieraz księgozbiory. U dawnych dziejopisów znajdujemy stwierdzenia faktów, że około r. 1260 biblioteki benedyktynów na Łysej Górze i w Sandomierzu spalone zostały przez Tatarów, a napady Litwy, Rusi, Krzyżaków, Jadźwingów i Mongołów były powodem zniszczenia wielu księgozbiorów w dobie Piastów.

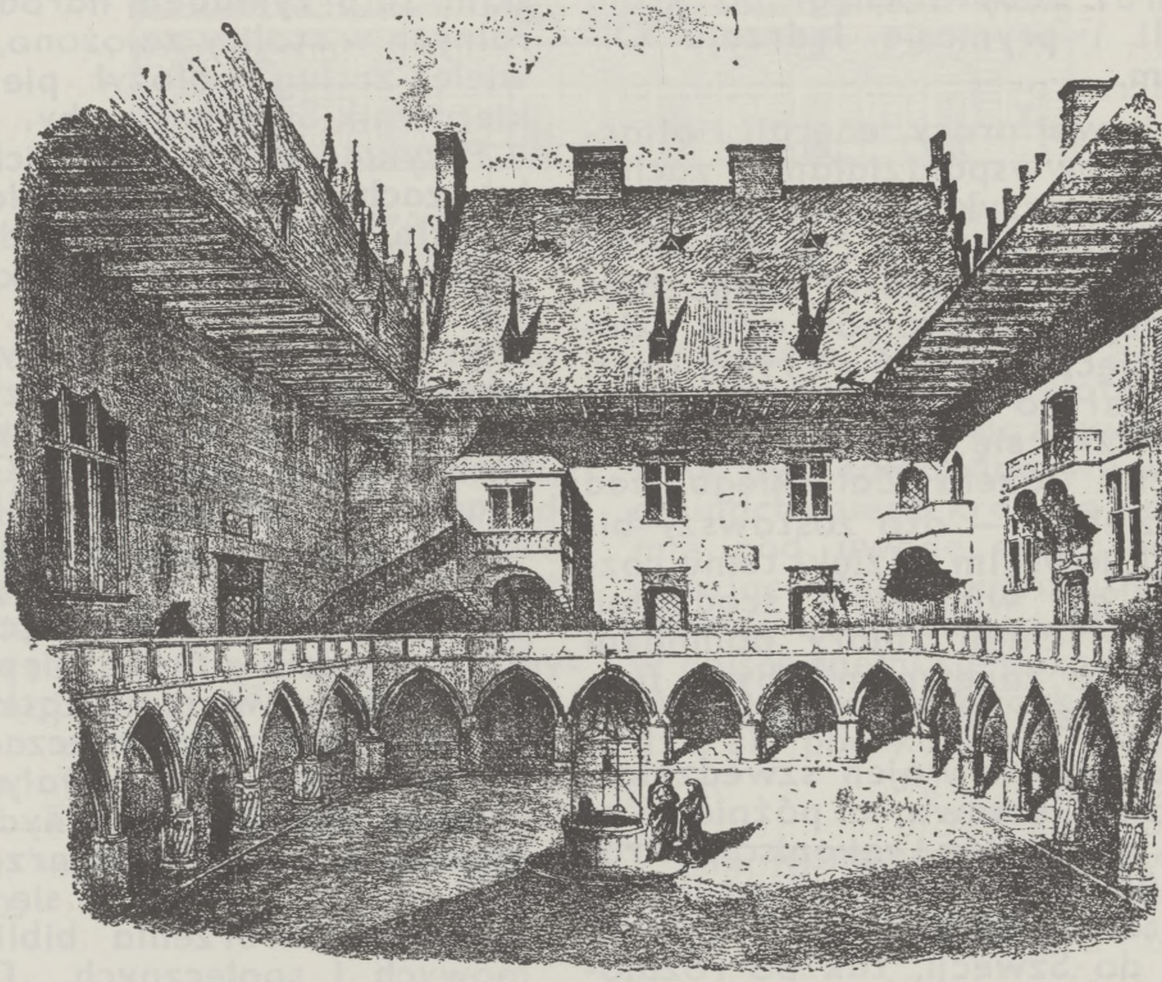
Obok wyższych duchownych, zbierających księgi i dopomagających do tworzenia bibliotek po różnych miastach Polski, zapisuje historia Polski imiona królów, książąt i możnowładców, którzy łożyli znaczne sumy na fundowanie i pomnażanie bibliotek. Kosztem Władysława Jagiełły powstała biblioteka w Płocku, Zygmunt I zgromadził doborowy księgozbiór na zamku w Wilnie, a Zygmunt August (1548—1572) nie tylko sprowadzał z zagranicy dzieła autorów najcelniejszych, ale miał już stałego bibliotekarza w osobie znanego z dziejów piśmiennictwa polskiego pisarza, Łukasza Górnickiego. Stefan Batory (1576—1586) również przyczyniał się do powiększania księgozbiorów, a między innymi znacznie pomnożył swoim sumptem bibliotekę Akademii Wileńskiej. Biblioteka króla Jana Sobieskiego, która znajdowała się w Żółkwi, a po zgonie króla i jego dzieci przeszła na własność Załuskich, zawierała około 2000 dzieł.

Przedstawiciele możnych rodów nie skąpili też grosza na tworzenie księgozbiorów własnych lub wspieranie bibliotek klasztornych, miejskich i istniejących przy uczelniach.

Zamoyscy, Szafrańcowie, Wolscy, Radziwiłłowie hojną dłoń mieli na księgi i w ich zbieraniu się lubowali, a w rozdawaniu ich różnym bibliotekom szukali chwały.

Jak wielka w owe czasy była ofiarność na cele krzewienia oświaty z pomocą księgozbiorów, to niech za dowód posłuży dawna biblioteka bernardyńska w Tykocinie. W zapadłym tym zakątku Podlasia klasztor tykociński posiadał, dzięki ofiarności okolicznych panów, około tysiąca dzieł, drukowanych w końcu XV i na początku XVI stulecia, których koszta kupna i sprowadzenia z zagranicy równały się wówczas wartości kilku folwarków.

Przykład niezwykłej w tym zakresie ofiarności dał ks. Józef Andrzej Załuski, referendarz koronny. Oto uszczuplając znacznie swój majątek, ograniczając swe osobiste potrzeby do minimum, ks. referendarz wszystkie rozporządzalne pieniądze wydawał na kupowanie książek. Nie było to jednak maniactwo lub też kolekcjonerskie polowanie na tak zwane „białe kruki" — to jest rzadkie osobliwości drukarskie, lecz celowe, umiejętne, z poważną myślą kompletowanie wszystkich działów piśmiennictwa i wiedzy ludzkiej, gdyż w zebraniu wielkiej biblioteki widział środek do podźwignięcia nauki i oświaty narodowej.



Biblioteka Jagiellońska w Krakowie.
Dawny gmach Akademii odrysowany przez J. Matejkę.

Zapał ten ks. referendarza pociągnął za sobą również inne osoby wysoko postawione, które mu w dziele zbierania ksiąg dopomagały, a przede wszystkim rodzony brat jego ks. Andrzej Stanisław Załuski, biskup krakowski, przekazał do zbiorów pokaźną swą bibliotekę osobistą, oraz nabyte księgi po królu Janie III i prymasie Jędrzeju Olszowskim.

Dzięki swej pracy, energii i ofiarności, a przy współdziałaniu, zachęconych jego przykładem ludzi dobrej woli, ks. Józef Andrzej Załuski w ciągu lat trzydziestu zebrał księgozbiór liczący do 300.000 tomów oraz dziesiątki tysięcy rękopisów i rycin i w r. 1747 oddał do użytku publicznego. Nie skończyła się jednak z tą chwilą opieka ks. Józefa Załuskiego nad swym dziełem — oto zostawszy biskupem kijowskim i dzięki temu rozporządzając większymi środkami, w dalszym ciągu zbiory pomnażał i zabiegał o zapewnienie bytu fundowanej przez się biblioteki.

Jak za czasów wojen szwedzkich, za Karola Gustawa, a później Karola XII wiele ksiąg i rękopisów z Krakowa, Wilna, Poznania, Inflant i Warmii zostało zrabowanych i wywiezionych do Szwecji, tak po rozbiorach Polski rząd rosyjski zrabował Bibliotekę Załuskich, wywiózł do Petersburga i wcielił do Biblioteki Cesarskiej, która wówczas liczyła tylko 20.000 tomów, gdy biblioteka Załuskich (pomimo zagubienia i zniszczenia wielu dzieł przy niedbałym przewozie i pakowaniu, podczas którego większe tomy przecinano na połowę) według świadectwa bibliotekarza petersburskiego zawierała 395.045 ksiąg i rękopisów w różnych językach, 40.618 sztychów i rysunków oraz 16 zbiorów botanicznych.

Po półtorawiekowym prawie przymusowym pobycie nad Newą znaczna część zbiorów biblioteki Załuskich, dzięki zwycięstwu oręża polskiego, na mocy traktatu ryskiego wróciła obecnie do Polski i została wcielona do Biblioteki Narodowej, jaką, w odrodzonym państwie polskim, za przykładem narodów kulturalnych w stolicy założono, a w czym wiele zasług położył pierwszy jej kierownik Stefan Demby.

Przykład braci Załuskich podziałał zachęcająco na społeczeństwo polskie. Nie tylko przedstawiciele rodów magnackich i wielkopańskich jak Czartoryscy, Czaccy, Działyńscy, Krasińscy, Chodkiewicze, Zamoyscy, Tyszkiewicze, Raczyńscy, Platerowie, Sapiehowie, Chreptowicze, Mniszchowie, Tarnowscy, Ossolińscy, Stadniccy, Lubomirscy, ale i cały szereg osób, mniej świetne nazwiska noszących, jął tworzyć księgozbiory, co szczególniej wielkie znaczenie miało w okresie utraty niepodległego bytu państwowego. Początkowo dwory ziemiańskie, zwłaszcza kresowe, w tej akcji przodowały, później przedstawiciele tak zwanych wolnych zawodów, to jest lekarze, adwokaci, literaci czynnie się zakrzątnęli koło tworzenia bibliotek domowych i społecznych. Dzięki tej wytężonej pracy inteligencji polskiej w ciągu całego wieku XIX książka polska docierała do coraz szerszych warstw społecznych, podtrzymując ducha narodowego w jednych, a budząc przytłumione poczucie polskości w innych. Dzieje odrodzenia narodowego Śląska najlepsze świadectwo dają tej wielkiej zasłudze, jaką wobec narodu i państwa posiadła książka polska.

W czasach rozbiorów, w czasach ucisków powstały biblioteki Ossolińskich we Lwowie, Raczyńskich



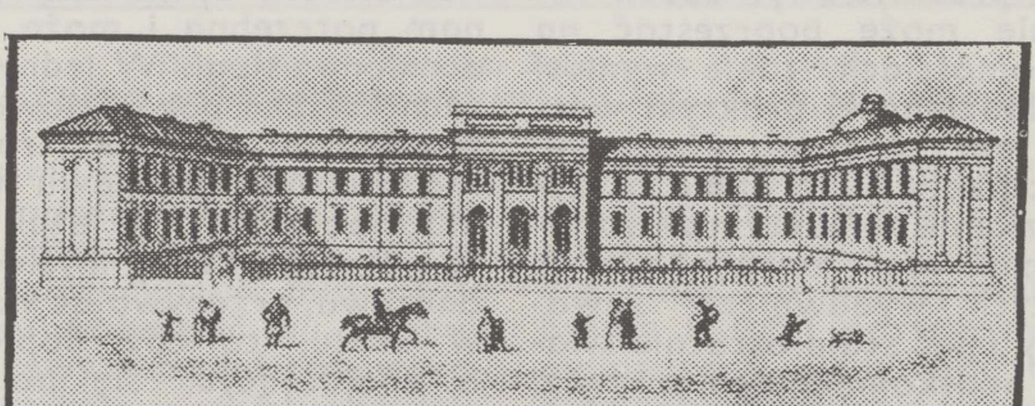
Gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie ofiarowany przez St. Staszica.

w Poznaniu, im. Kierbedzia w Warszawie, im. Łopacińskiego w Lublinie, powstał poza tym cały szereg pomniejszych w różnych miastach, już to sumptem pojedyńczych osób, bądź to zabiegami organizacyj oświatowo-kulturalnych czy zawodowych. Ostatnie ćwierćwiecze zaznaczyło się tworzeniem księgozbiorów z myślą o najszerszych warstwach ludowych, w czym Polska Macierz Szkolna, Towarzystwo Szkoły Ludowej i Towarzystwo Czytelni Ludowych szczególnie wielkie zasługi położyły.

Obecnie jest w przygotowaniu projekt ustawy o bibliotekach gminnych, które obowiązkowo będą musiały być zakładane we wszystkich gminach całego kraju, a gdy się weźmie pod uwagę coraz liczniej powstające biblioteki parafialne, to naprawdę niedaleki już jest czas, kiedy w Polsce spełni się gorące pragnienie Mickiewicza, że książka polska znajdzie się pod każdą strzechą.

* * *

Nie jednemu wydawać się może, iż w czasach obecnych, kiedy radio



Dawny widok gmachu Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

i kino tak szeroko się rozwinęły, książka mniejsze ma znaczenie. Mniemanie takie byłoby sądem nader powierzchownym. Radio i kino, tak samo jak i gazeta, mogą z powodzeniem uzupełniać książkę — ale jej nigdy nie zastąpią w całości.

Podkreślamy w całości, bo oczywiście najzupełniej jest możliwe, że w poczuciu niektórych jednostek radio i kino może zmniejszyć potrzebę książki rozrywkowej, książki powieściowej. Jednak pamiętać trzeba, iż tego rodzaju literatura stanowi tylko część ogólnego piśmiennictwa.

W naszych czasach jest sporo ludzi, zwłaszcza u nas, którym warunki materialne lub inne okoliczności życiowe nie pozwoliły ukończyć nauki szkolnej. Dla tych wszystkich dobra, pouczająca książka staje się nader cenną pomocą w uzupełnieniu ich wiedzy, w zdobyciu tych wiadomości, które w życiu są niezbędne i ułatwiają osiągnięcie lepszego czy korzystniejszego stanowiska.

A rozejrzyjmy się teraz w sprawach zawodowych. Toć w oczach naszych postępy techniki tak niezmiernie szybko posuwają się naprzód, że żaden rzemieślnik, żaden pracownik przemysłowy, żaden fachowiec nie może poprzestać na tych wiadomościach, jakie wyniósł ze swej młodzieńczej praktyki warsztatowej, fabrycznej, lub też uczelni.

Każdy, ktokolwiek pragnie utrzymać na poziomie należytym swą znajomość fachu, musi zwracać się do najświeższych wydawnictw zawodowych, by mieć stale ostatnie wiadomości o udoskonaleniach narzędzi i ulepszeniu metod pracy.

Książka zawodowa staje się więc niezbędnym i niezastąpionym towarzyszem każdego, szanującego się i dbającego o swą umiejętność zawodową, fachowca.

Życie współczesne znacznie więcej jest skomplikowane niż to było przed laty. Wymaga też od nas gruntowniejszej znajomości prądów społecznych i zagadnień gospodarczych. A któż nam lepiej może dopomóc do zdobycia tej znajomości spraw i zagadnień społeczno-ekonomicznych, jak nie odpowiednia książka, prosto i przejrzyście informująca o tych, tak doniosłych przejawach życia zbiorowego.

A czasem znów w momentach rozterek wewnętrznych, ciężkich przejść życiowych, głębokich wstrząsów moralnych — cóż skuteczniej może nam dać spokój, równowagę ducha, siły do wytrwania i otuchę na przyszłość, jak nie podniosła książka religijna, zwracająca umysł i serce ku sprawom nie przemijającym, ku rzeczom wiecznym.

Chwilami niepokoi nas teraźniejszość; zadajemy sobie pytanie, czy dawniej lepiej było, czy wydarzenia znośniej się układały i oto, chcąc otrzymać wyczerpującą odpowiedź, gdzież ją znaleźć możemy? Jedynie w odpowiedniej książce, książce historycznej.

Słowem w najrozmaitszych okolicznościach życia książka staje się nam potrzebną i może oddać nieocenione usługi. W jednych momentach książka powieściowa, w innych zawodowa, raz treści religijnej lub filozoficznej, to znowu historycznej albo społecznej. A jeżeli tak mocno tę potrzebę każdy myślący człowiek odczuwa, przebywając wśród swoich w kraju, to cóż dopiero mówić o znajdujących się na obczyźnie. Wtedy każda książka polska podwójną ma wartość: raz z racji swej treści, a drugi raz dlatego, że jest polską, że nam przypomina Ojczyznę

i jest niezastąpionym niczym łącznikiem, wiążącym nasze serca i myśli z Polską i wszystkimi rodakami.

Książek jest mnóstwo i ciągle wychodzą nowe. Przeczytać wszystkich niesposób, choćby ktoś dzień cały od rana do wieczora nic innego nie robił, tylko czytał i czytał. A przecież to szkoda czasu na czytanie książek byle jakich, lecz sięgać jedynie należy po dzieła najlepsze.

Przecież jeżeli zdarzy się nam być na jakimś przyjęciu, gdzie stół jest obficie zastawiony różnymi potrawami, to nie sięgamy po dania gorsze, lecz każdy skwapliwie lepsze,



Dawny Gmach Biblioteki Załuskich w Warszawie.
Popiersia królów zdobiące gmach pochodzą częściowo z r. 1621, reszta zaś została dorobiona później.

każdy z nas ma swoje zajęcia zawodowe, musi zarabiać na utrzymanie własne i rodziny, musi brać udział w życiu organizacyjnym, musi część swego czasu poświęcić na sprawy ogólne. Zdrowy rozsądek tedy wskazuje, że skoro nie możemy przeczytać wszystkich książek, skoro musimy siłą rzeczy i warunków ograniczyć się tylko do poznania cząstki, smaczniejsze wybiera rzeczy. Sprawa zupełnie zrozumiała. A skoro tak postępujemy, gdy chodzi o pokarm dla ciała, to byłoby dziwne, gdybyśmy inaczej postępowali w tych momentach, kiedy chodzi o pokarm dla ducha, o zasilenie naszego umysłu.

Zdaje się, iż szerzej nie potrzebujemy nikogo przekonywać, że czytać trzeba z wyborem, to jest nie to

jedynie, co nam w ręce popadnie, ale to, co ludzie światli i uczciwi zalecą, lub co nam tacy, których doświadczeniu i wyrobieniu życiowemu zawierzyć możemy, wskażą.

Co jednak zrobić, gdy takich informacji nie posiadamy, gdy też w otoczeniu najbliższym nie ma nikogo, kto by mógł nas co do wartości tej lub owej książki uświadomić. Trzeba wówczas samemu wyrabiać sobie krytyczny pogląd na dzieła, które nam się dostaną.

W tym celu musimy sobie najpierw zdać sprawę, w jakim celu bierzemy się do czytania — czy dla zabicia czasu, dla rozrywki, czy też dla rozszerzenia zakresu swych wiadomości o świecie i ludziach, dla zdobycia wiedzy, czy wreszcie dla pokrzepienia duchowego i wyrobienia wewnętrznego.

Nie zawsze jednak znajdujemy się w warunkach takich, że możemy sobie zupełnie swobodnie wybierać książki do czytania, częściej się zdarza, iż mamy wybór ograniczony, ale i wtedy nie należy czytać bez wyboru, bo czas spędzony na czytaniu złej książki jest podwójnie stracony, gdyż nie tylko nic nie zyskaliśmy dla swego ducha, ale nadto zaśmieciliśmy swój umysł i serce.

A właśnie po tym, jaki ślad w naszych myślach i uczuciach zostawia przeczytana książka, najłatwiej poznać jej wartość.

Jeżeli po przeczytaniu książki czujemy się lepsi, jeżeli dodaje nam ona energii do dalszego życia, wzbogaca umysł nowymi wiadomościami, wskazuje nowe wznioślejsze cele życia, budzi w nas radość życia i poucza rozumnie o jego sensie, to na pewno książka nie jest zła.

Przeciwnie jednak, gdy w książce znajdujemy to, co obniża nas wewnętrznie, to najlepiej taką książkę precz odrzucić, by nie paczyła nam duszy i nie zaśmiecała umysłu.

Było i jest w Polsce dosyć pisarzy, których warto czytać i z których czytania i przyjemność i korzyść osiągnąć można. Trudno tu wymienić wszystkich, zasługujących na przeczytanie, ale choć najważniejsze nazwiska należy przytoczyć, nie sięgając w zbyt odległą przeszłość, bo nie o wykład z dziejów piśmiennictwa polskiego chodzi, lecz o podanie książek, które i przeczytać warto i nawet warto mieć je w domu na stałe.

„Nie chodzi o to, aby przeczytać wiele — ale o to, aby umieć wybierać..." zdanie powyższe Artura Górskiego, które podaliśmy jako motto na początku zasługuje na stałą pamięć.

Piśmiennictwo polskie obfite jest i bogate. Nie każdy ma czas i możność poznać wszystko — ale są autorzy, których przeczytać trzeba koniecznie.

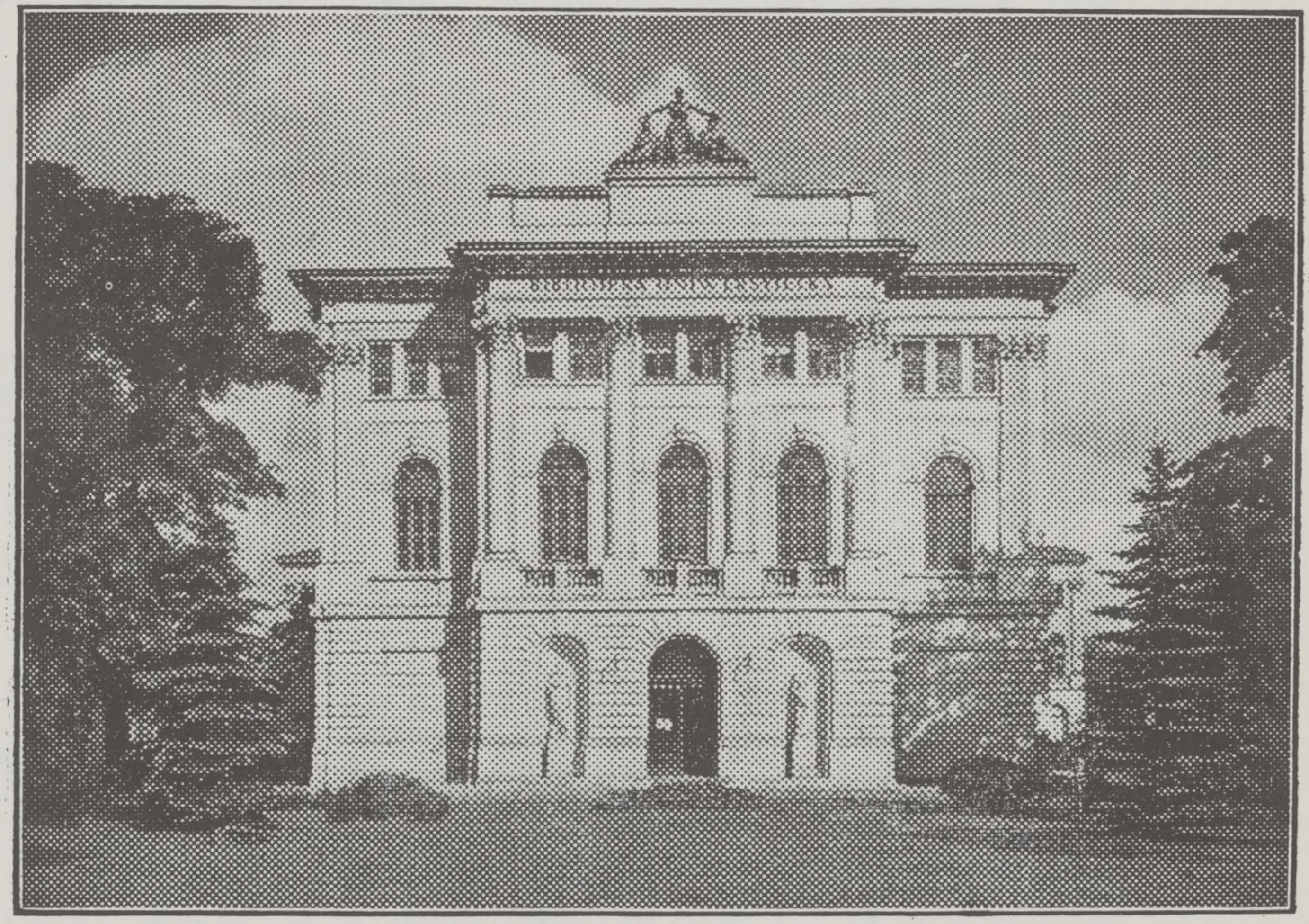
Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński, Stanisław Wyspiański, Maria Konopnicka, Wincenty Pol, Józef Ignacy Kraszewski, Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), Stefan Żeromski, Eliza Orzeszkowa, Maria Rodziewiczówna, Władysław Reymont — oto nazwiska autorów i autorek, które nie powinny być nam obce, a dzieła ich winny być nam znane.

Lista powyższa nie jest kompletna! Brak w niej całego szeregu nazwisk autorów współczesnych, jak Zofia Kossak-Szczucka, Wacław Sieroszewski, Gustaw Morcinek, J. Kaden Bandrowski, Wacław Gąsiorowski, Kornel Makuszyński i wielu, wielu

innych, z których przytoczeniem lub wymienieniem spotykamy się na łamach pism codziennych i tygodniowych.

Nie chodziło nam zresztą o danie jakiegoś systematycznego przewodnika po piśmiennictwie polskim, lecz jedynie o zwrócenie uwagi na autoliśmy bramę, do skarbca kultury polskiej wiodącą, aby jednym ukazać a innym przypomnieć, jakie to bezcenne skarby są do naszego rozporządzenia, że trzeba tylko sięgnąć po nie.

„Polska to wielka rzecz" — powiedział Wyspiański. Jedną z dróg



Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie.

rów, zasługujących przede wszystkim na poznanie.

* * *

Oczywiście nie jest to wszystko, co pięknego i godnego poznania, literatura polska posiada.

Nie chodziło nam o rzucenie przed oczy czytelników wszystkich skarbów piśmiennictwa ojczystego. Przez wymienienie tych nazwisk uchylido należytego poznania i gorącego ukochania tej wielkiej Rzeczypospolitej, to książka polska.

Niechże ta książka, jak najlepszej treści i jak najczęściej znajdzie się w posiadaniu wszystkich Polaków i Polek po całym świecie rozproszonych, a wówczas cały Naród Polski będzie coraz potężniejszym, silniejszym, bardziej jednolitym i zwartym.

BIBLIOTEKA ZAŁUSKICH

Kędy przed laty w świetnym dworze
Dumni magnaci ucztowali,
Ślęczy uczone dziś nieboże,
Blada się lampka przed nim pali,
Dni tutaj spędza i północki,
Rozmowy z nim się nie doczekasz:
To jest przezacny pan Janocki,
Sławny Załuskich bibliotekarz.



Biskup I. A. Załuski

Ciułał ksiądz biskup złotówczyny,
Żył czystą wodą, chlebem, serem;
Pankowie, znani z butnej miny,
Zwali go: książek bohaterem.
Aż z tych grosików i złotówek
Sute zebrały się pieniążki,
I wśród biskupich izb-alkówek:
Nic — tylko książki, książki, książki!

Aż w końcu miejsca tak już mało
W księżym mieszkaniu zostawiły,
Że się książkami łóżko słało —
Jakiż to na nim sen był miły!
U głów cudowne stały wróżki
I były snów mu czujną wartą —
Ogromny foliał miast poduszki,
A zaś materac z ksiąg *in quarto.*

Więc zacny biskup myśli w sobie:
„Nielada kłopot masz, biskupie!..."
Aż wreszcie krzyknął: — „Wiem
[co zrobię!
Dla swoich książek pałac kupię!
Kupię im pałac, mościpanie,
Niech się biedactwa nie tułają!"
I już dla owych ma mieszkanie,
Że niech się grafy w kąt schowają.

W Daniłowiczów starym dworze
Dziwne się rzeczy dzieją ninie:
Tu leżą księgi w wielkim worze,
Tu, rękopisów całe skrzynie.
Gdzie stały flasze i gąsiory,
Grzmiały wiwaty pod szafiry, —
Królują w dzionki i wieczory
Plantyny, aldy, elzewiry.

Tabaki sobie skąpi szczypty
Biskup Załuski świątobliwy,
Lecz ma najrzadsze manuskrypty:
Każdy manuskrypt skarb praw-
[dziwy!
Jakie to cudne malatury!
A jakie barwy jasne, świeże!
Złoto! purpura i lazury!
Aż ucałować chętka bierze!

Wszystkie kroniki i annały
Ma ksiądz dostojny w swoim zbiorze;
Na nie majątek wydał cały,
Za nie i życie dałby może!
Boć to oświaty naród łaknie,
Przybędzie więcej w łbach oleju...
— „A gdy na kupno groszy zbrak-
[nie?"
— „Kraść będę książki, dobrodzieju!"

I widzę oto ducha okiem
Obraz zatarty w czasu pyle:
W sali, zalanej nocnym mrokiem,
Dwaj siedzą zacni bibliofile.
Płomyczek lampy migotliwej
Płynie leniwo pod strop gocki —
Ryje się w księgach biskup siwy
I bibliotekarz, ksiądz Janocki!

Or-Ot.

WIECZNY KALENDARZYK PANIEŃSKI

Styczeń

Świat się bawi, a jam pełna
Tęsknoty i żalu! . . .
Może sobie męża znajdę
Gdzie na jakim balu?

Luty.

Nie zsyła jakoś karnawał
Pożądanej gratki! . . .
Łaskawszymi może dla mnie
Zechcą być "ostatki".

Marzec

W sercu pusto, w duszy głucho,
W myślach — smutku zgrzyty!
Gdyby los chciał mi dać męża,
Mogę dać odczyty.

Kwiecień.

Święta! Święta! już nie skrewisz,
Losie — bazyliszku;
Ktoś oświadczy się napewno
Po setnym kieluszku.

Maj.

By módz kochać nawet słowik
Siły swe wytęża . . .
Na majówki jeździć będę
Schwytać muszę męża.

Czerwiec.

Do zenitu już dochodzi
"Karnawał zielony,"
W tym miesiącu męża znajdę.
Szepczą przeczuć tony.

Lipiec.

Na letnisko się wybieram
Wraz z tatą i mamą . . .
Tam napewno męża znajdę,
Już nie będę samą!

Sierpień.

Cały miesiąc się odbywać
Będą tam reuniony . . .
że wynajdę na nich męża,
To fakt zapewniony!

Wrzesień.

Powracają już do miasta
I młodzi i starzy,
że zakocha się ktoś we mnie
Wkrótce, serce gwarzy.

Październik.

Zjechała się tu do miasta
Młodzieniaszków chmara . . .
Tylko patrzeć, jak z nich jeden
O mnie się postara!

Listopad.

Rozpoczęły się zebrania
I różne "herbatki . . . "
Oświadczy się mi napewno
Przy tem chłopiec gładki!

Grudzień.

Na rok przyszły już napewno
Mężateczką będę:
Chłopca nieba mi łaskawe
Zeszlą na kolędę.

ZNALAZŁA SPOSóB

Pewien misjonarz ochrzcił dzikiego poczem rzekł:

— Teraz nie nazywasz się Nia-Maim, ale Piotr, pamiętaj nie jeść w piątek mięsa . . .

W piątek jednakże zastaje misjonarz prozelitę z kawałkiem surowego mięsa w garści i czyni mu z tego powodu wyrzuty.

Nowy chrześcijanin z niewinną miną odpowiada:

— Ależ, ojcze, przecie nie jem mięsa, bo przedtem polałem je wodą i powiedziałem, tak samo, jak ty mnie: "Teraz nie nazywasz się mięso, a ryba . . . "

W WIGILIĘ ZAŚLUBIN

— Winszuję ci Feliksie, dzień dzisiejszy będzie najszczęśliwszym w twoim życiu.

— Bóg zapłać, ale ślub mój dopiero jutro.

— Ba, ja też dlatego mówię, że "dziś" jest dla ciebie najszczęśliwsze.

PRZEZORNA MAMA.

— Zosiu, jeżeli pan Kazimierz dziś ci się oświadczy, to powiedz mu, żeby ze mną pomówił . . .

— Dobrze, mamo, ale jeżeli się nie oświadczy? . . .

— W takim razie powiedz mu, że ja chcę z nim pomówić . . .

CZY JEST RóŻNICA?

Upije się biedak —
Podłe pijaczysko!
Spije się bogaty —
Wesołe panisko!

SŁODKIE MARZENIE.

— I cóż, mój zięciu, czy sprawi ci to wielką przyjemność, gdy żona twoja gwiazdą zostanie? . . .

— O tak, mamo! Kiedy pomyślę, że najbliższa gwiazda jest od nas oddalona o 14,760,971 kilometrów...

HENRYK PIĄTKOWSKI

PANNA ANZELMA

Opowiadanie z Dawnych Czasów

PIERWSZYM, który wstawał na dworze korzenickim, był kredencerz Ambroży. Zimą czy latem piąta godzina zastawała go pochylonego nad miską wody, w której nurzał zaspaną twarz, aby ślady snu z niej spędzić. Po krótkiej modlitwie ubierał się prędko i przystępował do codziennych zajęć, zaczynając je od rozbudzenia chłopca kredensowego, co mu zwykle dobry kwadrans czasu zajmowało.

Następnie brał szczotki i wchodził do pokojów, które kolejno froterował, strzepywał kurz metodycznie, zamiatał, sprawiając się cicho, aby przypadkiem państwa nie obudzić. Zaczynał od jadalnego, a kończył na małym buduarzyku, przechodząc przez obydwa salony, bibljotekę i gościnne. Codzień powtarzał automatycznie tę samą czynność.

Reszta domu budziła się stopniowo; służba naprzód, potem domownicy, wkońcu sama pani. Ruch większy zaczynał się dopiero około dziewiątej, kiedy już wszyscy zgromadzili się w jadalni przy syczącym samowarze i dymiących imbrykach kawy.

I teraz właśnie Ambroży, jak zwykle ocknąwszy się, jednym nagłym ruchem spuścił obie nogi na podłogę, usiadł na posłaniu i zaczął przeciągać się i ziewać.

Nie wysoko jeszcze ponad horyzontem świecące słońce, białe, jasne, majowe słonko, zajrzało przez okno kredensu do wnętrza i promieniem swym tak rozweseliło półmrok, panujący w izbie, że część tej wesołości odczuł w sobie i stary Ambroży.

Zrobiło mu się błogo na duszy, zapragnął odetchnąć świeżem powietrzem, zadowolił się więc tym razem jednym szturchańcem w plecy uśpionego chłopaka i wyszedł.

Na ganku przeciągnął się z rozkoszą i już zupełnie rozbudzony, wolnym krokiem podążył na drugi dziedziniec, przy którym znajdowały się stajnie, obora dla krów dworskich, izba czeladna, kuchnia i studnia. Od wrót, łączących oba dziedzińce, skierował się wprost ku studni, gdyż zdaleka ujrzał swego starego przyjaciela, stangreta Kubę, który w najlepsze zlewał pełnemi wiadrami wody wytoczony z wozowni kocz warszawski.

Stanął przy powozie i zaczął z przyjacielem gawędkę.

Tymczasem na dziedzińcu budziło się życie. Wypuszczone z zamknięcia ptactwo napełniło powietrze gęganiem i gdakaniem; koguty piały jak na komendę; zieleniejąca roślinność niewystruganego dziedzińca zaroiła się blademi plamami chwiejących się na niezgrabnych nogach kaczek i gęsi; całe stadko malutkich, żółtych jak kanarki kacząt i gąsiąt z piskiem otaczało matki, skubiąc świeżą trawkę.

Z piekarni rozmamrane, półsenne dziewki podbiegały z wiadrami do studni, puszczały raz po raz w ruch koło, na którem łańcuch z uczepionem doń wiadrem zgrzytał i skrzypiał przeraźliwie. Kucharz, młody jeszcze człowiek, chory na płuca, wyszedł grzać się na przyzbie, kaszlem przeplatając rozmowę z gospodynią piekarnianą, a zdala, bo z pod oficyn, znajdujących się przy dworze, ozwał się straszny dla wszystkich, przenikający do szpiku, głos klucznicy.

Wkrótce też zaczęły się spacery tej wszechpotężnej osoby. Biegała ona wszędzie — do obory, do stajni, do lodowni; wszędzie było jej pełno, a zawsze eskortowana przez podwładnych.. Co chwila wydeptanemi ścieżkami w różnych kierunkach szła ta procesja. Na przodzie klucznica, pobrzękująca pękiem kluczy, za nią o parę kroków kucharz, wysoki, przygarbiony chłopisko, z dwoma pokrywami miedzianemi w rękach, za nim wyrostek ze stosem rądli, dalej znów gospodyni, młoda i przystojna kobieta, a za nią z garnkami dziewki i Medor na ostatku.

Spacery te trwały bez końca, trzeba bowiem było wydać i dla państwa i na drugi stół i do piekarni, a przytem tylko co wydojone mleko w lodowni ustawić, śmietanę zebrać, ptactwo i krowy nakarmić. Roboty miała klucznica co nie miara, to też zwijała się w swej szarej kurteczce i białym czepcu, gderząc i hałasując niemiłosiernie.

Wyszedł też z oficyn i pan Walery, bardzo daleki krewny nieboszczyka pana. Miał on zwyczaj co rano kichać trzykrotnie, patrząc na słońce; echo jego kichania szeroko rozchodziło się, lubo dla czeladzi dworskiej mniej było straszne od wymyślania klucznicy. Wierny zwy-

czajowi kichnął pan Walery i tym razem, wszedł do stajni, zajrzał na oborę do krów i cieląt, wydał owsa dla koni forysiowi, przystanął trochę przy starym Kubie, zalecając mu, by zbytnio kół nie wycierał przez wzgląd na lakier, gwizdnął na Medora i wszedł wkońcu do dworu.

Słońce wzbiło się wysoko ponad drzewa ogrodu; Ambroży wyfroterował już wszystkie pokoje, konie, pojedyńczo przez Kubę i stajennych prowadzone, napiły się do syta przy żłobie u studni, a czeladź schodziła się pomału do piekarni na ranny posiłek.

* * *

Jadalny pokój korzenieckiego dworu, wyklejony ciemnozielonem obiciem, miał dwa parapetowe okna, wychodzące na ogród. Na środku, otoczony krzesłami o wysokich poręczach, stał stół zasłany białym obrusem, na którym ozłocone jasnym dniem słonecznym, błyszczały jak nowe imbryki herbaciane, szklanki, maselniczki, solniczki. U przyczółka widniał duży, mosiężny samowar, a tuż obok również mosieżna maszynka do kawy z rodzaju tych, które zwą "bonapartkami", w środku zastawy stołowej wznosił się bukiet nierozwiniętego jeszcze zupełnie bzu perskiego w szklanym wazonie.

Delikatny aromat bzu, łącząc się z zapachem świeżo upieczonego chleba, walczył o lepsze z wpadającym przez szeroko otwarte drzwi parapetowe lekkim podmuchem wietrzyka, który przynosił z sobą balsamiczną, świeżą woń wiosny, drzew rozwiniętych i pobudzonej do życia młodej roślinności.

Przy stole znajdowała się dotąd jedna tylko osoba. Była to młoda panienka, ubrana w obcisłą ciemną sukienkę, blondynka o cerze różowej; włosy, widocznie niedawno zwilżone, gładko uczesane, spadały grubym warkoczem na plecy.

Po kolei przecierała szklanki rzędem przed nią stojące, dolewała wrzątku do imbryków, krajała chleb na cienkie plasterki. Około stołu uwijał się cicho lokaj, stąpając ostrożnie na palcach, poważny jak minister, przynosił co chwila coś do rannego śniadania.

Zegar umieszczony w szafce wydzwonił w rogu jadalni przeciągłym, metalicznym głosem godzinę dziewiątą, a równocześnie przez otwarte drzwi z przedpokoju wszedł pan Walery.

— Zawsze punktualny — rzekła, podając mu rękę panienka.

— Jak zegarek — odparł i z pewną dumą pogładził długą, jasną brodę. — Pani wie, co ja zawsze mówię: punktualność jest cechą wyższych charakterów. Ciepło, dzięki Bogu.

— Nie wychodziłam jeszcze. Byłam tylko na werandzie. Maj.

— No tak, maj, to powinno być ciepło, ale ileż to razy bywa, że pogoda o tej porze roku nie jest jeszcze ustalona. W przeszłym roku, naprzykład, błocko było w maju i chłody.

— Zawsze przy pannie Franciszce! — ozwał się tubalny głos poza plecami pana Walerego.

Był to tak zwany w domu "adwokat", który wszedł niesłyszany przez nikogo, aby, jak mawiał "spłoszyć czułą parę".

Adwokat Koszko, od dawna zajmujący jeden z pokoików w oficynie, zajmował niby stanowisko nadwornego adwokata Korzeniec, w rzeczy samej był tu na łaskawym chlebie. Miał dwie specjalności — palił z krótkiej fajeczki straszliwy jakiś tytoń, którym cały był przesiąknięty, i prześladował "amory" rzekome pana Walerego i panny Franciszki. Robiąc obojgu codziennie niby sceny, pobudzał tem całe towarzystwo do wesołości.

— Ej, panno Franciszko, dalibóg, że pani zbałamuci do reszty pana Walerego, a na co to? To brzydko, a co będzie, jak się zastrzeli? — mówił adwokat, całując z galanterją podaną sobie rączkę, śmiejącej się panienki.

Teraz co chwila troje drzwi, łączące jadalny pokój z innemi, otwierały się i zamykały, przepuszczając coraz nowe osoby.

Weszły kolejno dwie dziewczynki po lat dziesięć i dwanaście, dygając misternie, obie blondynki, bardzo do siebie podobne, jednakowo ubrane w niebieskie, perkalikowe sukienki. Były to dwie sieroty, które chowały się przy dworze. Wsunęła się następnie bardzo otyła pani w kolorach, z książką do nabożeństwa pod pachą, pani Siedrocka, kuzynka, a w kilka minut po niej, staruszek ksiądz, kapelan domowy.

Zebrane towarzystwo stało, zamieniając powitania. Panna Franciszka porządkowała przybory herbaciane i półsłówkami odpowiadała na docinki adwokata. Śmiała się ze słyszanych już często jego dowcipów i wciąż wzrokiem goniła wskazówkę zegara.

Naraz gwar panujący w jadalni ucichł, a z sąsiedniego pokoju wybiegły trzy pieski, białe jak mleko pinczerki z dzwoneczkami u szyi.

Był to nieomylny znak, że pani już się zbliża, że jest niedaleko. Wszyscy obecni zwrócili się w tę stronę i za chwilę weszła niemłoda już kobieta w czerni. Była to pani Węgierska, właścicielka Korzeniec.

Po ucałowaniu ręki księdza kapelana, usiadła przy stole, a wnet zgromadzone towarzystwo poszło za jej przykładem. Frania poczęła nalewać kawę i herbatę.

— Jakże się spało siostrze dobrodziejce? — zapytał z drugiego końca stołu pan Walery.

— Dziękuję bratu, ot zwyczajnie, jak stara, nie bez tego, żeby coś nie dolegało.

— Pani sędzina obmawia siebie — zawołał adwokat — stara, stara, co za starość... Daj nam Boże wszystkim tak zdrowo wyglądać, alboż nie prawda?

— Siostrunia rzeczywiście ślicznie na swój wiek wygląda — rzekła, cedząc wyrazy pani Siedrocka — zresztą cóż w tem dziwnego? Zawsze w wygodach, o nic główka nie zaboli. Pro-

szę cię, Franiu, dolej mi śmietanki, — wymówiła z pewną wyniosłością, zwracając się do młodej dziewczyny, a gdy ta spełniła jej żądanie, ciągnęła dalej: — żadnych kłopotów, nie tak jak inni, zmuszeni całe życie pracować na kawałek chleba i walczyć z przeciwnościami... To można i postarzeć i posiwieć przed czasem.

— Trzeba zawsze godzić się ze swym losem — wtrącił sentencjonalnie kapelan, — nie obrażać Boga sarkaniem na koleje życia, które takie są dla każdego, jak Pan Bóg chce i basta. Już tam wasani nie gadaj, dobrze ci jest, że lepiej trudno.

Pani Siedrocka wzniosła oczy ku górze i westchnęła wymownie.

Pan Walery tymczasem opowiadał coś ciekawego adwokatowi i pochylony ku niemu, wymachiwał wciąż prawą ręką. Adwokat słuchał ze zmrużonemi oczyma, w końcu rzekł:

— A no! Jak tak, to wytoczymy proces.

— O co chodzi? — zapytała sędzina.

— Ciągle z tym Malickim — odpowiedział pan Walery.—Nie można z nim dać rady. Wczoraj znów zajęliśmy jego woły na łączce przy mogiłach. Nie dość, że robi szkodę, jeszcze się odgraża, że to jego. Już mi, proszę siostry dobrodziejki, cierpliwości nie staje. W dodatku, pobił jeszcze Stefana.

— To bardzo dobrze! — zawołał adwokat. — Zrobimy mu kryminał... Obaczy szlachciura, co to znaczy z nami zadzierać!

Dwie małe dziewczynki po wypiciu herbaty siedziały od pewnego czasu bezczynnie. Korzystając z przerwy w rozmowie, starsza z nich wstała i całując w rękę panią Węgierską, zapytała:

— Czy pozwoli nam pani iść bawić się do ogrodu?

— Idźcie, idźcie, moje dzieci — odrzekła sędzina. — Bawcie się ładnie, ale poproście panny Melanji, żeby poszła z wami.

Dziewczynki pobiegły wgłąb domu.

Ksiądz żartobliwie strofował pannę Franciszkę, że nie była dziś na rannej mszy w kaplicy, a i pani sędzina też od paru dni zaniedbała nabożeństwa... Żeby nie pani Siedrocka, która jest jego najlepszą owieczką, pustki byłyby zupełne w przybytku Pańskim.

— Nie mów tak, księże dobrodzieju. Przecież masz drugą, bodaj jeszcze gorliwszą owieczkę. Anzelma chyba jeszcze ani razu nie opuściła mszy świętej...

— Dziś nie była — odparł pan Walery.

— Może chora, bo i z herbatą zadługo coś każe czekać na siebie — wtrąciła pani Siedrocka.

— Idź, Franiu, serce, i dowiedz się, może rzeczywiście chora — rzekła sędzina.

Za chwilę panna Franciszka wróciła, donosząc, że ciotka Anzelma klęczy przy łóżku, zatopiona w modlitwie.

— Święta niewiasta — wyszeptał ksiądz.

* * *

Pani sędzina Węgierska po śmierci męża została samowładną panią dość dużej fortuny. Dwie wioski wypuściła w dzierżawę, trzecią zaś administrowała sama, przy pomocy pana Walerego i ekonoma, który mieszkał na folwarku o parę wiorst od dworu. Praktyczna i gospodarna, nie przeżywała połowy dochodów, lubo w domu otaczała się wygodami i komfortem. Jedyną jej słabostką była konieczność spędzenia paru letnich miesięcy u wód; nie z potrzeby lecz z przyzwyczajenia odwiedzała Karlsbad, Ems lub Kissingen, skąd zwykle wracała w październiku, stęskniona za swemi Korzenicami, z których już się nie ruszała przez całą zimę i wiosnę.

Stosunków na wsi nie miała prawie żadnych; goście bardzo rzadko zjawiali się w korzenieckim dworze. Czasami, raz lub dwa razy do roku przyjeżdżali z dalszych okolic krewni męża i to bardzo dalecy, bawili kilka dni i wyjeżdżali. Były to wizyty oficjalne, formalne.

Paradna brama wjazdowa butwiała na rdzą zjedzonych zawiasach, wiekowe drzewa parku zasłaniały dwór i kaplicę przed okiem przechodnia, okiennice, zwykle przymknięte, nie pozwalały nawet zajrzeć do wnętrza promieniom słońca lub gałązce dzikiego wina. Pani Węgierska stworzyła sobie mały światek, o atmosferze nieledwie klasztornej, wśród którego czuła się szczęśliwa.

Jedynem jej otoczeniem byli stale przy niej osiedli domownicy: pan Walery Węgierski i pani Siedrocka, ubodzy krewni mężowscy, którym od wielu lat dawała przytułek, kapelan, adwokat, dwie sierotki, dzieci zmarłej w biedzie przyjaciółki, wkońcu jej stryjeczna synowica, panna Franciszka, i rodzona, młodsza o rok od niej siostra, Anzelma.

Anzelma od dzieciństwa czuła w sobie niepokonaną chęć zostania zakonnicą. Najmilszą jej zabawką było urządzanie ołtarza, strojenie go kwiatami. Ta ciągła dewocja była do pewnego stopnia powodem, że rodzice mniej zwracali uwagę na jej wykształcenie, zostawiając ją na uboczu i pozwalając jej rozwijać się w obranym kierunku.

Gdy doszła lat osiemnastu odwieziono ją do jednego z klasztorów, gdzie została jako nowicjuszka, z głębokiem przekonaniem, że furta raz za nią zamknięta, na zawsze oddzieli ją od świata.

Umysł rozwijany w jednym kierunku, mało wykształcony, nie był na razie dość dojrzały, by młoda dziewczyna mogła systematycznie przejść nowicjat w zwykłym terminie. Szły lata za latami, a ze ślubami zwlekano.

Niezależne od niej okoliczności zmusiły ją wraz z innemi mniszkami opuścić celę klasztoru.

Rodzice pomarli, pozostała tylko siostra, któ-

ra ją też z otwartem sercem przyjęła. Tym sposobem niedoszła zakonnica osiadła w Korzeniach. Miała pod bokiem kaplicę, niekrępowana w niczem, mogła w dalszym ciągu życie swe spędzać na modlitwie i rozmyślaniach.

Pokój panny Anzelmy wyglądał jak sanktuarjum, tyle w nim było obrazów, krzyżów i statuetek świętych. Wielki, hebanowy klęcznik, dar pani Węgierskiej, zajmował jeden z rogów izby, nad nim wielki krycyfiks sięgał sufitu, ginąc w masie kwiatów i zieleni, szczególnie teraz, w czasie majowego nabożeństwa. W drugim rogu stało skromnie zasłane łóżeczko, zastawione trzcinowym parawanem. Parę stołków i duży stół, zarzucony księgami, szafka i komoda kompletowały urządzenie pokoju.

Powietrze pokoju panny Anzelmy przesiąknięte było wonią kwiatów, kadzidła i palonego bursztynu. Okno, do połowy przysłonięte, przepuszczało nikłe, blade światło, które się rozchodziło po szaro malowanych ścianach i topniało wśród pokoiku, nie znacząc jaskrawszej barwy.

Wśród tej szarości ogólnej, w ciemniejszym jej zakątku majaczyła ciemną sylwetką zatopiona w modlitwie panna Anzelma. Z wzniesionemi w górę oczyma, o rysach ostrych, wyrazistych, o cerze blado-żółtej, w poważnej sukni w połamane fałdy spadającej na podłogę, zdawała się wyjętą z jakiegoś gotyckiego kryptyku postacią.

Posłana przez sędzinę panna Franciszka zastała ją tak pogrążoną w modlitwie, iż nie chcąc jej przerywać, czemprędzej się cofnęła, drzwi zamykając za sobą.

W pół godziny potem dziewczyna pokojowa przyniosła na tacy szklankę herbaty, chleb i masło.

Panna Anzelma siedziała już przy stole, wpatrzona przed siebie. Ślady łez nieotartych perliły się na jej policzkach. Rozbudzona z zadumy, zwróciła się ku pokojówce z pytaniem:

— A co tam?

— Panna Franciszka przysyła herbatę, bo już na pokojach państwo wstali od stołu — rzekła dziewczyna.

— Postaw tu tacę, a sama idź do pani i poproś, żeby była łaskawa przyjść do mnie — wymówiła panna Anzelma.

Za chwilę weszła sędzina.

— Przepraszam, że cię trudziłam, Jadwisiu — zaczęła Anzelma, wstając ze stołka i podchodząc na spotkanie siostry.

— Cóż się stało? — zapytała Węgierska. — Blada jesteś, jakby ci się co złego przytrafiło.

— Mam ci powiedzieć rzecz niezwykłą. Siadaj.

Obie usiadły przy stole, trzymając się za ręce. Ascetyczna, blada twarz Anzelmy odbijała kontrastowo od rumianej cery sędziny. Głos jej drżał, a wargi lekko się poruszały.

— Tej nocy — zaczęła, pochylając się ku siostrze, — miałam sen nadzwyczajny. Śnił mi się mój patron, święty Anzelm. W ornacie, z pastorałem w ręku idzie przez jakąś rozległą łąkę, a kwiatów — całe morze! Lilje białe, bławatki, róże polne, żółte jakieś kwiaty, jak okiem sięgnąć, a na niebie ani jednej chmurki. Idzie święty Anzelm przez ową łąkę i tylko pastorałem rozchyla wysokie badyle, a kapa jedwabna szeleści tylko. Ja nibyto zbieram kwiaty, ale ja nie taka, jak teraz, tylko dziecko jeszcze, ale czułam doskonale, że to ja byłam. Rwę kwiaty i co chwila spoglądam na świętego, który wciąż idzie. Aż naraz staje nade mną. Podnoszę oczy i poznaję, że to święty Anzelm, zupełnie taki, jak na obrazkach. Serce mi się ścisnęło i ze szczęścia i ze strachu...

Stanął nade mną i przemawia: "Słuchaj, córko moja i zapamiętaj sobie, co ci powiem. Jestem zwiastunem wielkiej łaski bożej! Objawiam ci, że za dni siedem będą ci otwarte wrota niebieskie... Przygotuj się na śmierć.

Gdy to powiedział, zaczęły z niego bić strugi różnokolorowego światła, mienił się jak tęcza. Światło to padało na kwiaty i te rosły coraz wyżej, coraz wyżej, coraz więcej ich było. Święty stopniowo niknął za niemi, roztapiał się w jasności, wkońcu rozwiał się w powietrzu. Zostałam sama jedna, jakby w jakim lesie z kwiatów i roślin. Było ich tak wiele, że nie mogłam nic widzieć za niemi, nie mogłam powstać, bo były nad moją głową, nie mogłam się ruszyć, bo zieleń otaczała mnie zewsząd. Nareszcie nie mogłam już oddychać, bo kwiaty mnie dusiły. Zbudziłam się.

— Sen mara — wyrzekła sędzina. Czuć jednak było w jej głosie wzruszenie, wywołane opowiadaniem.

— Nie, Jadwiniu, to nie zwykły sen. To boże objawienie. Pamiętam każde słowo świętego, słyszę dotąd słodki, cichy głos jego. To nie zwykły sen, to łaska boża, ktora spływa na mnie grzesznicę, abym miała czas przygotować się do ostatniej wędrówki.

Sędzina milczała.

— Dziś jeszcze — ciągnęła dalej Anzelma, gdy zatopiona w modlitwie, patrzałam w obraz patrona mego, jasność jego aureoli na chwilę rzuciła jakby kilka promieni, które, uczułam, padły na moje czoło i oczy. Święty patrzał na mnie najwyraźniej. Uśmiechał się dobrotliwie. To już nie był sen. Przysięgnę, że wargi jego poruszały się, jakby cichą szeptał modlitwę. Ty, Jadwiniu, która byłaś zawsze tak dobra dla mnie, wierz mi, że nie minie tydzień, a mnie już między wami nie będzie.

Już od kilku minut zbierało się na płacz pani Węgierskiej, tłumiła jednak łzę siłą woli. Po ostatnich wyrazach siostry, nagłym wybuchła płaczem.

— Nie mów tak, Anzelmo! Nie mów, bo to być nie może. Jesteś zdrowa, nic ci nie dolega.

To przejdzie, te straszne myśli. To skutek ciągłej modlitwy i postów. Poślę po doktora Wojciechowskiego, zobaczysz, on ci zapisze coś na uspokojenie. Będziesz jeszcze długo z nami żyła.

— Nie płacz, serce, nie płacz, czyż nie widzisz, że to łaska spływa na mnie grzeszną. Powinnaś raczej cieszyć się, niż smucić. Doktora nie potrzeba mi wcale, jestem zupełnie zdrowa.

Sędzina wciąż płakała.

— Uspokój się, Jadwiniu — mówiła Anzelma. — Nie płacz, to ci może zaszkodzić, patrz, jam spokojna, jam szczęśliwa. Nie płacz, siostro. Dam ci kropel laurowych.

To mówiąc, wzięła z szafki małą czarną flaszeczkę, odliczyła na cukier kilkanaście kropli i podała pani Węgierskiej.

— Zapij wodą.

— Już mi lepiej, jużem się uspokoiła — szeptała sędzina. — Ty rozumiesz, że to coś mi powiedziała, ta nagła możność utracenia cię na zawsze, strasznym byłaby dla mnie ciosem. Wiesz co, Anzelmo, przyślę ci księdza Emeryka, pogadaj z nim, on taki rozumny i dobry, on ci wszystko wytłumaczy i wyperswaduje.

Ucałowały się raz jeszcze i sędzina pod wpływem atakaku płaczu, opuściła mieszkanie siostry i udała się do swych apartamentów, w których zamknęła się na kilka godzin.

* * *

Dziwnie się wszystko zmieniło w korzenickim dworze.

W lekkiem, przejrzystem powietrzu wiosennem zdawał się unosić potężny duch śmierci, rozpościerając swe czarne skrzydła. Tchnienie jego opadało ciężkie, przygniatające na dusze mieszkańców siedziby, do niedawna jeszcze tak wesołej i swobodnej.

Sędzina wskutek rozmowy z siostrą rozchorowała się obłożnie, podlegając ciągłym mdłościom i biciu serca. Pani Siedrocka straciła humor i apetyt, Frania zmizerniała i jak mara spełniała swe obowiązki, ksiądz Emeryk jakiś wciąż zadumany, unikał rozmowy i zbywał milczeniem wszystkich, pragnących rozruszać staruszka.

Gwaru dzieci wcale słychać nie było, a pan Walery i adwokat półgłosem porozumiewali się z sobą.

Tylko słońce majowe nie przestawało słać uśmiechów na szmaragdową zieleń drzew i pól, jakby wcale nie biorąc udziału w głębokim smutku, jaki osiadł pod dachem domu sędziny Węgierskiej.

Sprowadzono lekarza z pobliskiego miasteczka. Doktór Wojciechowski, przyjaciel domu od wielu lat, zapisał sędzinie środki uspokajające.

Co do panny Anzelmy, trudniejsza była z nią sprawa. Nie chciała wcale widzieć lekarza.

Dzięki jednak wpływom i namowom księdza kapelana, zgodziła się wkońcu na jego przyjęcie.

Pan Walery, Frania i adwokat Koszko oczekiwali z niecierpliwością wyniku wizyty, zgromadzeni w małym saloniku.

— No, cóż? Jakże chora? — zapytał pierwszy adwokat, przystępując do lekarza, który po kwadransie wyszedł z pokoju panny Anzelmy.

— Jaka chora? — odrzekł gburowato, jak to było w jego zwyczaju doktór Wojciechowski. — Ona tak zdrowa jak waćpan!

— No, a ta niby bliska śmierć?

Tu lekarz przyłożył palec do czoła i cicho wyrzekł:

— Bzik! Nie mam tu co dłużej robić. Kochany panie Walery, każ pan zaprząc konie. Zrobiłem już swoje. Zapisałem lekarstwo sędzinie, niech tylko nie płacze i nie martwi się, będzie zdrowa jak ryba. Co zaś do panny Anzelmy... nic a nic nie rozumiem. Tu trzebaby psychjatry, któryby ją leczył, albo samego papieża, żeby jej wytłumaczył, że może żyć jeszcze wiele lat.

— Więc serjo jest zdrowa i nic jej nie grozi? — Zapytała, przystępując do doktora panna Franciszka.

— Ależ zupełnie zdrowa — na ciele — co do umysłu, nie ręczę. Rodzaj bzika wskutek podbudzenia religijnego... wierzy święcie, że umrze, i wiecie państwo, co powiem? — dodał po chwili namysłu. — bardzo być może, że... umrze.

— Ale co też gadasz, konsyljarzu! — zawołał pan Walery. — Wszak sam mówiłeś, że nic jej nie brakuje.

— Bywały już podobne wypadki. Póty będzie śmierć wmawiać w siebie, aż wkońcu wmówi. Boć przecie cudu i objawienia z nieba przypuszczać nie mogę.

— Po wyjeździe doktora nawet osoby najbardziej sceptyczne, jak adwokat i pani Siedrocka, zaczęły wierzyć w możebność zgonu ciotki Anzelmy.

Sędzina nie opuszczała swej sypialni, do której, prócz jej ulubionych piesków, miała dostęp tylko panna Franciszka.

— Istne katakumby — mówił, kręcą czuba, adwokat. — Człowiek teraz odezwać się głośniej nie może. Słyszane to rzeczy! Ani na obiad się nie zbierają, wszyscy kryją się po kątach i szlochają, a wszystko przez jeden głupi sen!

Pan Walery bardzo stracił na humorze, czując instynktownie, że dzieją się rzeczy nadzwyczajne, ba, niepojęte. Zresztą żal mu było panny Anzelmy.

Wszyscy chodzili na palcach, przejęci, jakby w oczekiwaniu śmierci, która miała nadejść straszna, nieubłagana.

— Ja bym nie wytrzymał — zwierzał się panu Waleremu adwokat — dalibóg, żeby to o moją skórę chodziło, nie wytrzymałbym w spokoju tyle dni. Wolałbym, żeby tak z wysokości spadł na mnie kamień młyński, albo inny jaki ciężar i odrazu, bez zachodów, plusk, i basta! A tu, panie dobrodzieju, kobieta zdrowa, panie

dobrodzieju, wie, że umrze... i żyje i nic sobie z tego nie robi. Dziwny hart duszy...

— A może nie umrze? — wtrącił zasępiony pan Walery.

— Gdzie tam nie umrze! Już jeżeli Wojciechowski mówi, panie dobrodzieju, że umrzeć może, to z pewnością umrze. Zawszeć to jednak dziwna awantura! Nie prawda?

— Wszak historja nas uczy, żywoty świętych, że byli ludzie błogosławieni, którzy miewali podobne widzenia.

— Ech, kiedy to tam było! Ale teraz o tem wcale nie słychać. Wie pan, co przychodzi mi namyśl? Może też rzeczywiście nasza Anzelma jest błogosławioną? Co?

— Ksiądz Emeryk zawsze ją świętą niewiastą nazywał.

— Prawda, czysta prawda — mruczał adwokat — nazywał ją świętą. No, jeżeli tak, to gotujmy się, panie Walery, do żałoby, bo jak Bóg Bogiem, umrze! Niema co gadać.

W oczekiwaniu, w strachu dzień następował po dniu, żadnej nie przynosząc zmiany. Minęło ich sześć, ciężkich dni przygnębienia i trwogi.

Anzelma co rano chodziła do kaplicy, klęczała przez cały ciąg nabożeństwa, komunikowała się, a pozatem w życiu jej zwykłem żadnej nie było widać zmiany. Godziny całe spędzała u klęcznika, jakby w ekstazie wpatrzona w cierpiące oblicze Chrystusa, rozpiętego na czarnym krzyżu. Nie uskarżała się na żadne dolegliwości, jadała mało, jak zwykle.

Spokój nie odstępował jej ani na chwilę, odbijając się pogodą na twarzy i słodyczą w uśmiechu. Wierząc w swój zgon bliski, oczekiwała go nieledwie z upragnieniem.

Nadszedł dzień siódmy, dzień fatalny.

Mieszkańcy korzenieckiego dworu, zbudzeni pierwszemi blaskami uroczego majowego poranka, podążyli do kaplicy. Ścieżkami ogrodu szli pojedyńczo do przybytku modlitwy, wezwani unoszącym się w przestrzeni metalicznym dźwiękiem dzwonu, który jakby drgał żałosnemi tonami w powietrzu, pełnem zapachów bzu i jaśminu.

Niewielka kapliczka zapełniła się cała. W ławkach usiadła sędzina wraz ze swemi sierotkami, pani Siedrocka, Frania, pan Walery, doktór Wojciechowski, który przybył poprzedniego dnia, jak mówił, z ciekawości.

Adwokat Koszko stanął przy ścianie, a dalej znów cała służba dworska i folwarczna.

Mała świątyńka, przybrana w zieleń i kwiaty, oświetlona kilku promieniami słońca wpadającemi przez wysokie, gotyckie okna, tchnęła poważnym spokojem, cała przesiąknięta wonią kwiatów i kadzidła.

Ciotka Anzelma w swej szarej sukni zakonnicy, klęczała przed wielkim ołtarzem.

Zaczęła się msza, odprawiana przez księdza Emeryka; głos staruszka drżał chwilami pod wpływem wzruszenia, które nadaremnie starał się pokonać. Pod stropy unosił się cichy szept moglitw zgromadzonej rzeszy, ciche westchnienia lub szelest przewracanych kartek modlitewnika.

Po przyjęciu świętej komunji Anzelma położyła się krzyżem na zimnej, kamiennej posadzce i tak pozostała do końca nabożeństwa.

Gdy po obiedzie panna Franciszka weszła do pokoju ciotki, zastała ją leżącą na łóżku z różańcem w rękach. Blada, jakby pergaminowa twarz jej uśmiechała się jak przez sen, uśmiechem szczęśliwego dziecka.

Młoda dziewczyna zbliżywszy się na palcach, nachyliła się nad łóżkiem, wpatrując się z niepokojem w pogodne oblicze ciotki Anzelmy.

Gdy po chwili dotknęła dłonią jej czoła, to było zimne. Serce też już nie biło pod grubemi fałdami zakonnego habitu.

A lubo już od godziny anioł śmierci uniósł swą ofiarę w zaświaty, ciotka Anzelma zdawała się być tylko pogrążona w śnie błogim... tak jej snać było teraz dobrze...

KRÓTKI ŻYCIORYS STEFANA ŻEROMSKIEGO



STEFAN ŻEROMSKI

Stefan Żeromski przyszedł na świat w dniu 14 listopada, 1864 roku w Strawczynie ziemi Kieleckiej w pobliżu Oblęgorka.

Rodzice jego, Wincenty Żeromski i Józefa z Katerlów, byli ludźmi niezamożnymi, wychowywał się więc w niezwykle ciężkich warunkach materialnych. Osierocony przez matkę w pierwszych latach swego dzieciństwa, młody Żeromski wzrastał pod opieką ojca, dzieląc z nim niedostatek i smutek po stracie ukochanej jego żony, a swojej — matki.

Nadeszły wreszcie lata szkolne. Oddany do gimnazjum rządowego w Kielcach, Żeromski przeżył całą gehennę upokorzeń i tortur, jakich nie szczędziła młodzieży polskiej szkoła rosyjska. Mimo to uczył się dobrze, szybko rozwijając swój żądny wiedzy umysł. Żył bardzo skromnie, zamieszkując na stancji, ojciec bowiem niewiele mógł mu pomagać.

Skończywszy w 1887 roku gimnazjum, Żeromski chciał wstąpić na Uniwersytet, lecz stanął temu na przeszkodzie brak środków. Aby zapewnić sobie egzystencję, musiał rozpocząć pracę jako nauczyciel domowy na różnych kondycjach na wsi; w kieleckiem, sandomierskiem, lubelskiem i na Podlasiu. Pięć lat takiej tułaczki i borykania się z ciągłym niedostatkiem poderwało jego zdrowie, które wymagało dłuższego wypoczynku.

Po pięciu latach "guwernerki" Żeromski wyjechał zagranicę. Zwiedził wówczas Francję, poczem osiadł na dłuższy okres czasu w Szwajcarii, gdzie, poczynając od 1892 roku, objął skromną, płatną posadę pomocnika bibliotekarza w Muzeum Narodowem Polskiem w Rapperswilu. W krótkim jednakże czasie, po wyjeździe z Rapperswilu Zygmunta Wasilewskiego, powierzono mu obowiązki bibliotekarza naczelnego.

W czasie czteroletniego swego urzędowania na stanowisku bibliotekarza w Rapperswilu Żeromski skatalogował wszystkie, znajdujące się w zbiorach, stare druki, opisując je w ilości 1,200 najbardziej szczegółowo, sporządził całkowity katalog działu Mickiewiczowskiego (katalog ten został następnie w 1898-mym roku wydany drukiem w Krakowie nakładem Muzeum Rapperswilskiego), powiększył nieomal w dwójnasób zbiór działu Kościuszkowskiego, uporządkował zbiory: rysunków polskich i obcych, oraz — sztychów, drzeworytów i litografii, a także — map. Ponadto w dziale muzealnym własnoręcznie urządził "pokój Mickiewicza", oraz "pokój przyjaciół Polski".

Lata pobytu w Rapperswilu dały Żeromskiemu możność zdobycia szerokiej wiedzy książkowej. Skwapliwie też wówczas czytywał, korzystając z olbrzymiej biblioteki.

Obok zajęć bibliotekarskich Żeromski w okresie swego pobytu w Szwajcarii gorliwie uprawiał działalność pisarską, w wyniku której ukazały się na półkach księgarskich jego prace literackie: "Rozdzióbią nas kruki, wrony" (1895 r.) oraz "Opowiadania" (1896 r.).

Porzuciwszy posadę bibliotekarza w Rapperswilu, Żeromski powrócił do kraju i osiadł w Warszawie, gdzie objął stanowisko pomocnika bibliotekarza w bibliotece ordynacji Zamoyskich. Tu pod światłem kierownictwem swego zwierzchnika Tadeusza Korzona, wygnańca z 1863 roku, kontynuował swoje wykształcenie książkowe. Znalazł tam wspaniałe zbiory starych druków oraz dzieł piśmiennictwa polskiego XVI-go wieku, które wchłaniał w siebie, rozkoszując się starą polszczyzną. Wyniósł z tych studiów głębokie umiłowanie języka polskiego, który oszołomił go wprost swojem bogactwem form i wyrażeń.

Słabe zdrowie zmusiło go wkrótce do porzucenia pracy w bibliotece Zamoyskich i — wyjazdu do miejscowości leczniczych w kraju i zagranicą. Ponownie wyjechał do Francji, a następnie — Włoch, skąd zawitał na pewien okres czasu do Zakopanego, aby znów nieco potem opuścić ziemię ojczystą, udając się do Włoch i — Francji. Stale już od tego czasu podróżował — zdrowie bowiem jego wymagało ciągłego przenoszenia się z jednej stacji klimatycznej do drugiej. Do Warszawy w owych czasach zrzadka zaglądał, bawiąc w niej zwykle tyle tylko, ile wymagały jego interesy.

Większość dzieł Żeromskiego powstała tedy w okresie tych jego podróży w miejscach, gdzie pobyt jego był nieco dłuższy. Długi ich szereg zaczęła powieść p. t. "Syzyfowe prace" (1898 r.), w ślad za którą ukazały się "Utwory powieściowe," (1899 r.).

W roku 1900 Żeromski wydał wspaniałą swoją dwutomową powieść p. t. "Ludzie bezdomni" (1900 r.), a następnie "Arymana", oraz wielką 3-tomową powieść historyczną, osnutą na tle dziejów z końca XVII i początku XIX wieku, p. t. "Popioły" (1904 r.).

Jednym z pierwiastków, ku któremu czasu niewoli Żeromski zwracał się w każdym nieomal swoim utworze, było zagadnienie narodowe, zagadnienie niewolnego bytu Polski, ujmowane przez autora "Popiołów" z tem właściwem jemu, bezgranicznem oddaniem się sprawie ojczystej, kreślone z najpełniejszem odczuciem bólu, bólu targającego duszę każdego polaka, tęskniącego do lepszej, jaśniejszej przyszłości w wolnej Ojczyźnie. Tęsknota ta, poparta zwykle śmiałym, nieliczącym się z następstwami, czynem, znajduje swój pełny wyraz czy to w "Echach leśnych, czy też w "Powieści o Udałym Walgierzu," czy wreszcie w "Urodzie życia," lub—"Wiernej rzece."

Buntował się duch Żeromskiego przeciwko niewoli oraz następstwom jej, upokorzeniom i sponiewieraniu, wyrazem czego jest jego dumny "Sen o szpadzie" (1911 r.). Aby zaś Naród przygotować do wytrwałej walki o niepodległość Polski, aby uchronić jednostki słabsze duchem od spodlenia w niewoli, dał w "Dumie o hetmanie" wizję Polski minionej, Polski potężnej, rycerskiej i wolnej, rzucając ponadto w "Sułkowskim" szereg wskazań, które zaprawiać miały współczesne pokolenie do niezłomnego trwania na stanowisku haseł wolnościowych, które uczyły Naród, jak dla sprawy ojczystej należy pracować, ażeby jutro mniej było mroczne, ażeby dzień zmartwychwstania Polski Wielkiej i Zjednoczonej nastąpił jaknajrychlej.

Żeromski, jako szczery demokrata, często w swych utworach poruszał zagadnienia społeczne, wskazując w pierwszym rzędzie na niedolę i upośledzenie w niewoli elementu robotniczego i chłopskiego. Jego "Słowo o Bandosie" jest wyrazem serdecznej troski o znośny chociażby byt tych milionów "maluczkich," którym los kazał tylko pracować, pracować bez wytchnienia.

Widząc zło, panoszące się w społeczeństwie, Żeromski rozpoczął z niem walkę, walkę w imię swoich ideałów społecznych, walkę bezwzględną, a zmierzającą do odrodzenia moralnego zdeprawowanej części społeczeństwa. Czy to "Dzieje grzechu", czy też "Promień", czy wreszcie trylogia p. t. "Walka z szatanem" służą temu wzniosłemu celowi.

Wybuch wojny światowej w 1914 roku zastał Żeromskiego w Zakopanem, skąd dopiero w okresie okupacji niemieckiej mógł przyjechać do Warszawy.

Zmartwychpowstanie Polski Wolnej i Zjednoczonej zbudziło w Żeromskim nowy zasób sił. Z niebywałą też energią stanął do pracy, a wierny głoszonym przez siebie hasłom demokratyzacji społeczeństw i narodów, zwiastował w swoich pracach publicystycznych nowe życie, życie oparte na sprawiedliwości społecznej i równości obywatelskiej. Jego "Początek świata pracy" (Kraków 1919 r.), to zapowiedź wielkich reform społecznych, jakie w niepodległej Ojczyźnie powinny znaleźć jaknajrychlejsze zastosowanie. W trosce o byt inteligencji zawodowej nawoływał w swojej broszurce p. t. "Organizacja inteligencji zawodowej" (Warszawa 1919 r.) do tworzenia związków zawodowych, które stałyby się kuźnią nowej Polski, Polski pracy.

Dopiero po skończeniu wojny światowej Żeromski mógł zmienić życie koczownicze na żywot człowieka osiadłego, ku czemu pomogło mu pozyskanie własnego domu przez nabycie willi w Konstancinie pod Warszawą. Lecz i teraz często musiał przyjeżdżać do Stolicy, wymagało tego bowiem jego, coraz bardziej słabnące, zdrowie. Wreszcie otrzymał w Zamku Królewskim w Warszawie mieszkanie zasłużonych.

Ostatniem dziełem, jakiem obdarzył literaturę polską autor "Dumy o hetmanie," było "Przedwiośnie." Powieść ta, w której duch wielkiego twórcy ostrzegał społeczeństwo przed następstwami jałowego, bezideowego życia, w której domagał się wyprowadzenia tego życia na drogę nowych, ale szczytnych haseł i ideałów, została błędnie zrozumiana przez część społeczeństwa, dopatrującą się w niej apoteozowania zasad komunizmu. Niesłuszny ten sąd części społeczeństwa wypełnił ostatnie chwile życia Żeromskiego goryczą głębokiej krzywdy, doznanej od tych, dla których dobra przez całe swoje życie bez wytchnienia pracował.

Nieubłagana śmierć zabrała w dniu 20 listopada, 1925 roku tego mocarza ducha, w chwili, gdy w rozpoczętym rękopisie drugiej części "Przedwiośnia" stawiał bohatera tej powieści — Cezarego Barykę przed sądem polski.

Za zasługi swoje, poniesione na polu rodzimej literatury, Stefan Żeromski odznaczony był: Krzyżem Komandorskim (III-cia klasa) i Wielką Wstęgą (1-sza klasa) Orderu "Odrodzenia Polski."

JAN KASPROWICZ

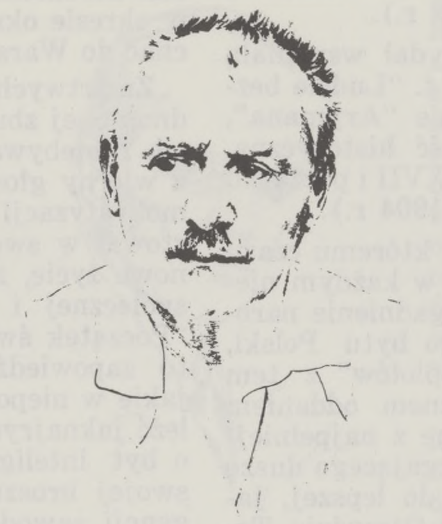
Jan Kasprowicz urodził się 12 grudnia 1860 r. w Szymborzu pod Inowrocławiem na Kujawach.

Rodzice jego Piotr Kasprowicz i Józefa z Kloftów posiadali w Szymborzu niewielkie gospodarstwo wiejskie. Tam to w ojcowej zagrodzie upłynęły lata dziecinne Jana Kasprowicza.

Kiedy już podrósł matka nauczyła go czytać, poczem oddany został do szkółki elementarnej w rodzinnem Szymborzu. Niedługo w niej jednakże przebywał, bo oto już na wiosnę 1870 roku rodzice oddali go do państwowego gimnazjum w Inowrocławiu. Był to okres najbezwzględniejszej germanizacji, to też młody Kasprowicz przez cały czas nauki zmagał się z panującym w szkole duchem, co zniechęcało go do pracy. Należał do słabszych uczniów, to też postępy jego w nauce były mało zadawalniające. Z niemałym też trudem uzyskiwał promocje, a w klasach V-ej i VI-ej siedział po 2 lata.

Kiedy po dziesięciu latach trudów znalazł się wreszcie w 1880 roku w VIII-ej klasie i kiedy tylko jeden rok dzielił go od chwili otrzymania matury, wynikł pomiędzy nim, a jednym z nauczycieli ostry konflikt w rezultacie czego został ze szkoły usunięty z niezbyt pochlebnym świadectwem. Niezrażony tem, przeniósł się do Poznania i tu wstąpił do gimnazjum św. Marii Magdaleny, gdzie przyjęty został do klasy 7-ej. Lecz i tu, buntujący się przeciwko germanizacji, twardy jego charakter nie pozwolił mu zbyt długo przebywać, to też już po trzech kwartałach widzimy go w gimnazjum w Opolu, a nieco potem — w Raciborzu na Górnym Śląsku, skąd jednak również został usunięty za czynną zniewagę jednego z nauczycieli-niemców. Dopiero w 1884 roku dzięki poparciu go przez dr. Wituskiego (słynnego fizyka) udało mu się po czternastu latach mozolnej pracy uzyskać w gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu świadectwo dojrzałości.

Jeszcze w ostatnich latach swego pobytu w gimnazjum w Inowrocławiu Kasprowicz począł pisywać wiersze w językach: polskim i niemieckim, przyczem niektóre z nich już w owym czasie drukowane były w różnych czasopismach.



JAN KASPROWICZ

Po otrzymaniu matury Kasprowicz udał się do Lipska, gdzie wstąpił na Uniwersytet, oddając się studiom filozoficznym, literackim i historycznym.

Po krótkim pobycie w Lipsku już na zimę 1885 roku przeniósł się do Wrocławia, gdzie na miejscowym Uniwersytecie nadal studiował obrane pierwotnie przedmioty.

Na wiosnę 1887 roku, wydelegowany przez młodzież polską, studiującą we Wrocławiu, wyjechał do Krakowa, gdzie przyjmował udział w pogrzebie Józefa Ignacego Kraszewskiego. — Wtedy to poraz pierwszy zobaczył Galicję i Kraków.

Po powrocie z Krakowa został aresztowany pod zarzutem należenia do tajnych kółek socjalistycznych i osadzony w więzieniu śledczem. Nic mu nie udowodniono, a mimo to trybunał wrocławski skazał go na sześć miesięcy wizienia.

Opuściwszy mury więzienne Kasprowicz porzucił zabór pruski i przeniósł się do Galicji, gdzie osiedlił się we Lwowie. Tu też ukazał się w 1889 roku pierwszy tom jego poezji. Nieco później ukazały się w biblioteczce popularnej Towarzystwa im. St. Staszyca we Lwowie trzy pisane prozą książeczki Kasprowicza: "Moskwa wobec Unii i Polski" (1891 r.), "Żywot Karola Marcinkowskiego" (1892 r.) i "Lirnik Mazowiecki", szkic literacki (1893 r.).

Aby uzyskać środki do egzystencji rozpoczął w 1901 roku pracę dziennikarską w "Kurierze Lwowskim", pozostającym pod redakcją Bolesława Wysłoucha, a reprezentującym ówczesne prądy ludowe. Praca dziennikarska nie odpowiadała jego charakterowi,z trudnością też naginał się do niej. Za to w czasie urlopów żył pełnią twórczego życia, wyjeżdżając czy to do Włoch, czy też w Tatry, lub nad morze, gdzie myśl jego poetycka pracowała bez wytchnienia.

W wyniku tej dalszej twórczości poety ukazał się w 1901 roku nowy cykl jego poezji p. t. "Ginącemu Światu". W cyklu tym już w całej pełni zajaśniał jego potężny indywidualny talent.

Na wiosnę 1902 roku Kasprowicz porzucił "Kurier Lwowski" i przeniósł się do "Słowa

Polskiego", które przeszło wtedy w ręce t. zw. "wszechpolaków", obozu wyłaniającego się na powierzchnię polityczną z szeregów dawnych "Głosistów" warszawskich.

Ciężkie warunki życiowe nie pozwalały mu pracować wyłącznie na polu literackiem i poetyckiem. Zachęcony przez przyjaciół, Kasprowicz, w celu habilitowania się na katedrę uniwersytecką, postanowił doktoryzować się i oto w dniu 12 sierpnia 1904 roku na podstawie rozprawy o Lenartowiczu Wszechnica Jana Kazimierza we Lwowie przyznała mu stopień doktora filozofii.

Powołany w 1908 roku przez wydział filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego na katedrę literatury porównawczej, Kasprowicz w maju 1909 roku rozpoczął wykłady jako profesor zwyczajny.

Aczkolwiek ukazanie się cyklu "Ginącemu Światu" bezwątpienia stanowiło punkt, od którego rozpoczynały się skromne przebłyski wielkiej w przyszłości sławy Kasprowicza, to jednakże momentem decydującym w ustalaniu się tej sławy było zbiorowe wydanie jego dzieł (6 tomów) we Lwowie 1912 r. Do tego zbiorowego wydania nie wszedł wydany nieco wcześniej zbiór poematów p. t. "Chwile" (Lwów, 1911 r.).

Skala talentu Kasprowicza była niezwykle rozległa; obok potężnych poematów, tworzył także poetyckie utwory dramatyczne, z których niejeden wystawiony był na scenach polskich, a jego "Uczta Herodiady" zyskała ogólne uznanie zarówno krytyki jak i publiczności.

Przy tak bogatej twórczości oryginalnej Kasprowicz wiele tłómaczył, przyswajając językowi polskiemu szereg arcydzieł poetyckich z literatury.

Wybuch wojny światowej zastał Kasprowicza w Poroninie, dokąd, po uzyskaniu urlopu z Uniwersytetu na wiosnę 1914 roku wyjechał. Wykończył właśnie wtedy swego "Marchołta", który w druku ukazał się dopiero w 1920 roku.

Kiedy w wyniku długotrwałej wojny powstała w całej Swej Chwale Zjednoczona i Niepodległa Rzeczpospolita Kasprowicz ochoczo stanął do pracy dla dobra kraju, wyjeżdżając wespół ze Stefanem Żeromskim i krytykiem Władysławem Kozickim na Warmię i Mazury, gdzie na prośbę Ministerstwa Spraw Zagranicznych prowadził agitację plebiscytową na rzecz Polski.

Skoro Uniwersytet Poznański zwrócił się do Kasprowicza, jako do wielkopolanina i maturzysty gimnazjum im. św. Marii Magdaleny, z propozycją objęcia katedry w Poznaniu, Kasprowicz znalazł się w rozterce, nie wiedział bowiem co mu uczynić należy: czy wrócić do ziemi rodzinnej, czy też pozostać we Lwowie, który go w swoim czasie przygarnął i zaszczytami obdarzył. Wówczas to Zarząd miasta Lwowa w dniu 30 grudnia 1920 roku wysłał do niego delegację z prośbą, aby we Lwowie pozostał, przyczem Rada Miejska ofiarowała mu, jako dar honorowy, plac przy ul. Poniatowskiego koło parku Stryjskiego, a specjalny. wyłoniony z pośród lwowskiego społeczeństwa Komitet, zajął się budową wspaniałej dla niego na tym placu wilii. Kasprowicz, wzruszony tymi dowodami uznania, pozostał we Lwowie, za co w dniu 21 stycznia 1922 roku lwowskie Towarzystwa Naukowe zgotowały mu, podówczas rektorowi Uniwersytetu Jana Kazimierza, gorące owacje.

Ostatnie lata swego życia Kasprowicz, złożony ciężką niemocą, spędził w domku swoim na Harendzie w Poroninie pod Zakopanem, gdzie też już podczas choroby przygotował do druku ostatni tom swoich utworów poetyckich p. t. "Mój Świat" (1925 r.).

Zmarł 1 sierpnia 1926 roku, osierocając współczesną polską twórczość poetycką, której był jednym z najpotężniejszych filarów. Pochowany został na starym cmentarzu w Zakopanem w grobie rodziny Dłuskich.

Jan Kasprowicz posiadał Komandorię (III-cia klasa) Orderu "Odrodzenia Polski".

Nas Obce Tutaj Nie Zaleje Morze!

Nas obce tutaj nie zaleje morze,
Choć spienionemi bije w nas falami:
I naszej szyi nie zegnie obroże,
Dopóki Związek Narodowy z nami . . .

Wszak od pół wieku, kiedy z nędzy toni
Ojcowie nasi przyszli na tę ziemię,
Związek ich zawsze i wspiera i broni,
I przypominał, żeśmy polskie plemię . . .

Na wszystkie wielkiej Ameryki krańce,
Do miast, do kopalń, na farmy i role —
Niósł zawsze jasne oświaty kagańce,
Tułaczą wszystkim osładzał tu dolę . . .

Nie zapominał, że na górne loty
Dusza nie wzleci, kiedy w nędzy ciało,
Więc wspierał wdowy biedne i sieroty,
Gdy dla nich mężów i ojców nie stało.

Zakładał szkoły, budował pomniki,
By większą Polska miała tutaj sławę:
Stawiał nas zawsze w narodowe szyki,
Aby za polską dzielnie walczyć sprawę . . .

A dziś, gdy jedni już nadzieję tracą,
Płacząc, że obca czeka nas zagłada,
Związek nie płacze — lecz szkoły zakłada.

Ks. Dr Paweł S. Iliński

Sylwetka, Aktywność i Dorobek

Ks. Prof. Mgr. Klaudiusza Klarkowskiego z Chicago, U.S.A.

Polonia Amerykańska zadzięcza swój szybki rozwój i niezwykle bogaty dorobek w różnych dziedzinach przede wszystkim dawnej emigracji i jej wybitnym przywódcom, duchownym i świeckim. Jej rozkwit przypada głównie na koniec drugiej połowy 19-go stulecia i na pierwszą połowę 20-go.

Niestety, bujne życie religijno-patriotyczne emigracji polskiej w Stanach, dochodzące do szczytu podczas pierwszej wojny światowej i w okresie międzywojennym, po drugiej wojnie światowej w szybkim tempie ubożeje i zanika. Najbardziej wartościowe pokolenia pod względem etniczno-polskim odeszły i nadal odchodzą. Przerzedził się również w jaskrawy sposób i stracił swą dawną prężność trzon ideowych przywódców, duchownych i świeckich.

Na szczęście pozostały jeszcze, pełne poświęcenia, patriotyczne jednostki i środowiska, które robią wszystko możliwe, by powstrzymać proces zanikania znajomości polskiego języka i polskości w ogóle, by utrzymać jak najdłużej polskie pozycje religijne, kulturalne i organizacyjno-społeczne, by bronić godności imienia polskiego i popularyzować w obu językach polski wkład do budowy potęgi stanów Zjednoczonych.

Obok więcej znanych i reklamowanych działaczy polonijnych, są też mniej znani, którzy — bez rozgłosu i autoreklamy — oddają polskiej kulturze poważne usługi. Jest ich jednak coraz mniej! Dlatego powinno się ich ujawniać przypominać ich cichą, lecz owocną aktywność, by innych zachęcać do wstępowania w ich ślady.

Jedną z takich cichych, ale czynnych polonijnych postaci, o prawdziwie polskim sercu i poważnych zasługach — niewątpliwie jest ks. Mgr. Klaudiusz Klarkowski. Był on długoletnim profesorem łaciny w Małym Seminarium Duchownym, a później proboszczem par. Świętych Młodzianków w Chicago. Zna on doskonale język angielski, polski i łaciński. I mimo przejścia na emeryturę nadal popularyzuje w tych językach historię, kulturę, tradycje i zwyczaje polskie.

Krótki życiorys tego cichego i nader wnikliwego aktywisty polonijnego, jego ruchliwość pisarska i pokaźny dorobek — będą tematem niniejszego artykułu.



Ks. Klaudiusz Klarkowski

Dom Rodzinny

Ks. Klaudiusz Klarkowski urodził się 18 maja 1907 r. w Chicago, w parafii Najśw. Maryi Panny Anielskiej, popularnie zwanej "Marianowo". Ojciec jego Mieczysław, ur. w 1866 r. w Polsce, we wsi Więzownia k/Koronowa, pow. Bydgoskiego. Matka zaś, Agnieszka z Jankowskich, ur. 1880 w Chicago.

Ks. Klarkowski jest tak dumny ze swego polskiego pochodzenia, że interesował się i usiłował poznać dzieje swoich dalszych przodków. Zna imiona, nazwiska, rok i miejsce urodzenia swoich dziadków i pradziadków, ze strony ojca i matki. M. in. wyszperał, że jego prababka, matka jego dziadka, Stanisława Klarkowskiego, nazwiskiem Templin, urodzona w Prusach Wschodnich, pochodziła z spolszczonej rodziny szkockiej.

Ojciec matki, Paweł Jankowski, ur. w 1848 r., wyemigrował do Ameryki z rodzinnego Nakła n/Notecią przede wszystkim dlatego, by uniknąć poboru do znienawidzonego wojska pruskiego zaborcy. Babka jego ze strony matki pochodziła z diecezji Opolskiej, z tej samej miejscowości, z której pochodził powszechnie znany i wielce zasłużony O. Leopold Moczygemba, założyciel i proboszcz pierwszej parafii w Ameryce w Panna Maria w Texas, w 1854 r.

Ks. prof. Klarkowski odwiedził w 1957 r. Polskę i spędził w niej dziewięć dni. W jednym ze swoich artykułów opisuje ten pobyt w słowach entuzjastycznych i rozczulających.

"Jakże wielka to była radość i wzruszenie do łez! Bo oto po 77 latach pierwszy człowiek z klanu Klarkowskich przybył do rodzinnego Więzowna k/Koronowa" — pisał ks. Klarkowski.

Żyje on nadal podniosłymi wrażeniami, jakie wtedy odniósł. Przy okazji tej wizyty usiłował odwiedzić niemal wszystkie te miejscowości, w których przyszli na świat, żyli i pracowali jego bliżsi i dalsi krewni.

Ks. Klarkowski zawdzięcza swoje na wskroś polskie i katolickie wychowanie przede wszystkim domowi rodzinnemu i atmosferze, jaka w nim panowała. Rodzice jego matki przybyli do Chicago w 1865 r. Zamieszkali w pobliżu p. O'Leary, znanej z tego, że w jej zabudowaniach wybuchł historyczny pożar (1871), który strawił całe ówczesne miasto.

Matka ks. Klarkowskiego nigdy nie była w Polsce, lecz kochała całym sercem Polskę, język i tradycje polskie. Mówiła po polsku i angielsku bez cienia obcego akcentu. Tę znajomość zdobyła w szkole katolickiej przy parafii św. Stanisława Kostki, której proboszczem był wielki kapłan-patriota, słynny przywódca Polonii Amerykańskiej, ks. Wincenty Barzyński ze Zgromadzenia XX Zmartwychwstańców. W szkole tej uczyły siostry zakonne ze Zgromadzenie Notre Dame z Milwaukee.

Ojciec ks. Klarkowskiego przybył do Chicago jako czternastoletni chłopak. Mimo to kochał Polskę całą duszą i stale za nią tęsknił. W Chicago żył, pracował, a serce jego było w Więzowni, gdzie się urodził, w pobliskim Koronowie i Bydgoszczy. Ta miłość i tęsknota za Krajem ojczystym towarzyszyła mu przez całe długie życie, trwające 87 lat.

Atmosfera domowa rodziny Klarkowskich, przesycona tęsknotą i miłością do Polski, ciągłe wspomnienia o niej, kultywowanie znajomości języka, tradycji i zwyczajów polskich — wywarły decydujący wpływ na formację duchową młodego Klaudiusza. Osobiście to stwierdza, że wybitnie polska atmosfera, panująca w jego rodzinnym domu, niejako automatycznie przenikała jego jaźń i formowała w nim podświadome odczucie tożsamości polskiej, przynależności psychicznej i kulturowej do Narodu Polskiego. Ten stan pogłębiały i umacniały wymagania i metody wychowawcze stosowane w codziennym życiu domowym przez jego rodziców.

"Rodzice i dziadkowie— pisze ks. Klarkowski — dbali o to i wymagali, abyśmy, ja i brat, nauczyli się poprawnie mówić po polsku i angielsku. Gdy rodzice mówili do nas po angielsku, musieliśmy odpowiadać po polsku i odwrotnie, gdy mówili po polsku — odpowiadaliśmy po angielsku."

Wykształcenie

Podobnie olbrzymi wpływ wywarły na religijno-narodowe wychowanie młodego Klaudiusza Klarkowskiego wielkie patriotki, Siostry Zmartwychwstanki, które uczyły w katolickiej szkole przy wspomnianej już par. Najśw. Panny Maryi Anielskiej. Jak również założyciel i proboszcz tej parafii (1899), też wielki patriota i znany przywódca Polonii, Zmartwychwstaniec, ks. Franciszek Gordon. Był on również naczelnym redaktorem i zarządcą "Dziennika Chicagoskiego." To pismo polsko-katolickie i patriotyczno-wychowawcze, wydawane przez XX Zmartwychwstańców, służyło Polonii Amerykańskiej przez 80 lat swego istnienia i położyło olbrzymie zasługi dla Kościoła i krzewienia kultury polskiej. Dla uczczenia świetlanej pamięci ks. Gordona nazwano jego imieniem znaną średnią szkołę techniczną, prowadzoną przez XX Zmartwychwstańców ("Gordon Technical High School").

Ks. Klarkowski, po ukończeniu parafialnej szkoły podstawowej na "Marianowie", pierwsze dwa lata szkoły średniej odbył w Kolegium św. Stanisława Kostki, które już nie istnieje, prowadzonym przez XX Zmartwychwstańców. Trzy następne lata — w Małym Seminarium (Quigley Preparatory Seminary).

Z tego okresu ks. Klarkowski wspomina z wyjątkową miłością i czułością swego wybitnego profesora łaciny, ks. Jana Mielcarka, późniejszego infułata i proboszcza par. św. Kazimierza. Mimo czysto amerykańskiego charakteru tej szkoły — ks. prof. Mielcarek zawsze rozmawiał z nim po polsku lub po łacinie. Swoim autorytetem i wiedzą wpoił on w swego młodego ucznia zamiłowanie nie tylko do języka polskiego, ale też do łaciny. Co m. in. zadecydowało o kierunku studiów specjalistycznych ks. Klarkowskiego.

Pragnę tu dodać, że osobiście znałem dobrze ks. Infułata Mielcarka, już jako proboszcza. W latach 1946-1948 wielokrotnie przemawiałem

w kościele jego parafii. Miałem więc możność z bliska obserwować jego działalność. Była to postać istotnie świetlana jako kapłan, Polak i człowiek. Cieszył się z każdego sukcesu duszpasterskiego i z każdej udanej imprezy polonijnej. Odznaczał się nadzwyczajną pokorą i zrozumieniem dla innych, Cieszył się wyjątkową czcią nie tylko swoich wychowanków, ale współbraci w kapłaństwie w ogóle. Osobiście mam też wiele Mu do zawdzięczenia. W latach 1954-1959 często wymienialiśmy ze sobą korespondencję w języku łacińskim. Przy tej okazji spomagał mnie stypendiami, gdyż znajdowałem się wtedy w trudnych warunkach materialnych.

Ks. Klarkowski odbywał sześcioletnie studia wyższe, tj. wydział filozofii i teologii w Archidiecezjalnym Seminarium Duchownym (St. Mary of the LAKE w Mundelein, Illinois). Jest ono na statusie Wyższej Uczelni Papieskiej i ma prawo nadawać tytuły naukowe. Po otrzymaniu absolutorium poświęcił się nadto studiom specjalistycznym na tej uczelni i uzyskał Licencjat z Teologii. Po czym, oddał się studiom nad językiem i literaturą łacińską i zdobył na Katolickim Uniwersytecie De Paul w Chicago stopień Magistra łaciny.

Po temat do pracy magisterskiej sięgnął do bliskiej jego sercu tematyki polskiej. Napisał poważne studium, liczące 155 stron, dużej wartości naukowej i literackiej, o ks. Sarbieskim i jego poezji pt.: "Horatius in Lyricis Mathiae Casimiri Sarbierii". Wykazał w tej pracy na podstawie źródeł włoskich, amerykańskich, niemieckich i polskich, że Sarbieski jest ogólnie uważany za "księcia poetów nowoczesnej łaciny". Nazywa go polskim Horacjuszem i popiera to odpowiednimi argumentami. Jest to naprawdę praca ciekawa. Czyta się ją jak wartościową powieść z talentem napisaną. Gdyby została przetłumaczona na język polski i ogłoszona, to niewątpliwie stanowiłaby cenną pozycję w tego rodzaju literaturze.

Działalność i dorobek

Ks. Klarkowski otrzymał święcenia kapłańskie w 1931 r. z rąk kardynała Mundeleina. Po czym, po odbyciu studiów specjalistycznych, został mianowany profesorem Małego Seminarium (Quigley Preparatory Seminary), gdzie pracował jako wychowawca młodych lewitów przez 27 lat.

Wykładał prócz łaciny, jako przedmiotu głównego, język polski, religię, historię starożytną i średniowieczną. Przygotował do kapłaństwa kilkuset młodzieńców, w tym pięciu jego wychowanków otrzymało sakrę biskupią: Alfred Abramowicz, sufragan chicagoski; Jan L. May, ordynariusz diecezji w Mobile, w stanie Alabama; Paweł Marcinkus, przewodniczący Instytutu Dla Dzieł Religii (Banku Watykańskiego) w Rzymie, Lawrence McNamara, ordynariusz Grand Island w Nebraska i mianowany biskupem w lipcu 78 Thomas Murphy w Great Falls, w stanie Montana. Wychowankowie ks. prof. Klarkowskiego z głębokim żalem żegnali go, gdy opuszczał swe długoletnie stanowisko, i nadal wspominają go ze czcią i wdzięcznością.

Ks. Klarkowski podczas swej profesury rezydował początkowo w par. Pięciu Braci Męczenników, a później w par. Świętych Młodzianków, pomagając przy tym w pracy duszpasterskiej. Po śmierci założyciela i pierwszego proboszcza tej ostatniej parafii, ks. prałata Jana Zwierzchowskiego, też wielkiego patrioty polskiego — ks. Klarkowski został mianowany w 1960 r. przez kardynała Mayera jej proboszczem. Na tym stanowisku pozostawał przez 8 lat. W ciągu tego czasu przebudował i unowocześnił starą szkołę, kupioną od Luteranów, wybudowaną jeszcze w 1890 r. Poza tym odrestaurował kościół, którego wnętrze zostało przez pożar kompletnie strawione i zniszczone. Przy tej sposobności wprowadził w tej świątyni wiele ulepszeń i nowoczesnych inwestycji. Obecnie ks. prof. Klarkowski jest od kilku lat na emeryturze.

Mimo przejścia na emeryturę i poważnego niedomagania na zdrowiu — ks. Klarkowski nadal jest czynny w pracy duszpasterskiej tej parafii, a ponadto z zapałem kontynuuje swą ulubioną pracę pisarską i publicystyczną. Poprzednio był stałym, długoletnim współpracownikiem miesięcznika homiletycznego pt.: "Kazalnica", wydawanego w New Castle, Pennsylwania przez ks. S. A. Icieka. Dotąd przechowuje wiele listów od konfratrów, w których wyrażali Mu podziękowanie i wdzięczność za ułatwianie im pracy duszpasterskiej przez zamieszczanie w miesięczniku praktycznych, ilustrowanych przykładami, opracowań homiletycznych.

Opracował przeszło 50 żywotów świętych, w tym świętych polskich, dla specjalnego periodyka dla młodzieży w języku łacińskim pt.: "Auxilium Latinum — National Classroom Magazine", które wychodziło w Elizabeth w New Jersey przez 40 lat. W okresie swego rozkwitu nakład jego wynosił 40,000. Popularny tygodnik "Time Magazine" poświęcił temu pisemku pochwalną recenzję na całej stronie (Press). Po zlikwidowaniu pisma opracowane żywoty zostały wydane w osobnej odbitce.

Opracował też żywoty świętych polskich w języku polskim i w formie ilustrowanej broszury pt. "Klejnoty Królowej", wydanej przez OO. Franciszkanów w Pulaski, Wisconsin. Dla Amerykanów zaś oraz dla Polaków, którzy już

nie władają językiem polskim, opracował żywoty świętych polskich w języku angielskim pt. "The Queen's Gems — Short Pictorial Lives of the Patron Saints of Poland". Opublikowało je również wydawnictwo OO. Franciszkanów w Pulaski (Franciscan Publishers).

Ks. prof. Klarkowski współpracował przez dłuższy okres czasu z ks. Weiserem, jezuitą, autorem wielu popularnych dzieł o tradycjach i zwyczajach świątecznych różnych narodów chrześcijańskich. Oto ważniejsze z nich:

"Handbook of Christian Feasts and Customs" (365 s.); "Easter Book" (224 s.); "Holyday Book" (217 s.).

Rozchodziły się one w ogromnych nakładach nie tylko w Ameryce, ale i innych krajach anglosaskich. Były też tłumaczone na obce języki. Otóż ks. Klarkowski dostarczył do nich opracowań o polskich tradycjach i zwyczajach regionalnych całego roku liturgicznego. W jednej z powyższych książek znajduje się 37 pozycyj przez niego opracowanych.

Ks. prof. Klarkowski opracowuje liczne artykuły na aktualne tematy, polskie i katolickie, do różnych czasopism, polskich i amerykańskich, wychodzących w Stanach, a także w innych krajach. Dla przykładu podaję kilka pism, z którymi współpracuje i tytuły niektórych artykułów, jakie w nich zamieścił:

"Poland's Gift to the Church" (o bł. Maksymilianie) w tygodniku "Our Sunday Visitor" (436-666 tys.); "The Pole who Fathered The Space Age" (o Koperniku) w "Liguorian Magazine", miesięczniku wydawanym przez OO. Redemptorystów amerykańskich (362-734 tys.); "Mary Mother of the Church" (o nabożeństwie kardynała Wyszyńskiego do Matki Bożej w "Irish Messenger" (Dublin), miesięczniku irlandzkich jezuitów, który rozchodzi się w setkach tysięcy egzemplarzy w Irlandii, Anglii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Ks. prof. Klarkowski współpracuje od szeregu lat z ks. Jerome Pokornym, Amerykaninem czeskiego pochodzenia, redaktorem i wydawcą wyjątkowo poczytnego miesięcznika pt. "Catholic Quote" (Speakers' Treasury — Instant Inspiration — Fillers for Periodicals), wychodzącego w Valparaiso, Nebraska. Dostarcza do tego pisma aktualnych materiałów na tematy religijne i polskie, Zamieścił w nim. m.in. historyczny artykuł pt. "Poland's Continual Immolation" (Walki i ofiary Polski w ciągu wieków w obronie Wiary i Europy Zachodniej). W numerze sierpniowym, 1977 roku, tego pisma został zamieszczony artykuł, "Our Lady of Częstochowa — Mary", o historii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, ślubach jasnogórskich, oraz fotografia tego obrazu. Jedno i drugie dostarczył ks. Klarkowski.

Obraz, którego fotografia została zamieszczona, ma swoją historię. Został zakupiony przez ojca ks. Klarkowskiego podczas misji parafialnych na "Marianowie" jeszcze w 1914 r. Księża amerykańscy, kanadyjscy, nawet angielscy wyjątkowo cenią to wartościowe, ciekawie redagowane czasopismo, gdyż dostarcza im pomocy w przygotowaniu niedzielnych homilij okolicznościowych przemówień i tygodniowych gazetek parafialnych.

Ks. Klarkowski pisze również liczne listy do redakcji różnych dzienników i czasopism, w których ukazują się fałszywe informacje o Narodzie Polskim, jego historii i kulturze. Piętnuje je i prostuje! Spełnia pod tym względem niesłychanie ważną rolę, gdyż niestety nie brakuje w Stanach wrogo nastawionych jednostek i środowisk do wszystkiego, co polskie. Toteż często ukazują się w pismach, a nawet w wydawnictwach wiadomości o Polakach nie tylko fałszywe, ale wręcz obrażające.

Oto w skróceniu sylwetka kapłana z prawdziwego zdarzenia i gorącego miłośnika kultury i mowy polskiej. Cichego, niemal ukrytego, lecz jakże gorliwego, bezinteresownego i owocnego jej herolda.

Wszystko, co polskie — jak sam się wyraził — jest najbliższe i najdroższe jego sercu. Jednym z licznych dowodów tego niech będzie opracowanie Henryka Sienkiewicza o pięknie i uroku języka polskiego, które ks. Klarkowski odtworzył w pięknej angielszczyźnie i opublikował w różnych pismach, polskich i angielskich. Ponadto rozsyłał w odbitkach do szkół i różnych instytucji naukowych i społecznych.

Ks. dr Paweł S. ILIŃSKI

SPINKA

Napisał: Max Wit

Ilustrował: *Siemaszko*

Gdy znaleziono ciało Hila Liwstona w bardzo śmiesznej i w bardzo głupiej pozycji ze wszystkiemi objawami śmierci gwałtownej, zadanej znienacka, zrozumiano odrazu, iż miano do czynienia z morderstwem przemyślanem, wyrafinowanem i okrutnem, tem ohydniejszem, że Hil, biedny Hil, był ozdobą i ostoją całego Woodshoolu. Nie dlatego, by kupczył złotem w piasku i w sztabach, ale dlatego, że był najskąpszym człowiekiem na całym zachodzie, skąpszym nawet od swego dziada Dawida Liwstona, któremu zdjęto koszulę do prania dopiero w dniu jego nieodżałowanej śmierci. Mimo więc tak godnej paranteli, mimo ustalonej tradycji Liwstonów, Hila znaleziono na podłodze własnego sklepu ze wszystkiemi, jak się rzekło, objawami śmierci nagłej i gwałtownej, lecz nie znaleziono na jego ciele żadnej rany, żadnego śladu gwałtu, chociaż o karygodnym, zbrodniczym napadzie obwieściły wszystkie miejscowe gazetki, poraz pierwszy od wojny, bite z dodatkiem nadzwyczajnym na żółtym papierze, w godzinnych odstępach.

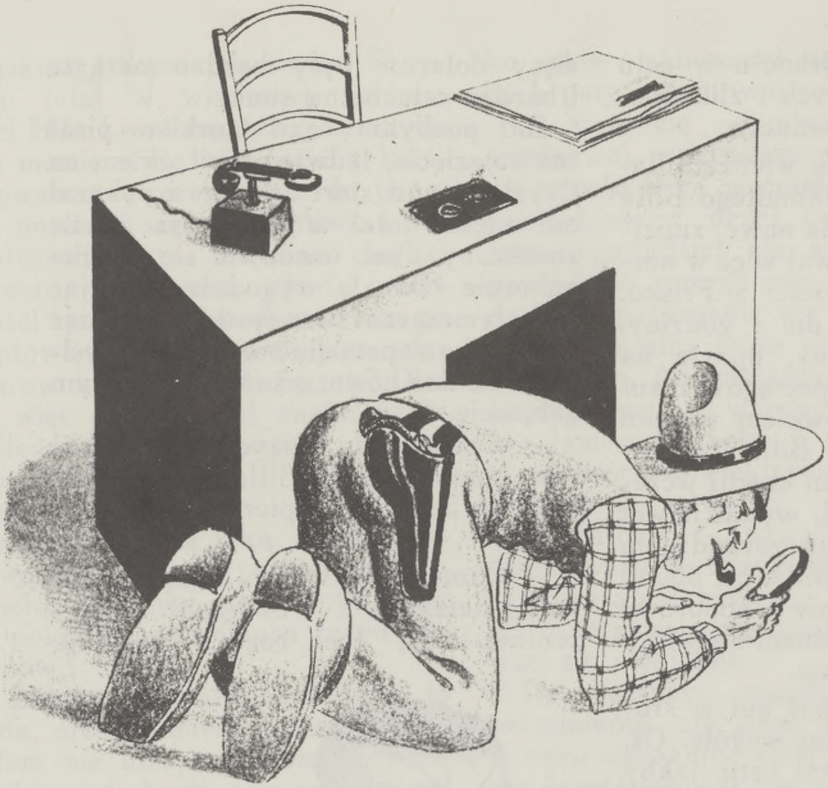
Najbardziej opinję skonsternowanego miasteczka uderzył fakt, że żadnej kosztowności ze sklepu Liwstona nie zabrakło. Wszystko znaleziono na miejscu, wszystko w porządku, a klark odwieczny Iwo Cowdry, według książki, pod przysięgą zeznawał, że nic nie zginęło. Ludziska łamali sobie głowy nad tem, co się stało. Tysiące inwektyw, oskarżeń i plotek obrosło zbrodnię gęstym chaszczem półprzypuszczeń, półdomysłów, czyniąc z Woodshoolu jedyne w swoim rodzaju miejsce na całym niezmierzonym zachodzie.

Możemy sobie wyobrazić, jak gorączkowo i intensywnie w tym czasie musiała pracować głowa detektywa i naczelnika miejscowej policji Joela Jamesa Orysta, który od chwili wykrycia zbrodni stracił sen, radość i spokój.

Nie powinniśmy się wcale dziwić, gdyż odrazu gorliwie zabrał się do śledztwa, zaczynając od badania starego, trzęsącego się i ogłupiałego Iwego Cowdry, który płaczliwie upewniał Joel, że w sklepie nic nie zginęło. Pożegnał w wigilję fatalnego dnia Hila, który jak codzień wybierał się do Miowacke, a potem znaleziono tego biedaka Hila w tej dziwnej i niewyraźnej pozycji. Cowdry opowiadał jeszcze bardzo wiele, lecz razem wziąwszy to zupełnie mało, poprostu nic. Joel kiwał poważnie głową, ciężko sapał, pykał ze swej wiśniowej fajeczki, treściwie marszczył czoło, gdy zamknął się w sklepie i przez lupę badał miejsce zbrodni; miał przy tem minę tak zaciętą i zdecydowaną, że gruby sierżant O'Hara drętwiał na myśl o czekającej go dziś lekcji Jitzu.

Poszukiwania okazały się daremne. Nic podejrzanego Joel nie spostrzegł: żadnych plam, żadnych odcisków, żadnych śladów walki. Dopiero, gdy po sfotografowaniu miejsca zbrodni odwrócono trupa i ułożono we właściwej pozycji, pierwszy O'Hara ryknął swym niesamowitym głosem:

— Ppppannniee kkkommisssarrrzu! Jjjjesstt! Ooooooo!



...i przez lupę badał miejsce zbrodni...

na całym Zachodzie. Hil nigdy nie rozstawał się z tą pamiątką, a teraz nie miał jej w gorsie, zginęła.

Innych śladów, ani braków Oryst nie wykrył, nawet perła w krawacie, dość duży cenny japoński klejnot, tkwiła sobie spokojnie w niezdarnie związanym węźle. O mordzie rabunkowym nie było mowy, a jednak Joel miał przed sobą niewątpliwego trupa solidnego Hila Liwstona, zabitego znienacka, w jakiś nieznany, zdradziecki sposób.

— Milcz bałwanie — syknął Joel — jest trup ośle, i tyle.

— Tttrrupppp! ale bbbrrakkk mmmmu wwwwwww...

w twej tępej głowie piątej klepki, zakończył spieniony Oryst. O Hara wyciągnął się na baczność i mętnie spojrzał na Joela, a później wparł oczy w gors zabitego z takim uporem i siłą, że Joel, mimo woli, idąc za jego osłupiałem spojrzeniem, dostrzegł brak czegoś w koszuli Liwstona. Tak, niezawodnie koszula była odpięta na piersi i brakło w niej, brakło...

.... Sssssppinkkki, — wykrztusił wreszcie O'Hara.

— Poszedł precz! Idjoto! — huknął Oryst, — sam widzę bez twych głupich uwag! Zrozumiał że trafił na ślad. To już było coś. To już było wiele. To prawie było wszystko. Nieboszczyk nie miał w koszuli spinki znanej spinki w Woodshoolu, dużej srebrnej podkowy z dwoma skrzyżowanemi biczami, pamiątki po ojcu, ostatnim pocztyljonie dyliżansowym

Tak, czy owak, obywatele Woodshoolu mogli sobie komentować wydarzenie. Joel James Oryst musiał wykryć sprawcę zamachu, to stało się punktem honoru, jedynym i ważnym celem korowodu dni, które jak zawsze jednostajnie, jak zawsze leniwie powlokły się przez horyzont dostojnego miasta.

Tymczasowo opisano i zbilansowano majątek zabitego, który pozwolił się ująć w skromną sumkę 80 tysięcy dolarów, co na stosunki Woodshoolu było niemal zawrotną sumą. A jednak, aczkolwiek opublikowano śmierć Hila we wszystkich gazetach miejscowych, nie wyłączając dzienników new-yorskich, nie zgłosił się żaden z krewnych po odbiór należności spadkowej, chociaż Cowdry zapewniał, że w Frisko mieszka Liwston. znakomity Liwston, syn brata ojca Hila, a więc najbliższy i jedyny spadkobierca starego kawalera Hila Liwstona.

Joel wystosował więc w tej sprawie obszerny list, wzywający Billa Liwsto-

na z Frisko do Woodshoolu w celu podjęcia sum spadkowych i zlikwidowania sklepu zamordowanego.

Zresztą oczekiwał nie wiedząc dlaczego, że przyjazd znakomitego Billa musi pchnąć śledztwo na nowe, zupełnie świeże tory. Oczekiwał więc w nerwowem napięciu na wieści z Frisko. Niecierpliwie obliczał dni i godziny, budował misterne plany, oparte na rozkładzie wszystkich pociągów i autobusów, poczem z ołówkiem w ręku wyliczył, że przyjazd Billa nastąpi w środę o 11-ej rano ani chwili wcześniej, ani chwili później, wydał nawet w tej mierze odpowiednie zarządzenia i zapowiedział żonie Billa na obiad, wypadało bowiem godnie i honorowo przyjąć gościa o tak znanem nazwisku i tak znacznem bogactwie.

Ale Bill nie przyjechał ani w środę, ani o jedenastej, ani wogóle. Ot, jakby wcale nie otrzymał listu, jakby wcale nie żył. Wówczas Joel, wykpiony i zbesztany przez żonę, mianował O'Harę swym zastępcą w mieście i sam ruszył do Frisko.

*

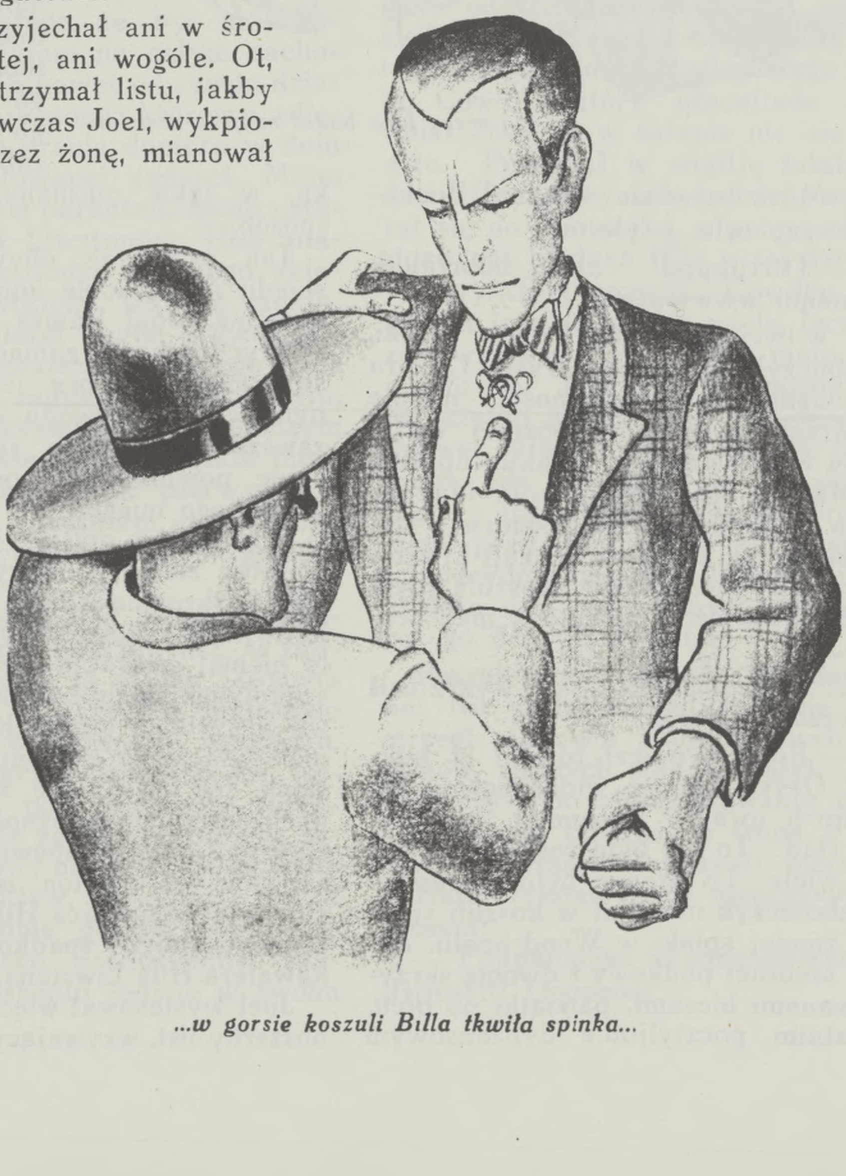
Każdy posłaniec mógł wskazać Dom Handlowy Liwstona, więc śledztwo nie nastręczało wcale trudności. Po godzin e Joel w stanie wysokiego napięcia pukał w oszklone drzwi Billa Liwstona.

Wszedł, zanim otrzymał odpowiedź. Przypomniał sobie do pioruna, że jest osobą urzędową i posłańcem dobrej wieści: tak czy owak, 80 tysięcy dolarów były bardzo okrągłą i bardzo szlachetną sumą.

Bill pochylony nad biurkiem pisał coś zawzięcie, ledwie rzucił okiem na Orysta, z nad stert arkuszy i pokazał mu miękki fotel w kącie. Na chwilę zmieszany Joel usadowił się w nim pokornie i wcale wygodnie, starając się tymczasem wszystko widzieć i wszystko zapamiętać w tym wymyślnym, bardzo nowocześnie urządzonym gabinecie.

— Czem mogę służyć — przerwał mu kontemplację Bill, podsuwając pod nos duże pudło pierwszorzędnych cygar.

— James Joel Oryst, komisarz policji i detektyw z Woodshool — prezentował się Joel bardzo dosadnie



...w gorsie koszuli Billa tkwiła spinka...

z naciskiem akcentując słowa. Przybywam tutaj w wiadomej sprawie śmierci Hila Liwstona, wie pan chyba o tem morderstwie z gazet i z listu, adresowanego przeze mnie do pana.

Bill poruszył się niecierpliwie i nawet otworzył usta, ale Joel ciągnął dalej surowym głosem... chodzi o formalności spadkowe i podjęcie sum po zamordowanym, pan wszak jest jedynym krewniakiem Hila? czy tak? Dlaczego więc pan nie dał znaku życia, nie telegrafował, nie odpisał, nie interesował się niczem, nawet pieniędzmi?

Liwston dał znak ręką, aby zatrzymać wreszcie wartki potok elokwencji Joela, a później mnąc słowa, niby gałki pokruszonego chleba rzucił komisarzowi:

— Jestem kuzynem Liwstona to prawda, ojcowie nasi byli braćmi, ale z Hilem nie utrzymywałem żadnych stosunków od chwili, gdy mi odmówił wsparcia i pożyczki, przez co wiele w życiu straciłem. Rozstaliśmy się jak wrogowie. Wyrzekłem się go, zapomniałem o nim, był mi wstrętny, obcy, nieznany! Nie chcę nic o nim wiedzieć, ani o jego pieniądzach! Włóżcie je temu staremu sknerze do trumny, lub szukajcie testamentu, upewniam was, że nie sporządził go na moją korzyść! Skończyłem, mój panie, zamknął kategorycznie, podniósł się prostując swą okazałą, męską postać i przysunął o krok do Jamesa.

— Żegnam pana — wyciągnął rękę uprzejmie.

— Ależ mój panie — bronił się przed pożegnaniem Joel, przecież...

...nagle zatknęło go: w otwartym gorsie koszuli Billa Liwstona tkwiła podkowa z dwoma skrzyżowanemi biczami — spinka zamordowanego Hila.

Joel zdobył się odrazu na decyzję, więc kończył spokojnie i zimno — przecież Hil został zamordowany przez ciebie, nikczemny łotrze!

Bill drgnął i spojrzał osłupiałym wzrokiem na Joela. Ta chwila wystarczyła Orystowi, jednym chwytem wypróbowanego ju-juitsu przegiął Billa ku sobie i zatrzasnął mu na przegubach parę patentowanych obrączek.

— Mam cię — odsapnął z westchnieniem, wpychając nieprzytomnego prawie Billa w fotel, no jak tam panie Liwston, drwił swoim zwyczajem, dogadaliśmy się, a teraz proszę powiedzieć szczegółowo, jak to było? Jedynie przyznanie się szczere i otwarte do winy może pana uratować, nic innego. Ani majątek, ani stosunki i opinja, jest pan w moich rękach, Joela Jamesa Orysta i postaram się z pewnością o elektryczne krzesełko, tak, tak do usług —

— Idjoto! — zawył Bill, oprzytomniawszy po chwili. Przeklęty idjoto! oszalałeś chyba czy co, zapłacisz mi za tę zniewagę bałwanie! ej ludzie! darł się piekielnie.

Do gabinetu wpadło kilkunastu urzędników, ale Joel z rewolwerem w ręku wskazując swój znak detektywa komenderował stanowczo — Stać! Ani kroku, proszę posłać po policję i zatelefonować do inspektorjatu, że Joel James Oryst aresztował Billa Liwstona, mordercę Hila z Woodshoolu.

— Ten bałwan stracił rozum, — wtórował Bill, ale wołajcie policję, bo oszaleję w tych kajdanach. Mój Boże! Bill Liwston morderca, żalił się boleśnie, nie, tego mu nigdy nie przebaczę!

*

W paru słowach Joel wytłumaczył prokuratorowi wszystko. Spinka, oczywiście jedyna w swoim rodzaju, brak jej w gorsie zabitego. Każdy człowiek w Woodshool znał tę staromodną spinkę tak, jak znał nieszczęśliwego Hila. Teraz ma ją Bill Liwston, czy trzeba innych dowodów. Dlaczego nie dawał znaku życia? Dlaczego nie przybył do Woodshool? ot dlatego jedynie, że on, nikt inny jest mordercą! Nienawidził Hila, sam przyznał się do tego, to wystarcza, przekładał triumfalnie Joel:

— Alem złapał ptaszka, uf, była to piękna gra, mój panie, piękna gra.

Zarządzono natychmiast przesłuchanie Billa. Powtórzył, że nie utrzymywał i nie chciał utrzymywać stosunków z zamordowanym, chociaż ojcowie ich żyli w zgodzie i braterskiej przyjaźni — obaj starzy weterani dyliżansowi. Spinka, ich spinka była jedną z pary, drugą rzeczywiście miał zamordowany.

— Tak, zacierał ręce Joel, miał ją zamordowany, gdy żył, jedynym przedmiotem, który zginął po morderstwie, jest ta właśnie spinka. Pańska spinka, panie Bill Liwston! cóż pan na to? indagował ostro. Stwierdziłem także, że w nocy morderstwa to jest 18 maja, nie było pana w St. Francisko, wrócił pan dopiero 22, czy tak?

Bill zbladł, przepaść otwierano mu pod nogami.

— Tak jest, panie prokuratorze, ale...

— Bez kłamliwych tłumaczeń, stwierdzono, żeś 17 maja wysiadł z pociągu w Miowacke, które jak wiadomo znajduje się o stację za Woodshool, cóż na to powiemy?!

— Nic, idjoto przeklęty! — obruszył się Bill. Byłem w Miowacke, ale nie ja zamordowałem Hila!

— To dziwne — cedził uparcie Joel, córka zawiadowcy stacji w Miowacke, Joanna Finn była chrzestna córka Hila i nawet, nawet mówiono ostatnio, że mimo jego podeszłego wieku gotowa go była poślubić, wbrew twym zalotom, mój panie, cóż pan na to?

Bill zbladł i poczerwieniał naprzemian, lecz powtórzył zupełnie odruchowo:

— Jeśli nawet tak było, nie zabiłem Liwstona!

— O, to nas zupełnie nie przekonywa — wyrzekli jednocześnie prokurator z Orystem, pomrugując figlarnie ku sobie.

— Więc zalecaliście się obaj do Joanny Finn, bardzo to miło, szkoda mi tej miłej osoby, zamiast jej objęć czekają na pana ramiona, tj. poręcze elektrycznego foteliku. Chwilowo wezwiemy Joannę w celu przesłuchania tej pani, przypuszczam, że zeznania jej udowodnią ostatecznie i tak niewątpliwą winę szanownego pana.

— Szubrawcy! — krztusił się Bill. Podli nikczemnicy. Nie zabiłem nikogo, ale upewniam, że was zdusiłbym z rozkoszą, niby dwa sparszywiałe szczeniaki! Zostawcie Joannę w spokoju. Bydlęta!

— Proszę wyprowadzić tego warjata z pokoju — rozkazywał zimno prokurator, — pociągniemy pana do odpowiedzialności za obrazę władzy.

*

Joanna zeznała, że Hil ją codziennie odwiedzał, że był dobry, że w wigilję tragicznego dnia był u niej, że spotkali się z Billem, którego kochała, i któremu zamierzała oddać rękę, chociaż nie miała odwagi przyznać się do tego Billowi, który oświadczył się o nią jej ojcu i otrzymał jego zgodę. Pamiętnego wieczoru, gdy spotkali się z Billem, Hil nerwowo spacerował po pokoju i nie odzywał się do nikogo, nawet do ojca, Joanna rozmawiała z Billem.

Spinka? — tego nie przypomina sobie, zresztą nie widziała Billa nigdy bez krawata. Spinkę Hila znała, znał ją każdy w okolicy. Przecież Hil wiązał krawat w motylka, czynił to nieumiejętnie i nieraz mu go zawiązywała, raz nawet... nawet ją pocałował przy tem w same usta, taki był wstrętny i obrz...

— Ależ to do rzeczy nie należy — przerwał prokurator. Więc spinka Billa była niewidoczna, a jednak czasami nosił także motylka, wszak dzięki tej okoliczności zauważył spinkę Oryst.

Joanna poruszyła szczupłemi ramionami na znak lekceważenia. To wszystko nie miało w jej oczach znaczenia dowodu. Wiedziała, to było pewne, że Bill jest niewinny, nie zabił Hila, wszak przyrzekł jej owego wieczoru, że będzie grzeczny wobec Hila i wyszedł wcześniej, niż zazwyczaj,

wszyscy go widzieli jak siadał do pociągu.

— Ale pociąg zatrzymuje się także w Woodshool, mógł więc wysiąść.

— Mógł — zgadzała się spokojnie — ale nie uczynił tego.

Prokurator spojrzał znowu z uśmiechem na promieniejącego Joela. Ta mała naiwna gęś gubiła ostatecznie ukochanego.

Przewód był zamknięty, wina udowodniona. Joel mógł wracać do Woodshool. Szalejącego Billa uwięziono do sprawy, mimo zwierzęcych pogróżek i ryków o swej niewinności.

Woodshool szalał. Złoczyńca zostanie ukarany i wszystko przez tego cwaniaka Orysta. Miasto było dumne ze swego pierwszego obywatela. Oryst był dumny z miasta, z morderstwa i pełen uznania dla siebie. Zaniechał nawet lekcyj ju-juitsu podczas ćwiczeń porannych. Oddał się pełnemu, uczciwie zasłużonemu odpoczynkowi.

I wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie ten idjotyczny jąkała O'Hara, który zaczynał zdanie w dniu narodzin, a kończył, gdy słuchaczów pakowano do trumny. Już na śledztwie stwierdził, że spinki brak w gorsie, ale znalazł ją przecież pod podszewką przetartej kamizelki, gdy z pozwolenia władz ubierano nieboszczyka do trumny. Próbował zameldować o tem Orystowi, ale ledwo wyjąkał Sssssppppinn... Joel machnął nań ręką, wściekły, że ten bałwan śmie mu przypominać szczegół doskonale znany. I w pewnej chwili oświadczył cały zapieniony, że jeśli jeszcze raz przypomni mu to głupstwo, zasadzi go jak Bóg w niebie na tydzień do paki.

Żeby mu raz na zawsze wybić tę kwestję z jąkającego się pyska, O'Hara w pokorze dał spokój, ale po naradzie z żoną spisał szczegółowy raport: ...w sprawie spinki zamordowanego Hila Liwstona — i złożył go u Orysta. Zaledwie Joel przeczytał tytuł raportu na swem biurku, porwał papier w kawały przyobiecując nauczyć O'Harę moresu przy pierwszej okazji, ale upragniona okazja nie nadarzyła się, o, gdyby Oryst wiedział co go czeka, nie szukałby jej wcale.

*

Joanna wraz z przyjaciółmi Billa, przekonana o jego niewinności, czyniła starania o przyśpieszenie sprawy. Wierzyła, że przewód sądowy umorzy śledztwo. Nie mieściło się jej w głowie jak można oskarżać człowieka przez jakąś głupią, ordynarną spinkę, którą Bill mógł mieć lub nie, wprawdzie nie byłaby go podejrzewała o tak zły gust, sam fakt, że taką ozdobę nosił Hil, wystarczał, aby jej niecierpiała, jak jego wstrętnych, lubieżnych zalotów. Doczekała się wreszcie dnia oznaczonego, wymodlonego, jedynego.

Ale zeznania Orysta były zbyt obciążające, spinka na stole sędziowskim błyszczała złowrogo. Na bladej, zmęczonej twarzy Billa czytano śmierć. Przysięgli, zupełnie przekonani, za chwilę udawali się na naradę. Prokurator chrząknął dwuznacznie przerzucając ostatniem spojrzeniem gotowe notatki. Serce Orysta stukało radośnie i niecierpliwie: za chwilę padną słowa potępienia winnego i miód pochwał spłynie na niego (Orysta). Za chwilę...

...lecz cóż to znowu to bydlę O'Hara przedziera się między zwartym szeregiem krzeseł publiczności i przeciska się do trybuny sędziowskiej wymachując groźnie rulonem papieru, oto już wciąga swój obfity brzuch i salutując sędziego zaczyna:

— Sssssssppinnnkkka... ttttuuuu! cooootttto... jijessttt...! i kładzie na stole, obok spinki Billa drugą, taką samą siostrzaną spinkę Hila Liwstona:

— Zzzznallllazzłłłemmmm. wwww... kkkkkka... tttttuu... jjessst rapppppp... i pchnął przed siebie swój raport, zanim sędzia się zorjentował w sytuacji już adwokat Billa, wbrew regulaminowi odczytał go głośno. Orystowi pociemniało w oczach, jedyny dowód, najsilniejszy argument został zniszczony, kunsztowny gmach śledztwa star-

gany bezpowrotnie przez tego osła O'Harę, po stokroć przeklętego bałwana.

Zarządzono ekshumację zwłok, sekcja szczegółowa, zaniedbana przez Joela wykazała, że Hil zmarł śmiercią naturalną, zdenerwowany powrócił z Miowacke, a gdy ogarnął go atak duszności odpiął koszulę i wyjął z niej swą spinkę, ledwie ją wsunął do kieszonki doznał właściwego ataku sercowego — pęknięcia aorty i padł w tej dziwnej skręconej pozycji za ladą.

Tym razem Joel James Oryst niewłaściwie poprowadził śledztwo. To bydlę O'Hara był teraz pierwszym obywatelem Woodshoolu, a Joel, wieczny Joel musiał się skromnie ukontentować swą starą zachwianą pozycją, lecz nie zapominał powtarzać przy każdej okazji:

— A jednak Bill jest mordercą. Hila zabiła apopleksja przez tego Don Juana, tak czy owak skończyłby na elektrycznem krześle, gdyby nie to bydlę, O'Hara.



O'Hara przedziera się do trybuny z rulonem papieru

Jan Brzękowski

WRZESIEŃ 39

drogą — siną od skwaru biegły konie kare
podkowami w wieczór wpadały srebrno-biały
wśród upału
połami sutanny zmiatając gorąco
polami przepływał wikary — czarny jak sum.

z wiklin podchodzi rechotanie żabie
białe koszule gną się na sznurach, kładki przerzucone między drzewa
południe mlekiem tryskało w skopce białopłowe
w olchawie zające osiwiałe od szronu wśród zagonów przemkły
dziewczętom straszonym u płotu piersi rosły nieznane w za ciasnej bieliźnie
dwie wiśnie porzucone wśród czeremchy.

ryczały krowy z krzykiem pędzone do obór omszałych od mroku
u wodopoju rżały klacze po szyje zatopione w zmierzchu
białe ściany w malwach i dziewannach stoją zatrzymane w czasie
szyby rozpłynięte w rtęci.

z zachodu podbiega twardy szczęk mitraliez
rozbija ciszę w orzechowym trzasku —

— —

gdy w wieś wkroczyło klekotanie tanków
na wzgórzu — chłop w siwej kapocie stojąc u pługa
księżyc wyorywał z wrześniowego ranka.

S. K.

Miłość Dekoratora

Przekład z Rosyjskiego

DEKORATOR Kostowski począł okres pijatyki na zabój właśnie w tym czasie, kiedy należało być jaknajbardziej trzeźwym: wystawiano w teatrze nową sztukę, której powodzenie zależało w wysokim stopniu od pięknych dekoracyj. Po murach miasta porozlepiano już afisze, trzeba było czynić różne przygotowania, malować nowe dekoracje i kulisy—i oto nagle stało się to, czego zawsze obawiał się reżyser: Kostowski począł pić.

Trafiało się to zawsze w czasie najgorętszym, kiedy był bezwzględnie potrzebny, i stawało się jakoś niechcący, niby cios nieoczekiwany. Rzekłbyś, zły duch kierował nim wtedy i zakazany płyn stawał mu się nieodbicie potrzebny. Uczuwał pociąg niezwyciężony do czynienia naprzekór wszystkiemu, wprawdzie z własną szkodą, ale i ze szkodą otoczenia.

Silne wrażenia były wprost nieodzowne dla tej natury burzliwej i utalentowanej — otrzymywał je tedy w pijaństwie. Dni jego hulatyki obfitowały zawsze w ciekawe przygody i przedziwne zdarzenia, jemu tylko właściwe.

Zato, gdy wytrzeźwiał, brał się do pracy z energją prawie szaleńczą i wszystko dokoła niego kipiało wtedy, a on płonął ogniem natchnienia.

Nie wypędzano go z teatru za pijaństwo dlatego tylko, że był przedziwnym dekoratorem, genjuszem w swoim rodzaju.

Szkodził opinji trupy swemi awanturami, przygodami, niedbałem i brudnem ubraniem i całą powierzchownością nieprawnego pijaka, lecz za to z pod pędzla jego wychodziły zachwycające, artystyczne dekoracje, za które publiczność wywoływała "dekoratora" i o których potem szeroko rozpisywano się w gazetach.

W trupie, za kulisami, stroniono od Kostowskiego i nikt nie chciał utrzymywać z nim bliższej znajomości; chórzyści pili również, lecz uważali siebie za ludzi lepszego stanu niż marny dekorator-robotnik i nie dopuszczali go do swego towarzystwa. Chórzystki zaś i baletnice traktowały go jak istotę bezpłciową, unikały go i patrzały nań z pogardliwym grymasem. On również mało się niemi zajmował.

Jedna z nich tylko podobała mu się bardzo — Julja, mała baletnica, lecz i ją kochał jedynie jak artysta, gdy tańczyła na scenie, oświetlona promieniami elektrycznego reflektora, którym kierował. Upodobał sobie przechylenia jej pięknej główki i zachwycał się niemi, wyróżniając ją z tłumu innych baletnic żywszemi promieniami. "W życiu" nigdy z nią nie rozmawiał, ona zaś udawała, że nie zauważa jego faworów.

Żyjąc w tak dziwnej samotności, bez przyjaciół i miłości, nie ciekawy dla nikogo w tej trupie, lecz w niej niezbędny, doznawał uczucia ogólnej krzywdy i "pił".

Począł więc pić i teraz, kiedy był wysoce potrzebny.

Gruby reżyser po skończonej próbie pozostał na scenie i rozmawiał o Kostowskim z pełnomocnikiem spraw trupy, eleganckim brunetem żydowskiego typu.

Duża, tłusta twarz reżysera zdradzała złość hamowaną, troskę i niepokój.

— No, bo niech pan sam powie, — mówił do pełnomocnika — co ja teraz mam począć? Co ja mam począć?!

I skrzyżowawszy bezradnie tłuste ręce na pulchnym brzuchu, ze smutkiem i ukrytą złością spojrzał na pełnomocnika.

— Świństwo! — odrzekł brunet. — Zaczął pić jeszcze na statku, kiedyśmy tu jechali, i do tej pory jeszcze się nie opamiętał, pije i wiedzieć nie chce o świecie! A czy wie pan, że on w drodze stoczył się ze statku do wody? Zabawna historja... Śpię sobie, naraz hałas. Statek się zatrzymał. Burza. Wołają: "Ktoś wpadł do wody!" Zerwałem się. "Kto taki?" — "Kostowski!" A, Kostowski, a ja myślałem, że kto inny. I znowu poszedłem spać, bo Kostowski to nie człowiek, to świnia.

— Jakże on wpadł do wody? Po pijanemu?

— Ma się rozumieć. Zasnął na pokładzie i zapomniano o nim. Statek się pochylił i fala go zmyła z pokładu.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się basem reżyser.

— Hi, hi, hi! — cienkim głosem zawtórował mu pełnomocnik.—Ale co najzabawniejsze, to, że morze nie chciało go przyjąć do siebie. Nie zdążył się jeszcze przebudzić, gdy już z powrotem rzuciło go na pokład. Ciekawa przygoda! Takiego hycla nawet morze nie chce!

Reżyser roześmiał się je-

neralskim basem, od którego zatrząsł się jego potężny brzuch.

— Lecz gdzież on teraz? Nie znaleźli go? — zapytał nieco życzliwej pod wpływem opowiadania o przygodzie Kostowskiego.

— Jest tu. Wytrzeźwia się w szatni. Szukali go i wreszcie znaleźli ptaszka w szynku, gdy właśnie zaczynał bójkę z jakimś robotnikiem. Nie dali mu bójki dokończyć i jak kłodę przynieśli go tutaj. Pod ślepiem ma teraz, o, taką latarnię!

— Proszę tu zawołać tego opoja!

Młodzieniec poskoczył zapobiegliwie i zniknął za kulisami. W pustym teatrze rozległ się cienki głos, wzywający: "Kostowski, Kostowski!"

Po chwili pełnomocnik wrócił do reżysera, mrugając oczami, jakgdyby chciał powiedzieć: zaraz tu będzie komedja.

— Za chwilę przyjdzie. Wstydzi się i ociąga...

Rozległy się powolne, nierówne kroki i na scenę wszedł ten, który wzbudził tyle urągań i którego nie chciało przyjąć morze.

Był to człowiek średniego wzrostu, budowy mocnej, muskularny i krzepki, nieco przygarbiony. Ubierał się Kostowski w bluzę niebieską, upstrzoną farbami i opasaną szerokim rzemieniem. Brudne, potłuszczone spodnie ujęte były w buty z cholewami. Wyglądał jak prosty robotnik. Ręce miał długie, jak małpa, żylaste i widocznie bardzo silne. Siła malowała się nawet w jego niepięknej, lecz wyrazistej twarzy z rozwiniętemi szczękami i wielkiemi rudawemi wąsami, zwisającemi z policzków. Z pod brwi ściągniętych chmurnie, lecz zarazem i dobrodusznie, spoglądały oczy niebieskie. Osobliwością tej twarzy był jeszcze wypisany na niej wyraz niezwykłej energji. Pod lewem okiem znaczył się wielką plamą siniak—ślad potężnego uderzenia. Jasne szczeciniaste włosy sterczały na wszystkie strony niesfornemi i jakby złośliwemi kosmykami. Cała postać Kostowskiego sprawiała wrażenie istoty zamaszystej i nieokiełznanej.

Skłonił się wstydliwie i hardo zarazem, nie podając nikomu ręki.

— Co pan wyprawiasz, panie Kostowski? — zwrócił się ku niemu reżyser. — Sztuka naznaczona na jutro i trzeba będzie zmieniać. Dlaczego pan nam psuje, powiedz pan? Czy to uczciwie z pańskiej strony! Dlaczego pan się upijasz? Oto, jaką masz pan ozdobę pod okiem. Wstydź się pan, panie Kostowski!

Kostowski cofnął się nieco, zanurzył we włosy swe ogromne łapska i naraz zapłonął krwistym rumieńcem.

— Panie reżyserze! — zawołał głosem głuchym, lecz pełnym przejęcia. — Tak jest, piłem. Ale teraz, basta! Dziś sobota, niema przedstawienia i nie wyjdę stąd do jutra. Będę robił całą noc. Ja... ja... Dalibóg, że...

Zatrząsł rękami w powietrzu i zdawało się, cały został porwany przez jakiś napływ energji. Łaknął roboty, jak zbawienia.

— A czy wiesz pan, co trzeba zrobić? Trzeba namalować dekorację na całą scenę. Przytem — namalować pięknie.

— Namaluję, namaluję! — zawołał Kostowski, cały przejęty. Jak nieprzytomny przeszedł się po scenie i stanął znów przed reżyserem.

— Niech mi pan opowie treść. Jaka ma być dekoracja i do czego ma służyć? — zapytał spokojniej.

— Uważa pan, będzie to w drugim akcie. Dwoje ludzi zabłąkało się wśród stepu. Przestrzeń dzika i pusta. Strach ich przejmuje. I tu dzieją się rzeczy nadprzyrodzone. Niech więc pan namaluje taki step, żeby tam na nim było wszystko: i mgły, i chmury, i żeby publiczność aż truchlała...

— Zrobione!—przerwał Kostowski. — Namaluję panu taki step. Będę robił w nocy przy lampach na scenie. Jutro będzie gotowe. Materjał dostarczony?

— Dostarczony. Niech pan tylko robi — wtrącił się pełnomocnik.

Kostowski już poczuł natchnienie dekoratora. Odwrócił się od swych zwierzchników, nie słuchając, nie widząc ich; zapomniał o nich. Stanął na środku sceny i zwichrzając palcami włosy, zawołał głosem silnym i rozkazującym:

— Hej, Pawle, Janie! Prędzej tu do mnie. Ruszajże jeden z drugim! Kostowski pracuje!

Pachołek teatralny Paweł i podmajstrzy Jan, postać jurna i zadzierżysta, ale cała oddana teatrowi, zakrzątali się, rozciągając olbrzymie płótno i przygotowując farby.

— No, dzięki Bogu, że się opanował — rzekł pełnomocnik o reżysera. — Nie przeszkadzajmy mu. Sztuki nie będzie trzeba odkładać. Chodźmy na obiad.

Poszli.

Scena przez całą noc była rzęsiście oświetlona. W pustym teatrze było głucho jak w grobie. Od czasu do czasu rozlegały się tylko kroki Kostowskiego, który z długim pędzlem w ręku, to zbliżał się do płótna, to znów się oddalał. Dokoła stały garnki i wiadra z farbami.

Praca wrzała pod ręką Kostowskiego. Z okiem podbitem, cały zawalany farbami, z wichurą sterczących włosów i wąsów, pędzlem olbrzymim wykonywał tytaniczną robotę. Oczy mu płonęły. Cała twarz była w ogniu natchnienia.

Kostowski tworzył.

Zrana o jedenastej cała trupa, przybyła na próbę, stała gromadą przed dziełem Kostowskiego. Artyści, chórzyści, chórzystki i baletnice patrzały na ogromną dekorację to ze sceny, to z krzeseł i wygłaszały swe zdania. W głębi sceny, przez całą jej szerokość wisiał olbrzymi obraz.

Obraz ten przedstawiał step. Na pierwszym planie zarosły ostami, chwastami i stępowemi ziołami. Na dalszym planie znaczyła się smutna stepowa mogiła, zarosła burzanami, a dalej, za nią, rozciągał się step głuchy, dziki, z dalą nieskończoną, step bajeczny, bezdrożny, bezludny, bohaterski... Zdawało się, że tuż z za kurhanu ukaże się postać jakaś i głosem gromu zowała:

— Hej! Jest tu żywy człek w tem polu?

Ale step milczy groźnie i chmurnie. Tylko daleko na widnokręgu kurhany się odznaczają i chmury się kłębią, jak upiory.

Obraz t c h n ą ł nastrojem groźnym, ponurym. Tłoczył poprostu duszę. Zdało się, że lada chwila stanie się coś strasznego, że kurhany i chmury mają jakieś znaczenie symbolów, że są żywe...

Zbliska na obrazie Kostowskiego można było rozróżnić tylko wielkie kleksy i plamy kolorowe. Im bardziej jednak widz się oddalał, tem wyraźniej występowało wszystko, co znakomity dekorator chciał przedstawić na płótnie. I im dłużej kto się wpatrywał, tem bardziej podlegał uczuciom grozy i smutku.

Wszyscy poczęli wygłaszać szumne pochwały pod adresem dekoratora.

— Brawo, Kostowski! Zuch! Co za talent! A to ci dopiero sztukę pokazał!

— Wiadomo — odpowiadał Kostowski. — My tak zawsze: jak robić, to robić, a jak hulać to na całą parę. My tak zawsze!

Śmiano się z niego, ale mówiono cały dzień o jego zdolnościach. Nigdy jeszcze nie wymalował tak pięknej rzeczy.

I dalej krzątał się żwawo w pracowni dekoratora, a energja i zapał jego jeszcze się spotęgowały. Podczas próby namalował świątynię indyjską, krzyczał na swych pomocników i raz nawet w zawierusze natchnienia krzyknął na samego reżysera, gdy ów chciał mu zrobić uwagę.

Był nieujęty, majestatyczny, genjalny. Przechadzał się po swej pracowni jeszcze bardziej zamorusany i zwichrzony, malował i przeżywał chwile natchnienia. Cała postać jego, zmęczona fizycznie nieprzespaną nocą, była w podnieceniu. Twarz blada z sińcem pod okiem i stercząca wichura włosów, oczy płomienne, z których, rzekłbyś, tryskały promienie błękitne, wszystko to zwiastowało, że zapał Kostowskiego wybucha nie na chwilę, lecz płonie długo, światłem równem i niespożytem.

Pogrążony cały w pracy uczuł nagle koło siebie lekkie kroki i subtelną woń perfum. Odwrócił się. Przed nim stała piękna Julja, baletnica.

Stała w kostjumie tanecznym, to jest prawie bez kostjumu, miała bowiem tańczyć na próbie. Była to drobna i piękna osóbka, brunetka, w różowych trykotach, b i a ł y c h trzewiczkach i krótkiej, powiewnej sukience. Wyraźnie odznaczona jej pierś oddychała równo i spokojnie, a śniadozłota twarzyczka uśmiechała się wesoło.

Czarne oczy kształtu migdałów, wilgotem ciepłem zroszone, czule patrzały i jakgdyby chciały czemś darzyć Kostowskiego. W kostjumie baletnicy była podobna do boginki. Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej sprzecznego w stosunku do Kostowskiego, niż ta lekka, powiewna boginka. Ona — wcielenie wdzięku i lekkości, Kostowski — chmurny, niezgrabny, ciężki, klocowaty.

Stał zmieszany i patrzał na nią zachwycony. Pędzel wypadł mu z ręki...

Kostowski zapomniał o robocie. A Julja rozśmiała się dźwięcznie, błyskając drobnemi i ostremi ząbkami, i zbliżyła się do niego. Wyciągając małą rączuchnę, śmiało rzekła:

— Dzień dobry, panie Kostowski!

* * *

Minęło kilka miesięcy.

Wielki teatr operowy był natłoczony widzami. Za kulisami wrzała robota, bieganina, tłok i rozgardjasz.

Poprzez zasłonę słychać było szmer rozbawionej publiczności i dochodziły dźwięki doskonale zgranej orkiestry.

Robotnicy miotali się jak w ukropie, ustawiając dekoracje. Bloki jęczały z góry, z mrocznej wysokości opuszczały się i podnosiły olbrzymie płótniska, ściany pałaców, kopuły, ogrody lub fale morskie.

Gromadą robotników i maszynistów dyrygował Kostowski.

Nikt nie poznałby go teraz. Twarz jego odmłodniała, wyjaśniła się, oczy niebieskie promieniały radością i otuchą. Obuty był w zgrabne lakierki, miał na sobie kurtkę aksamitną, włosy już nie wichrzyły się dziko.

— Dalej tam! Spuszczać dno morskie! — huknął na robotników.

Spuszczono olbrzymie płótno z wyobrażeniem dna morskiego. Dekorator odszedł kilka kroków wstecz od płótna i raz jeszcze z lubością spojrzał na swe dzieło.

— Hej, Paweł! — zawołał znowu. — Gdy najady będą płynęły, opuść pannę Julję jak najniżej, na samo prawie dno. Rozumiesz?

— Słucham pana.

Przeszedł inspicjent, człek, na którego twarzy wygolonej zdawna wypisana została cyniczna wiedza zakulisowa o życiu teatru.

— Aniołki! Żeby was wszyscy djabli... — darł się ochrypłym głosem. — Najady... gdzie was djabli noszą... Na miejsca!

Nareszcie wszystko było gotowe, aby najady umocowane na blokach mogły "przepłynąć" głębię morza, przedstawioną na scenie.

Kostowski stał już na wzniesieniu z reflektorem elektrycznym, skierowanym na scenę. Sam zarządzał efektami świetlnemi, rzucając kolorowe

światła na dekoracje i na osoby występujące na scenie.

"Dno morskie" zajaśniało łagodnem światłem.

Kurtyna podniosła się do góry.

Srebrzysto-zielonkawe światło, zda się, przenikało wodę od góry, stamtąd, gdzie błyszczy słoneczny, piękny dzień.

Tu zaś, na dnie morza, wszystko żyło, nie znając światła.

W perspektywie widać było rafę koralową, a dokoła niej chciwie garnęły się skróś łodygami swemi dziwne rośliny, pływały galaretowate meduzy.

W dole, na pierwszym planie otwierała swą mroczną paszczę grota podwodna i z niej wysuwały się olbrzymie sploty wstrętnego głowonoga i patrzało nieruchomie dwoje jego oczu zielonych.

A śród tego świata potwornego i tajemniczego naraz zjawiła się cudowna kobieta z włosami rozplecionemi i z obnażonemi ramionami, która, zamiast tułowia, miała ciało ryby, okryte łuską srebrną i błyszczącą. Ponure tło podwodnego świata uwydatniało piękność jej cudnej główki i utoczonych ramion.

Przepłynęła jak ryba chybko i swobodnie szybując, błyskając łuską. Za nią wypłynęła druga, trzecia, cała ich gromada.

Ciała ich lśniły światłem przezroczystem i mlecznem, srebrna łuska płonęła iskrami niebieskiemi. Oświetlone blaskami reflektora, stawały się, według woli Kostowskiego pięknościami jak z bajki.

Lecz jedna zaćmiewała wszystkie. Płynęła najniżej, prawie dotykając dna, i wyróżniała się ze wszystkich blaskiem swej urody.

Była ona oświetlona lepiej, ponętniej niż inne; najczulsze fale reflektora spływały na nią z lubością, z uczuciem, muskały ją, pieściły kształtne jej ciało, nadawały zachwycający wyraz jej liczkom, a oczy czyniły podobnemi do gwiazd.

Zdawała się być utkaną jedynie ze światła, a światło to z każdą chwilą niepostrzeżenie zmieniało się. I cała mieniła się, błyskając tysiącem odcieni, jak istna królowa mórz.

Czuła dobrze, że dekorator-czarodziej obdarza ją tą uroczą pięknością, że zachwycona publiczność gotowa zagrzmieć oklaskami na cześć tej piękności, to też, przepływając koło dekoratora, z wdzięcznością machnęła mu swym rybim, lśniącym ogonem, na który zaraz bryznął cały potok brylantowego światła.

Popłynęła za kulisy. Kostowski, wspiąwszy się na palce, uśmiechając się szczęśliwie, posłał jej z nad reflektora pocałunek powietrzny.

Wszyscy w trupie wiedzieli o tej zakulisowej miłości. Julja powracała zawsze z teatru w towarzystwie Kostowskiego, mieszkali w jednym hotelu i jego pokój sąsiadował z jej mieszkaniem. Przebywał z nią ciągle, upajał się jej pięknością, ona zaś chętnie zezwalała na te poddańcze zabiegi. Jak pies wierny chodził za nią i nieraz długo oczekiwał na nią u drzwi ubieralni, zanim nie zmyła swych szminek i nie przebrała się, paplając niefrasobliwie z koleżankami.

Tym razem atoli po skończonem przedstawieniu wypadło mu osobliwie długo czekać na nią u schodów. Z ubieralni kobiecej wychodziły raz po raz otulone postacie kobiece i oddalały się w towarzystwie mężczyzn, którzy oczekiwali przy schodach, taksamo jak on.

Fala przerzedzała się, jej zaś ciągle nie było.

Smutny i zafrasowany stał Kostowski, patrząc biernie dokoła i z nadzieją od czasu do czasu spoglądając ku drzwiom ubieralni.

Drzwi już otwierały się coraz rzadziej i rzadziej. Wyszły już prawie wszystkie kobiety.

Wyszła wreszcie chórzystka Róża, zadzierżysta żydóweczka.

— Na co pan tu czeka? — zagadnęła go śpiewnie, robiąc przy tem chytrą minkę. — Ja jestem ostatnia i niema tam już nikogo, a co do Julci, przegapił pan ją. Już dawno pojechała.

— Jakto: pojechała? — zapytał Kostowski, a na twarzy jego odbił się ostry ból.

— Cha, cha, cha! — srebrnym śmiechem zadzwoniła Róża. — Rzecz prosta. Jeszcze przed końcem przedstawienia odjechała ze swym wielbicielem, bo pan, panie kochany, dawno jej się sprzykrzył!

Dekorator cofnął się i zachwiał.

— Nieprawda! — wyrzekł głucho.

— Macie go! — zaszczebiotała Róża. — Sam temu winien! Właśnie tego pragnęła, żeby zrobić karjerę. Sam pan ją tak oświetlał, a cały pierwszy rząd panów ją zdobywa. I zrobi teraz karjerę! A pan jej potrzebny — do chrzanu!

Parsknęła śmiechem i zbiegła ze schodów.

Kostowski stał długo nieruchomy na miejscu i czuł wśród ciszy i pustek teatru, jak w piersi jego, zrazu powoli, potem coraz silniej, szerzyły się płomienie palącego bólu.

Gdy zastukał do drzwi jej pokoju, Julja przywitała go chłodno.

Wilgotne jej oczy błyszczały obojętnie z pod czarnych gęstych brwi. Krucze włosy, niedbale upięte, tworzyły wspaniałą koronę, a dwa loki tych włosów spływały na piękne policzki. Miała na sobie negliż japoński z taniego materjału i lekkie pantofelki.

— Juljo — wyszeptał Kostowski, ledwie mogąc ze wzruszenia przemówić.

— Niech pan siada! — rzekła niedbale. — Niech się pan czem zajmie, gdyż ja doprawdy nie mam czasu...

— Juljo!...

Przypadła do łóżka i zagłębiła się w czytaniu książki, jakgdyby nie mogła przerwać czegoś bardzo ważnego.

— Juljo, mówisz do mnie, jak do gościa, którego trzeba bawić. Na cóż te ceremonje?

— Wcale nie ceremonje, —

odrzekła, naraz udając obrażoną. — To szczery stosunek... każdy może robić co chce. Ja chcę czytać, więc czytam... I pan niech robi co się panu podoba, a nie będzie panu nudno. A wreszcie... jak panu nudno, to niech pan idzie.

Wypędzała go poprostu.

W Kostowskim burzyło się wszystko od tego "szczerego stosunku" i od zmiany dawnego "ty" na "pan".

— Proszę pani — rzekł głosem porywczym, także przechodząc na "pani". — Muszę pomówić z panią. Poczekam, aż pani skończy czytanie...

Nie odpowiedziała mu i pół leżąc na łóżku patrzała w karty książki. Nastała chwila przykrego milczenia.

Kostowski siedział p r z y stole i milcząc, patrzał na Julję. Wsparta łokciami na poduszce, leżała układnie, jak kotka, podwinąwszy pod ubranie swe nóżki obute w lekkie pantofelki, i pantofelki te małe, chowające się figlarnie w fałdach negliżu, drażniły Kostowskiego.

Lekkie ubranie uwydatniało piękne linje jej ciała, szerokie rękawy dawały możność widzieć aż po łokcie jej małe, pulchne ręce i cała była tak wdzięczna i miła, że Kostowski, chociaż prawie nienawidził jej w tej chwili, miał szczere pragnienie uściśnięcia jej.

Odwrócił od niej wzrok. Pokoik jej był ubogi, taniutki numer hotelowy, oświetlony elektrycznością. U drzwi stała szafa z jej kostjumami, koło stołu komódka i lustro. Na wieszaku u wejścia wisiało pluszowe okrycie, ubrane kociemi łapkami.

Długo patrzał na to okrycie i na kocie łapki. I przypomniał sobie, jak dawniej mile go witała, sadzała na krześle i śmiejąc się, czule głaskała rączką jego zwichrzone włosy.

Nagle zerwała się, rzuciła książkę i gniewnie wstała z łóżka.

— Nie ma pan ze mną nic do mówienia! — zawołała, czerwieniąc się ze złości. — Już wszystko mi pan powiedział. Pora już skończyć to gruchanie miłosne i przewracanie oczu!

Kostowski zatrząsł się cały i powstał od stołu.

— Gruchanie... przewracanie oczu... — wyrzekł gorzko. — Juljo, co się z tobą stało?!

— Nic się nie stało, nic między nami nie było, nic być nie mogło i nic nie będzie! — oświadczyła pogardliwie. — Jesteśmy nadto różni... nic wspólnego nie mamy i... musimy przerwać naszą znajomość!

Przestawiła krzesło, siadła w kącie, gdzie była ciemniej, i spojrzała na niego z ciemności swemi wielkiemi, czarnemi oczyma. Oczy te miały zawsze jeden i ten sam wyraz: gdy patrzyły na kogo, zawsze go gdzieś wabiły i coś obiecywały, mimo woli i wiedzy swej właścicielki. Odpychając, jednocześnie wabiła ku sobie.

— Rozumiem — wyrzekł smutno Kostowski, siadając obok. — Chcesz rozstać się ze mną, znalazłaś innego... kogoś z pierwszego rzędu... Cóż robić? Rozstaniemy się, ale poco ta obłuda i po co te kłótnie? Nie chcę, żeby się to kończyło tak brzydko. Pragnę, żeby z tego pozostało chociaż wspomnienie... Ale wiedz, Juljo, że ci panowie... z pierwszych rzędów... gardzą tobą... splugawią cię, patrzą na ciebie jak... jak na ciało... A przecie ja... ja... ja kocham ciebie! Słyszysz?! Kocham ciebie!

Chwycił ją za ręce powyżej łokci i trząsł je w swych olbrzymich łapach.

— Grubjanin! Puść pan! Wywiniesz mi rękę... Cham!

Chciała gwałtem pokłócić się z nim. On znowu uczuł przypływ pasji zwierzęcej, chęć nieokiełznaną znęcania się. Ścisnął mocniej jej ręce. Oczy jego zazieleniły się, zęby zgrzytnęły, a na twarzy ukazało się niesamowite drganie.

— Aj! — krzyknęła Julja.

Nagle upadł przed nią na kolana.

— Droga, najdroższa, złoto moje, słonko moje, radości moja... Wszystkiem jesteś dla mnie! Wszystkie moje myśli, wszystkie uczucia... wszystko dla ciebie. Tak jest, jestem grubjanin, j e s t e m zwierzę wstrętne, ale kocham ciebie! Bez ciebie niema dla mnie życia! Znowu wpadnę w tę przepaść, z której, dzięki tobie, wyrwałem się. Przebacz mi, przebacz, Juljo, nie odpychaj!

I klęcząc przed nią, wielki i mocny ten człowiek chwytał drobne ręce tej kobiety i całował je. Całował jej ubranie i płakał...

Gdy uniósł głowę, naraz po chwycił na sobie jej wzrok dziwny, uważny: w spojrzeniu tych wielkich, czarnych oczu nie było ani miłości, ani współczucia ku niemu, ani nawet pogardy — było coś bardziej krzywdzącego, coś podobnego do ciekawości... Było to spojrzenie przyrodnika, z jakiem przygląda się królikowi zabijanemu w celach naukowych, albo spojrzenie zbieracza owadów, gdy wtyka na szpilkę rzadki jaki okaz i patrzy, jak się kurczy na szpilce.

Zaciekawiał ją, jako coś osobliwego. Gwałtowny wybuch, grubjaństwo, przejście do czułości, potem gorące wynurzenia, upokorzenie się i łzy... wszystko to było nader ciekawe dla niej.

Kostowski przejrzał nagle. Zrozumiał w jednej chwili wszystko. Uczuł się śmiertelnie zranionym. Poznał, że ona nie kochała go nigdy, a tylko bawiła się nim jak lalką.

Słowa zamarły w jego piersi. Chwycił czapkę i pędem, nie spojrzawszy nawet na Julję, wybiegł z hotelu.

Nieświadomie prawie ocknął się w brudnym szynku dorożkarskim. Nie pił już od dłuższego czasu, lecz teraz uczuł, że szynk mu jest niezbędny, że trzeba, aby wkrąg huczała mu wrzawa, by krzyczeli pijący, by czuć było zapach wódki.

Siedział w kącie szynkowni sam jeden za małym stolikiem i pił wódkę. Przed nim stała pełna butelka i jakieś szynkowniane przekąski. Brudny obrus zalany był wódką i piwem, mdłe lampki naftowe u sufitu n ę d z n i e oświetlały szynk, napełniony p i j a n y m tłumem. Wszyscy gwarzyli, pili, trącali się kieliszkami. Bladolicy kelnerzy uwijali się, podając napoje, a w sąsiednim pokoju słychać było uderzenia kul bilardowych i ktoś z graczów, za każdym razem gdy uderzał kijem, poczynał tenorem wesołą śpiewkę:

Czy chodzę w dzień jasny,
Czy chodzę w noc ciemną...

— Dziesiątka do rogu! Rr... raz!

Wciąż Julja przedemną,
Wciąż Julja przedemną!

— Niech to djabli... — warknął Kostowski, nalewając dziesiąty kieliszek mocnego płynu.

Zły był, że nawet tu, w szynku, ona go prześladuje. Postanowił zapomnieć o niej na zawsze. Gardził nią, nienawidził, nie chciał jej wspominać.

Szynk wionął na niego dźwiękami swemi i zapachami, niosąc ulgę pozorną.

Myśli Kostowskiego oddalały się jednak od szynku i biegły do "niej".

Zdawało mu się, że widzi ją w kostjumie najady, z łuską srebrzystą, jaskrawie oświetloną rónokolorowem światłem jego reflektorów. Wabiła go ku sobie, uśmiechała się zalotnie i płynęła w dal, w dal, po morzu bezbrzeżnem.

I człowiek zakochany w najadzie czuł, że ginie niepowrotnie, że nie wróci już do dawnego wesela, do sił i zdrowia duszy.

I przypomniał sobie jak żył dawniej, gdy nie znał najady i jej pocałunków. Hulał, tak jest. Ale to było nie pijaństwo, lecz junactwo. Rwał się do swobody, do wolności i użycia!

A potem, jak ów rybak, znalazł w swej sieci najadę. I wziął ją na ręce i począł całować... i... żegnaj życie szczęśliwe! Zgubiła człeka najada.

— Niech to djabli porwą — szeptał Kostowski, dopijając b u t e l k i i t e m pragnąć odpędzić z m o r ę męczącą. Lecz "ona" wciąż go bezlitośnie dręczyła, ukazując się przed nim to w jednym, to znów w innym kostjumie. Raz była boginką, to pasterką, to znów najadą, albo też podpływała ku niemu w szlafroczku domowym, a czarne jej loki spadały na pełne policzki różane...

Czy piję z druhami,
Z kompanją przyjemną,
Wciąż Julja przedemną,
Wciąż Julja przedemną!

dochodziło z pokoju bilardowego

Kostowski pochylił głowę. Łkanie wstrząsło jego piersią. Siedział nieruchomy, jak nieprzytomny.

* * *

Gdy po upływie kilku dni znaleziono wreszcie Kostowskiego po długich poszukiwaniach w szynkach i otrzeźwiono go, znów dano przedstawienie z "dnem morskiem" i pływającemi najadami

I znowu Kostowski wyglądał jak za dawnych czasów: brudny, niedbale odziany, opuszczony.

Stał mroczny na swem wzniesieniu za kulisą i oświetlał najady. W duszy miał chłód i pustkę i mrok jakiś okrutny.

Najady płynęły dnem morskiem, a on je znów oświetlał.

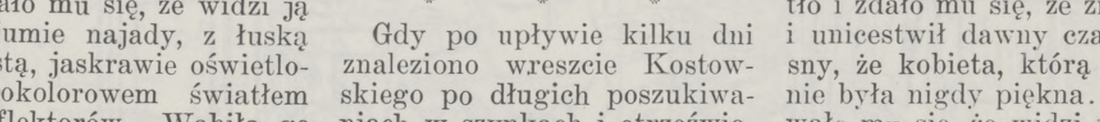
Nie był to jednak dawny ów blask uroczy i poetyczny. Dekorator świecił teraz blaskiem mdłym i bladym i najady zdawały się być bez życia, anemiczne, pół-martwe. Kiedy zaś przypłynęła Julja jak dawniej, najniżej ze wszystkich, naraz spłynęły na nią fale ciemnoniebieskie, iż zdała się być raczej furją niż najadą. Twarz jej była straszna w tem oświetleniu, niebieska, z ustami czarnemi i dołami ciemnemi w miejscu oczu, a ciało jej rybie wyglądało jak pokryte wstrętnym szlamem...

Przez cały teatr przebiegł dreszcz odrazy.

Dekorator zaś temsamem światłem oświetlił i dno morskie ze wszystkiemi jego potworami... Jak symbol zmory i udręki wynurzył się z mroku zielonooki głowonóg, poruszyły się wstrętne meduzy...

Niebieskie ciało Julji jakgdyby pławiło się w tej wstrętnej masie, a wreszcie zlało się z nią w jedną całość.

Dekorator zwolna nakierowywał szkła reflektora, patrzał na tworzone przez siebie światło i zdało mu się, że zniszczył i unicestwił dawny czar miłosny, że kobieta, którą kochał, nie była nigdy piękna... Zdawało mu się, że widzi ją teraz w świetle prawdziwem i że boską i piękną stawała się tylko wtedy, kiedy spływały na nią promienie jego miłości.



LEGENDY LUDOWE

Zebrał i zilustrował Antoni Piotrowski

O SEWCYKOWY DUSYCCE

Roz beł taki bziedny sewcyk, pijak to ta ón nie beł, choć ta nie bez tygo, zeby ta roz za jakiś cas wódki nie wypsiuł; no i wzion i umer.

Tak, jak jus ta sewcykowa dusycka wysła z tego smiternego ciała, tak niewiele myślęcy, idzie do nieba. A ze to śtuk drogi, tak se ta sewcykowa dusycka sła i sła, jaze jom nózki ozbolały, a siadać nie była na chmurach kady, bo beła pogoda.

Tak jus tak idzie i idzie, nózki jus ji popuchły, bo to sewcyk, jako zwycajnie, mioł kiepskie buty.

Tak patrzy, a tu takie piekne wrota, całe ze złota i ze śrybła: a to były niebieskie wrota.

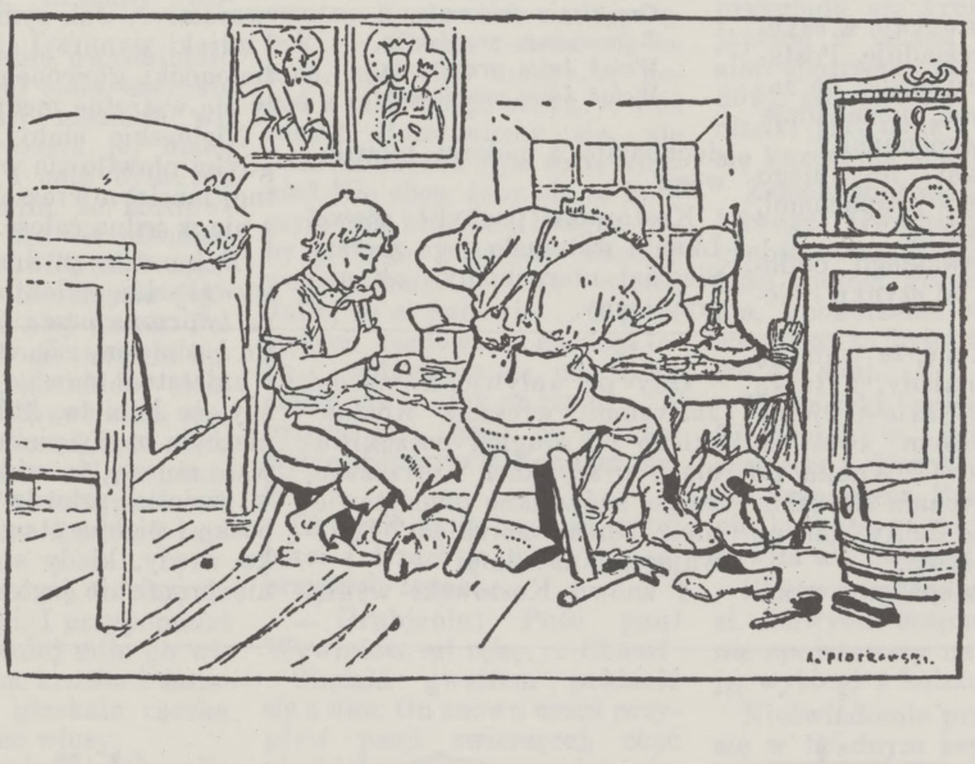
Tak sewcykowa dusa zacena do tych wrót kołatać.

— Kogo tam Pan Bóg prowadzom? — pyta się św. Pieter, co to zawdy przy tych wrotach stoi i dusycki do nieba pusco.

Tak sewcykowa dusycka, ze to sewcyk beł nobozny, tak pedo:

— Niech bedzie pokwolony!

— Na wieki! — rzece św. Pieter. — A któz ta?





— Jo, bziedny sewcyk.
— A to ty, coś dzisiok pomer!
— A juści — pado mówi sewcyk.
— A moześ ty złodzij? krodeś skóry? godoj!
— Nie krodem, jak światłość wiekuistom oglóndać zycę, ino to, co spod noza padło.
— A po drugie — mówi św. Pieter — nie pusce cie, bo Pon Bóg z Panem Jezusem i Przenajświętsom Panienkom, wszystkiemy Świętemy, pośli na spacyr. Jak Pon Bóg przyńdom ze spacyru, to cie pusce.

— Kiej me straśnie nogi bolom, a niema kaj spocywać.

Tak święty Pieter zlitował się nad tom sewcykowom dusyckom, bo obocył, ze mo kiepskie buty, tak powiado mówi:

— Jus cie pusce, bo mi cie zol, ale pocózes takie kiepskie buty wzion na dróge...? przeciezes sewc!

— A bo to święty Pieter nie wiedzom, ze sewc zawdy w kiepskich butach, abo i bez butów chodzi?

— To tam u wos kiepskie je urzondzynie! — pado mówi święty Pieter.

Otwar wrota i pado do sewcykowy dusycki:

— No, właź, siądz se tu za drzwiamy i siedź cicho. Mos tam niebieskie smaty, to się przeoblec: przecie takiego oberwańca tu trzymoł nie bede.

A tam za temi drzwiamy były takie oblecenia niebieskie, takie biołe,



co jesce bielse niz łabędziowe pierze. Tak ta sewcykowa dusa przeoblekła się, i tak ji było dobrze, co jesce lepsi, jak kiej się na świat narodziła.

Tak patrzy po tem niebie, a tam takie cudności, a wsyćko sie tak miniło, jak ta tęca, tak cosik pochniolo, ze lepsi jak na polu na wiesne. Tak sewcykowa dusa se tak myśli:

„Bedzie mi tu dobrze, zeby me ino ostawili“!

No i patrzy na obykoło, a tam takie stojom stołki różne, i beła strasno moc tych stołków. Ale nolepsi spodoboł się ty sewcowy dusycce jeden stołek taki wielgi, cały wyrobiony ze złota, śrybła i nabijany takemy swicuncemy kamieniamy kiej śkło, a przy tem wielgiem stołku stał taki mały stołecek.

Okropnie ty dusycce sie zachciało na tem stołku siadać, ale się świętego Pietra bała. Ale za jakiś czas jus i strachu przepómniała na ten stołek patrzęcy, no i siadła na tem stołku.

A tu patrzy, ze z tygo stołka wsyćko na ziemi widać (bo to beł stołek Pana Boga).



Widzi het całum zimie, jak ludzie orzom, pasom bydło, jak ptoki latajom, jak sie baby kłócom, Żydy handlujom, het wsyćko! A była tam rzycka, a w ty rzycce prała baba chusty, ale nie swoje, ino ludzkie.

Tak sewcykowa dusa patrzy na te babe, bo beła znajoma, a ta baba bierze dwie kosiule i niesie do krzoków i schowała — ukradła.

Tak się ta sewcowa dusycka straśnie ozgniwała i zacena do ty baby wrzescyć: „Nie kradnij“! — ale kiej tam! baba nie słysała, bo grzysny niebieskiego głosu nie słysy, a po drugie, ze beło daleko ty babie do nieba.

Tak w ty złości, niewiele myślęcy, ta dusycka łap za ten stołecek mały i w te babe!

W to ocymgnienie wrota zaskrzypiały (niby te niebieskie), tak sewcykowa dusa sie schowała w ten kóncik za drzwiamy.

I przysed Pon Bóg ze spacyru, i Pon Jezus, i Panienka Przenajświętso, i wsyscy Święci, i jamiołowie — okropna się łona zrobieła.

Jamiołowie zaceni grać tak pieknie, co jas sewcykowa dusycka od radości mglała.

Pod ten trakt, Pon Bóg se usiedli na tem stołku, co to na niem sewcykowa dusa siedziała, i padajom:

— Dejcie mi ta stołecek pod nogi!

Tak jamiołowie dalej sukać stołecka, a tu nie ma nikaj.

— Kajś podzioł mój stołecek?

Tak sewcykowa dusycka dopiero mówi, co i jak beło, ze tem stołeckem cisła na te babe.

Tak Pon Bóg tak pedzieli:

— Kiej cie jus święty Pieter puścił, to se tu siedź, ale by ci sie cyściec przydoł. Widzis, nie trza się zaroz tak gniewać, choć co złego widzis.



Jak wzieni sukać, tak naleźli sewcykowom dusycke za temi drzwiamy.

Tak dopiro pytajom sie:

— Co ty tu robis?

A ta dusycka z wielgem strachem pado mówi, że jom tu święty Pieter puścił.

Tak jom zaprowadzili do Pana Boga, i jus się więcy nie bała.

A Pon Bóg zaraz, ze to wsyćko wiedzom, tak padajom:

Jo zebym się chcioł tak cięgiem gniewać, tobym juz nie mioł na cem siedzić, tyla złego ludzie robiom!

Bo Pon Bóg som dobrzy: choć co złego widzom, to cekajom. — Moze, padajom, się zły poprawi

A jak sie poprawi, to sie wsyscy w niebie ciesom, jamiołowie zaroz grajom pieknie od ty radości.

ZŁA ŻONA

Jeden młody gospodarz ożenił się, ale bardzo źle trafił. Choć żona jego była bardzo piękna, ale taka bałamutnica, że ani dnia, ani nocy spokojnej nie miał. Ciągle tak strasznie mu dokuczała, że, nie mogąc dłużej znieść męczarni, powiesił się na krótkim postronku wysoko, na suchej gałęzi.

Za to, że sam się życia, od Pana Boga danego, zbawił, poszedł do piekła, a jego ciało krucy dziobali.

Jak tylko się w piekle znalazł, odetchnął, najprzód dlatego, że jak się wieszał, to sobie grdykę bardzo ścisnął postronkiem, a potem, że już był od żony daleko i będzie miał spokój — nawet tak mu się jakoś zrobiło wesoło, że się śmiać głośno zaczął i pokrzykiwać: Oj dana, moja dana!

Diabli, przyzwyczajeni do zgrzytania zębami i do płaczu, bardzo się ździwili, zobaczywszy takiego dziwaka, co się w piekle śmieje i pośpiewuje.

— Poczekaj, hyclu, zobaczysz jaki to u nas śmiech.

Biorą go tedy na patelnię i dawaj smażyć. Ten nic, śmieje się.

Tak oni sobie myślą, pewnie za mało go na patelni piecze, wzięli go do kotła z gorącym olejem. A on się precz śmieje i podśpiewuje: Oj dana, oj dana!

Diabły miechami dmą na ogień pod kotłem, pazurami podgarniają zarzewie, olej aż pryska, a ten śmieje się ciągle.

Tak jeden diabeł pyta go:

— Czegożeś ty durniu taki wesoły, wszyscy tu zgrzytają, a ty nie?

— Eh! — powiada ten wisielec — już wy mi z całym piekłem nie potraficie tak dokuczyć, jak moja żona na tamtym świecie mi dokuczała, a bo mi to tu źle... Oj dana, oj dana!

Tak te diabły zawołały starszego i powiadają tak i tak. Starszy pomyślał, brodę se żelaznymi pazurami czesał, het myślał, a wreszcie powiada:

— Ha no, kiedy tak, niech idzie do drwalni do posługi; to jakiś morowy chłop, w takim oleju gorącym inny już by był kruchy jak szynka, a temu nic. Ale trzeba by tę babę zobaczyć i coś się od niej dowiedzić, bo to musi być też morowa baba, i możeby można zaprowadzić jakie reformy, nuż się taki jeden, drugi trafi, no i będzie kompromitacja. Panowie — powiada — trzeba być postępowcami a nie zaśniedziałymi konserwatystami, — który z panów pójdzie zbadać system tej baby?

Dużo było ochotników, stali wszyscy i trzymali ręce w tym miejscu, gdzie jest szew od spodni (tylko im spodni brakło) i patrzyli na starszego jak sroka w kość. Tak on powiada:

— No, dobrze dzieci! Pójdzie do baby na zwiądy — najsprytniejszy, a takim jest Szałamajtys, niech on hyba.

Szałamajtys tylko fiknął kozła przez łeb i już go nie ma, już na podwórzu u baby przebrany za parobka — krótko i węzłowato zgodził się do baby na służbę.

Z początku nic. Baba piękna i grzeczna, a słodka jak piernik toruński, tak dogadzała temu diabłu, że aż ha! Tak on sobie myśli: co tamten dureń sobie myślał, toż to baba jak miód. Ale że się diabłu okrutnie podobała, tak sobie myśli, kiedy już tak, że mam urlop, to się z babą ożenię. A że babie się bez chłopa też cniło, tak nie wiele myśląc, pobrali się.

W tej chwili, jak się pobrali, babę jakby odmieniło, dopiero diabeł przekonał się, co to za smak. Pokazało

się, że to jest wściekła sekutnica, że nie jeden, ale cały regiment diabłów by nie wytrzymał. Tak umyślił drapnąć, ale że mu było żal zaraz iść do obowiązku i przysmarzać durniów w oleju, tak namówił sobie skotaka od tej baby, żeby z nim umykał.

Tak ten skotak powiada:

— No dobrze, uciekajmy, ale co będziemy robić?

— To już w tym moja głowa, het ci rozpowiem, a teraz drała — i uciekli.

Jak już byli dość daleko, tak se siedli pod rosochatą wierzbą i diabeł powiada:

— Robić, uważasz, to tam byle bałwan potrafi, chodzi o to, żeby zarobić a nie narobić się. Ja będę po dworach straszył, bo to lubię i to nie jest żadne zajęcie, a ty będziesz strachy wyganiał, szlachta ci za to będzie płacić, będziemy się dzielić i dobrze żyć.



— A no dobrze — powiada skotak, i poszli straszyć i strachy wyganiać.

Zaraz w pierwszym dworze diabeł schował się na strych i zaczął wydziwiać. Łańcuchami brzęczał, garnkami ciskał, jęczał, stękał, pierzyny ściągał z łóżek i tym podobne okropne rzeczy wyrabiał.

Okropnie się we dworze powylękali. Dopiero ten parobek, niby podróżny z daleka przychodzi do dwora. Wszyscy opowiadają mu, że tu okropnie straszy, a on niby tak niechcący powiada, że on by tego stracha wypędził.

Zaraz donieśli temu dziedzicowi, że taki człowiek znający przyszedł. A że państwo spazmowali w pokojach na kanapie ze strachu, więc ten szlachcic powiada:

— Sto rubli dam, tylko wypędź strachy, bo mi aż niedobrze.

I zaraz mu dał sto rubli i dwa złote na piwo. Parobek poszedł na strych, a tam za kominem siedzi diabeł i łańcuchami brząka.

— No, chodź już, chodź, bo dali sto rubli — powiada parobek.

— Dobra nasza! — krzyknął wesoło diabeł i chlusnął od razu przez dymnik na drogę i schował się w krzaki.

Parobek potem spotkał się z nim i podzielili się: każdy miał po 50 rubli i po 15 kopiejek. Diabeł swoje przepił zaraz z chłopami w karczmie przy drodze, aby ich dusze pogubić, to te zaraz się pobili i jednemu chłopu żonatemu łeb rozbili, że umarł bez spowiedzi. Ale parobkowi się to nie podobało i postanowił jakoś diabła się pozbyć, bo był dobry katolik.

Jak tylko już i te 15 kopiejek diabeł przepił z chłopami, tak powiada do parobka:

— Chodźmy, trzeba znowu co bez pracy zarobić!

Był bardzo bogaty dwór niedaleko, tam poszed straszyć.

— A ty — powiada do parobka — czekaj długo i targuj się, za byle co wypędzać strachów nie podejmuj się, bo tu mogą zapłacić sto tysięcy rubli.

on znowu nieznacznie tak się wygadał, że on umie strachy wypędzać. Zaraz hala do dworu i opowiedzieli panu — on się ciągle pytał co, jak, bo nie mógł nic zrozumieć przez ten żonin pisk. Dopiero jak zmiarkował powiada:

— Niech przyjdzie ten, co wypędza strachy, tak jak powiedziałem, tak dam.



Jak wziął diabeł w tym dworze wydziwiać różne termedie, tak się wszystko w domu ze strachu pokotłowało. Pani była młoda, więc ze strachu jak złapała męża za szyję, tak nie chciała puścić przez trzy dni, tylko piszczała cieniutko po francusku.

Pan chytry był, nie bardzo się co prawda bał strachów, ale mu się sprzykrzyło to żonine piszczenie, tak powiedział:

— Dałbym 10 tysięcy rubli, żeby mi kto te strachy wypędził.

Zaczęli o tym gadać ludzie we wsi i doniosło się do parobka, tak

Więc parobek przyszedł do pana, pan się pyta:

— Umiesz podobno wypędzać strachy?

— Umiem, panie.

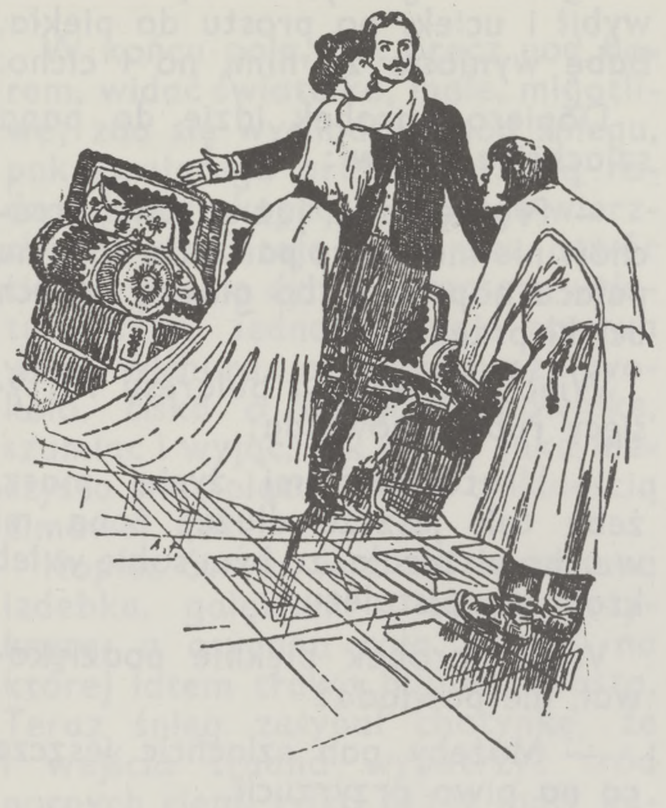
— Na pewno aby?

— Całkiem na pewno.

— No, to rób swoje, a ja ci dam 10 tysięcy rubli.

Tak parobek poszedł na strych i znalazł diabła za kominem i mówi do niego

— Chodź, już dosyć strachów, ten szlachcic daje 10 tysięcy rubli.



— Mało! mało! niech da sto, jego stać na to — i zaczął znowu wydziwiać.

Ale ten parobek, jako dobry katolik, myśli sobie, będzie dość 10 tysięcy rubli, bo mu już tego pana żal było, że ta jego żona tak go trzyma za szyję i w samo ucho mu piszczy ciągle. Więc ostro do diabła powiada:

— Ja z gęby cholewy dla ciebie, kundlu robił nie będę, wynoś się stąd!

A diabeł jeszcze gorszy harmider robi i powiada:

— Ani grosza mniej, jak sto tysięcy.

Tak się parobek zmartwił, ale idzie na dół i myśli co tu zrobić. Pan czekał na niego, pani przy nim piszcząca też. Pan pyta:

— No i cóż, jakoś ciągle straszy.

— A bo to jakieś twarde — i w tej chwili przypomniała mu się ta baba, co to diabeł od niej uciekł.—



Muszę iść po takie ziele, co przed nim strach ustąpi, niech pan ślachcic trochę jeszcze poczeka.

— Aby tylko nie długo, mój kochany człowieku, bom już prawie ogłuchł od tego pisku... to jest od tego straszenia.

Tak parobek poprosił pana szlachcica o bryczkę i parę koni, żeby było prędzej to ziele. Pojechał do tej baby i powiada jej tak:

— Widzi pani gospodyni, ten gospodarz co się pani z nim ożeniła, to jak uciekał, namówił mnie, abym z nim uciekł, ale to jakiś pijak z piekła rodem — więc teraz ja żałuję żem gospodynię opuścił, a jak chcecie, to was zawiozę, gdzie on jest.

— A gdzie on jest, ten mój mężulek?

— A tu nie daleko we dworze, pijany na strychu leży.

— A to jedźmy prędko — mówi gospodyni takim głosem, że już pod parobkiem łydki ze strachu zadygotały.

Więc pojechali.

Jak przyjechali do dworu, było już ciemno — tak powiada ten parobek:

— Niech się gospodyni odzieje dobrze z głową w chustkę i cicho idzie, bo jakby mężulek poznał, toby drapnął.

Tak ta gospodyni tak cichutko idzie za parobkiem na strych, dopiero usłyszała, jak tam diabeł wydziwia.

— A to się szelma schlała — pomyślała sobie — poczekaj, hyclu, dam ja ci, żebym tak jutra nie doczekała!

Dopiero jak zrzuci chustkę z siebie, jak skoczy do tej dziury, gdzie diabeł siedział. — Ten jak ją zobaczył, zapomniał o wszystkim, tylko się odwiódł i rogami w gonty, dziurę w dachu wybił i uciekł po prostu do piekła. Babę wyniosło za nim, no i cicho.

Dopiero parobek idzie do pana szlachcica i mówi:

— Proszę pana, już gotowe, strachów nie ma, tylko pan każe dach na pałacu naprawić, bo główny strach uciekł przez dach.

Więc pan wyjął z pularesu 10 tysięcy rubli i powiada:

— Uratowałeś mi życie, masz, żeby tak jeszcze dłużej żona mi w ucho piszczała, to bym sobie w łeb kropnął z pistoletu.

Więc parobek pięknie podziękował, ale powiada:

— Możeby pan szlachcic jeszcze co na piwo przyrzucił.

Więc ten pan dał mu jeszcze pięć rubli.

Parobek kupił sobie porządną kolonię, ożenił się z niemową głupkowatą, a te pięć rubli dał na wotywę.



O WILKACH, WILKOŁAKACH I CZAROWNICY JAGNIE

W końcu pola, het precz pod borem, widać światełko, małe, migotliwe; zda się wychodzić spod śniegu, pokrywającego grubą warstwą rodzaj dużego kopca, z którego wierzchołka wydostaje się przez otwór ciemne pasmo dymu, a czasem wylatują iskry. Jedno i drugie porywa wnet wichura, a zakręciwszy wokoło, ciska o śniegową powłokę, szumiąc i wyjąc, jak gdyby jaka nieczysta siła splątała się z ciemnością zimowej nocy.

Kopiec ów to w ziemi wykopana izdebka, gałęziami i słomą przykryta, a osypana cała ziemią, na której latem trawa bujnie porasta. Teraz śnieg zasypał chatynkę, że i wejścia trudno wypatrzyć śród nocnych cieni, tylko przez mały kawałek szkła, stanowiący okno, widać, że zasypana śniegiem ziemianka ma mieszkańców. Przy kominie, w czerwonej chuście na głowie, w odświętnym kabacie stoi zamaszysta, choć śmigła niewiasta. Nie stara ci ona, ani też bardzo młoda. Oczy czarne, jak tarki, wlepiła w gliniany garnek i miesza a szepcze jakieś dziwne zaklęcia. W garnku kora lipowa, wilcze łyko i inne, jej tylko znane, zioła gotują się, parkócząc i pryskając.

Niewiasta, wyciągnąwszy ze starej drapaki kilka rózeg, poczęła je moczyć w owym garnku, dodawszy uprzednio nieco wilczego sadła, aż coś zawyło okrutnie. Sowa, siedząca dotychczas spokojnie na przypiecku, poczęła hukać żałośnie, a czarny kot wylazł spod pieca, łyskając zielonawym blaskiem ślepi. Widać, że już wszystko było gotowe, bo, krzątająca się po chałupie, niewiasta wyjęła z garnka one witki, a wetknąwszy je za pas, świsnęła przeraźliwie, dosiadłszy zaś ożoga, który zarżał głosem bystrego rumaka, przez otwór w pułapie razem z kłębem dymu i iskier wyleciała z izby, ginąc w czarności nocnej.

Ode wsi dochodziły oderwane dźwięki kapeli, wplątając się, jak zaczarowana nitka, w monotonny szum zadymki.

Weselisko było, jak się patrzy. Zaproszono wszystkich znaczniejszych sąsiadów i sąsiadki, a państwo młodzi dobrze się nauwijali, nim tej ceremonii zaprosin stało się zadość. Bieda tylko była z tym: czy prosić Wawrzynichę spod lasu, czy nie? Wiadomość wszystkim było, że baba trzyma ze złem, i że za jej przyczyną męża Wawrzona, gdy wracał z jarmarku, diabeł zaprowadził na bagna i chłopa, któremu widać złe oczy zamroczyło, w onym błocie zatopił. Dopiero pastusi, chodząc za czajczymi jajkami, w trzy dni go odnaleźli. Ale cóż, kiedy Wawrzonowi, który prócz gorzałki nic innego pić nie mógł, tak ta woda z kałuży zaszkodziła, że już ani ręką, ani nogą nie ruszył, a przecie taki człek, wody nie pijający, chyba może we żniwa, po dobrej woli przez trzy dni by gębą w bajorze nie leżał! Proboszcz powiadał, po prawdzie, co innego, że to niby nie pierwszy i ostatni pijak tak swój żywot kończy, ale ludziska po staremu złego z babą Wawrzonową widzieli sprawki.

Po śmierci męża Wawrzonowa sprzedała resztę gruntu z chałupą, a pozostawiwszy sobie pod lasem pół morga ziemi, pod pagórkiem, napoły w niego wkopaną lepiankę skleciła, ogrodziwszy całą posiadłość chróstem, dziwne zioła i kwiaty przez lato hodowała, sprzedając leki, odczyniając czary, a za odpowiedni grosz rzucając także uroki na krowy sąsiada, by przestały dawać

mleko, na kury, by się nie niosły, i tym podobne rzeczy. Wtedy jedyna rada była — krowę bić, bo, jak powiadali starzy, czarownica, nie krowa, ten ból poczuje i prędzej urok odczyni, a kurze znów po gardle nożem trzeba przejeżdżać, to się wiedźma śmierci zlęknie, i tak dalej, boć na każde złē mądry człowiek zawsze coś poradzić umie. Stanęło jednak na tym, żeby Jagny Wawrzynichy nie prosić. Obstawał głównie przy tym ojciec pana młodego, sołtys Wacho Sobota, który, że do powiatu jeździł i z samym urzędem, jak powiadał, rozmawiał, miał w każdej materii zdanie wyrobione.

Okrutnie ubodło wiedźmę to pominięcie; czuła w tym babską robotę, pamiętając, iż niegdyś, przed laty, żeby nie teraźniejsza żona Wacha, Magda, ona zostać mogła Sobociną i nie potrzebowałaby może dziś, diabłu zaprzedawszy duszę na Łysej Górze, złego rozkazów słuchać. Ale cóż, kiedy Wacho, choć mu Jagna bardziej niż Magda do serca przypadła, wielce wygody miłujący, wziął tamtą, bo miała wedle swej miary srodze wielką pierzynę! Postanowiła tedy Wawrzynicha zemstę, a w noc, poprzedzającą wesele, długie ze złymi odbywała narady, i zaraz zerwała się wichura, sypnął śnieg, a zamieć była taka, że weselnicy, choć dzień był biały, z ledwością do kościoła zajechali, kilkakrotnie wpadając z końmi i saniami do rowu.

Pod osłoną jednak strzechy w ciepłe izbie prędko zapomniano o niewygodach podróży. Gdy po sutym i tłustym jadle zaczęły krążyć półkwaterki z wódką i piwem, już wesołości nie było miary, bo i Żydkowie, wymarzłszy na saniach, z większym animuszem jęli się swych instrumentów. To też nawet ten i ów z poważnych gospodarzów, zarzuciwszy połę od sukmany na rękę, brał spod ściany niby opierającą się sąsiadkę i puszczał się w tany, aż zadry leciały, a wełniaki na tanecznicy tylko furkały w powietrzu. Nie trzeba dodawać, że i pan młody nie zasypiał



gruszek w popiele a welon panny młodej, jak biały obłok, unosił się nad tańczącymi. Do taktu oberka pochylały się nawet płomienie łojówek i kaganków.

Gdy tak zabawa wre, a karczma trzęsie się od łomotu podkutych butów i wesołych okrzyków; gdy już nawet ociężała z tęgości Sobocina, ująwszy wpół sąsiadkę Józwową, również w sobie podufałą kobietę, jęła z nią okręcać takie młyńce, że aż od tego pędu świece na szynkwasie pogasły; gdy stary Sobota z ojcem młodej, Maciejem Kukawką, nalewając sobie coraz nowe półkwaterki, doszli już do zenitu wynurzeń przyjaźni, a jeden drugiemu wszystko, niby z tej przyjaźni, podarował, prócz gruntu i baby — drzwi ze dworu do sieni rozwarły się złoskotem, a po chwili owiana tumanem śniegu wpadła do izby, roztrącając stojących przy drzwiach, Jagna Wawrzonowa. W krasnej chuście na głowie, w granatowym kabacie z czerwonymi obszywkami, z twarzą owianą mroźnym powietrzem, wyglądała na podziw młodo i pięknie. Stał Sobota, jak wryty w podłogę, gębę rozwarł z wielkiego dziwu, i zdało mu się, że dawne lata wróciły. Najpierw opamiętała się Sobocina, puściła więc z rąk Józwową i poskoczyła ku Jagnie Wawrzonowej.

A w oczach pijanego Soboty wydało się, że kopę siana wiatr pędzi po izbie wprost na Jagnę; chciał wołać: „Ustąp się!" ale wnet Jagna, wyrwawszy z za pasa moczone w czarach witki, jęła nimi oganiać po izbie tańczących. Pierwsza dostała uderzenie rózgą Sobocina, i w jednej chwili zamieniona w wilczycę, poczęła, skomląc, uciekać z izby, gubiąc po drodze odzienie i chusty. Podobało się to wielce Maciejowi Kukawce, który dobrze podchmielony stał z fajką w zębach, trzymając flaszkę z półkwaterkiem, i ani spostrzegł, że sam powoli zmienia postać. Z łap wysunęła mu się flasza, wypadł półkwaterek, a stać prosto było coraz trudniej, więc zwolna na czworaku biedne chłopisko opuściło karczmę, trzymając jeno fajkę w okrutnych, choć wiekiem przytępionych, kłach. Wawrzonowa tymczasem, ująwszy się pod bok, hulała po izbie, śród tancerzy, ziemi nie tykając. Trąciła rózgą pana młodego, a ten już wilczymi ślepiami łyska; młoda chce się mu wyrwać z objęć, a za chwilę sama, wlokąc welon za sobą, ucieka w lasy, i tak dalej i dalej, a Sobota stoi na środku izby, wypuścił z rąk półkwaterek i oniemiał do reszty z podziwu i strachu.

Było ciemno, choć oko wykol, tylko gdzieś het w czarnej przestrzeni, w stronie lasu, migało, jak gdyby spod śniegu, słabe światełko. Ku temu światełku bezwiednie kierował, śród zasp i ciemności, swe kroki Sobota, nucąc:

Oj danaż, moja dana
Oj do samego rana!
Oj oczki, jak ciareczki!
Oj, Jaguś, ma kochana!

Od lasu dochodziły tymczasem wycia wilkołaków, czyli ludzi zamienionych w wilki. Były to głosy weselników, już po wilczemu gody sprawiających, a choć w takim wilkołaku natura prawie całkiem wilcza, pamięć dawnego życia pozostaje, i są nawet tacy, którym wolno co pewien czas powracać jako człowiek do ludzi.

Tak wykonała przy pomocy złego swą zemstę Wawrzonowa.

Ale największa czarownica i to ma trochę ludzkości pod sercem, więc i Wawrzynicha ulitowała się w końcu nad losem wilkołaków, jako że przecież to jej dawne sąsiady, a i do Magdy złość ją minęła, boć prawdę rzekłszy, Wacho to nie ten już, co to bywało

niegdyś, u Maćkowego przełazu na swą Jaguś ze śpiewką czekający.

Więc zwoławszy jednej nocy wszystkich, przedzierzgniętych w wilki, pod karczmę, tam z każdego po kolei urok odczyniała, a oni przyodziawszy na się w alkierzu swe szaty, które Jagna surowo przykazała Żydowi zachować, przy odgłosie sprowadzonej na ten czas muzyki jęli przerwane urokiem tańce, jak gdyby nigdy nic, dalej prowadzić.

* * *

Wilki licznie niegdyś zamieszkiwały lasy polskie. Napadając podróżnych, porywając dobytek, stawały sie bohaterami wielu zdarzeń, rosnąc w w przesadnej nieco opinii do znaczenia wielce dzielnego i śmiałego zwierza, a jedno z wybitniejszych plemion słowiańskich, mieszkających u brzegów Odry, zwano niegdyś Wilkami. Miał wilcze zęby w herbie Stefan Batory, z czego, jak przypuszcza Wójcicki, poszło przysłowie: „Pokazać komuś zęby". Nie jedno bowiem pismo tego dzielnego króla, opatrzone pieczęcią z wilczymi kłami, nabawiało większego strachu, niż cała paszcza prawdziwego wilka. „Wilk ozionął" mówi inne przysłowie oznaczając tym napędzenie komuś strachu.

Polowano też na wilki przeróżnie. Były charty wilczarze. Dojeżdżano go w stepach konno, strzelając z pistoletu, lub łowiąc na arkan. Po lasach kopano doły, a uwiązawszy na dnie prosiaka, lub krzykliwą kaczkę, przykrywano je następnie chróstem i darniną. Łowił się w dół czasem wilczek, czasem chłop, kradnący w nocy drzewo, lub obaj razem! Były polowania z prosięciem, kwiczącym na wabia w saniach. Robiono obławy, a każda zima dostarczała zawsze kilku ofiar w ludziach i domowych zwierzętach, to też mówiono: „Nie wywołuj wilka z lasu!" — a wywołać go także nie było trudno, i łowiec, dobrze wycie wilka naśladujący, gdzie zwłaszcza tych ostatnich było dużo, przywabiwszy zwierza, kładł go trupem.

Przysłowia: „Natura ciągnie wilka do lasu", „O wilku mowa, a wilk tuż", „Wilk syty i koza cała", „Przez posły wilk nie tyje" i wiele innych, dają miarę o wielkiej niegdyś popularności tego szkodnika, dziś tylko już zrzadka na Kresach spotykanego. Był wilk, było i dla wilka, a teraz gdzież są te puszcze i bory?

Nie wszystkie jednak podania o wilku mają za tło jego żarłoczność. Nie w jednej bajce występuje on znów jako stworzenie, obdarzone prostym ale dobrym sercem, a już całkiem jest pełen skruchy w następującej legendzie.

Przykrą i ciężką bywa zima dla każdego stworzenia. Krótkie dni słabo i rzadko rozwesela pogodne a ciepłe słońca oblicze, które, jak ten śpioch, podniósłszy zaledwie głowę od horyzontu, usłanego miękkimi smugami lasów, znów się do snu zabiera. Noce za to, zwłaszcza księżycowe, pełne są tajemniczych uroków. Ziemia pokryta śniegiem błyszczy w promieniach miesiąca miliardami brylantowych blasków, urągając ludzkiej nędzy, albo może daje tym poznać, że jeszcze wielkie a nieznane skarby kryje w swym łonie. W powietrzu cisza, a mgła wieczorna, zamieniona w drobny pyłek, przysłania nieco dalsze rozłogi. Misterne witki brzozy, kolczata choina i w piękny deseń ułożone igiełki świerka, wszystko w miarę, jak ów srebrzystobiały pyłek, opada, pokrywa się odświętną a wspaniałą szatą okiści.

„Idzie luty — sprawiaj chłopie, buty" — zda się przypominać mroźny powiew wiatru, a zima, która pod koniec stycznia poczęła upadać na siłach, znów wzmogła się znacznie. To też „Pod Twoją obronę uciekamy się"

szepczą usta pokulonych od zimna ludzisków! „Pod Twoją obronę“ odmawia podróżny, gdy śród zawianego śniegiem pola ujrzy pod figurą Matki Boskiej skurczone od mrozu i głodu wilczyska, które, nim jutrzenka rozproszy nocne cienie, a ludzie ku czci Królowej Niebios zapalą gromnice, ślepiami swymi świecą Przenajświętszej Panience. Tak co rok to powtarzają w każdą noc wigilijną do Gromnicznej. A zebrawszy się w większe gromady, wyją miłosierdzia proszącym głosem, że Najświętsza Panienka, która za wszelakiem stworzeniem umie wstawiać się przed tronem Najwyższego, w kilka niedziel po owym święcie, zawsze koniec zimy wyprosi.

* * *

Dla pięknego Wilna wilk wyświadczył ponoć ongi bezwiedną a ważną usługę, pierwszą bowiem myśl wystawienia zamku wileńskiego powziął Gedymin, biorąc asumpt ze snu, który miał, spoczywając śród borów, które niegdyś ten gród starożytny nieprzebytem pasmem otaczały. Na górze, dziś Zamkową zwanej, ukazał się księciu we śnie wilk zakuty w zbroję, a zwierz ten, jako rycerskie godło, nasunął myśl uczynienia góry obronną.

To też zamek wileński nieraz potem wilcze zęby Krzyżactwu pokazywał.

Słowem, po koniu i psie, wilk z pośród wszelkiego zwierza największą w życiu naszych przodków ongi odgrywał rolę, a choć słusznie szkodnikiem zwan, przynosił często korzyść uprzątając np. pobojowiska, zwłaszcza gdy nie było czasu na grzebanie poległych. Chronił on tym sposobem niejednokrotnie całe okolice od zarazy, nie będzie więc od rzeczy, gdy mu się tych kilka wspomnień poświęci.



BRONISŁAWA KOWALSKA

UPOŚLEDZONA

NOWELA

NAZYWAŁA się Florencja Sellers, ale w tej odległej epoce nosiła zdrobniałe imię Flora. Była wtedy małą ciemnowłosą dziewczynką, która budziła litość w sercach wszystkich, bo nie ma nic przykrzejrzego nad widok dziecka kaleki, a Florcia była kulawą.

Złożoną ciężką niemocą, męczona chirurgicznemi przyrządami, zmuszona do zupełnej prawie nieruchomości, Florcia używała spaceru tylko w wózku, w którym spoczywała mizerna i bledziutka, przyjmując z niezamąconą pogodą i rozczulającą wdzięcznością, starania, często zbyt natarczywe, jakiemi obsypywały ją otaczające osoby. Na podziękowanie znajdowała zawsze w głębi serduszka miłe i szczerą wdzięcznością nacechowane słowa, a w jej wielkich szaro-zielonawych oczach, malowała się niebiańska dobroć która niezwykłym blaskiem rozjaśniała schorowaną twarzyczkę.

Litowano się nad nią tem bardziej, że ona sama nie skarżyła się nigdy. Każdy, spoglądając na nią, miał łzy w oczach, gdy później skazana już na nieodwołalne kalectwo, bawiła się w ogrodzie z dziećmi. Chora noga, skrępowana ortopedycznym przyrządem, który dzwonił i brzęczał za każdem poruszeniem, utrudniała jej ruchy i narażała ją na częste upadki. To też wszyscy woleli, gdy siedziała, bawiąc się lalkami; lalki te uwielbiała Florcia prawdziwie.

Od wszystkich jednak lalek goręcej kochała Lucię, małą swoją siostrzyczkę — Lucię, białe i różowe dzieciątko, śliczną żywą lalkę; Florci wydawało się potrosze, że jest jej mamą.

Mijały miesiące i lata. Florci przybywało lat a i Lucia z małego dziecięcia wyrosła na dziewczynkę.

Lecz gdy ta mała siostrzyczka zaczęła rok ósmy, humor Florci dziwnej uległ zmianie. Szczery jej śmiech i wesołe szczebiotanie ucichło; nie przymilała się i nie pieściła jak dawniej, była kwiatem, który zamyka swój kielich, ptaszkiem, który przestał śpiewać, promieniem który spowiły mgły; jednem słowem utraciła swobodę i wesołość, która jest tem dla dziewczęcia, czem wdzięk dla kobiety.

Niedowierzająca i pochmurna odsuwała się od wszystkich, a najwięcej od Luci, której pieszczot i uścisków unikała z niechęcią. Najlepiej teraz lubiła spokój i ciszę, to też przesiadywała w oddalonych zakątkach ogrodu, okazując upodobanie do zabaw spokojnych. W Paryżu, dokąd państwo Sellers zjechali na zimę, nie chciała wcale wychodzić, wymawiając się słabością zdrowia, której doktorzy zaprzeczali.

Matka zastała ją jednego dnia siedzącą na niskim taburecie, z głową wspartą na dłoniach. Całą postawą pochylona naprzód, wpatrywała się uporczywie w Lucię, która skakała przez sznur. Pani Sellers przestraszyła się, gdyż odgadła wreszcie stały, ale troskliwie tajony kierunek myśli Florci.

— Jest zazdrosna o swoją siostrę! — pomyślała biedna matka.

Przezwyczajona już do nieszczęśliwego kalectwa dziecka i przyjmująca je z rezygnacją, pani Sellers nie przypuszczała, aby zazdrość, ten chwast trujący, rozplenić się mógł tak bujnie w młodem sercu dziewczęcia.

Biedna, smutna dusza!

Uczucie zawiści, które ją teraz ogarniało, mogło budzić przestrach; teraz nieszczęśliwa Florcia bardziej była pożałowania godna, niż wtenczas, gdy bezwiednie przyjmowała życie, jak dar i godziła się z niem.

Prawdziwe, wielkie i niczem niepowetowane nieszczęście dotknęło ją teraz dopiero. Niestety! Było to nieszczęście do przewidzenia, które nadejść musiało prędzej czy później, a które kochające ją serca złagodzić pragnęły otaczając ją staraniami i miłocią. Florcia patrząc na siostrę i porównywając jej postać ze swoją własną postacią, zrozumiała swoje upośledzenie i można powiedzieć, że właściwie od tego dnia była kaleką prawdziwie.

W domu zaczęto się jej lękać, jak nieustającej groźby zawieszonej nad głową, obawiano się o Lucię, niewinny przedmiot jej zazdrości. I w istocie patrząc na chmurną, i zamkniętą w sobie Florcię, która kryła się po kątach i zacinając usta spoglądała na siostrę z gniewnym błyskiem w oczach, można ją było porównać do zwierzęcia czatującego na zdobycz. Niekreślony niepokój chwytał za serce domowników, gdy usłyszeli metaliczny stuk jej nogi.

Ale ta obawa trwała tylko czas jakiś.

Z wiekiem Florcia, chociaż nie odzyskała poprzedniej pogody ducha, zdawała się odzyskiwać spokój. Myśl jednak wyłączna, która ją zajmowała, wzrastała z nią razem i nie opuszczała jej ani na chwilę. Mając lat trzynaście, Florcia

objawiła pragnienie dowiedzenia się o przyczynie, która spowodowała jej kalectwo. Dorywczo prowadzone śledztwo objaśniło ją, że padła ofiarą wypadku; ktoś z piastujących przez nieostrożność upuścił ją na ziemię. Ale kto? Tego dojść nie mogła Rodzice odpowiadali jej wymijająco. Kto mógł być zatem?

Stara Katarzyna, czyli Kata, jak ją wszyscy nazywali, zaspokoiła jej ciekawość. Kata była to przyrodnia pana Sellers, dużo starsza od niego, bardzo brzydka, a prócz brzydoty, nosząca na twarzy wszystkie cechy zgrzybiałości.

Wnosząc ze skromnego ubrania i nieśmiałego obejścia, można ją było wziąć za ubogą krewną, której dano w domu przytułek na stare lata.

Nie tak jednakże miały się rzeczy; względem Katarzyny wszyscy byli uprzejmi i okazywali jej pełne szacunku przywiązanie. Radzono jej się we wszystkiem, dogadzano gustom i upodobaniom, a jej zdanie miało zawsze przewagę. Gdy państwo Sellers, zaniepokojeni usposobieniem Florci chcieli umieścić swoją starszą córkę w zakładzie wychowawczym w klasztorze, stara Kata oparła się temu i stało się podług jej woli. Florcia była bardzo ciotce wdzięczna za to zwycięskie pośrednictwo; odtąd pomiędzy starą kobietą, której brzydota gorszą była niż kalectwo, i tem upośledzonem dzieckiem, zawiązała się nić prawdziwej sympatji.

Podczas, gdy jasnowłosa i wesoła Lucia igrała w ogrodzie lub w pokoju przeznaczonym do zabawy, Florcia udawała się do pokoju ciotki. Tu siadała na krześle i układała sukienkę w ten sposób, aby zakryć maszynkę, w której skrępowaną miała nogę i wtedy zajmowała się haftem, czytaniem lub wycinaniem papierowych lalek. Staruszkę widywano zawsze zagłębioną w fotelu, ze skrzyżowanemi rękoma i nawpół przymkniętemi powiekami, a na twarzy jej pożółkłej jak cytryna malowało się wieczne niezadowolnie; zdawało się, że myślą ściga jakieś dawne wydarzenia, których z pyłu niepamięci przywołać nie sposób.

Tak płynęły im godziny smutne i tęskne, a ciszę przerywał tylko jednostajny ruch zegarowego wahadła.

Pewnego ranka Florcia niespodziewanem pytaniem przerwała rozmyślania starej ciotki.

— Powiedz mi ciotko... czy to tatuś upuścił mnie na ziemię, gdy byłam maleńka?

— Ależ nie! — odparła staruszka stłumionym i przerywanym od kaszlu głosem. — Zkąd ci to przyszło do głowy?... To Stefan, twój kuzyn z Marsylji... twój kuzyn Stefan Aubriet.

Florcia podjęła ze stołu album z fotografjami i otwierając, podsunęła je ciotce.

— Czy to ten? — zapytała, wskazując na chłopczyka, który głaskał wypchanego bonońskiego pieska.

— Tak, moja mała, to ten sam... patrz, tu jest inna jego fotografja w mundurze uczniowskim, a tamta w ubraniu do pierwszej komunji; ta zaś przedstawia go już prawie młodzieńcem.

Florcia zamknęła album i jak gdyby jej ciekawość w zupełności została zadowolona, nie zaczepiała już nigdy tego przedmiotu.

* * *

Myślała jednak bezustanku o mimowolnym kacie, przez którego była dotąd i będzie nazawsze udręczona. Nie mogła bowiem wątpić o tem, że ten nieprzezwyciężony smutek, który gryzł ją jak rdza i szpecił duszę zarówno jak twarz, że ta zjadliwa tęsknota, ów gość nielitościwy nie opuści jej już nigdy i tak samo, jak pozbawia ją uciech wieku dziecinnego, pozbawi również uroku młodości i wdzięku właściwego jej płci.

Odtąd miała tylko jeden cel: poznać tego Stefana. Czy on zachował wspomnienie tego wypadku? Czy wiedział, że to z jego winy, przez jego nieostrożność, życie dziecka, a później młodej dziewczyny i kobiety pozostanie nazawsze zniweczone, złamane, odarte z uczuć i marzeń? Czy wyobraźnia podsuwała mu pod oczy postać jego ofiary, tak samo jak ta ofiara starała się odgadnąć go wpośród tajemniczych osłon oddalenia? Czy wesoły śmiech dorastającego młodzieńca nie pierzchał nagle, gdy mu przyszło na myśl to biedne, pokrzywdzone przez niego dziewczę?

I tak gdy Florencja wyrastała na młodą dziewczynę, myślała zawsze pilnie co się dzieje z jej kuzynem. Ukrywając swoje zaciekawienie, przysłuchiwała się bacznie, gdy mówiono o rodzinie Aubriet. Tym sposobem z rozmowy rodziców dowiedziała się dużo szczegółów, które porządkowała następnie w swoim umyśle, aby wytworzyć sobie pojęcie o tym młodzieńcu i jego otoczeniu. Dowiedziała się więc, że pan Aubriet ojciec, szwagier pani Sellers, był człowiekiem surowym, dumnym, stanowczym a nawet trochę tyranem domowym, że przed jego wolą uginała się posłusznie pani Aubriet, kobieta łagodna i tkliwa, ale zbyt uległa i nieśmiała. Stefan wychowywany był w ścisłym rygorze, dziecinne jego lata upływały nad książką; każde najmniejsze przekroczenie ojciec karcił. Lecz może dlatego właśnie chłopiec czynił wielkie postępy w naukach i dopiero gdy osiągnął bardzo zadawalniające rezultaty swojej pracy, zmuszonym się ujrzał pan Aubriet przyznać synowi jakieś przymioty.

Pewnego dnia doszła do uszu Florci wiadomość, że Stefan wstępował do szkoły politechnicznej a państwo Aubriet dążąc za synem, przenosili się z Marsylji do Paryża.

Złośliwa radość zawładnęła Florencją; przeczuwała odwet i zadowolenie swej zemsty. Tak, ona się zemści, użyje do tego wszelkich sposobów, upokorzy, tego prześladowcę swojego. Jeśli zapomniał o złem, które wyrządził, ona mu je przypomni, przedstawi mu je we wszystkich

opłakanych jego następstwach, ażeby zamącić i jemu na zawsze spokój, którego niezasłużenia używa.

Florencja pielęgnując z upodobaniem tak nieszlachetne zamiary, nie przeczuwała, że serce otwiera się jak kwiat w ośmnastoletniej wiośnie życia kobiety.

Nareszcie zjawił się Stefan, a od pierwszego zaraz spotkania zwyciężył dziką i stroniącą od ludzi dziewczynę, nietyle swoją piękną powierzchownością i postawą, uwydatniającą się korzystnie w mundurze, jak uprzejmością nacechowaną szacunkiem, wdziękiem mowy i szlachetnością pojęć, a nadewszystko względami, jakimi od pierwszego dnia otoczył Florcję.

Dziewczyna walczyła długo i ciężko, opierając się urokowi, który bezwiednie przenikał całą jej istotę; usiłowała wmówić w siebie, że takiem postępowaniem Stefan chciał sobie wyjednąć przebaczenie. Wtedy czyniła sobie wyrzuty za to, że z taką naiwną uprzejmością przyjmuje wyrachowane grzeczności kuzyna i zawsze postanawiała, że w obejściu z nim okazywać się będzie chłodną i obojętną.

Lecz skoro tylko Stefan ukazał się, zwyciężał bez żadnego trudu jej oziębłość.

Przytem i on ze swojej strony poznawał ją i oceniał coraz lepiej, wiedział że muzykę doprowadziła do artyzmu i z upodobaniem słuchał jej gry na fortepianie; gdy śpiewała zachwycał się jej głosem dźwięcznym a poważnym. Gdy wychodzili, podawał jej ramię, a Florcja doznawała wtedy niewysłowionego zadowolenia. Była dummna z samej siebie, gdyż Stefan poświęcał jej najmniej dwie niedziele na miesiąc i zawsze znajdował nowy powód chwalenia jej talentów i zalet umysłu i serca.

Jednego dnia, gdy ciotka Kata siedząc w swoim fotelu, w którym od lat wielu zwolna dogorywała, mówiła z uznaniem o uprzejmem obejściu Stefana, Florcia zapytała:

— Czy sądzisz ciotko, że on pamięta o tem, że mnie upuścił na ziemię?

Staruszka wpatrzyła się uważnie w młodą dziewczynę i po namyśle odpowiedziała.

— Jeżeli mu nikt tego nie przypomniał, a należy przypuszczać, że tak jest, bardzo być może, że on o tem zupełnie zapomniał.

Flarencja nie roztrząsała znaczenia tej niejasnej odpowiedzi.

Wspaniałe słońce zabłysło w głębi jej serca; zrozumiała teraz, że w duszy jej rozwinął się cudowny kwiat miłości i zaczęła wierzyć w to, że Stefan ją kocha.

Dziękowała Bogu i nie dziwiła się wcale, gdyż zastanawiając się dłużej widziała w tem dowód nieustającej łaski niebios, o której księża mówili jej tak często.

Sprawiedliwem było aby ten, który wyrządził złe, naprawił je potem. Bóg pozwolił, aby Stefan uczynił ją kaleką; wolą Jego było także aby dziś Stefan zapragnął swej ofiary i opiekował się nią przez całe życie.

Florencja uważała się jako narzeczona, a dziewicze jej marzenia tłumione dotychczas w głębi duszy, rozwinęły się bujnie, napełniając ją nieznanem dotąd szczęściem.

Jakkolwiek Stefan skończył szkołą wojskową, nie mówił jeszcze nic w tej kwestji. Florencja była mu wdzięczna za tę powściągliwość; dopóki stanowisko jego nie będzie ustalone, obowiązkiem jego było milczeć i dlatego zapewne powstrzymywał się z wyznaniem swoich uczuć.

Jeszcze kilka miesięcy upłynęło.

Na wakacje Stefan przyjechał do domu i zamieszkał na wsi w willi, którą rodzina Aubriet najęła w pobliżu państwa Sellers.

Florencja wzruszona i szczęśliwa, przeczuwała że zbliża się stanowcza w jej życiu chwila.

* * *

Pewnego sierpniowego popołudnia, gdy powietrze groziło burzą, Florencja, Lucia, dzisiaj już dorastająca panienka, i Stefan schronili się do małego saloniku, gdzie były zamknięte okna i zapuszczone rolety. Panował tu rozkoszny chłód i półcień. Z początku rozmowa toczyła się o przedmiotach błahych, wreszcie Stefan podniósł się i rzekł:

— Florencjo, może zaśpiewasz "Pożegnanie pasterza" Godarda? Jestto utwór cudowny, a ty śpiewasz go prześlicznie.

Florencja posłuszna podeszła do fortepianu i zaczęła śpiewać:

Żegnaj pasterko ukochana,
Żegnaj jedyna moja miłości...

Śpiewała z nadzwyczajnem poczuciem artystycznem, przelewała w tkliwą melodję całą potęgę uczucia przepełniającego jej serce, zapragnęła też w tej chwili widzieć go, swego "pasterza". Nad fortepianem wisiało weneckie zwierciadło; Florencja podniosła ku niemu swe promienne oczy. Zwierciadło ukazało jej Stefana, który całował namiętnie rękę uśmiechniętej Luci...

Duma zwyciężyła cierpienie, Florencja dokończyła śpiewu. Wprawdzie głos tłumił się w jej gardle, ale oni nie spostrzegli. Pani Sellers weszła do salonu, a biedna kaleka pod pozorem bólu głowy wymknęła się do swego pokoju.

Tu osunęła się bezwładna na dywan, wyściełający podłogę i rozgorączkowana, prawie nieprzytomna, rzewnemi łzami się zalała; płakała nad straconem swojem szczęściem, które rozwiało się tak szybko, nad rozwianemi marzeniami, które rozproszyły się jak zeschłe liście z drzewa. Łkanie rozrywało jej piersi, ale je gwałtem tłumiła, a jej uschnięta noga, poruszana nerwowem drganiem, stukała rytmicznie o podłogę. Ten dźwięk metaliczny prześladował ją nawet w boleści i był niejako szyderczem urąganiem dla jej łkań i jęków.

Krzyki, nawoływania, jakiś ruch niezwykły i stukanie do drzwi, wyrwały ją z osłupienia. Podniosła się, obtarła starannie oczy i otworzyła drzwi.Lucia jak huragan wpała do pokoju, wołając z trwogą:

— Ach! co za nieszczęście, moja biedna Florciu! Kata... znaleziono ją nieżywą w fotelu!

Oddana egoistycznie swojemu cierpieniu, Florcia dziękowała Bogu, że przywołał do siebie starą ciotkę w takiej właśnie chwili. Dzięki tej żałobie biedna dziewczyna będzie mogła płakać swobodnie.

I znowu zalała się łzami, Lucia także bardzo wzruszona, przysunęła się do siostry aby ją pocieszyć, ale Florcia odepchnęła ją gwałtownie, prawie nienawistnie.

Od chwili tego wypadku, smutna, upośledzona istota żyła jak automat. Ludzie patrzyli na nią, ale ona nie widziała nikogo; zamknięta w sobie i zawsze zamyślona, wydawała się obojętna na wszystko co ją otaczało. Osoby i martwe przedmioty przesuwały się jak widma przed jej roztargnionym wzrokiem; rozmowa otaczających oddziaływała na nią jak niezrozumiałe dźwięki, które z oddali dochodziły do jej uszu.

Niekiedy budziła się w niej nagle pamięć i wtedy łkania wstrząsały jej wątłą postacią. W takich chwilach, chcąc uniknąć niemiłej troskliwości, biegła zamknąć się samotnie w swoim pokoju i dać folgę nadmiernej boleści.

Szalona! Szalona. W cóż ona wierzyła? Czegóż mogła się spodziewać? Jakiż nieszczęśliwy obłęd ją opanował i kazał jej zapomnieć, że była kaleką, brzydką i niemiłą, podczas gdy Lucia promieniała wdziękiem i czarem, właściwym ośmnastoletniej panience.

W jakiś czas potem, pan Sellers przywołał do siebie Florencję i rzekł:

— Masz słuszność, że żałujesz tak szczerze twojej starej ciotki, gdyż miała ona dla ciebie szczere przywiązanie. Zapisała ci cały swój majątek, moje dziecko. A ładna to sumka, gdyż kochana staruszka była bardzo oszczędna. Oto jest list pod twoim adresem, który znaleziono pomiędzy jej papierami.

Florcia wzięła zapieczętowaną kopertę, którą jej podawał ojciec, rozerwała ją i przeczytała następujące wyrazy:

"Droga Florciu, oddaję ci wszystko co posiadam, gdyż więcej niż ktokolwiek inny będziesz potrzebowała majątku. Teraz jestem już spokojna o twoją przyszłość i proszę Boga aby zezwolił na twoje małżeństwo ze Stefanem."

— Cóż tam jest w tym liście co cię tak głęboko wzruszyło? — zapytał pan Sellers.

Flora z żywością podarła list na drobne kawałki i odpowiedziała z dumą:

— Nic tak ważnego, abym to miała powtarzać.

Brak jej było tchu, śpiesznie więc wyszła do ogrodu.

Biedna, stara ciotka! Jakżeż się pomyliła w swoich przypuszczeniach! Na co jej się przyda ten majątek? Znikome i upokarzające bogactwo! Przez swoją wspaniałomyślność staruszka uczyniła z Florencji tylko zdobycz łakomą dla łowców posagowych. Ach! szkaradne, wstrętne bogactwo!

W tem Florencja zatrzymała się nagle.

Usłyszała płacz, który wychodził z poza gęstej kępy drzew i krzewów. Przysunęła się ostrożnie i ujrzała Lucję zalaną łzami.

— Co ci jest? Zapytała pochylając się nad nią. Ale teraz Lucia ją odepchnęła.

— Daj mi pokój! — zawołała niecierpliwie.

Wieczorem przy stole Florencja dostrzegła na twarzach wszystkich pomieszanie i smutek i dowiedziała się, że Stefan powołany nagle do pułku, miał odjechać nazajutrz. Państwo Aubriet także mieli podążyć za synem, aby mu dopomówz w objęciu nowego stanowiska. Florencja zrozumiała powód zmartwienia siostry, a widok jej cierpienia stał się dla kaleki, niemal rozkoszą. Łzy Luci spływały jak balsam kojący na ranę biednej, upośledzonej istoty.

Noc jednak spędziła Florencja bardzo niespokojnie. Ze zmartwienia siostry i pomięszania rodziców wnioskowała, że musi istnieć jeszcze inny jakiś powód ich zgryzoty. Czuła, że Lucia mogła być zmartwiona odjazdem Stefana, jeśli ona, wzgardzona, zmartwiła się tem także. Ale ponieważ Lucia była kochana, ponieważ miała zostać Stefana żoną, dlaczego okazywała taką rozpacz?

Podczas długich godzin bezsenności, Florencja napróżno zastanawiała się nad tem wszystkiem i doszła wreszcie do przekonania, że rodzice i Lucia coś przed nią ukrywają.

— Muszę się o tem dowiedzieć — pomyślała i postanowiła baczną odtąd na wszystko zwracać uwagę.

Nazajutrz rano Florencja z poza przymkniętego okna dostrzegła Lucię, która oglądając się z niepokojem dążyła w głąb ogrodu, w stronę, która dotykała pastwiska.

— Ona dąży na spotkanie z nim — powiedziała sobie.

Odgadła dokąd dążyła siostra; zeszła pośpiesznie i zaczęła boczną ścieżką. Ażeby się nie zdradzić dźwiękiem maszynki metalowej, podpierała się parasolką i szła kulejąc. Doszła tak do opuszczonego dziedzińca, który był dawniej jej ulubionem schronieniem; było to najbardziej oddalone od domu i spokojne ustronie. Przytłumiony dźwięk głosów doszedł do jej uszu. Ukryła się za szopą i słuchała. Poznała głosy Stefana i Lusi, ale oboje mówili tak cicho, że nic zrozumieć nie mogła.

Głosy przybliżyły się trochę, gdyż, tak jak przewidywała Florencja, młodzi usiedli na darniowej ławeczce, w pobliżu szopy.

Stefan mówił:

— Nie znasz mojego ojca, moja droga Ludwiko! Jestto człowiek niedostępny, prawie tyran!

— A jednak, zdawało mi się że mnie kocha! Zdawało mi się, że się zgadza.

— Niestety! Jakież upokarzające wyznanie muszę ci uczynić... Ojciec miał nadzieję, że otrzymasz spadek po ciotce... Skoro się dowiedział, że tylko siostra twoja dziedziczy, zmienił zdanie...

— Ach! — westchnęła Lucia. — To dlatego.

— Nie płacz, moja najdroższa, moja ukochana. Jesteś moją narzeczoną, nie odbieraj mi odwagi. Zdołam przecież zwalczyć opór ojca, jestem tego pewny, ale musimy czekać cierpliwie, nie mogę postępować z ojcem bezwzględnie, nie mogę go obrażać. Przed chwilą miałem z nim straszną przeprawę! Nie płacz! Z pomocą mojej biednej matki, której siły są już wyczerpane temi gwałtownemi wzruszeniami, zdołamy go może przekonać. Miej ufność, Ludwiko... Błagam cię... nie płacz...

Mówił: "Nie płacz!" a sam łkał jak dziecko, tuląc do piersi jasnowłosą główkę Luci.

Florencja, rozchyliwszy ostrożnie gałęzie drzewa które jej zasłaniały zmartwioną parę, przypatrywała się obojgu uważnie.

On płakał. Widok ten był zbyt przykry dla młodej dziewczyny. Miała chęć zawołać: "Jestem tutaj!" ale po chwilowym nmyśle oddaliła się cicho bez szelestu, była trochę pomięszana z powodu swej niedelikatności i zasmucona tem, że odkryła tyle cierpień oprócz swoich własnych.

Gdy już odeszła dość daleko, zatrzymała się i zaczęła zastanawiać.

— Tem gorzej — powiedziała sobie wreszcie z niecierpliwym ruchem, i zwróciła się ku domowi. Lecz gdy doszła do kraty, zawróciła się nagle, wyszła na drogę śpiesząc się, i kulejąc, doszła do willi państwa Aubriet.

Wszystkie rzeczy były porozrzucane bezładnie, dokoła stały pootwierane kufry i walizy.

Wprowadzono Florencję do ciotki, która była pomięszana i miała oczy zaczerwienione od płaczu.

— Czy mogę widzieć się z wujem? — zapytała Florencja. — Mam wam obojgu coś ważnego do powiedzenia.

Usiadła, zadyszana od szybkiego biegu.

Pan Aubriet wszedł i powitał młodą dziewczynę z przesadną uprzejmością, która jej się wstrętną wydała. Zrozumiała, że oddawał hołd bogatej dziedziczce. To też z pośpiechem przerwała potok jego komplementów.

— Mój wuju — rzekła, — chciałam ci oznajmić, że widzę wielką niesprawiedliwość w testamencie naszej starej ciotki. Chcę więc podzielić się spadkiem z moją siostrą Ludwiką. Czy jeszcze i teraz będziesz przeciwny młażeństwu jej z twoim synem?

Pan Aubriet udał, że nie rozumie przymówki; przejęty zdumieniem, cofnął się o kilka kroków w tył.

— Co, tybyś to uczyniła?... Ty?...

— Zdaje mi sę, że mam do tego zupełnie prawo.

Zapominając o swojej powadze, pan Aubriet otworzył drzwi i wybiegł wołając:

— Stefanie!... Stefanie!... gdzie jesteś?

Pani Aubriet rozpromieniona radością, rzuciła się w objęcia Florencji.

— Jesteś aniołem! Jak ty mnie uszczęśliwiłaś! A jaki on będzie szczęśliwy!

— Nie!... o nie!... Nie dziękuj mi, moja ciotko!

Młodą dziewczynę organęła nagła chęć zwierzenia się przed kimś, wypowiedzenia jaką czyniła z siebie ofiarę; ale wyznanie zamarło jej na ustach. Pani Aubriet przypatrywała jej się tymczasem uważnie. Matka i kochanka, te dwa serca przejęte jednakową potęgą uczucia, porozumiały się tem niemem spojrzeniem, ale milczały obie.

— To rzecz zupełnie naturalna — odezwała się wreszcie Florencja.

W tej chwili na dziedzińcu dał się słyszeć głos pana Aubriet, który wołał:

— A jesteś przecie! chodźże prędzej!

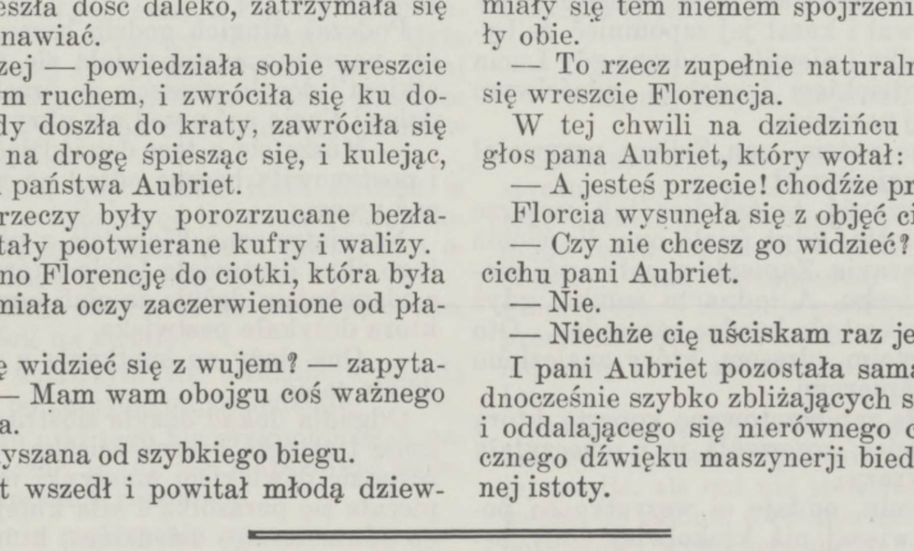
Florcia wysunęła się z objęć ciotki.

— Czy nie chcesz go widzieć? — szepnęła po cichu pani Aubriet.

— Nie.

— Niechże cię uściskam raz jeszcze!...

I pani Aubriet pozostała sama, słuchając jednocześnie szybko zbliżających się kroków syna i oddalającego się nierównego chodu i metalicznego dźwięku maszynerji biednej, upośledzonej istoty.





KAJETAN IHNATOWICZ

RÓŻOWE SZKIEŁKA

Bajka Dla Dorosłych Dzieci

W Swoje Sześćdziesiąte Urodziny Przyjaciołom Poświęca
Autor

PEWNEGO razu trzech chłopców wyruszyło za miasto na spacer. Powietrze było przyjemne, słonko świeciło jasno, ale nie grzało zanadto gorąco. Od czasu do czasu łagodny wietrzyk od wody miły chłód przynosił. Kwiaty uśmiechały się słonku za dobroczynne promienie ciepła i światła i wysyłały na świat wdzięczne swe zapachy.

Młodzi chłopcy szli żwawym krokiem i wśród żywej rozmowy nie spostrzegli się wcale, jak minęli granicę miasteczka i znaleźli się w czystem polu. Tak to zawsze bywa, że czas prędko mija, jeżeli jesteście w towarzystwie sobie miłem, a oni byli sobie wzajem mili, bo od maleńkości się znali i zawsze do szkół razem chodzili.

Trzeba tu powiedzieć, że wcale do siebie podobni nie byli, chociaż tak się wszyscy trzej kochali. Nadir był usposobienia żywego, a nawet czasem kłótliwego; Mir nie kłócił się nigdy, ale był uparty, niestępliwy i zdanie swoje za najlepsze i niewątpliwe uważał; Suradża zaś z nikim kłócić się nie potrafiłby i chętnie każdemu ustępował.

Łączyła ich nietylko przyjaźń od lat dziecinnych, ale także i to że, wszyscy trzej w naukach celowali i do dalekich przechadzek jednakie upodobanie mieli.

Gwarząc swobodnie, zaszli już chyba daleko, bo kiedy obejrzeli się, by z wysokiego szczytu objąć okiem okolicę, spostrzegli swoje miasteczko spowite w mgłę wieczorną, z poza której przebijały się nieliczne słabe światełka. Na górze jeszcze jasno było i tak wietrzno i tak swobodnie, że im się wracać nie chciało. Postanowili iść dalej w górę i kiedy mrok nocy zakaże dalszego pochodu, w gościnę na noc się wprosić.

Tak i zrobili. Znaleźli dom gościnnego hindusa, który znał ich ojców i przenocował ich u siebie jakby dzieci swoje.

Wstał ranek, cudny, jasny ranek. Jutrzenka umyła góry czyściutkiemi chmurkami rosy, słonko wyszło je osuszyć i zajrzawszy we wszystkie szparki po górach, powoli rozlało światło po polanach poniżej, i szło niżej, niżej, aż okazało naszym chłopcom rozległy, szeroki widnokrąg, ukryty przedtem w cieniu.

Zdrowy ruch dnia poprzedniego; posilny zapach bijący od skąpanych rosą traw i krzewów; rozpierające młode piersi uczucie roskosznej swobody, wznieciły jednę myśl w nich trzech.

Iść dalej w górę.

Poważny ich gospodarz, który wybierał się do miasteczka za swojemi sprawami, przyrzekł zawiadomić rodziny, by się nie niepokoiły z powodu nieobecności chłopców, nakarmił i zapasów nieco na drogę przysposobił. Potem ich błogosławieństwem pożegnał i chłopcy nasi ruszyli w górę.

Im wyżej się wspinali, tem bogatsze wchłaniali wrażenia i walka z przeciwnościami stawała się trudniejsza, ale i nagroda po osiągnięciu wyższego szczytu piękniejsza. Uszli dużo więcej niż dnia połowę, gdy ujrzeli w oddali, wysoko, bialutki szczyt.

Żaden z nich odgadnąć nie mógł, coby to było takiego. Z daleka widać było, że przestrzeń jest gładka, bez drzew, krzewów ni zarośli. Gdyby to była kreda, byłyby załomy, szczeliny, kanty.

Ciekawość gnała ich w kierunku owej tajemniczej bieluchnej płaszczyzny, niepodobnej do niczego, co w życiu widzieli. Ciekawość zbadania rzeczy nieznanej popędza żywy i chętny wiedzy umysł, jak dobre słowo jeźdźca pędzi wielbląda, gdy ten zbliża się do obfitego źródła po dniach spędzonych w suszy.

Kiedy nasi chłopcy odrzucili wyjaśnienie Nadira, że to mgła, i zdanie Suradży, że to kreda,

zostało jedno wytłumaczenie i przy niem się Mir upiera: że doszli do granic kraju czystości, jeszcze przejść im ten szmat ziemi, jaki ich oddziela od owej bieli, a znajdą się, kto wie, może w Nirwanie, a może, może nie jest to Nirwana, a jakiś pośredni świat czystości na ziemi...

Pewno każą im rzucić z siebie to ciało, w które duch ich jest zakuty, i odrazu będą czyści, jak owi fakirzy, tak boleściwie z swem ciałem walczący.

Pójdą tam... Lecz wypocząć wprzód trzeba, bo droga długa i męcząca, a utrudzeni byli żmudnemi wspięciami.

Usnęli...

....

Kiedy ujrzeli się u celu swej wędrówki, byli — całkiem tak jak Mir przepowiadał — na innym świecie, niż ów cielesny świat ziemski. Zimniej tam było, ale dla oka i ducha wspaniałości bez liku. Nasamprzód ujrzeli olbrzymią polanę bieluchną, bez plamki, a na niej maleńkie aniołeczki uganiały się wśród zabaw. Niektóre z nich na długich, długich sznurkach miały laleczki daleko, daleko na ziemi, a ile razy aniołki pociągnęły za sznurek, lalki na ziemi obijały się o siebie i jęczały; a aniołeczki śmiały się i bawiły niezgrabnemi ruchami laleczek na ziemi, co rozbijały sobie głowy w swem nieopamiętaniu. Inne aniołki na sznurkach miały serduszka, a często gdy dwa o siebie się obiły, wytryskała z nich śliczna czerwona krew, i wtedy zabawki się kurczyły.

Nasi chłopcy wiedzieli już dawniej ze szkół, jaki cel jest wędrówki na ziemi, to też nie byli uderzeni niczem nowem. Ale kiedy przeszli przez śliczną bieluchną polanę aniołków i dostali się w świetlany obręb tak biały, że wszelka biel, dotąd widziana, brudem wydaćby się musiała: wtedy usłyszeli głos łagodny i dobry nieskończenie.

"Tutaj jeszcze zostać nie możecie. Wszak nie pożegnano was w domu. Wrócić wam trzeba. Ale ktoś tu przyszedł, nie odejdziesz nieobdarzony. Wybieraj każdy z was, czego pragniesz na dalszą drogę po ziemi, zanim tu po długim jeszcze, długim, długim pochodzie powrócisz".

I roztoczono przed nimi muszlę ogromną, w której mnóstwo było darów na pamiątkę. Nadir wziął złoto, w kosztowny włożone róg Obfitości, i silną dłonią róg twardo ujął. Mir wybrał zwój uczony, związany szeroką wstęgą Sławy, i rozpalonem okiem popatrzył w dal. Suradża sięgnął po różowe szkiełka, przyjrzał się im ciekawie, włożył na oczy i uśmiechnął się.

....

Zbudziła ich wielka jasność. Słońce wieczorne posyłało im z niskiego zachodu prosto w oczy natarczywe, bo ostatnie, spojrzenie przed zniknięciem na noc.

W tej chwili poczuli zimny podmuch wiatru. Podnieśli się i, o dziwo, spostrzegli od owej białej góry pędzącą ku nim leciuchną chmurkę. Biała była, jak owa góra, a kiedy przybiegła do nich i gdy schwytali w dłonie miękki puszek bielutkiego piasku, to, co wzięli za piasek, rozpłynęło się na ich rękach w czyściutkie krople wody.

Zjawisko to wywołało rozmaite tłumaczenia, lecz ostatecznie zgodzili się na to, że był to najprawdopodobniej śnieg, którego opis zgadza się z tem właśnie, co zobaczyli. Nie było tedy celu wspinać się dalej w górę. Umęczenie i obawa dotkliwszego jeszcze zimna poradziły młodym turystom począć czemrychlej powrót.

A kto wie? może trochę i rozczarowanie? Ja tak nie sądzę; bo wierzajcie mi, żaden z nich nie wiedział, tak jak i ja nie wiem, co było marzeniem we śnie, a co jawą.

Nietylko wtedy nie wiedzieli, ale i później nie dowiedzieli się, kiedy życie po powrocie do domu potoczyło się swoim torem, kiedy dorośli i drogi ich się rozeszły. Żadnemu nie było świadomem, dlaczego opuścił rodzinne miasteczko i ile było ich własnej, a istotnej woli w tem, że Nadir dostał się do Madras, że Mir osiadł w Delhi, a Suradża zamieszkał w Ahmadabad.

Nie wiele też mieli w życiu czasu zastanawiać się nad tem, bo wartki prąd wypadków porwał ich, chwytając każdy błysk pomysłu, każdy poryw energji, każdą cząsteczkę czasu Nadir zyskał wkrótce silną podstawę pieniężną dla swoich interesów. Mir w krótkim czasie zwrócił na się uwagę uczonych, a Suradża, choć na handlu rzeźbami nie dorobił się niczego, to przecie zjednał sobie przyjaźń kilku młodych artystów, którym starał się pomagać według bardzo wątłych sił swoich.

Nadir rozwijał interesy swoje z mądrością i wyrachowaniem, jakie budziły podziw jednych i zazdrość drugich. W młodym wieku dopiął takiego znaczenia, że nie było żadnego wielkiego przedsięwzięcia, do któregoby jego pomocy nie proszono. Rozkazywał przyjaciołom, a niszczył przeciwników, wszędzie obecny, wszędzie wpływowy. Nikt nie mógł powiedzieć, jakie są skarby Nadira, ale wiedziano, że żaden maharadża całego cesarstwa z nim w porównanie wejść nie mógłby. I ciągle dalej przypływała bogatą strugą ze wszystkich stron kraju fala złota. Służba jego liczyła się na setki ludzi wszelkich kolorów; sama straż osobista wynosiła sto osób. Dwór jego był zawsze pełen gości, interesantów, bogatych i biednych, ucztujących i proszących, a on, przypatrzywszy się im zbliska i długo, poznał, że oni wszyscy to jeden człowiek: człowiek, przychodzący do niego po pieniądze.

Kiedy rozmawiano czasem na wytwornym tarasie z różowego marmuru, a słońce mieniło się kolorami zawieszonych na koralowych słupach girland z opalów i różowych brylantów, i kiedy jeden z obecnych, mówiąc o kimś, zapytał: czy to człowiek dobry? a drugi: czy to człowiek mądry? a trzeci: czy to człowiek wytworny? — Nadir jednę miewał myśl:

"Za ile ten człowiek się sprzeda?"

Uwierzył, że wszystko, ach, ale i wszystkich można kupić. Dlatego nie zbliżył nigdy żadnej niewiasty aż do swojego serca, z obawy, że ona pokocha nie jego, ale jego bogactwo. Wyjeżdżał czasem na wiernym swoim wierzchowcu Omarze, samotnie wędrując w dali od swych rozległych dóbr. Napotkał raz dziewczę o kilka lat młodsze od siebie i zapłonął miłością do niej. W najściślejszej utrzymując tajemnicy, kim jest, postanowił pojąć ją za żonę, jeżeli jego samego, nie wiedząc o majątkach, wybierze za męża. Lecz kiedy dopiął celu, dowiedział się, że piękna dziewczyna była narzędziem w ręku swego kochanka, a jego dworzanina, i że, kłamiąc nieświadomość, zakradła się do jego skarbca przez serce. Nadir powiesił kochanka w oczach swojej żony, a jej na ten widok serce pękło.

Nie został nikt Nadirowi, kogoby on kochał i komu ufałby, że jego kocha, prócz jednej istoty na świecie. Gdy spojrzał w oczy swego Omara, tam znajdował jedyne przyjazne, kochające spojrzenie, któremu ufał, że pochodzi z przeżytych wspólnie wrażeń, z bezinteresownego oddania się, z... miłości.

Któż opisze ból Nadira, kiedy przyszło mu pożegnać tego jedynego serdecznego druha?

Odprowadzał Nadir w niewielkim orszaku świetnych gości z dalekiego Tybetu, gdy stał się nieszczęśliwy wypadek. U granic najpiękniejszej posiadłości Nadira, zwanej Muszlą Perły, ognie sztuczne przygotowane w uroczej dolinie, ponad którą stał orszak, z niewiadomo czyjej winy zmieniły kierunek i poparzyły śmiertelnie Omara. Trzej przyboczni lekarze Nadira napróżno zarządzili wszystko, co było w ich mocy. Rozesłano kurjerów na wsze strony po dalszą pomoc, ale koń posłał już tylko ostatnie wierne spojrzenie swemu panu, bolesne spojrzenie pożegnania, i pochylił głowę.

Odtąd nie widział Nadir w niczyich oczach przyjaźni, którejby ufał; miłości, w którąby wierzył; przywiązania, któreby go ogrzało; bodajby wdzięczności, tej najzimniejszej, tej najbiedniejszej złotówki, jaką płaci serce. Często w samotności wzdychał: "Dlaczego to wszystko? dlaczego? wszak i ja jestem człowiekiem!"

Inne było życie Mira.

Mir nie mając jeszcze lat trzydziestu doskonale znał wszystkie języki, jakiemi posługują się w olbrzymiem cesarstwie, a kiedy zjeżdżali się do niego po naukę i poradę w najzawilszych sprawach wysocy dygnitarze i wielcy uczeni, każdego przyjmował mową we własnym języku gościa i słynął nietylko z rozległej wiedzy, bystrego umysłu, dociekającego sprytu i jasności wywodu, ale niemniej z łagodnej uprzejmości tak dla wielkich jak dla małych i z dobrotliwej pobłażliwości prawdziwego mędrca.

Tak był ceniony, że nieraz z Lhassy przyjeżdżali do niego duchowni, lamowie, na głębokie pogawędki, a ogród jego, położony tuż pod Delhi, lecz osłonięty gaikiem od wrzawy wielkomiejskiej, był przez lata znany i poważany jako najroskoszniejszy przytułek dla spragnionych wielkiej wiedzy, miejsce wytwornych uczt duchowych, źródło porady, nauki, pokrzepienia i oświecenia. Raz nawet sam Dalaj Lama, ów szczyt największego na świecie zrzeszenia religijnego, panujący nad duchowem życiem trzeciej części wszystkich ludzi żyjących dziś na ziemi, wyraził życzenie poznania sławnego uczonego i Mir przyjmowany był w Lhassa jako osobisty gość Dalaj Lamy. Spędził z nim kilka godzin na niezapomnianej nigdy pogawędce, której z zapartym oddechem przysłuchiwała się rzesza wybranych.

Długi czas po tej wizycie Mir żył wspomnieniem odznaczenia, które sławę jego u całego cesarstwa otoczyło aureolą. Lecz przywykł do tego uwielbienia i pożądał większej sławy, takiej, która rozniosłaby imię jego dalej, hen, poza olbrzymi świat indyjski. Nawiązał stosunki z obcymi uczonymi i niebawem z Chin i z Japonji i z Korei przybywali nowi przyjaciele, przygnani do skromnego ogrodu Mira splendorem jego imienia i głębią jego wiedzy. Często bywało, że wierni wyznawcy rozmaitych światopoglądów, wyznawcy Buddhy, Konfucego, Zoroastra, Szintoiści, ramię w ramię przechadzali się w cieniu daktyli, to z sobą rozmawiając, to słuchając ze skupioną uwagą rozstrzygnień wytwornego gospodarza.

Pierwsze białe nitki siwizny zaledwie zaczęły srebrzyć krucze włosy Mira, kiedy cała Azja rozbrzmiewała już jego nazwiskiem. Pracował wciąż, nieprzerwanie, aby dostojnego swego miejsca nie uronić, aby w pierwszeństwie nazwiska nikomu nie dać się ubiec. I dalej sięgał, niż po sławę Azji samej. Obszernemi studjami swemi zarówno objął wszystką naukę Europy i Ameryki, a w wieku, w którym inni ledwo wychodzą na świat szerszy z ciasnego rozgłosu wśród swoich ziomków lub uczniów, on przyjmował u siebie znakomitych uczonych przybyłych w dalekiej podróży z krańców Europy. Żaden książę europejski nie przejeżdżał przez Delhi, nie złożywszy wizyty u Mira, a on miał dobre słowo i mądrą uwagę dla wszystkich, którzy sercu jego sprawili tę roskosz, że okazali mu, iż sława jego do nich dotarła.

Lecz gdy już niemal nie stało świata do zdobywania, bo imię swoje sądził znanem na całej zamieszkanej kuli ziemskiej, gorycz rozczarowania miała umartwić go pod samym jego bokiem.

Mir, w otoczeniu kilku znakomitych gości z różnych stron świata, wyszedł na przechadzkę. W stronie jego mieszkania mało już było domów, a niebawem doszli do ostatnich zabudowań na granicach miasta.

Kuźnia stała tam niewielka, ale codzień w godzinach porannych oblegana przez różne pojazdy, drogocenne kolasy i małe wózki, juczne koniki i taczki ciągnione przez ludzi. Kowal sam

jeden, bez pomocnika, naprawiał koła i orczyki, podkuwał konie, spieszno, na poczekaniu, ani na chwilę nie folgując sobie aż do południa. Ale skoro ranny dojazd do miasta ustawał, nie było w Delhi człowieka, leniwiej oddającego się wywczasowi.

W czasie takiego przedwieczornego wywczasu zaszła poprzed kuźnię jego grupa znakomitych ludzi. Szli bez oznaczonego celu, zwolna, a jeszcze co gorętszą wymianą zdań raz po raz wstrzymywani. Przed kuźnią przystanęli i — pragnąc stwierdzić jakiś wynik swej uczonej rozmowy przez porównanie ze zdaniem prostaczka — zagadnęli kowala.

Kowal składał się we dwoje i czołobitność wszelką okazywał, ale ze zdaniem swojem wyruszyć jakoś nie myślał. Aby go zachęcić do otwartości i upewnić, że nie rozmawia z szpiegami, powiedział do niego Czin Kwą, słynny pedagog z Kantonu:

"Możesz mówić szczerze, zacny gospodarzu i godny przyjacielu. Wszak jesteśmy gośćmi Mira".

"Jakiego Mira?" zapytał kowal, pierwszy raz okazując błysk zaciekawienia w przymrużonych oczach.

"Oto tu tego wielkiego Mira, gwiazdy Indyj, dumy Wschodzącego Świata, chwały żyjącego pokolenia, które szczęśliwe jest tem, że Mirowi jest współczesne. Wszak wiesz o Mirze?"

"Ja znam jednego Mira; rozwoził kozie mleko i pozostał mi dłużny pół rupji, kiedy go do aresztu zamknęli".

Historja owej pół rupji ożywiła kowala i począł ją ze szczegółami wykładać obecnym, biadając nad swoją łatwowiernością i obliczając możliwości odebrania tej sumy, skoro za trzy miesiące wypuszczą dłużnika z więzienia. Przeszedł potem do opowiadania o losie kozy, która została bez pana; o zajęciach i charakterze owych sąsiadów, którzy kozę do siebie wzięli. Towarzystwo jednak nie dzieliło wielkiego zainteresowania, jakie okazywał dla tej sprawy kowal, i po chwili ruszyło dalej, pozostawiając kowala z niedopowiedzianą historją.

Przechadzka była piękna; wykwintne myśli snuły się dalej przez wytworną rozmowę, a tylko dostojny gospodarz nie brał w niej udziału. Drapieżnemu ptakowi, który lęgł się od lat w jego duszy, urósł szarpiący, zębaty dziób.

Kiedy cały świat przystępny oku i umysłowi człowieka objął swoim duchem; kiedy zgłębił związek między rzeczami i tajnie bytu; kiedy ludzie całej zamieszkałej kuli ziemskiej wdzięcznie poznali dzieło, jakie stworzył ze siebie przez pracę całego życia: to tu, w jego miejscu zamieszkania, o mały krok od jego ogrodu, pełnego zawsze najznaczniejszych zastępców ludzkości, żyje człowiek, który nigdy o nim nie był słyszał. Więc jego sława ma granice. Gdzie one? Blisko czy daleko? Czy ten człowiek jest wyjątkiem, czy może tych sto tuzinów uczonych, co z oddali tysięcy mil zjeżdżają się do niego, to mieszkańcy tejsamej małej wysepki, na której i on żyje, wpośród nieskończonych i niezgłębionych mórz nieuctwa, głupoty i złości?

Mir już nigdy nie powrócił do dawnej równowagi. Gnała go choroba sławy, taniej, głośnej; chciał się słyszeć i być słyszanym, robił ustępstwa i w pogoni za poklaskiem tracił niezawisłość sądu i pewność siebie. Czasem patrzył w siebie z osłupieniem i łzy ronił na ruinach dawnego Mira. Im bardziej stawał się sobie obcym i przykrym, i jarmarcznym i niskim, tem bardziej chciał ogłuszać się głośną chwalbą otoczenia. Do czasu go to oszołomiało, lecz gdy pewnego trzeźwego i samotnego wieczora naga nędza jego rozgłosu spojrzała mu w oczy, Mir własną ręką zakończył życie.

Przypomnijmy sobie jeszcze trzeciego towarzysza, Suradżę. Jego życie znacznie węższym poszło torem, aniżeli życie jego dawnych przyjaciół. Suradża do handlu szczęścia nie miał, ale mimo to przez całe życie go się trzymał. Osiadłszy w Ahmadabad, gdzie zapoznał się z wielu młodymi rzeźbiarzami, kupował od nich rzeźby, których nikomu sprzedać nie mogli. Czuły na sztukę, spostrzegał często talenty tam, gdzie innym lat potrzeba było do uznania nowego mistrza, a nieraz wydarzało się, że dzieła kupione od młodego artysty dlatego, że ich nikt inny kupić nie chciał, przynosiły Suradży znaczne sumy, skoro ten, w kim odkrył zawczasu wielki talent, doszedł do rozgłosu.

Dobroć Suradży gromadziła naokoło niego licznych wykpigroszów, tak, że jakiekolwiek bywały jego zarobki, pieniądze znikały, jak woda w piasku pustynnym. Działo się to ku wielkiemu utrapieniu żony Suradży, kobiety zapobiegliwej i chętnej za młodu, ale z czasem zgorzkniałej i zniecierpliwionej zachowaniem męża, który zawsze miał słowo usprawiedliwienia dla każdego, kto mu krzywdę wyrządził. Mówił on z tak ujmującym uśmiechem, nie na twarzy lecz w oczach, o naturalnej niewinności człowieka i o tem, że źle robić można tylko pod przymusem opłakanych stosunków, że rozpędzał chmury z zasępionego oblicza niewiasty i godził ją z losem. Może i nie godziła się na to, co Suradża mówił, ale nie można było nie rozjaśnić się na widok tego łagodnego słonka, jakie świeciło w dobrem spojrzeniu jego.

Nietylko tłumaczył wszystkim na dobre, cokolwiek i niedobrego zrobili, ale we wszystko, co spotykał, wlewał poezję swojej duszy, miłość do rzeczy.

Kiedy wychudły i osłabiony leżał na ubogiej pościeli, a żona podawała mu odwar w nadbitej misce, Suradża z upodobaniem przyjrzał się pięknemu malowidłu i przypomniał sobie młodego twórcę tego dzieła z przed lat dwudziestu, przez niego w świat wprowadzonego, a dzisiaj sławnego. Wszedł właśnie Selim, dozorca podwórza, prostak, mahometanin, i w samych

drzwiach drwiącym żartem Suradżę pozdrowił. Suradża pobłażliwie odpowiedział, a już po chwili znowu w swoich obrazach utonął, w których żona była wdzięczna i dobrotliwa, i Selim usłużny i przyjazny, i otoczenie dostatnie i wygodne.

"Czy lepiej ci, Suradża?" zapytała żona.

"Mnie bardzo dobrze, bardzo".

Selim znając głupotę starego, zakpił sobie:

"Bo też ty, Suradża, wszystko widzisz błędnie".

"Kto z nas może wiedzieć, co jest prawdą a co błędem? Obaczmy naprzykład, Selimie: jakiego koloru jest twoja ręka, Selimie?"

Selim podjął obie dłonie i przez jaką chwilę im się przypatrywał.

"Koloru? jakiego koloru? a no jak ręce."

"No przecież, Selimie, powiedz: białe, czarne, brunatne?"

"Brunatne" — zdecydował się Selim.

"Otwórz drzwi" — poprosił Suradża. Jasne słońce wpadło do izby oświetlając stare, poniszczone, niegdyś piękne, kobierce i wazy. "Przypatrz się ręce do słońca, Selimie. Jakiego koloru jest twoja ręka?"

Selim podniósł rękę, silne światło słoneczne ją prześwietlało.

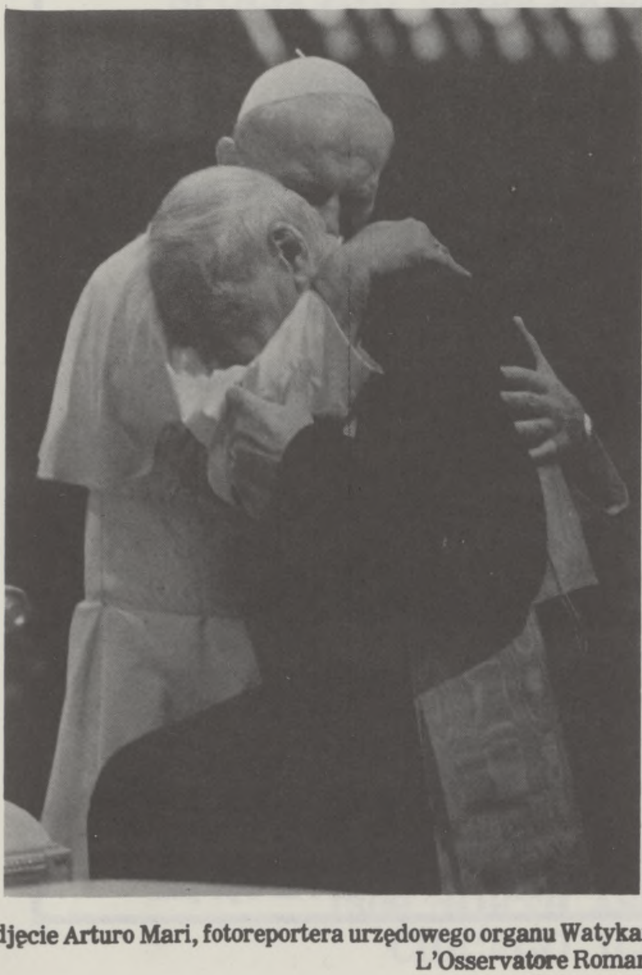
"Teraz różowa", odparł Selim.

"Widzisz, Selimie, tasama ręka, a raz ją tak widzisz, inny raz inaczej. Ja widzę rzeczy, nie wiem, czy prawdziwie czy błędnie, ale tak jak ty widziałeś swą rękę, kiedy silne światło słoneczne dochodziło twoich oczu złagodzone przez twoją krew serdeczną, płynącą przez rękę. Rozum człowieka jest ostry, jak światło słoneczne; niech je przepuści przez serce, a zobaczy rzeczy tak różowo, jak ty swoją rękę. Ja tak widzę, Selim."

Selim z politowaniem pokiwał głową i poszedł.

Kiedy niedługo potem wynieśli zwłoki Suradży, odprowadzało go grono przyjaciół. Przyjaciół, którzy mu dobrze robili, i takich, którzy mu złem zapłacili za dobre. Każdy czuł w ciężkiem swem sercu kawał jego serca, który na zawsze pozostał w tych, co się z nim za życia spotkali.

Wielkość i Pokora



Zdjęcie Arturo Mari, fotoreportera urzędowego organu Watykanu L'Osservatore Romano.

Przejmujący w swojej wymowie hołd duchowego przywódcy Polski, Prymasa Stefana Wyszyńskiego, złożony Namiestnikowi Chrystusowemu w czasie obejmowania władzy przez Ojca św. Jana Pawła II (b. arcybiskupa metropolitę krakowskiego Karola Kardynała Wojtyłę).

Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce

Najstarsza organizacja bratniej pomocy, ufundowana na zasadach religijnych i patriotycznych, prowadzi działalność religijną i społeczno-kulturalną we wszystkich stanach, gdzie istnieją Towarzystwa ZPRK w AM.

Naczelnym zadaniem Zjednoczenia jest zjednanie w szeregi organizacji Amerykanów polskiego pochodzenia, którym oferuje różnego rodzaju plany ubezpieczenia na życie, korzystne dla wszystkich członków rodziny.

Wydział Kobiet Zjednoczenia rozwinął ożywioną działalność nad młodzieżą, zakładając szkółki języka polskiego, śpiewu i tańców polskich. Organizuje konkursy, popisy i festiwale młodzieżowe. Otacza opieką Zjednoczeńców w wieku emerytalnym.

Zjednoczenie założyło i z wielkim nakładem funduszów utrzymuje Archiwum i Muzeum, dedykowane całej Polonii Amerykańskiej.

Zjednoczenie wydaje, 92-ty rok z rzędu w języku angielskim i polskim dwutygodnik "NARÓD POLSKI," jaki otrzymują wszyscy członkowie.

Szerzy ideę sportu przez organizowanie drużyn i turniejów w różnych dyscyplinach.

Współpracuje z innymi organizacjami w sprawach, dotyczących Polonii Amerykańskiej, Ameryki i Polski.

Adres Zarządu Głównego:

POLISH ROMAN CATHOLIC UNION
of North America

984 N. Milwaukee Ave.
Chicago, Illinois 60622
TELEFON (312) 278-3210

Pod tym samym adresem mieści się MUZEUM POLSKIE W AMERYCE—godziny zwiedzania: każdego dnia w tygodniu oraz w soboty i niedziele od 1 do 4 po poł.

ZWIĄZEK POLEK W AMERYCE

SPOŁECZNO UBEZPIECZENIOWA ORGANIZACJA
DLA KOBIET i DZIECI

Posiada Grupy w Większych Osiedlach Polskich
w Stanach Zjednoczonych

PROWADZI DLA MŁODZIEŻY KLASY
JĘZYKA POLSKIEGO ŚPIEWU i TAŃCÓW POLSKICH
ORGANIZUJE ZJAZDY MŁODZIEŻOWE
DAJE STYPENDIA NA STUDIA UNIWERSYTECKIE
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Wypłacono Członkiniom i Spadkobiercom $42,004,713
Majątek Wynosi $32,253,106

GŁÓWNE BIURA:

Polish Women's Alliance of America

1309 NORTH ASHLAND AVENUE
CHICAGO, ILLINOIS 60622

Związek Podhalan w Północnej Ameryce

Ks. T. F. Wincenciak, Kapelan

Józef Króżel, prezes
Józef Gil, wiceprezes
Kazimiera Kasrzak, wiceprezeska
Helena Trunko, Sekr. gen.
Teresa Gardner, Sekr. fin.
Helena Augustyn, kasjerka
Józef Kowalkowski, marszałek
Felix Lesnicki, chorąży
Tadeusz Tomecki, chorąży
Janina Duda, korespondentka
Józef Czerwinski, gospodarz domu

i DYREKCJA

Legion Młodych Polek

w Chicago

REPREZENTACYJNY BAL AMARANTOWY L.M.P.

10 Lutego 1979 **Hotel Conrad Hilton**

SKŁAD ZARZĄDU L.M.P. 1977-1978

GRAŻYNA CIOROMSKA, Preszeska
ALICJA ŻUREK, Wiceprezeska
ELEANORA BALONEK, Skarbnik
STEFANIA JAGIELSKA, Sekr. Fin.
MARIA KRAKOWSKA, Sekr. Koresp.
WANDA KASS, Sekr. Protok.
JANE WILCZYNSKA, Kronikarka

DYREKCJA

KLARA JAMROŻEK
SHARON ZUREK
JOANNA KOSIŃSKA
* HELENA RACZYŃSKA
* NINA BUSSE
* HELENA KEMPA
* REGINA JAKUBOWSKA
* SABINA JAKUBOWSKA
* WŁADYSŁAWA CHAŁKO
* FLORENTYNA KUBACKA
* EUGENIA MICZKO
* LEOKADIA BYCZKOWSKA
* HENRYKA GRAJEWSKA
* HELENA PIEKŁO

** Byłe prezeski*

Serdeczne Życzenia Dalszego Rozwoju

Polonii i Jej Organizacjom

Ze

Związkiem Narodowym Polskim Na Czele

składają

Mr. & Mrs.

WALTER KOZIOŁ

ANTIOCH, ILLINOIS

SERDECZNE ŻYCZENIA
BŁOGOSŁAWIEŃSTWA BOŻEGO



Związkowi Narodowemu Polskiemu
z Prezesem
mec. Alojzym Mazewskim na czele
przesyła

PARAFIA ŚWIĘTEGO JACKA

ZAŁOŻONA W ROKU 1894
74 LATA W SŁUZBIE KATOLICKIEJ POLONII

Kościół Św. Jacka

3636 W. WOLFRAM **CHICAGO, ILL. 60618**

KS. MARJAN GIENKO, C.R., Proboszcz

Wikariusze:
KS. LUDWIK GRACZ, C.R. KS. CZESŁAW NORKIEWICZ, C.R.
KS. LEONARD PRUSINSKI, C.R. KS. JAN KONIECZNY, C.R.

Rezydenci:
KS. JÓZEF SAMBORSKI, C.R.

ADMINISTRATOR (KOŚCIÓŁ) MATKI BOSKIEJ FATIMSKIEJ
KS. TADEUSZ ZYGOWICZ, C.R.



Serdeczne Życzenia Dalszego Rozwoju

Polonii i Jej Organizacjom

WATRA CHURCH GOODS CO.

JAN I IRENA SKUPIEŃ, Właściciele

2848 W. Cermak Road Chicago, IL 60623



Stała i Wieczna

ZYWA PAMIĘĆ

Pamiątkowy kielich lub cyborium (puszka na komunikanty) wygrawerowane z pamięcią o Waszym najdroższym zmarłym, który można podarować potrzebującym misjom lub jakiemuś księdzu, którego wybierzecie, będzie zawsze żywym wspomnieniem, pięknym i niezwykłym. Szybka dostawa, celem wystawienia w domu pogrzebowym. Ornaty, Alby i wiele innych Przedmiotów Liturgicznych i Religijnych dla Waszej Parafii Polsce. Także posiadamy inne pamiątki, które przyniosą wiele zadowolenia, radości i wdzięczności za Wasze dobre serca i pamięci o nich.



Przemysław Inglot,
prezes

Największej i najbardziej zasłużonej
ORGANIZACJI POLONIJNEJ JAKĄ
JEST

ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI

życzymy dalszych sukcesów i twórczych osiągnięć w służbie kultury i interesów naszej grupy etnicznej oraz jej pozycji w świecie Amerykańskim

INGLOT

ELECTRONICS

CORPORATION

4878 N. ELSTON

TEL. 286-5881 **Chicago, Ill. 60630**

ZAUFANIE:

NASZ NIEWIDOCZNY KAPITAŁ

FEDERAL SAVINGS AND LOAN INSURANCE CORPORATION — SAFETY OF YOUR SAVINGS — INSURED UP TO $40,000

Alliance Savings, była to jedna z wielu nowych nazw w dziedzinie obsługi oszczędnościowej, w roku 1915. Oczywiście, posiadaliśmy znajomość tej dziedziny i dobre intencje, ale niewiele więcej. Wzrośliśmy głównie z tego powodu, że ludzie wierzą nieustępliwie w fachowość, uczciwość, prawość i pewność. Nie zawiedliśmy naszych klientów i dawno już staliśmy się znani jako "Najbardziej Godna Zaufania Nazwa Dla Waszych Pieniędzy."

Dzisiaj jesteśmy dumni z tego, że w tym aspekcie czas nic nie zmienił w Alliance.

ALLIANCE SAVINGS

The Most Trusted Name for Your Money

5359 W. Fullerton Ave., Chicago, Ill. 60639
8303 W. Higgins Rd., Chicago, Ill. 60631
4740 W. 95th St., Oak Lawn, Ill. 60453
(Colonial Savings, a division of Alliance Savings)
111th St. and Southwest Highway, Palos Hills, Ill 60465
(Colonial Savings, a division of Alliance Savings)

FSLIC

The most trusted name for your money

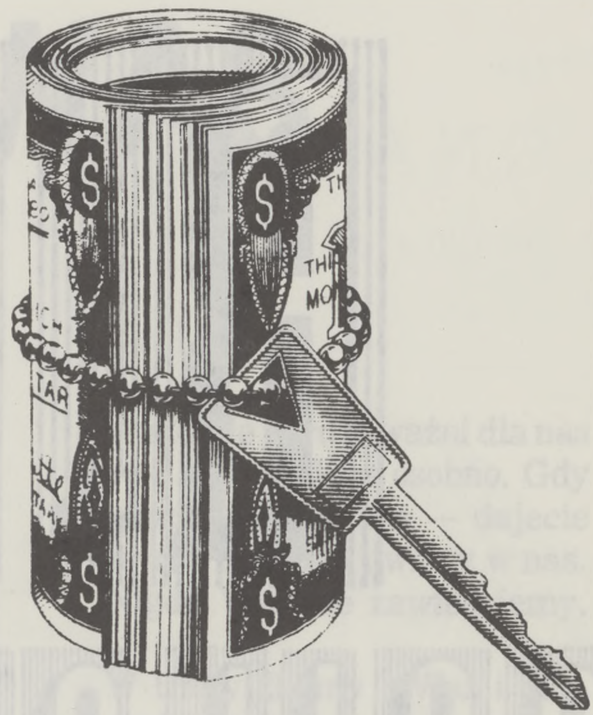
Pewność, Bezpieczeństwo i Zaufanie!

Przez okres wielu lat prowadzenia spółki oszczędnościowej te główne i podstawowe zasady są w pełni stosowane w tej Polskiej Spółce Oszczędnościowo-Pożyczkowej.

MEMBER
FSLIC
Federal Savings and Loan Insurance Corp.
Your Savings Insured to $40,000

ZAŁOŻONY W 1912 ROKU





OFFICERS:

Walter A. Ropa, President
Hon. Matt Ropa, Treasurer
Colette C. Cekal, Secretary
Vito A. Di Dominico, Vice President

BOARD OF DIRECTORS:

Walter A. Ropa
Leonard P. Slotkowski
Martin Kubiak
Hon. Matt Ropa
Dr. Louis Zelazo
Edwin F. Kucik, Sr.

WYSOKIE DYWIDENDY NA OSZCZĘDNOŚCIACH

PEOPLES *Federal* SAVINGS & LOAN ASS'N OF CHICAGO

1618 W. 18th St. Blisko ASHLAND AVE.
HAymarket 1-5500 Chicago, Ill. 60608

CHARTERED AND SUPERVISED BY THE UNITED STATES GOVERNMENT

GODZINY OSZCZĘDZANIA

Poniedziałek, Wtorek, Czwartek, 9 rano do 4 po poł. — Piątek, 9 rano do 7 wiecz.
Sobota, 9 rano do 12:30 w poł. — Zamknięte w środy i oficjalne święta.

SERDECZNE ŻYCZENIA

Pomyślnego Rozwoju

Całej Polonii i Jej Organizacjom Składa

R.C.

COILSPRING

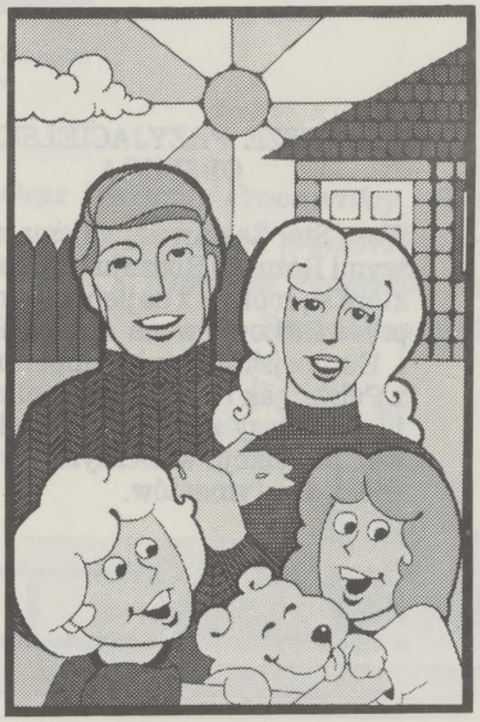
MANUFACTURING Co., Inc.

CHESTER SAWKO, prezes *MITCHELL SAWKO, wiceprezes*

•Adw. VICTOR SAWKO, sekr. i radca prawny

1772 W. Armitage Court i 901 S. Kay Ave.
ADDISON, ILL. 60101
Telefon 629-9550

UNITY DBA O WAS.



Jesteście bardzo ważni dla nas . . . każdy z Was osobno. Gdy oszczędzacie u nas — dajecie wyraz zaufania i wiary w nas. Nigdy Was nie zawiedziemy.

W Unity dbamy o Was i udowodniamy to przez czynienie więcej dla Was i dla Waszej rodziny.

FSLIC · EQUAL HOUSING LENDER

UNITY SAVINGS

Pozycji aktywnych ponad $600 milionów

- 4242 North Harlem Avenue, Norridge
- 1805 East Golf Road, Schaumburg
- Woodfield Mall, Schaumburg
- 8361 Golf Road, Niles
- 4864 Irving Park Road, Chicago
- 1146 Lake Street, Hanover Park

Najserdeczniejsze Życzenia Dla
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO

ASHLAND SAUSAGE CO.

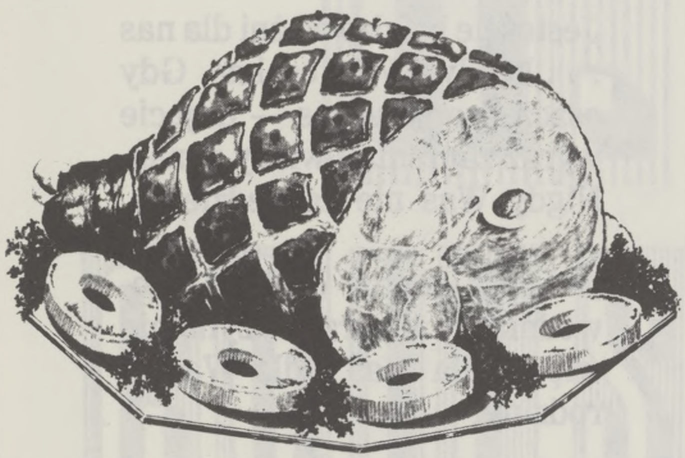
1009 N. ASHLAND AVE. **TEL. BR 8-8863**

oraz

2713-15 W. DIVISION ULICA **TEL. 278-3400**

GNATEK'S SAUSAGE

1722 W. CHICAGO AVE. **Telefon: CAnal 6-5146**



ZAWSZE PRZYJACIELSKA OBSŁUGA

Wasz Stół Zastawcie Najsmaczniejszymi Różnego Rodzaju Wędliniami, które są robione z najlepszego mięsa przez fachowców na sposób Polski i Europejski. Szynki importowane z Polski, jak również różnego rodzaju delikatesy z Polski. Także krajowej produkcji w licznym wyborze wielu asortymentów.

TAKŻE SZYNKI IMPORTOWANE
Krakus i Atalanta
Z POLSKI I Z INNYCH
KRAJÓW EUROPEJSKICH

NA WASZ STÓŁ POLECAMY
Wielki Wybór
Wędzonych i Pieczonych Szynek,
Kiełbas i Boczków
Oraz Wszelkiego Rodzaju
Wyrobów Masarskich
Wyśmienitych i Przyrządzonych
Na Polski Sposób

Prosimy Bardzo o Odwiedzanie Naszych Sklepów,
Celem Przekonania Się o Naszych Doskonałych Wyrobach i Przystępnych Cenach

W Uznaniu Zasług
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
Dla Stanów Zjednoczonych, Narodu Polskiego
i Polonii Amerykańskiej



Ś.p. JÓZ. B. SŁOTKOWSKI
Założyciel

RODZINA SŁOTKOWSKICH



LEONARD P. SŁOTKOWSKI
Prezes

Oraz Wszyscy Pracownicy i Reprezentanci Największej Polskiej Wytwórni Wędlin Na Środkowym Zachodzie Pod Kontrolą Federalną Obsługującą Obecnie Cały Teren Stanów Zjednoczonych.



SLOTKOWSKI SAUSAGE CO.

2013-37 WEST 18TH STREET
CHICAGO, ILLINOIS 60608
TEL. (312) 226-1667

1918 — OBCHODZIMY 61 LECIE ISTNIENIA FIRMY — 1979

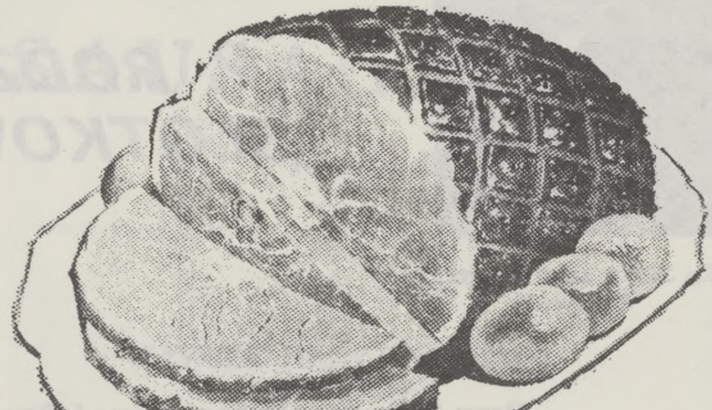
LEONARD P. SŁOTKOWSKI
Prezes i Zarządca

DR. EUGENE SŁOTKOWSKI
Wiceprezes

ZAPRASZAMY WAS DO NASZYCH POLSKICH SKLEPÓW!

Na różne rodzinne uroczystości i każdą okazję

NA WASZ STÓŁ polecany wielki wybór wędzonych i pieczonych szynek, kiełbas domowego wyrobu i ręcznie krajanych, oraz wszelkiego rodzaju wyśmienitych wędlin. Wiele doskonałych delikatesów importowanych z Polski oraz innych krajów.



BOBAK'S

SAUSAGE SHOP and DELICATESSEN

a to: 1100 W. 47-my Place	**Tel. 847-1794**
1658 W. 47-ma Ul.	**Tel. 847-4845**
3651 W. Diversey Ave.	**Tel. 489-3677**
4045 W. 47-ma Ul.	**Tel. 247-7122**
5255 W. Fullerton Ave.	**Tel. 237-9025**
2933 W. 43-cia Ulica	**Tel. 247-1729**

OAZA Palm Terrace

1250 Milwaukee Ave. **Telefon 342-0180**

IRENA i STANISŁAW IDZIK, Właściciele

BANQUETS



NASZE PRZYJĘCIA WESELNE
i NA INNE OKAZJE
MAJĄ OPINIĘ UCZT
DLA WYBREDNYCH
SMAKOSZÓW

Tak wygląda jedna z dwóch pięknych sal OAZA PALM TERRACE

OTO PRZYKŁADOWE MENU

Do wyboru:

Cocktail Owocowy lub Czerwony Barszczyk
Lub Rosół z Kury

Do wyboru dwie potrawy jarzynowe:

Strączkowa Fasola — Świeża Marchewka — Groszek
Surówka (Cole Slaw) — Świeża Zielona Sałata
— Mizeria

Do wyboru:

Tarte Śmietankowe Kartofle lub
Całe Gotowane Kartofle ze Szczyptą Pietruszki

Główne Danie:

Kura Pieczona na Maśle
Wyśmienita Pieczeń Wołowa w Smacznym
Sosie z Paluszkami
Smaczny Bigos z Polską Kiełbasą

Deser:

Jello w Foremce — Jello Śmietankowe
— Lody — Ciasto Francuskie
— Kołaczki — Pączki
Mleko — Kawa — Herbata

Nakrycie Stołu Czerwonym lub Białym Obrusem — Świeży Kwiat — Lampki Stołowe — Tort Weselny z Obsługą do Krojenia

Mamy jeszcze
wolne daty na
przyjęcia w r. 1979
na wszystkie okazje



Nowy front domu, w którym mieści się Oaza Palm Terrace.

OBECNIE DWA BIURA DO WASZYCH USŁUG

555 E. Butterfield Rd. • Lombard 60148 • Phone: 963-2700

—oraz—

1715 W. 47th St. • Chicago 60609 • Phone: 523-3145

5¼% Plus!
KONTA NA KSIĄŻECZKĘ

5¾%
90 DNIOWE CERTYFIKATY OSZCZĘDNOŚCIOWE

6½%
1 ROCZNE CERTYFIKATY OSZCZĘDNOŚCIOWE

FEDERAL HOME LOAN BANK SYSTEM MEMBER

Procenty Składane Dziennie
Wypłacane Kwartalnie

MEMBER FSLIC Federal Savings & Loan Insurance Corp. Your Savings Insured to $40,000

7½%
4-LETNIE CERTYFIKATY OSZCZĘDNOŚCIOWE

7¾%
6-LETNIE CERTYFIKATY OSZCZĘDNOŚCIOWE

8%
8-LETNIE CERTYFIKATY OSZCZĘDNOŚCIOWE

EQUAL HOUSING LENDER

PROSPECT FEDERAL
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

KUCZAK
SAUSAGE SHOP
INC.



W uznaniu zasług na ZBLIŻAJĄCĄ SIĘ Setną ROCZNICĘ istnienia Związku Narodowego Polskiego zasyła gratulacje Polska Masarnia

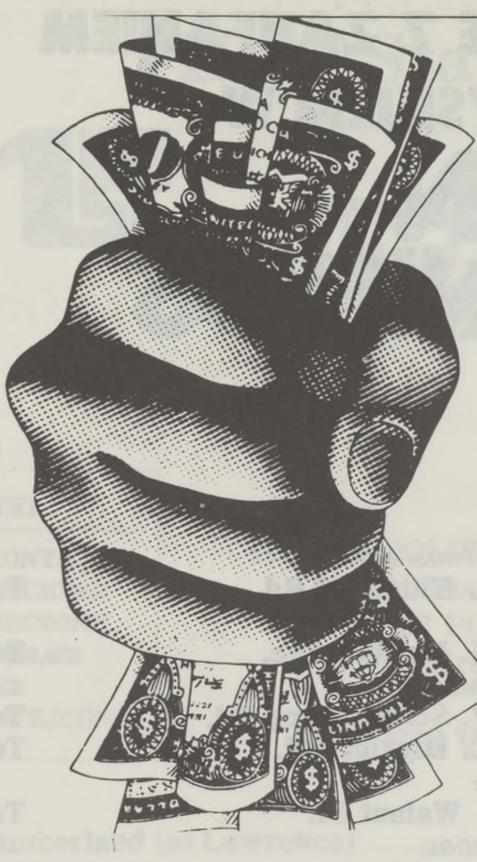
RODZINY KUCZAKÓW!

EUROPEJSKI WYRÓB WĘDLIN

HOME MADE SAUSAGES

5205 W. Belmont Ave. i **6247 N. Milwaukee Ave.**
Telefon: 545-6634 **Telefon: 792-1492**

Rodzina Kuczaków — wraz z całym personelem.





ST. ANTHONY SAVINGS

1447 South 49th Court, Cicero 50, Illinois

Dla Związku Narodowego Polskiego — wiele pomyślności i osiągnięcia jak najlepszych sukcesów w Waszych poczynaniach i zamiarach dla Waszej Bratniej Organizacji oraz Całej Polonii

DYWIDENDY NA WSZYSTKICH OSZCZĘDNOŚCIACH PŁATNE TERAZ KWARTALNIE

31 marca • 30 czerwca
30 września • 31 grudnia

TELEFONY: — w mieście 242-4395
• Na przedmieściach 656-6330

GODZINY: — Poniedziałek 9-8, Wtorek, Czwartek i Piątek 9-5, Sobota 9-1, Środa zamknięte.

JÓZEF F. GRIBAUSKAS, Sekr. Wykon.
Cieszymy się waszymi przyjacielskimi wizytami. — Kasjerzy i pracownicy mówią po polsku.

SZCZERE ŻYCZENIA
Dalszego Rozwoju, Dalszego Sukcesu
w Każdym Kierunku
ORAZ WIELE POMYŚLNOŚCI
w pracy dla dobra spraw polskich i Polonii

—— zasyła ——

NAJWIĘKSZY POLSKI BANK
NA ZACHODNIO-PÓŁNOCNEJ STRONIE
MIASTA CHICAGO

WSZYSTKIE

WASZE KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE SĄ ZABEZPIECZONE DO SUMY $40,000 PRZEZ RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH



Parkway Bank & Trust Company

4777 N. HARLEM AVE. (Harlem przy Lawrence Ave.) **Telefon 867-6600**

DENNIS VOSS, Chairman of the Board

OSZCZĘDZAJCIE BEZPIECZNIE Z ZAUFANIEM I DYŻYM DLA WAS ZYSKIEM W

CRAGIN FEDERAL SAVINGS

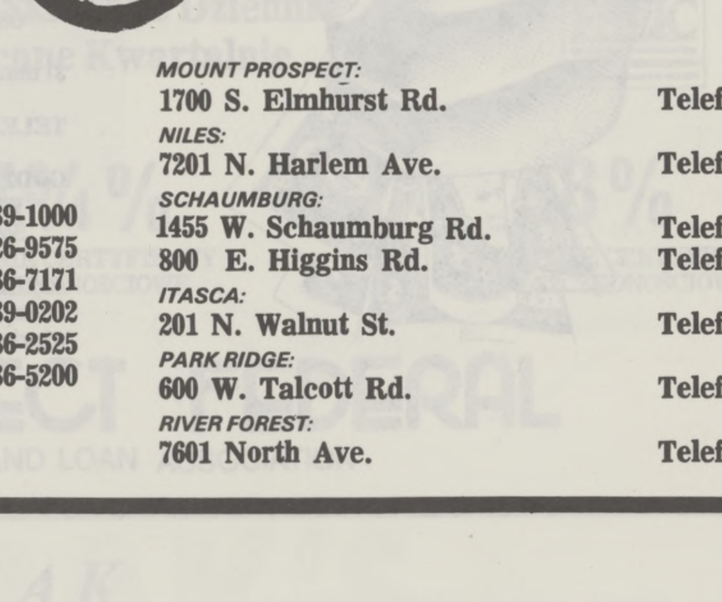
GROW WITH US

NASZE LOKACJE:

CHICAGO:

5200 W. Fullerton	Telefon: 889-1000
5144 W. Chicago	Telefon: 626-9575
3201 N. Harlem	Telefon: 286-7171
4738 N. Cumberland	Telefon: 589-0202
5742 W. Belmont Ave.	Telefon: 286-2525
3350 W. Diversey	Telefon: 486-5200

MOUNT PROSPECT:	
1700 S. Elmhurst Rd.	Telefon: 437-7850
NILES:	
7201 N. Harlem Ave.	Telefon: 647-7733
SCHAUMBURG:	
1455 W. Schaumburg Rd.	Telefon: 893-0440
800 E. Higgins Rd.	Telefon: 884-0100
ITASCA:	
201 N. Walnut St.	Telefon: 773-0008
PARK RIDGE:	
600 W. Talcott Rd.	Telefon: 692-2200
RIVER FOREST:	
7601 North Ave.	Telefon: 366-5690



Od wielu lat słynie ze swej chętnej i grzecznej obsługi dla szerokich mas publiczności
POLSKA INSTYTUCJA FINANSOWA

Public Savings & Loan Association

OF CHICAGO

6422 W. Archer Ave., Chicago, Ill.
Tel. 586-1600

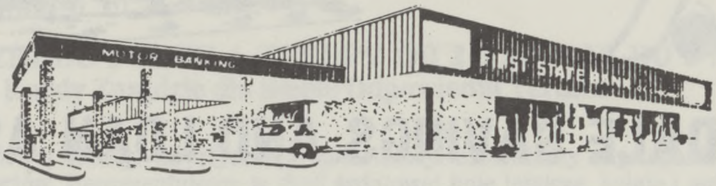
ROBERT ROPA, Prezes i Zarządca

TYSIĄCE ZADOWOLONYCH KLIENTÓW OBSŁUGUJEMY ROCZNIE.

Bądźcie i Wy zadowoleni i dla swej lepszej przyszłości oszczędzajcie, za które to Wasze oszczędności płacimy wysokie dywidendy.

U NAS TEŻ MOŻECIE POŻYCZYĆ NA ZAKUPNO WŁASNEGO BUDYNKU.

FIRST State Bank of Chicago



WSZYSTKIE

WASZE KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE SĄ ZABEZPIECZONE DO SUMY $40,000 PRZEZ RZĄD STANÓW ZJEDN.

BEST WISHES
TO THE POLISH NATIONAL ALLIANCE MEMBERS
May All Your Hard Work and Long Hours Bring
THE POLISH NATIONAL ALLIANCE
Great Success and Good Luck.

DENNIS VOSS, Chairman of the Board

4646 Cumberland (at Lawrence) **Phone 625-6600**

JESTEŚMY NA USŁUGACH POLONII OD PRZESZŁO 40 LAT

Manufacturers Bank

1200 N. ASHLAND AVE.
Tel.: BR 8-4040

Członek Federal Deposit Insurance Corporation

ZASOBY PONAD 120 MILIONÓW DOLARÓW

68 Lat Uczciwej — Nieprzerwanej Służby Dla Polonii



AVONDALE SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

Założone w Roku 1911

TRZY DOGODNE LOKACJE

2965 Milwaukee	Tel. 772-3600
7557 W. Oakton Ul. (przy) Milwaukee Ave., Niles, Ill.	Tel. 966-0120
8300 W. Belmont Ave., Chicago, Ill.	Tel. 625-8300

5½% NA KONTACH NA KSIĄŻECZKĘ

PROCENTY SKŁADANE WYPŁACANE DZIENNIE OD DATY ZDEPONOWANIA DO DATY PODJĘCIA NA KONTACH OSZCZĘDNOŚCIOWYCH NA KSIĄŻECZKĘ

Specjalnością naszą, to pożyczki na domy — Morgecze. Także Pożyczki na ulepszenie, naprawę i modernizację domów. Nigdy nie żądamy przedpłaty na pożyczkach czynszowych u nas. Umiarkowane spłaty i procenty na pożyczkach.

Najwyższe Dywidendy Płacimy Od Waszych Wszystkich Oszczędności na Certyfikaty na $5,000 4 Lata Dojrzewania 7½% Płatne Kwartalnie.

Oszczędności Zaasekurowane do $40,000 Przez Federal Savings & Loan Insurance Corp.

ZARABIAJCIE NAJWYZSZE DOZWOLONE RATY

6½%	6¾%	7½%	7¾%
Rocznie	Rocznie	Rocznie	Rocznie
$1,000 Minimum	$1,000 Minimum	$5,000 Minimum	$5,000 Minimum
1-Roczne	30-Miesięczne	4-Letnie	6-Letnie
CERTYFIKATY DEPOZYTOWE	CERTYFIKATY DEPOZYTOWE	CERTYFIKATY DEPOZYTOWE	CERTYFIKATY DEPOZYTOWE



Wypłacane Kwartalnie

8% Rocznie, $5,000 Minimum
8-Letnie Certyfikaty Depozytowe
$10,000 6-Miesięczne Certyfikaty Rządowe

TERAZ POSIADAMY DWA BIURA

LOOMIS SAVINGS and Loan Association

6350 W. 63rd St.	**1359 W. 51st St.**
Chicago, IL 60638	Chicago, IL 60609
Tel. 586-6900	**Tel. 927-6701-2**

JOSEPH E. KWIATT
Prezes
DAVID M. OPAS
Sekretarz i Zarządca Wykonawczy

Na FLORYDĘ, do KALIFORNII, na HAWAJE i do LAS VEGAS

PO SŁOŃCE I WYPOCZYNEK

PRZEZ LAS TRAVEL

LICZNE WYCIECZKI DO POLSKI I EUROPY OD 2 TYGODNI DO 3 MIESIĘCY

Każdy Znajdzie dla Siebie Odpowiedni Termin

Udzielamy fachowej obsługi turystycznej i notarialnej: załatwiamy zaproszenia, przedłużania paszportów. Reprezentujemy w skali światowej linie lotnicze, koleje i autobusy. Załatwiamy rezerwacje hoteli i moteli w znanych uzdrowiskach w Polsce jak Krynica, Ciechocinek itp.

AUTORYZOWANY AGENT PEKAO załatwia przesyłki pieniężne, wysyła paczki żywnościowe, samochody osobowe i ciężarowe, sprzęt rolniczy i materiały budowlane, paczki pakowane bez ograniczenia wagi i wielkości.

WAŻNE DLA WYJEŻDŻAJĄCYCH NA STAŁE DO POLSKI

SPRZEDAJEMY DOMY JEDNO RODZINNE I MIESZKANIA SPÓŁDZIELCZE PRZEZ PEKAO WE WSZYSTKICH MIASTACH POLSKI — CENY BARDZO PRZYSTĘPNE

LAS TRAVEL BUREAU

6002 W. Irving Pk. Rd. **Tel. 725-6773**

AUTORYZOWANY AGENT IATA

G. R. INTERNATIONAL
TRAVEL BUREAU

POLSKIE BIURO PODRÓŻY

Ewa Rokossowska, właścicielka

NA ROK 1979 TANIE PRZEJAZDY DO POLSKI

W RÓŻNYCH TERMINACH DOGODNYCH DLA WAS

- ★ **WYSTAWIAMY NA MIEJSCU BILETY SAMOLOTOWE na podróże w kraju i zagranicą**
- ★ **ZAŁATWIAMY SPRAWY WIZOWE I PASZPORTOWE.**
- ★ **TŁUMACZENIA DOKUMENTÓW**
- ★ **SPROWADZANIE KREWNYCH NA POBYT STAŁY I CZASOWY.**
- ★ **SAMOCHODY DO POLSKI**
- ★ **PRZESYŁKA PACZEK i PIENIĘDZY DO POLSKI.**
- ★ **PEŁEN ZAKRES USŁUG PEKAO**
- ★ **ZAŁATWIANY WYSYŁKĘ GOTOWYCH (zapakowanych) PACZEK DROGĄ LOTNICZĄ I MORSKĄ**

3210 N. CENTRAL i 1948 West 51st Street

Tuż przy Belmont; Tel. 777-8189 **Tel. 925-6200**

PARAFIA
ŚWIĘTEJ TRÓJCY

ZAŁOŻONA W ROKU 1873
105 LAT W SŁUŻBIE KATOLICKIEJ POLONII

Obecnie prowadzona przez
Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego
KS. KAZIMIERZ POLIŃSKI, C.R., Proboszcz

Ks. Mieczysław Pawełko, C.R., Wikariusz

1118 N. NOBLE ST. Tel. HUmboldt 9-4140
CHICAGO, ILL. 60622

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA



Wszystkiego Najlepszego — wiele sukcesów i powodzenia dla dobra mojej i Waszej organicacji, dla sprawy polskiej i całej Polonii, Wydajnej pracy i dalszego rozwoju w latach następnych

zasyła

Chester M. PRZYBYŁO

ADWOKAT
ATTORNEY AT LAW

Syndyk Macierzy Polskiej

32 W. Washington St. Chicago, Ill. 60622

Biuro na północno-zachodniej stronie miasta:

2351 W. Augusta Blvd. Chicago, Ill. 60622

Phone: 489-5040

5339 N. MILWAUKEE AVE. TAKŻE BIURO ADWOKACKIE Tel. 631-2525

STEEL CITY NATIONAL BANK

WE ARE THE BANK THAT MAKES LOANS
3030 East 92nd — Tel. SO 8-1900
Chicago, Ill. 60617

AUTO BANK DRIVE-IN
i LOBBY TELLERS
Od Poniedziałku do Środy
8 rano — 5 po poł.
W Czwartki od 8 rano do 8 wiecz.
W Piątki od 8 rano do 7 wiecz.
W Soboty od 8 rano do 3-ej

Member Federal Deposit Ins. Corp.
Wszystkie wkłady ubezpieczone do $40,000

DON MOLL — Prezes

OBSZERNE BEZPŁATNE PARKOWISKO

CENTRAL FOODS INC.

939-45 N. California **Tel. 276-4700**

HURTOWNIA ARTYKUŁÓW SPOZYWCZYCH oraz DELIKATESÓW

KRAJOWYCH i IMPORTOWANYCH

ZAOPATRUJE: sklepy, restauracje, tawerny, hotele, szpitale oraz kluby i organizacje w liczne różne artykuły pierwszej potrzeby. Towar dowozimy własnymi trokami na miejsce w 24 godzinach od czasu złożenia zamówienia.

W naszym obszernym magazynie mamy stale na składzie artykuły codziennej potrzebny jak: świeże jajka, otrzymywane bezpośrednio z farmy z Wisconsin, duży wybór serów m.in. Andrulis, Ser Matki, twaróg i Philadelphia. Importowane: Polski Tylżycki, Primula, wędzone duńskie i szwajcarskie. Masło L of L w kostkach, oraz t.zw. Reddies, chip i whipped butter, farmerskie, pakowane przez nas tzw. Roll Butter (5 funtów rolka) i Ball Butter ½ funta, White Satin, Margaryna i olej Super Gold.

Kapusta kiszona w beczkach, ogórki kiszone na sposób polski t.zw. processed pickles i amerykański tzw. Green Pickles, chrzan, musztarda i ocet.

Cały asortyment pakowanych warzyw w słoikach firmy King Sobieski.

Posiadamy 20 gatunków sałat i zup firmy Hamtowns, której jesteśmy przedstawicielami na terenie Chicago.

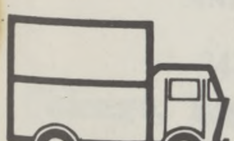
Pierogi świeże i mrożone pod nazwą "ANN" z serem, kapustą i ziemniakami. Ryby wędzone, smażone, solone w puszkach oraz marynowane w słoikach (moskaliki, rolmopsy). Kaszę tatarczaną i jęczmienną.

Sałaty, Jello i budynie firmy Rocheleau.

Posiadamy importowane z Polski warzywa w słoikach, kompoty, soki, dżemy, miody, cukierki, czekolady i pierniki. Szynkę Atalanta i Krakus. Grzyby suszone i marynowane, konserwy rybne, garnuszki, talerze dekoracyjne i ścierczki z motywami tańców polskich i wzorami ukraińskimi.

Jedyny przedstawiciel na stan Illinois.

Z innych krajów świata na uwagę zasługuje około 30 gatunków konserw rybnych, miody, soki, kapusta w winie, dżemy Hero, czekolada Tabler, Lindt i Droste, konserwy mięsne, Maggi bulion i zupy, placki i knedle ziemniaczane, herbata angielska Twining i kawa Jacobs. Przyprawy do pieczenia oraz budynie Oetker i inne.



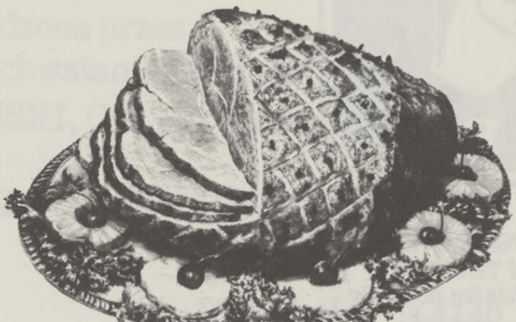
Przyjmujemy zamówienia telefonicznie a także wysyłamy swojego przedstawiciela na miejsce.

MOWIMY PO POLSKU.

OBECNIE PRACUJEMY
od 8 rano do 6 wieczorem; od poniedziałku do piątku.

Na Waszym Stole Zawsze Powinny Mieć Miejsce Najlepsze Wędliny
Wszelkiego Rodzaju Wyrabiane
— przez —
Pierwszorzędny Sklep Wyrobu Wędlin Wszelkiego Rodzaju Domowego Wyrobu,
Doskonałego Gatunku
Z najlepszego mięsa kiełbasy polskie, wszelkiej jakości szynki amerykańskiego i polskiego wyrobu. Także szynki z Polski KRAKUS i ATALANTA.
Ceny są bardzo przystępne i grzeczna obsługa.
POLSKI SKLEP — Bracia Jan i Eugeniusz Łuszcz, Właściciele

John & Gene Meat & Delicatessen



Właściciele Sklepu Wędlin i Różnego Rodzaju Mięsa oraz Delikatesów Importowanych z Polski

5254 W. ROSCOE ULICA

Tel. 545-7105

Przybądźcie, Spróbujcie, Przekonajcie się sami o jakości i doskonałym smaku naszych wszelkiego rodzaju wędlin, które słyną już w naszej dzielnicy i okolicy.

PIĘKNIE ODNOWIONE SALE
DO WYNAJĘCIA NA WSZELKIE OKAZJE
ORAZ OGRODY PIKNIKOWE
polecają



STANISŁAW i TERESA WOŹNIAK

właściciele

WOZNIAK'S CASINO

2530 BLUE ISLAND AVE. **Tel. 847-7900**

Catering Service • Całkowicie Ochładzane • Sala Balowa, Piękne Sale Na Bankiety, Wesela, Zebrania Organizacji oraz Różne większe i mniejsze Przyjęcia na Wszystkie Okazje • Kręgielnia o 10 Torach • Sypialne Pokoje z Prywatnymi Urządzeniami • Wspaniały Obszerny Ogród na Pikniki z Barami, Kioskami i Stołami • Duża Platforma do Tańca • Duży Plac do Parkowania.

UMIARKOWANE CENY DOSKONAŁA OBSŁUGA

UNION FEDERAL

INSTYTUCJA BEZPIECZNEGO OSZCZĘDZANIA OD 1897 ROKU OFERUJE

NAJWYŻSZE PROCENTY OD OSZCZĘDNOŚCI

5 ¼ % ROCZNIE

NA OSZCZĘDNOŚCIACH
NA KSIĄŻECZKĘ
Dywidendy Płatne Kwartalnie

6 ½ % 1 Roczny Certyfikat
Minimum $1,000
(Płatne Kwartalnie)

CZARTER FEDERALNY
OPIEKA FEDERALNA

7 ½ % 4 Letni Certyfikat
Minimum $5,000
(Płatne Kwartalnie)

Wasze Inwestycje Do $40,000
Są Zabezpieczone

UNION
FEDERAL SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO

3430 S. Halsted St.
Chicago, Ill. 60608 Tel. 523-2800
i
4647 W. LINCOLN HIGHWAY
1214 NORTHWEST HIGHWAY
PALATINE, ILL. 60067
Tel. 991-4800

GODZINY:
poniedziałek — wtorek, 9 rano do 4 po poł.;
środa zamknięte; czwartek 9 rano do 8 wiecz.;
piątek, 9 rano do 6 wiecz.;
sobota, 9 rano do 1:00 po południu.

Nasza Rodaczka, zawsze czynna i
popierająca wysiłki całej
społeczności Polonijnej

DR. DENTYSTA

TERESA D. MIGIELSKA

**5841 W. Belmont Ave.
Chicago, Ill. 60634
Tel. 622-1685**

Najdoskonalsze Wyroby Mięsne i Delikaty



**Na Wasz stół
zawsze
zaopatrzycie
się w polskim
sklepie wędlin**

MIKITA'S
SAUSAGE SHOP

**Janusz i Barbara Mikita, Właściciele
4410 MILWAUKEE AVE. Tel. AV 3-4794**

Mamy Polską Kiełbasę Ręcznie Krajaną,
Szynki Wędzone i Pieczone, Smaczne i
Soczyste na Wasz Stół na Każdą Okazję.

Gdyby, co nie daj Boże, żałoba i smutek nawiedziły Was przez śmierć bliskej Wam, ukochanej osoby — powierzcie nam urządzenie Jej pogrzebu, a uczynimy wszystko co jest w naszej mocy, aby odbył się on na wysokim poziomie, z powagą i szacunkiem godnym pamięci osoby zmarłej.

FORTUNA
Funeral Home
Polski Dom Pogrzebowy
4401 S. Kedzie
CHICAGO, ILL. 60632

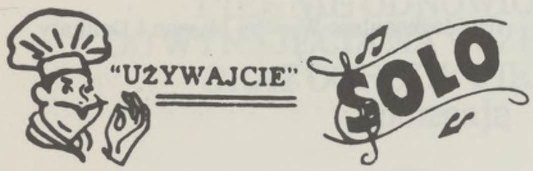
Tel. LAfayette 3-7781 lub 7782

FINE ARTS STUDIO
1452 W. Chicago Ave.
POLSKI ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

LUDWIK I HELENA SKIKIEWICZ
Właściciele Studia

Specjalnością Naszą Są Fotografie Slubne, Pojedyńcze i Grupowe

Zdjęcia Dzieci do Komunii Swiętej i Podczas Graduacji, Ukończenia Szkoły. Każde Nasze Zdjęcie Jest Piękne i Czarujące
Po Umówienie telefonujcie:
HAymarket 1-0610



DO NOWOCZESNEGO PIECZENIA W DOMU

"UŻYWAJCIE"

OD RAZU — GOTOWYCH DO UŻYCIA
MAS
DO TORTÓW I PIECZYWA
•
Sprzedawanych We Wszystkich Czołowych Składach



14 WYŚMIENITYCH MAS DO WYBORU

- Z MAKIEM
- ŚLIWKOWA
- ANANASOWA
- BRZOSKWINIOWA
- WIŚNIOWA
- ORZECHOWA
- MALINOWA
- MORELOWA
- MIGDAŁOWA
- DAKTYLOWA
- BANANA
- BLUEBERRY
- PECAN
- TRUSKAWKOWA

Napiszcie po BEZPŁATNĄ Broszurę z Przepisami i po Premiowe Oferty
SOKOL & COMPANY
5315 Dansher Rd., Countryside, Ill.
Tel. 242-4660

We use no fillers or preservatives in our sausages.
We still use the old fashion natural spices, and smoke our sausage the old fashion way

HARCZAK SAUSAGES
HOME MADE



OPEN SUNDAY
Over 50 Varieties of Home Made Sausages

5145 W. DIVERSEY
637-1730

238 N. YORK RD.
834-0330
(ELMHURST, ILL.)

5760 MILWAUKEE AVE.
Tel. 744-1924

7035 HIGGINS ROAD
631-8400

119 CAMPBELL
253-7585
Arlington Heights

8117 MILWAUKEE
YO7-9788

4340 N. CENTRAL AVE.
KI5-1007

6738 BELMONT
AV 3-5822

OTWARTE PRZEZ CAŁY DZIEŃ W NIEDZIELĘ
Doskonałej domowej roboty kiełbasy, szynki wędzone, boczki i wiele innych doskonałych wędlin. Wszelkiego rodzaju szynki Krakus i Atalanta.

Także importowane z Polski i innych krajów Europejskich.

JAJKA ŚWIEŻE Z FARM.

WSZYSTKO PO PRZYSTĘPNEJ CENIE.
Dlatego udajcie się do pierwszorzędnych sklepów europejskich wędlin.

SERDECZNE ŻYCZENIA DLA ZARZĄDU ZNP

W Dalszych Latach Waszej Pracy Dla Największej Polskiej Organizacji Dalszego Rozwoju Wiele Sukcesów we Wszelkich Poczynaniach

——— przesyła ———



Dr. EDWARD J. KROL

WEST LAWN MEDICAL BLDG.
4255 W. 63rd Street   Telefon: RE 5-4884

Najserdeczniejsze Życzenia 1979 Roku dla Całej Polonii
Wszystkiego najlepszego w Waszych zamiarach i poczynaniach, oby Wasze wysiłki dały jak najlepsze owocne rezultaty w Waszym dalszym życiu
— zasyła —

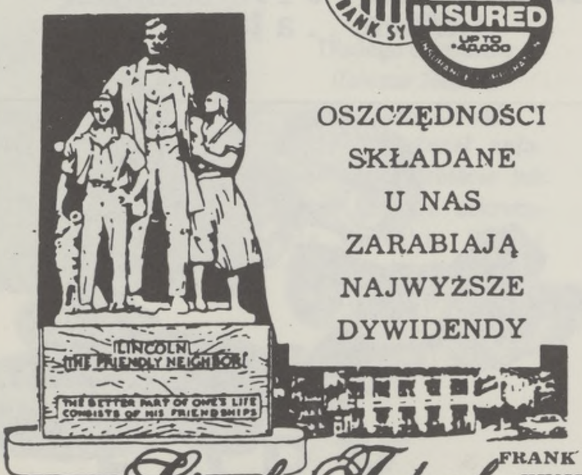


Kazimierz (Casey) Laskowski, Właściciel

CASEY LASKOWSKI
FUNERAL HOME

4540-50 W. Diversey Avenue
Róg Kolmar
Tel. 777-6300

63 **lat praktycznego doświadczenia w wysokiej klasy morgeczach, oznacza zabezpieczenie naszych oszczędzających.**



OSZCZĘDNOŚCI SKŁADANE U NAS ZARABIAJĄ NAJWYŻSZE DYWIDENDY

Założone 1916 *Lincoln Federal* **FRANK J KINST Prezes**

SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION OF BERWYN

Lincoln Circle - 6655 W. Cermak Road - Berwyn, Ill.
Telefon: PI9-1900 - B I 2-2017

Jest to Główne Biuro. Kilka filii mieści się na przedmieściach

DOSKONAŁEGO WYPIEKU CHLEB I INNE WSZELKIEGO RODZAJU CIASTA.
Pytajcie o Nie w Waszych Sklepach Towarów Spożywczych i Delikatesach.

ROSEN'S BAKERY

Tylko Ona Wypieka
CHLEB, BUŁKI i INNE CIASTA
słynne w Chicago i okolicy



PIEKARNIA i HURTOWNIA:

3015 West Lake Street
Tel. VAn Buren 6-1614

Dla lepszej przyszłości
Was i Waszej Rodziny
oraz dla bezpieczeństwa,
oszczędzajcie stale
z Waszych dochodów,
gdzie otrzymacie
wysokie dywidendy.

FEDERAL SAVINGS AND LOAN
SAFETY OF YOUR SAVINGS
INSURED
UP TO $40,000
INSURANCE CORPORATION



"NAJLEPSZA NA ZACHODZIE"
55 Lat Doskonałej Obsługi w Oszczędnościach
i Pożyczkach na Domy na Zachodnich
Przedmieściach

RIDGELAND SAVINGS

AND LOAN ASSOCIATION

6650 W. Cermak Rd.

Tel. GUnderson 4-7600 **Berwyn, Illinois**

WM. J. RAYSPIS, Prezes i Zarządca

SERDECZNE ŻYCZENIA
ZWIĄZKOWI NAR. POLSKIEMU
i CAŁEJ POLONII

— składają —

Zarząd i Pracownicy Polskiej Firmy

TESKO

Welding MFG., Co.

WALTER SKONIECZNY

4425 W. KINZIE

i

4612-18 W. MAYPOLE

COlumbus 1-5728 lub 626-6792

ZJEDNOCZONE POLKI W AMERYCE

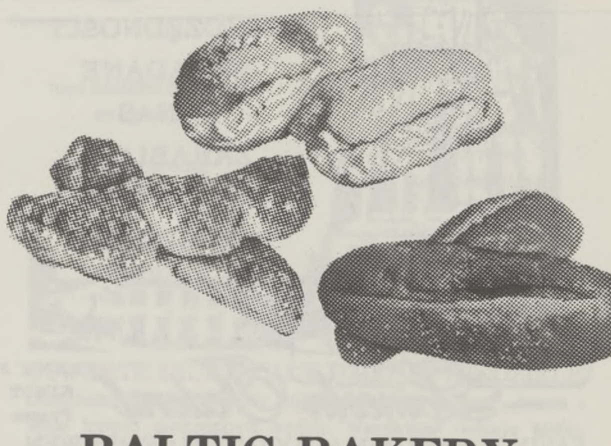
(Organizacja Siostrzanej Pomocy)

1200 N. Ashland Avenue
Chicago, Ill. 60622
278-9048

ZOFIA KUZNIAR, Prezeska
ANIELA SUDER, Wiceprezeska
MARIA URBASZEWSKI, Sekr. Gen.
KAZIMIERA KULCZEWSKI, Skar.

Dyrektorki:
Stefania Sekula, Maria Kulma i
Genowefa Daly

Dobrze Jest Wiedzieć
Gdzie Jest Dobra Piekarnia
Jeszcze Lepiej Wiedzieć
Gdzie Pieczywo Wszelkiego
Rodzaju Jest Po Przystępnych
Cenach. . . a to w:



BALTIC BAKERY

4627 S. HERMITAGE AVE.
Doskonale pieczywo wszelkeigo rodzaju, codzieńnie
swieże i smaczne. Na Wasze rodzinne uroczystości
zamawiajcie wcześniej, dzwoniąc:
LA 3-1510 — Mówimy Po Polsku

BEST WISHES
TO ALL
OUR
POLISH
FRIENDS

from

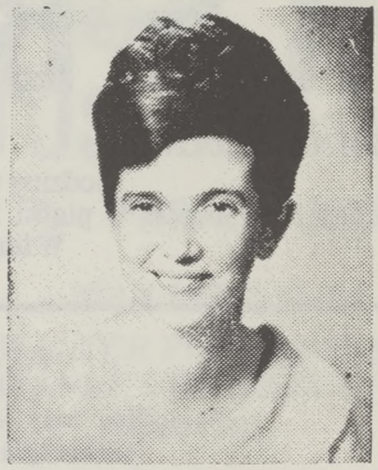
NEWSPAPERS DRIVERS
LOCAL 706
INTERNATIONAL BROTHERHOOD
OF TEAMSTERS OF CHICAGO

TONY JUDGE
President

GEORGE M. FLANNERY
Secretary-Treasurer

300 S. Ashland Ave. **Tel. 738-1190**

NA USŁUGACH POLONII
Czynna także w poczynaniach społecznych



DR. HALINA
KAY-KWIATKOWSKA
LEKARZ — DENTYSTA

Professional Building
7100 W. Higgins Ave.

Chicago, Ill. 60656 **Tel. 775-3333**



We Wszelkich
Sprawach
Zawsze Byłem
Dla Ludu
i z Ludem
Dlatego Osobiście
Zawsze Jestem
Na Wasze Usługi
Będę się starał załatwić sam osobiście lub przez mojego sekretarza wszelkie Wasze sprawy i problemy.

JOHN G.
FARY

Kongresman 5-go Dystryktu



Serdeczne życzenia dalszej owocnej, pożytecznej i tak szlachetnej pracy w następnych latach dla dobra Waszej organizacji, dla członków i całej Polonii amerykańskiej
Zasyłają

Dr. Kazimiera J. Sajewska

oraz

Dr. Konrad Mazeski

BIURA OPTOMETRYCZNE

NORTHWEST SUBURBAN OFFICE

201 West Prospect Avenue

MOUNT PROSPECT, ILLINOIS

Telefon 392-4900

Dokładna Egzaminacja Oczu Przed
Dobraniem Okularów
Długoletnie Doświadczenie.
Pierwszorzędne Przyrządy
Do Badania Wzroku i Gruntowna Wiedza

Dalszego pomyślnego rozwoju w służbie Polonii
Związkowi Narodowemu Polskiemu — składa

DR. MED. MAREK

REBANDEL

SPECJALISTA-GINEKOLOG

2200 N. LINCOLN — **Tel. 871-3444**

Godziny urzędowania pod powyższym adresem:
Środy 3—6 po poł., w piątki 11—2 po poł. i w co trzecią sobotę od 11 rano do 3 po poł.
W inne dni po telefonicznym umówieniu.

BE A GOOD CITIZEN

You help your commnunity and yourself when you save regularly. PARK FREE next to our building.

CITIZEN SAVINGS

& LOAN ASSOCIATION

GEORGE C. BASTA, Pres-

3917-19 W. 26th St., Chicago, Ill. — RO 2-1264
and
107 East Plainfield Rd., Willowbrook, Ill. 60521 — Tel. 325-6610

St. Paul Federal Savings

OFFICES IN CHICAGO AND SUBURBS

Member Federal Savings and Loan Insurance Corporation

EQUAL HOUSING LENDER

Chicago Home Office
6700 W. North Ave., 60635/(312) 622-5000

It's your life. It's your money. We help you make the most of it.

Serdeczne Życzenie Dla
Całej Polonii
Wiele Pomyślnego Sukcesu
w Waszych Poczynaniach
w Latach Waszej Pracy
Na Niwie Narodowej
i Społecznej
składa

Dr. B. J. TATAROWICZ

Zawsze popiera wszystko co polskie
i co jest z polskością zwi ązane

Na Wasz stół zawsze miejcie najsmaczniejsze i najlepsze wędliny domowego wyrobu, produkowane na sposób polski, europejski i amerykański, oraz różnego rodzaju delikatesy.



Ceny przystępne. Bardzo duży wybór.
UCZYŃCIE TO W POLSKIM SKLEPIE WĘDLIN

FOREST VIEW SAUSAGE STORE INC.

6452 Milwaukee **Tel. 775-3088**



LOTUS

PASTRY SHOP

2501 N. LOTUS ULICA

WALTER PODMANSKI i STANLEY ŁUKASZCZYK
właściciele,

którzy ukończyli szkołę cukierniczą w Polsce, zapraszają Was po bardzo smaczne wypieki: Wszelkiego rodzaju Ciasta, Chleb, Bułeczki, Torty Weselne, Urodzinowe i na wszelkiego rodzaju uroczystości rodzinne. Otwarte 7 dni w tygodniu, od 6-ej rano do 7 wiecz., w niedzielę do 3-ej po południu. Nasze ceny są bardzo przystępne.

Po zamówienia telefonować 622-5943

Serdeczne Życzenia Dalszych Sukcesów Związkowi Narodowemu Polskiemu
— składa —

JAPCZYK
MOVERS

4379 Scott Street
Schiller Park, Ill.
KI 5-0406

Serdeczne Życzenia dla Związku Narodowego Polskiego
— składa —

ARCHER-KEDZIE BOWL

4300-06 S. Kedzie **847-2096**

Jest to jeden z naszych Rodaków, który zawsze serdecznie popiera wszystko co jest polskie i z polskością związane.

DR. WALTER J. ŚWIATEK

OPTOMETRYSTA
2209 West Cermak Road — Main Floor
Jeżeli potrzebujecie okularów, udajcie się do naszego Rodaka z całym zaufaniem.
Telefon VIrginia 7-6592

SERDECZNE ŻYCZENIA DLA NOWEGO ZARZĄDU ZNP

FEDERAL SAVINGS AND LOAN — SAFETY OF YOUR SAVINGS — INSURED UP TO $10,000 — INSURANCE CORPORATION

GUARANTY SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION

3854-56 W. 26th Street **Phone CR 7-5300**

STANLEY DVORAK, Prezes

OSZCZĘDZAJ BEZPIECZNIE i Z ZAUFANIEM

PONAD 75 LAT POD GODNYM ZAUFANIA A ZARZĄDEM

Polski Sklep Wędlin, Mięsa i Wszelkich Towarów Spożywczych

SLEZAK MEAT MARKET

2101 W. CHICAGO AVE.
Tel. HUmboldt 6-7685
Szynki Wędzone
Wyborową i Niezrównaną w Smaku
Krajaną Domowej Roboty
Kiełbasę Polską, Doskonałe Kabanosy
naszą specjalnością.
Boczki, oraz Wiele Doskonałych Wędlin

Oraz Wiele Innych z Najlepszego Mięsa Najprzedniejszych Wędlin Własnego Wyrobu Na Sposób Polski i Europejski. Także Importowane Szynki z Polski.

CENY PRZYSTEPNE — WYBOR WIELKI.

Polska Restauracja

F. & T.

Tel. 252-1150



Sandwich Shop

John Truty, Właściciel
SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA
LIKIERY i WÓDKI
1182 MILWAUKEE AVENUE
CHICAGO 22, ILLINOIS

Skorzystajcie z naszej najwyższej bieżącej dywidendy daje Wam zysk plus bezpieczne ulokowanie

FAMILY FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

W CENTRUM CICERO 25th STREET

NA ZACHÓD OD LARAMIE
Bezpłatne Parkowanie

5217-25 W. 25th St.
Założona w 1910-tym

Tel. OLympic 6-0100 lub Bishop 2-2924
FRANK SOBOTKA, Sekretarz i Zarządca

Jeden z naszych dzielnych rodaków, popierających zawsze sprawy polskie materialnie i moralnie to —

Dr. Henry C. Lewandowski

6449 S. Pulaski Road **Telefon 767-3744**

SUKCESÓW
W DALSZEJ PRACY
DLA CAŁEJ POLONII
składa

BUSY BEE Restaurant



Zofia Madej
z mężem Henrykiem
Właściciele

DOMOWA KUCHNIA, SMACZNE I SWIEZE POTRAWY ORAZ GRZECZNA POLSKA OBSŁUGA

1546 N. Damen Avenue • Tel. EVerglade 4-8775

SERDECZNE ŻYCZENIA
DLA ZNP i CAŁEJ POLONII

Adwokat Stanley i Dr. Bruno

KRZEMINSKI

1351-53 W. 51st St. **VI 7-7367**

PIĘKNE KWIATY
Na Wszelką Okazję
Prosimy Was Zamawiajcie
w Tej Popularnej i Znanej
Kwiaciarni



BERNARD ARRIVO FLORIST, INC.

11943 S. Crawford Ave.
Alsip, IL. 60658
Tel. 597-3771
PIĘKNE KWIATY NA JAKĄKOLWIEK OKAZJĘ
DLA WSZYSTKICH Z WASZEJ RODZINY

NA WASZ STÓŁ MIEJCIE ZAWSZE Doskonałe Domowej Roboty Wszelkiego Rodzaju Wędliny. Najlepszego Gatunku Polską Kiełbasę, Ręcznie Krajaną; Szynki Wędzone, Smaczne i Soczyste. Wiele Innych Delikatesów Importowanych i Krajowej Produkcji

AVONDALE SAUSAGE

Norbert J. i Patricia A. Sobczak, Właściciele
3028 MILWAUKEE AVENUE
Telefon: AL 2-6151

Poza regularnymi studiami lekarskimi, po kilku latach praktyki specjalizacji jako chirurg, obecnie urzęduje w swym jedynym biurze nowocześnie urządzonym. Zawsze jest dla usług wszystkich.

DR. TADEUSZ A. POREMSKI

5645 Milwaukee Ave.
Telefon SPring 4-6822

Członek Tow. Bartosza Głowackiego
Grupa 899 ZNP

Pawinski

Funeral Home

AMBULANS NA KAŻDE ZAWOŁANIE
Polecamy się łaskawej pamięci, kiedy żałoba i smutek nawiedzi Wasz dom — uczynimy wszystko aby Wam pomóc.
2728 W. 15th Ave. i Marshall Pl.
Tel. Area Code 219—949-0190

SAJEWSKI

MUSIC STORE

Największy i Najstarszy Skład Muzyczny i Wydawnictwo Polskich Nut i Płyt, które Sprzedajemy i Wysyłamy

1227 Milwaukee Ave. Chicago, Ill. 60622

Tel. ARmitage 6-3452

STANLEY LESNIAK, JR. Prezes

RAINBOW ROOFING CO.

POLSKA FIRMA

Nowe Dachy, Reperacja Dachów i Izolacja

Ceny Niskie. Obliczenia Darmo.

Robota Gwarantowa.

3413 N. CENTRAL AVE. 777-4667

Serdeczne Życzenia Dalszego Rozwoju w Służbie Interesów Polonii składa Związkowi Narodowemu Polskiemu

LOYAL CASKET CO.

134 S. California Ave. **3280 S. California Ave.**
SAcramento 2-4065-6 **478-8676**

SERDECZNE ŻYCZENIA DLA ZNP

DR. BRUNO VALADKA

LEKARZ SPECJALISTA UROLOG
5720 W. FULLERTON AVE. TEL. ME 7-0025

SERDECZNE POZDROWIENIA
CAŁEJ POLONII
i WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM

MALEC

FUNERAL HOME

Dwa Nowoczesne Zakłady Pogrzebowe
6000 MILWAUKE **834 N. ASHLAND**
774-4100 **Tel. HA 1-5800**

KIRSTEN

FUNERAL HOME

POLSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY

GIL KIRSTEN, Funeral Director

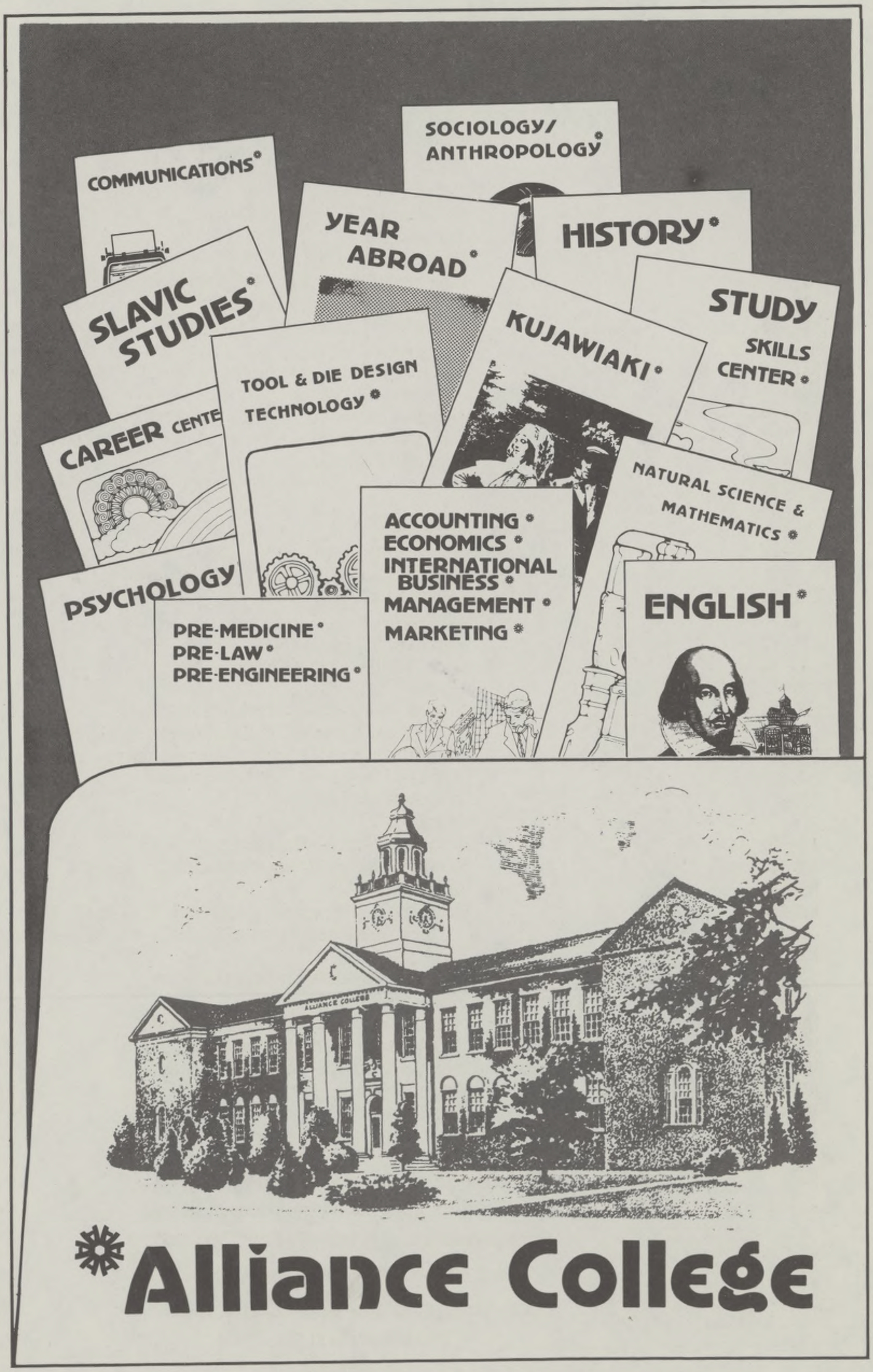
1006 N. WESTERN
(Blisko Augusta Blvd.)
ARmitage 6-3378—3379

SPIS TREŚCI

BIBLIOTEKA UNIV. CRACOVIENSIS

Kalendarz Związkowy jest wydany przez
Alliance Printers and Publishers, Chicago, Illinois.
Opracowanie redakcyjne—Edward Różański,
Józef Białasiewicz, Józef Wiewióra,
Opracowanie graficzne—Bernard Pacyniak
Printed in the U.S.A.
Chicago 1978

Support



Cambridge Springs, PA. 16403

Bibl. Jag.

Zawsze Na Czele—

Dziennik Związkowy

WYDAWANY PRZEZ KORPORACJĘ WYDAWNICZĄ Z. N. P.
ALLIANCE PRINTERS AND PUBLISHERS, Inc.



Podaje wiadomości z pierwszej ręki, mając obsługę telegraficzną i połączenie z całym światem. Dziennik Związkowy stoi niezachwianie na gruncie narodowym i dzielnie broni spraw Polonii, której służy.

Zawiera: zdjęcia fotograficzne z najważniejszych wydarzeń w życiu Polonii Amerykańskiej, zdjęcia fotograficzne z wielkich wydarzeń w naszych organizacjach polskich, zdjęcia fotograficzne z odbudowy Polski, zdjęcia fotograficzne z ważnych wypadków w całym świecie. Dziennik Związkowy podaje wiadomości z życia Polonii w Ameryce, wiadomości z Polski i o Polsce oraz ogłasza przedsiębiorstwa polskie, które potrzymują prasę w języku polskim. Polska gazeta w polskim domu oto jedyna gwarancja naszej siły i wpływów. Kupujcie lub prenumerujcie Dziennik Związkowy!

Zamówienia na wszelkie **DRUKI** *w języku polskim lub angielskim*

Wykonanywane fachowo przez unijnych drukarzy po cenach przystępnych. Zamówienia przyjmujemy na najmniejsze lub najwykwitniejsze druki w jednym lub więcej kolorach, dostarczamy klisz i t. d.

Adresować wszelkie listy:

Dziennik Związkowy

1201 Milwaukee Avenue — *Chicago, Illinois 60622*

Telefon: (312) BR 8-8700



Fairfield's newest office, at 8301 W. Lawrence.

Bringing Fairfield's services closer...

Over the years, many of our customers have moved farther northwest, so that visiting Fairfield became for them quite time-consuming and inconvenient. But as long as our customers couldn't come to us, we decided to go to them. That's why we opened another office at 8301 West Lawrence Avenue last year.

Now, if you live anywhere on the far Northwest Side, you have a Fairfield office right in your own neighborhood. An office that's bright and modern and offers all the customary services. And if you drive, you'll enjoy the convenience of our private parking lot and drive-up teller windows too.

Of course, our main office at the crossroads of Milwaukee, North and Damen Avenues remains, serving one and all. And please remember: If you have a savings account or a mortgage loan at one Fairfield office, you can always make deposits, withdrawals or mortgage payments at the other. Let convenience be your guide.

Fairfield Savings—serving Chicago's great Polish community for 78 great years.

Fairfield Savings

YOUR KEY TO HAPPIER LIVING

1601 MILWAUKEE AVE. PHONE 489-4800

8301 W. LAWRENCE AVE. PHONE 456-0100

MEMBER FSLIC

EQUAL HOUSING LENDER